



4453

II

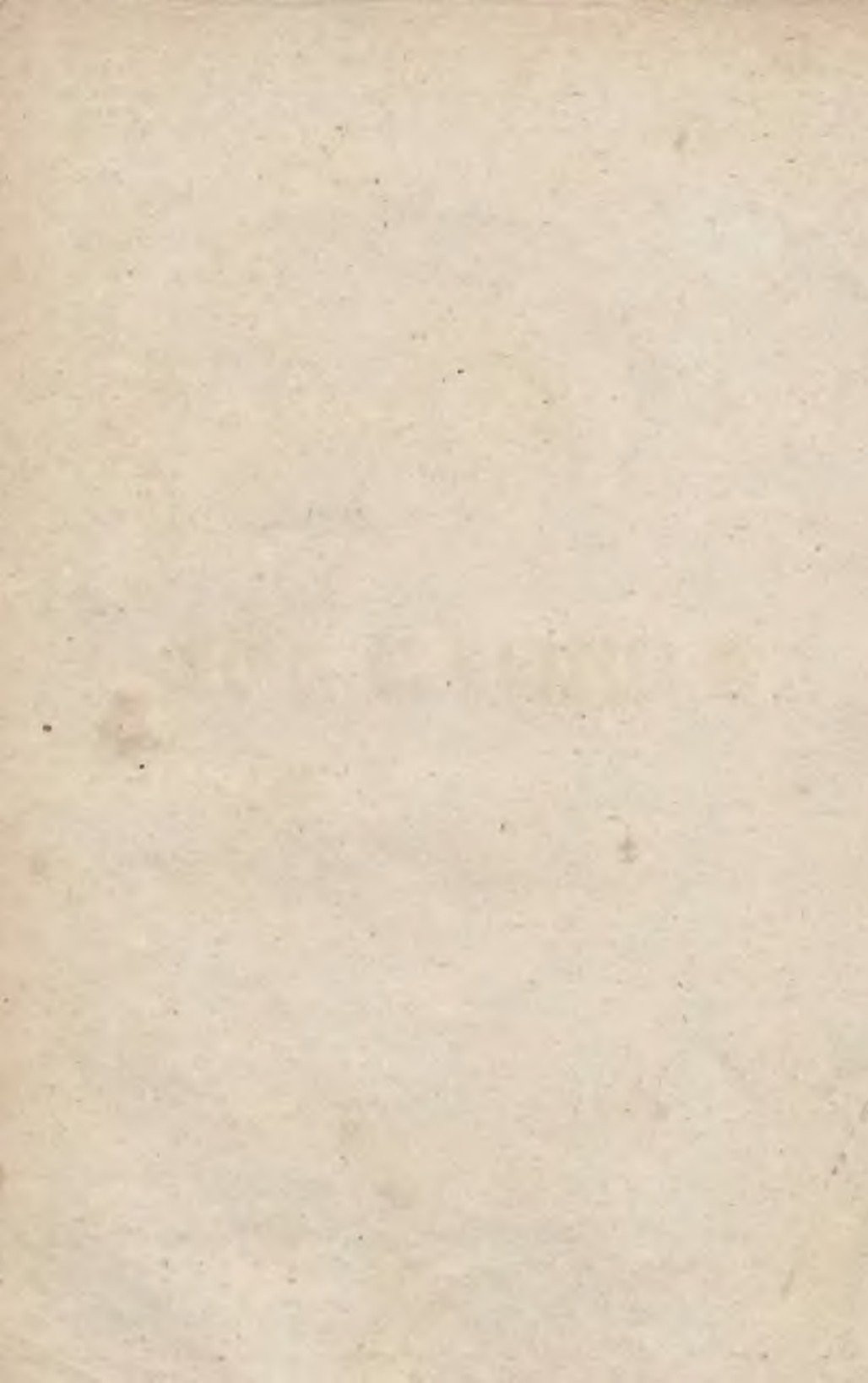
2

P



Geogr. pol. 2229. / II.

~~1897. v. 37.~~



W ALPACH I ZA ALPAMI.

W ALPACH I SA ALPAMI





Leipzig i. Engl. Kunst. Anstalt. A. H. Payne sc.

Konrad Hugo Gottrau Rzymut

W ALPACH
I
ZA ALPAMI

PRZEZ

L. z G. Reutenstrauera

TOM II.

WARSZAWA,
NAKŁADEM FRANCISZKA SPIESS I SPÓŁKI.

—
1847.

WYDAWCA
WARSZAWA
IMACJA AN

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury
po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby Eksemplarzy.

w Warszawie d. 25 Września (7 Paźdz. 1846 r.)

CENZOR

NIEZABITOWSKI.

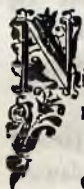
II 1107

4453 II

Fig 000715

W DRUKARNI KOMISSYI RZĄDOWEJ SPRAWIEDLIWOŚCI.

RZYM STARY I NOWY. — FORUM. — ŻŁOTY DOM NERONA. — Ś. PIOTR
I PIERWSZE JEGO WRAŻENIE.



Niewiem czy jest kto na świecie, żeby na zimno, bez zapału a przy-
najmniej wielkiego wzruszenia, po raz pierwszy Rzym ujrzał.

Gdy się wjedzie w ten las kolumn, obelisków, kopuł, pała-
ców, ruin, posągów i kaskad; gdy każdy z innego wieku, innym
głosem swe dzieje opiewać zacznie, a każdy zowie Rzym swą ojczyznę
lub panem, każdy jeden promień sławy do tego wszystkich sław ogni-
ska doda, Rzym coraz szerszym, coraz promienistszym poczyna jaśnieć
blaskiem.

Wówczas, pośród zdumienia i tysiąca innych uczuć, rodzi się po-
dziwienie, iż tak się mało jeszcze słyszało i czytało o tej nieśmiertelnej
stolicy; iż są tacy, co w niej byli, ją znają a mogą o czém inném jak
o niej mówić i pisać; że ci co o niej pisali, tak zimno, tak niedokład-
nie, tak mdlemi głosili ją tony!

Ale jakże o niej mówić? jak ją opisać z zimną dokładnością history-
ka, a z umysłem rozognionym sławą, kunsztem, wiarą!

Każdy, czy to antykwaryusz czy historyk, artysta, poeta, a cóż do-
piero chrześcijanin! każdy, mówię, dla swęj duszy, obfite znajdzie tam
skarby. Obojętny nawet wojażer co to z drukowanym przewodnikiem

w ręku świat objężdża, a dla dopełnienia obowiązku podróżującego, śpieszy do Rzymu, by powiedzieć że kopułę S. Piotra widział, taki nawet jegomość z niejaką jeszcze radością przypomni tam sobie dziecinne lata, gdy między cukierkiem a różgą, kazano o Romulusie nudną powtarzać lekcją, gdy później w szkołach zadawano pensa o Neronie, Tytusie, lub Konstancyne Wielkim.

Rzym z olbrzymią swą sławą, od tych szkolnych lat, pozostaje nam zwykle w pamięci, jakby wpośród apoteozy bajeczny jakiś utwór. Uczemy się dziejów jego razem z mythologją. Bajeczne jej urojenia, początek ich osławiają. Eneasza, mówią nam, syn Wenery, przybił do brzegów łacińskiego kraju; on to był pierwszym Rzymian ojcem.

Te imiona Wenery, Eneasza, Sylwji matki Remusa i Romulusa, i wiele innych, powtarzają się także w mythologicznych lekcjach, z czego w młodych głowach rodzi się niejaki zamęt, późniejsze także dzieje swą powlekający mgłą.

W samym dopiero Rzymie, cała jego dość wręście do bajecznej podobna historia, staje się rzeczywistą, dotykającą. Za każdym krokiem nowy głos ją opiewa, niezaprzezony pomnik ją potwierdza.

O! niepodobna, jeszcze raz powiem, obojętnie powitać tych siedmiu pagórków, tę starą szkolną znajomość naszą! Niepodobna obronić się od jakiegoś oniemal religijnego wrażenia, gdy po raz pierwszy zaczynamy deptać po tej przesiąkniętej sławą ziemi, o której, tak jak o Olimpie, uczyć nam się niegdyś kazano.

W owych czasach, Romulus ze swym bohaterów ludem, wpośród własnego zakładu stolicy, zarówno się bajeczny oczom naszym wydawał, jak Jowisz, na poetycznej górze, ze swym bożków i półbożków orszakiem: a lubo niema historii bez bajki, jako i bajki niema bez prawdy, teraz jednak patrząc na te starego Rzymu dumne zabytki, zaczyna się naprzód w odwieczność jego wierzyć, następnie i dziejów jego epoki, rozjaśniać się i klasyfikować w głowie poczynają.

Tu, mówią ci, jesteś na *palatynskiej* górze, pierwszego Rzymu podstawie. Antykwaryusze wskazują miejsca trzech bram jego: *Januatıs*, *Carmentalis* i *Pandona*; a te bramy, to wzgórze, zamykały granice państwa, którego później Europa pomieścić nie mogła.

Kilku z tantąd krokami, jesteś na górze *Quirynalu*, za Nuny Pompiliusza do Rzymu przyłączonej. Tam, niegdyś, była sławna *Quirynusa* świątynia, która górze zostawiła nazwisko; tam Numa Pompiliusz dom sobie postawił; a teraz na gruzach świątyni i pałacu drugiego z królów rzymskich, wznosi się nowych monarchów Rzymu pałac. Terazniej-

szy *Quirynalski* gmach, letnią jest rezydencją ojca świętego, a przy wyborach, jego konklawę zwykle bywa siedliskiem.

Z przeciwnéj strony pałatyńskiego wzgórza, wkroczysz na *capitolińskie*. Na nim Tarkwinjusz stary, wznosił wspaniałą dla Jowisza *capitolińskim* zwanego, świątynię. Później grzbiet jego, obronną podnosił twierdzą; a w końcu pałac, gdzie sławnym ludziom rozdawano laury, z kąd ich tryumfalnie z uwieńczonem wynoszono czołem. Wspaniałe wschody Michał-Anioła rysunku, do tego wawrzynów przybytku prowadzące, z każdym stopniem zdają się umysł podnosić. W środku dziedzińca, posąg Marka Aurelego, dumne cesarstwa przypomina czasy; a zegarowa wieża, na całą stolicę szeroki i wspaniały udziela widok.

Z niéj ujrzysz dalsze nicco pagórki: *Aventinu*, *Coelius*, *Esgwiliu* i *Viminatu*.

Pierwsza od Awantyna, Alby króla nazwana, za Tulusza Hostiliusza do Rzymu wcielona.

Druga łączy się z doliną Egeryi, okrzewia się gajem, w którym Numa Pompiliusz z tą Nimfą przestawał.

Trzecią i czwartą, daleko później Serwusz Tulusz do państwa przyłączył. Obie już teraz leżą w pustéj miasta części. Pierwsza się ozdobiła katedrą Panny Maryi (S. Maria Maggiore), druga zachowała wspaniałe ruiny Dyoklecjana łaźniów, z których jednego zakątka, Michał-Anioł pyszny utworzył kościół: S. Maria degli Angeli.

Z téjże wieży, stojącej na krańcach starego i nowego Rzymu, inne jego także wzgórza możesz ogarnąć wzrokiem.

Stolica świata, gdy już się niemogła na swych siedmiu pierwotnych pomieścić pagórkach, rozległa się, jak ci wiadomo, na siedmiu innych. *Janiculus*, *Citerio*, *Pincius* i *Testacio*; góry *Święta*, *Mariusza* i *Watykańska*, po kolei wcielane, noszą zaszczytne Rzymu miano. Wszystkie obeliskami, lub starych świątyni najeżone kolumnami, wszystkie tysiącem pobliskują kopuły; a nad niemi monarchiczna Ś. Piotra panuje kopuła.

W dalszém téj panoramy kole, oko twe spocznie na téj znanéj ci już pustéj i cichéj przestrzeni, co jak zielona wstęga otacza świętą stolicę. A gdy to Agro-Romano, swą spokojną srogością je zmęczy, gdy je przed nią cofniesz i spuścisz, tuż pod stopami kapitolińskiego gmachu, postrzeżesz tarpejską skałę.

Nieraz, zapewne, trafiło ci się, Antosiu, w figurycznym czytać stylu, jak ta skała blisko Capitolu leży; jak te dwa miejsca, jedno ułudnéj, często zdradliwéj sławy, drugie haniebnéj śmierci, z sobą graniczą! Tam zaś naoecznie przekonać się możesz, iż rzeczywiście jeden krok ich tylko dzieli; a jakże często on się przeskakuje, zawiści tylko pchnięty ręką!!

Z drugiej strony Capitolu, dolina dzieląca go od Palatynu, niemniej sławna jak otaczające ją wzgórza, twe kroki i myśl twą zatrzyma.

W niej niegdyś, po uwiezieniu Sabineek i krwawej ztąd wojnie, Romulus z Tacyuszem zawarł przymierze. W późniejszych czasach, ta przestrzeń wspaniałym otoczona dwópiętrowym portykiem, zamykała owo sławne Forum, ten rynek Rzymian, gdzie Lud-Król swe narady miewał, gdzie gromadził swe świątynie, czcił swych bogów, bohaterów słauił, przeniawierców karał... A teraz *Campo Vaccino* nazwana, i na targ bydła przeznaczona, olbrzymiami tylko gruzami opowiada swą przeszłość, swe dni królewskie.

Jest to najwspanialsze historyczne muzeum, jest to dumnych wspomnień pośmiertna mowa, pychy ludzkiej wymowy grobowiec.

O jakże go pominąć nie pomarzywszy nad próżnością, nad znikomością wszech rzeczy świata!.. Nie rozśmiawszy się z naszych codziennych zabiegów, kłopotów, trosk i użaleń, co tak się skończą a daleko prędkiej, niż te pomniki pod któremi losy ludów się ważyły; niż te świątynie co słyszały uniesienia radości, huk sławy, jęki rozpaczy, a teraz puste i głuche, zdają się urągać wszystkiemu, przed czém my uchylamy czoła! naigrawać się z wszystkiego, eo w naszym mniemaniu, podnosi nas lub uciska, wywyższa lub gnębi.

Ale ten chwilowy filozoficzny zwrót, ustępuje niebawnie, pod tysiącem innych myśli, uwag, wspomnień, tłoczących się tam bez miary.

Bocznemi wschodami kapitolu schodząc ku tej dolinie, gdzie każdy kamień, ziemia, sam pył jej zdaje się historycznym jaśnieć blaskiem, zaraz się napotyka wejście mamertyńskich więzień.

Czwarty król Rzymu, Ancus Marcyusz je wybudował, czyli raczej wydrążył w skale. Stopnie prowadzące do otworu którym spuszczano więźniów, od ich jęków zwały się *Gemonie*; ciała zmarłych lub zamordowanych, z ich wierzchołka dla przykładu ludowi ciskano. Jugurta w tych pieczarach głodem zamorzony; spiskowi Catiliny uduszeni; a później Ś. Piotr srogo w nich więziony. Czarne ich sklepienia, jak tamtych skargi i przekleństwa, tak jego powtarzały modły i przebaczenia wyrazy. Pokażą ci jeszcze kolumnę, do której był przykuty, i źródło co z pod nóg jego wytrysło, gdy nawróciwszy stróża więzienia, i chcąc mu dać chrzest święty, niemógł dostać czystej do tego obrządku wody.

Otóż jak tam, tak za każdym krokiem, Rzym ci swe opowie dzieje, swe saturnalia, i swe pobożne wyśpiewa hymny. Trzeba tylko umieć tony ich uchwycić, zrozumieć i przejąć się niemi, a wówczas Rzym się staje jedyną na świecie, niezrównanego zajęcia stolicą.

Daléj idąc, wskażą ci miejsce mównicy, z której Brutus do ludu przemawiał. Przy nié m trzy kolumny pozostałe ze świątyni Jowisza grzmiącego (*Giove tonante*), hołd wdzięczności Augusta, gdy piorun zabiwszy człowieka przyświecającego mu drogę, jego samego ocalił. Obok nich ósm kolumn świątyni *Fortuny Capitolińskiej*, przy których bogate reszty świątyni *Zgody (Tempio della Concordia)*, gdzie Cycero Catylinę oskarżał, gromił.

Na prawo trzy korynckiego porządku filary, lekkie, wzniosłe, piękne, między wzory architektury są liczone. Zdobiły one niegdyś gmach *Graecostasis* zwany, przeznaczony do przyjmowania obcych posłów i królów. Przy nich złomy te *Curje Hostilji*, dzieło trzeciego króla Rzymu, gdzie się później senat zbierał, i miejsce gdzie było figowe drzewo, pod którym wilczyca karmiła niemowlęce sieroty, później ojcowie stolicy świata.

W samym środku *Forum*, wznioślejsza jeszcze od innych kolumna, mimo swéj zgrzybiałości, śmiało w niebo strzela. Cała marmurem pokryta, zdaje się jakby oderwana od jakiejś budowy i tam przeniesiona. Zowią ją kolumną *Focasa*, gdyż po głębokich poszukiwaniach, docieczono że nosiła niegdyś posąg *Focasa*, wschodniego cesarza.

W pośród tych wspaniałych zwalisk, mniej nieco zniszczone widać tryumfalne bramy: *Septima Severa*, *Tytusa* i *Konstantego*.

Pierwsza, na pamiątkę zwycięstwa nad Partami, w swych rzeźbach upadek sztuki zwiastuje.

Druga, z rozkazu senatu, *Tytusowi* poświęcona, zwycięstwo jego nad żydami głosi. Mniejsza od innych lecz najlepiej dochowana, cała marmurem pokryta, w pięknych płaskorzeźbach przedstawia imperatora tego w tryumfalnym wozie; a uwieńczeni żołnierze, zdobycze Jerozolimy przed nim niosą. Żaden żyd dotąd, pod jéj łukiem przejść niechce.

Trzecia, uszkodzona i źle później naprawiana, *Konstantego* brama, także z rozkazu senatu, na uwiecznienie zwycięstwa jego wzniesiona.

Ale ten wyraz *wzniesiona*, niemoże już się teraz do tych zastosować pomników. Czas je przycisnął, ziemia pokryła, i dopiero w początku naszego stulecia, za francuzkich rządów, z pod niéj wygrzebane, z głębokich jam teraz, zdają się ciekawie patrzeć na ten nowy świat, całkiem im obcy; świat, którego oni, który ich także zrozumieć niemoże. Bo od czasu, co ta ziemia nad nimi urosła, człowiek na niéj znalazł; i nie tak też łatwą nam rzeczą zrozumieć ten stary ich świat, którego olbrzymie zarysy, przerażają nas swą prawie nadludzką wielkością i dumą!

Rzuciwszy z tamtąd do koła okiem, wszędzie na wzgórzach sterczą innych kształtów mury. Całe ścian poły, z ogromnemi otworami, jeszcze

jakiś harde przedstawiają szczytki. Są to gruzy pałacu Cezarów; jest to tak w swym czasie nazwany, *złoty dom* Nerona.

Na temże miejscu stała najprzód pokorna Romulusa lepianka. Później, w skromnym domku ojca, zrodził się tam August; lecz gdy ten domek pożarem spłonął, następca jego już pałacowe, monarchiczne zaczął przybierać rysy. Tyberyusz znacznie pałac ten rozszerzył. Kaligula, napowietrznym mostem, z Capitołem go połączył. Neronowi już *palatynska* nie wystarczała góra. Codziennie wzrastający jego gmach *Esquilińska* w swe ramiona objął, i ciągnął się aż do ogrodów *Mecenasa*, leżących za teraźniejszym *Maria-Maggiore* kościołem.

Ten zamek poczwarnych wymiarów, mieścił w swym obrębie ogrody, fontanny, lasy, stawy, łaźnie, teatru, koszary, więzienia i pełno innych dodatkowych budowli. A gdy część jego spłonęła, w 64 roku ery naszój, jak to Sueton i Tacyt twierdzą, Neron go kazał z bajeczną, że tak powiem, odnowić wystawnością.

Podług świadectwa ówczesnych pisarzy, okrażono go portykiem na 3,000 filarach wspartym. W sieni stał sławny Nerona kolos, 120 stóp wysokości mający, dzieło nieśmiertelnego Zenodora. Niezliczona ilość sal i komnat jego, ozdobne były najpiękniejszymi freskami, kosztownemi marmurami i posągami (których część dotąd watykański wzbogaca zbiór). Wszędzie połyskiwało złoto, alabastry, mozaiki i inne klejnoty. W niektórych salonach fontanny, samemi wytryskały perfumami; u innych świeże wyrzucały z siebie kwiaty.

Gdy Neron, pierwszą noc w tym *złotym pałacu* spędził, — „przecież teraz, zawołał, mieszkam jak człowiek!”

Otóż takich ludzi już my nierozumiemy! Ta ich wystawność bez granic, co dla nich była codzienną potrzebą, zwyczajem, nam się wschodnią powieścią wydaje. Teraźniejszy świat, rachityczny, zkalony potomek tamtego, lubo po części jego spadkobierca, nic podobnego nam nieprzedstawia.

Szczytki pałacu Nerona, w ręce kilku teraźniejszych bogaczy przeszłe, częścią pustką pod swemi leżą gruzami (w których ciągle tysiące rąk grzebie, szukając arcydzieł sztuki), w innych miejscach eleganckimi porosły willami.

Ogrody *Farnezów* na nich zazieleniałe, są teraz własnością neapoitańskich królów. W nich, dotąd wyraźnie widzieć można, miejsce świątyni Apollina, biblioteki Augusta, i kilka pokoi nazwanych kąpielami Liwji, pokoi ozdobnych dość świeżemi jeszcze freskami, lecz już całkiem w ziemię zapadłych, tak, że jakby do piwnicy schodzić do nich trzeba. W kilku zaś pobocznych tego cesarskiego pałacu salach, mieści się teraz

dość obszerna zielona i świeża willa, niegdyś Spada, teraz *Mills* zwana, a którą właśnie kiedy to piszę, pan Mills drugiemu Anglikowi odprzedal.

Wpółśród różnnych jej klombów, kilka boków wspaniałych komnat sterczą, jakby powstałe ze swych grobów naddziady przypatrzeć się chciały w co się obróciły dawne ich skarby! jakby szukały dawnych swych śladów, płacząc swęj postradanęj wielkości!

Niektóre tych starych ścian okna, wielkie jakby dla olbrzymów, puste jak trupięj głowy oczy, co niosły niegdyś wzniosłęj duszy wyraz, a teraz śmierci rodzą wrazenie, przerażają nas i zadziwiają swemi wymiary.

O jakże się chce ich zapytać, co one widziały! O gdyby nam opowiedzieć mogły, co tam się działo w tych salach, jacy to byli ci ludzie, ludzie czy Tytany, którym one przyświecały? Jakie były ich wyobrażenia, przesady, nałogi? Jaka miłość, przyjaźń, i krewieńskich związków pojęcie? jakie ich codziennie było życie, i zajęcie każdęj chwili? Bo historia już nam się niedostateczną wydawać zaczyna. Ona pisze dramat, a my w tych ścianach, mniemamy się za kulisami, i kulisowych zowych czasów wieści, uchwycićbyśmy radzi.

lune tych zwalisk odłamy i przetwory, siecią zielonego bluszczu powite, mniej żalobnie, mniej surowo, lecz niemniej malowniczo, kreślą się na tém jasném niebie, co lepsze ich dni pamięta! Pod témże słońcem, które jedynie żadnęj od tych czasów nie uległo zmianie, a codziennie swym jednostajnym postępując krokiem, nie domyśla się nawet, ile pod jego promieniem przelało się pokoleń i wieków.... Jakby te wieki jedną były dlań chwilą!

Wówczas więszy nad inne powstaje w duszy obraz.... obraz wieczności i Tego, co ją jedném stworzył skinieniem.... Co trwał przed nią i po nięj trwać będzie....

Przed tym obrazem, dla którego myśl nie znajduje oparcia, a dusza za ciasna, nie może go w żadne objąć ramy, wszystkie inne maleją, znikają. Obok niego, tak sława upłynionych wieków, z potężnemi bohaterami swemi, jak drobność naszego i nędza, wszystko się równa, wszystko od razu obraca się w *nie*; a nasza próżność, w porównaniu z niemi mocno poprzednio upokorzona, w nowém i wzniosłém uczuciu łagodzącą znajduje osłode.

Jak też w *Forum* zdało nam się pod każdą kolumną cień szyderczego dla siebie napotykać uśmiechu, tak teraz, z wyższego stanowiska spójrząwszy, wyplacamy się politowaniem, za ich tak znikomą dumę; a z gruzów *złotyeh pałaców*, gdzieśmy przybyli dla podziwiania wielko-

ści ich panów, dla odgadywania ich olbrzymiej potęgi i sławy, unosim uczucie ich marności, uczucie jednej tylko rzetelnej wielkości i chwały.... Chwały i wielkości Boga.

Naówczas ten Rzym pogański, co cię tak zrazu swą wspaniałością zdumiał, raptownie traci swe uroki. Dusza potrzebująca zawsze współczucia, innego w nim szuka blasku; pociesza się widokiem tych gruzów, ale już w nich widzi tylko świadków wyższości i władzy wiary, co pokornie w pośród nich wzrasta, co z pod dumnych gmachów, z pieczar ich i więzień, nad nich swe wzniosła czoło, a obaliwszy posagi i bożyszczka, swój na nich postawiła krzyż.

Opuszczasz już drogę *świętą (la Via Sacra)*, któraby cię z *Forum do Colosseum* zawiodła; niepatrzysz na reszty świątyni Wenusa i Rymu, co na przeciw kolosu, na wzgórzu stercząc, dwie piękne jeszcze przedstawiają oku celle; pomijasz na prędce trzy duże arkady świątyni *Pokoju (Tempio della Pace)*, najdalej zostawiasz pantheon, obeliski, fontanny, kolumny, i tysiąc innych złomów, pełnych wspomnień, poezyi i kunsztownych skarbów, bo uwaga mimowolnie na kościelne zwraca się kopuły, bo nowy Rzym głośzy w sercu starego Rzymu głos.

Lecz wyszedłszy z pałacu cesarów, zmierzwszy choć nawiasowo okiem, pyszne *Colosseum* reszty, wszystko się wydaje tak małe! tak nizezemne!.... Tamto było dla ludzi, dla ich rozrywki lub pychy wzniesione, czemuż dla czci Boga niezdolano coś sto, tysiąc razy wspanialszego zbudować?....

I to powtarzając, wyobraźnia buduje sobie jakiś fantastyczny kolos, oparty o ziemię, zakończony w niebie, niepojętych wymiarów, urrojonych piękności, którego typu nigdy się niewidziało, a zobaczyć we śnie chyba zostaje nadzieja!

Słyszało się wprawdzie o Ś. Piotrze?— ale cóż może być S. Piotr? to dzieło nie jednego pojęcia, ta budowa tyle razy przerabiana i dorabiana, której jeden architekt zrobił nogi, drugi głowę, trzeci skrzydła rozciągnął, a stu ozdoby tworzyło. Jakże tam może być harmonja, a bez niej jakaż piękność? Cóż dziwnego, że tyle było już nań krytyk, a ileż jeszcze ich będzie?

Tak o niemal z gotowością nową krytyki, przybywa się na watykański plac.

Plac ten opasany portykami, z czterech rzędów kolumn posągami u góry ozdobnych, w środku ma obelisk, a po bokach wodotryski.

Pyszny środkowy obelisk, całkiem hieroglifami pokryty, z *Heliopolis*, stolicy słońca! zabrany, był niegdyś ozdobą cyrku Nerona. Gdy w miej-

scu cyrku tego wzniosła się późnziej expiacyjna zbrodni tyrana świątynia, papież Syxtus V, na przeciw niej, obelisk ten utwierdzić kazał.

Stanąwszy u jego stóp, cztery rzędy kolumn, promień owalnego portyku tworzące, tak dobrze w ten wpadają promień, iż jedną wydają się kolumną. A fontanny, boki placu zdobiące, o 60 stóp w górę wytrysnąwszy, opalową mgłą spadają w wazy, z których każda 50 stóp obwodu mając, w jednej bryle granitu jest wydrążona.

Kto sobie w duszy wznosił fantastyczną, jak mówiłam, świątynię, dziedziniec ten, może wziąć za dokonanie urojenia swego; bo pewno nic podobnego na świecie nie widział, i wątpliwem jest czy kiedy równie pięknego we śnie nawet zobaczy.

Ta kolumnada, ramiona watykańskiego gmachu tworząca, zamyka się jego wschodami i przedsionkiem, i doskonale przysposabia do wielkich samęj świątyni wrażeń, bo swą pięknoscią zachwyca już i rozgrzewa umysł.

Pierwszy raz jednak, mało na jęj szczegóły zważać można, tak każdemu pilno przebiez te wschody co przed sobą widzi.

Wchodząc na nie, jeszcze się niewie czy się do pałacu czy do świątyni wchodzi. S. Piotr bowiem niema z wejścia pozoru kościoła, nic co by znane już przypominało katedry. Jedną z watykańskim pałacem stanowiąc masę, zdaje się tylko jakby jego przedsionkiem. Wszedłszy do sieni, jeszcze się nie postrzega przyjętych zwykle w kościołach form i ozdób; tylko wzrok oémiony przepychem, nie wie gdzie się obrócić, na czém najdlużej się wstrzymać; a dusza wspaniałoscią i ogromem téj sali przerażona, czuje tylko, że już pod sklepienie domu Bożego weszła.

Lecz jakże oddać wrażenie gdy się podniesie ciężka franka od sieni go dzieląca, gdy się przekroczy samęj świątyni próg?

Tam już ani przepych oczu nie émi, ani ogrom nie przeraża duszy. Wszystko dla nięj błogie, miłe, wszystko tak harmonijne, jak gdyby melodye chorów anielskich w nięj się powtarzały, jakby nam podano rajskich roskoszy zakosztować napój. Czujemy żeśmy do rodzinnego weszli przybytku, żeśmy na łonie ukochanej matki złożyli głowę; serce niebiańską się przepelnia miłoscią i zaufaniem, bo czujemy żeśmy podobną miłoscią kochani.

Samo nawet powietrze, jakimś tam nieznanym ogarnia nas urokiem. Chłodnawe w upał, w zimie letnie, osobna ta atmosfera do innego należąca świata, w inny całkiem wprowadza nas świat.

Gdy w tém uniesieniu podniesiemy oczy, bynajunniej nas nie dziwi niezmiernona sklepienia wzniosłość, bo tam się wszystko naturalnem wydaje, a o sztuce się niepamięta wcale. Tylko jak spuścim wzrok, a spo-

strzeżem w przestrzeni która nam się zrazu pustką wydała, jakąś mróweczkę, a w tój mróweczce poznajemy w końcu zwykłą postawę człowieka, zaczynamy się domyślać o niezrównanej wielkości gmachu có go tak zmalął, probujemy porównywać, mierzyć jego potężne kształty. Myśl się cofa przed rachubą którój ogarnąć nie zdoła, dowierzać nie śmie, przeczyć nie może; a w sercu, obok pierwszego samój miłości uczucia, rodzi się drugie bardziej korne, uczucie naszej mikroskopijnej drobności, i mimowolnie wołamy:— o cóż ja, proch nędzny, w twém obliczu, Wielki Boże, być mogę? Jakże litość twa wynaleś mnie tu zdoła? jakże Twa miłość aż do mnie zniżyć się raczy!...

Może są tacy, i zapewne są, co od pierwszego razu postrzegają w Ś. Piotrze jego bogactwa, przepychy, obliczają jego wady i błędy. Co do mnie, wyznać muszę, iż przy pierwszym zwiedzaniu nie z tego wszystkiego nie widziałam wcale. Wzrok jak i inne zmysły, pochłonięte były uczuciem; a w tём uczuciu nie niebyło jak Bóg i potęga jego, moja nikczemność, nicność; jak to, com ci tu w kilku nadmienila słowach, a czego żadne słowa oddać nie mogłyby, gdybym ich sto razy tyle użyła.

Wiem tylko że świątynia ta, jakiej świat drugiej nie posiada, wszelkie me od razu obaliła fantastyczne urojenia, wszelkie oczekiwania przeszła; lubom o niej dość słyszała i czytała, zupełną była dla mnie nowością.

Powstawszy z kłęcznika i już przy wyjściu, ostatni raz ogólne na nią obróciwszy spójwienie — »Bóg tylko, rzekłam, mógłby coś wspanialszego, coś doskonalszego utworzyć — ludzie... niepodobna.»

Wyszedłszy z pod tych sklepień, gdzie się inném oddychało powietrzem, inném żyło życiem, ruch codziennego świata, krzątanie się ludzi, dziwną nam, niepotrzebną i nie miłą wydają się rzeczją. Potrąca to wrażenia nasze, razi ich błogość, budzi nas i woła do poziomiej rzeczywistości, kurzem je swoim pokrywa; gdy właśnie radziłyśmy to nasze uczucie jak najczystsze unieść, w samotnej ciszy pieścić się z niem jeszcze, w głębi serca głęboko zaszcześcić, by żadne zapowietrzzone światła technienie nań nie wionęło, by ten kwiat rajski pod nim nie obwiadł.

Ale gdzież ten wiatr nie dosięgnie w końcu? Jakimżeby trzeba wzniosłym i grubym opasać się murem, by się ochronić całkiem od wpływów jego?

Jakkolwiekby, pozostaje nam pamięć — a gdy nawet pierwsze wrażenia pobladną, rodzi się z nich jakiś rodzaj przywiązania do Rzymu — przywiązania innego całkiem rzędu jak to, jakim się lubią miasta do których się przyjechało dla teatru i zabaw, gdzieby się nawet jakich światowych doznało powodzeń, pełno salonowych zbierało wieńców.

Pani Stael mówi w Corymie: »L'on aime Rome non comme une ville, mais comme un individu.» Jabym dodała że się go tak kocha jak starego przyjaciela, któremu wszystkie smutki nasze wiadome, a na każdy ma pociechy słowo, wszystkie choroby znane, a na każdą ranę gotowy daje ci balsam.

I ilu też to przyjechawszy na parę miesięcy do Rzymu, do końca życia w nim pozostali!

II.

ŚWIĄTYNIE W KOŚCIOŁY ZAMIENIONE. — PANTHEON. — AMFITEATR MARCELLA. — COLOSSEUM.

Bzym tyle ma pomników, tyle przedmiotów do siebie wołających, iż niewiadomo od czego zacząć, czemu dać pierwszeństwo. Forum i Watykan, jest to tylko pierwsza i ostatnia karta tej wielkiej księgi, której hieroglify tyle od wieków utrudziwszy głów, ciągłych poszukiwań przedmiotem, po części pozostały zagadką, i już zapewne nieodgadnione pozostaną na zawsze.

Wielka część gmachów pożarom uległszy, później odbudowywana, znów czasem lub ogniem obaloną została; inne w średnich wiekach barbarzyńców łupem, lub za twierdze służąc, albo też z pogańskich na katolickie obrócone świątynie, pierwotny w tych zmianach postradawszy charakter, tém trudniejszą czynią sumiennych poszukiwań pracę; a często początek ich i późniejsze koleje, tak są grubą okryte mgłą, iż daremnym tylko sporom za niewyczerpane służą źródło.

Tak, świątynia Minerwy, oddana teraz na cześć Matki Boskiej, najmniejszego śladu swój pierwszej nie zachowała postaci; tak resztek świątyni Remusa i Romulusa szukać trzeba w przedsionku kościoła ŚŚ. Damiana i Kosma. W kościele S. Maria in *Aria-Coeli*, śladów Jowisza kapitolinińskiego, którego posąg w Ś. Piotra zmieniony, w Watykanie naj-

większej czci jest przedmiotem. Tak świątynia *Fortuny* przez Tuliusza, szóstego Rzymu króla wzniesiona, najprzód za papieża Jana VIII w katolicki, a teraz w aryański zmieniła się kościół. Dwie *Westy* świątynie, w swych wysmukłych i ładnych kształtach, mieszczą: jedna Ś. Teodora, druga Najświętszej Panny ołtarze; tak w końcu i sławny *Pantheon*, pod cieniem krzyża, swe artystyczne przechował dla nas skarby.

Pantheon, teraz już nazwany *S. Maria ad-Martyres*, albo tylko *Rotonda*, najwspanialszy i najlepiej dochowany z pozostałych nam pomników starego Rzymu, swój zapewne transfiguracyi winien tak doskonałe zakonserwowanie. Bez niej możebyśmy już tylko w gruzach jego grzebali..... ale w tych gruzach może by się znalazły jeszcze arcydzieła sztuki, jakich już teraz w nim nieznajdujemy, które on postradał na zawsze, i dla potomności, tym sposobem, postradane zostały.

Pantheon zachował wprawdzie swój pyszny przedsiónek z czternastu kolumn porządku korynckiego. Każda z nich, z jednej bryły granitu wschodniego, ma oprócz kapitelu i podstawy, pół-dziewiętnasta stóp wysokości, na 14 stopach obwodu. Prócz tego, ośm kolumn od frontu, z szarego i czerwonego granitu, podnoszą facyatę niegdyś złoconemi płaskorzeźbami ozdobną, teraz, w swém obnażeniu, służącą jeszcze za wzór dla architektów.

Wnętrze okrągłe, odbiera światło ze środka otwartej u góry, szerokiej i śmiałej kopuły. Sama świątynia bez innych okien, filarami ozdobna, a między niemi nisze, niegdyś z posągami pogańskich bogów, później sławnych ludzi, teraz ołtarzami są zajęte. Podłoga mozaikowa mocno uszkodzona deszczem, środkiem otwartej kopuły padającym, a jeszcze bardziej Tybrem, który w czasach wezbrania ją zalewa.

By mieć wyobrażenie, ile ta budowa jest cenioną przez prawdziwych sztuki znawców, dość wspomnieć, iż gdy Michał-Anioł pysznić się chciał najpotężniejszém swém dziełem, kopułą Ś. Piotra watykańskiego, mówił, iż postawił *Pantheon* w obłokach. Te słowa dadzą wzajemnie miarę jak *Pantheonu*, tak jenjalnej kopuły Ś. Piotra piękności.

Wzniesiony przez Agryppę *Pantheon*, na 26 lat przed J. C., później, za panowania Tytusa i Trajana, dwa razy spłonął, a pod Adryanem i Antoninem zrestaurowany został. W głębi stał wówczas posąg Jowisza, po bokach Wenery i Marsa, przy wejściu Augusta i Agryppy, a to wszystko wpośród mnóstwa wszelkiego rodzaju bogactw i kunsztownych ozdób.

W późniejszym czasie, i gdy już *Pantheon* ze spiżu, srebra i pozłot odarto, dla wzbogacenia niemi innych świątyń naszych, składano tam zwłoki sławnych artystów.

Rafael, czując zbliżającą się ostatnią chwilę, oznaczył dla siebie trzecią framugę, i prosił by uczeń jego, Lorenzetto, zrobić doń z marmuru Matki Najświętszej posąg. Posąg ten nazwany *Maria del sasso*, dotąd w tejże niszy stoi, a pod ołtarzem, za podstawę mu służącym, Rafaela spoczywają popioły.

Lecz tylko Rafaela i drugiego malarza, Annibala *Caracha*, śpią tam spokojnie — inne wyrzucono; roku 1821, popiersia sławnych artystów, do Kapitolu przeniesione zostały, a *Pantheon*, już teraz wyłącznie jednemu poświęcony Bogu, nie może jednak między piękne liczyć się kościoły. Artysty i poeci żałują pierwszego charakteru jego, płaczą jego pogańskich a zamaskowanych rysów; i dziwić im się nie można. Była to pyszna przeszłości spuścizna, do dziejów sztuki należąca głównie, a teraz, wpośród tysiąca kościołów i wspaniałych katedr, nędzną została kaplicą.

Ale jeśli żałować tych wspaniałych szczątków, co się w niezgrabnie przebrały kaplice, jakże tysiącnie więcej nie boleć nad temi, które pośledniejszej jeszcze uległy zmianie, lub w średnich wiekach, za twierdze służąc, pod barbarzyńskimi rozsypały się ciosy, albo jeszcze w późniejszych czasach, w czasach oświaty, dostarczały spekulantom materiałów do budowania pałaców, domów, sklepów, kramów!

Tak widzimy świątynię Antonina pobożnego, w komorę celną zmienioną. W grobowcu Augusta, sztuki konne, stajnie i gimnastyczne widowiska się ulokowały, a wspaniałe mauzoleum Adryana, teraz zamkiem Ś. Anioła przezwane, rodzaj cytadelli, za więzienie dla zbrodni, i do fajerwerków służy. Tak przedsiónek świątyni Pallady, podpiera stare jakieś domostwo; portyk Nerwy, w głębi brzydkiego uwiązł muru, w Oktawji portyku, ryby sprzedają, a w pysznym amfiteatrze Marcella, żydostwo się zagnieżdżyło, i staremi zarzuciło go łachmany.

Wspaniały ten gmach wznosił cesarz Oktawjan dla siostrzana swego Marcella, syna Oktawji, i jemu go dedykował. Był on drugim teatrem jakim się Rzym wzbogacił. Mieścił w sobie 22,000 widzów, a tak był doskonałej architektury, iż artyści dotąd ze szczątków jego wzory dla siebie czerpią. Ale już tylko z jednej strony, i to w ciasnej uduszonej uliczce, muszą o reszcie się domyślać. Inne zaś boki, obalone za domowych wojen, i gdy ten teatr za twierdzę służył możnej familji do której wówczas należał, później odbudowane, żadnego nie mają charakteru; teraz zaś gmach ten, należący do rodziny Orsynich, wynajmowany na tandetę, tak żydostwem zalany, iż nawet wnętrze jego, całkiem się nieprzystępne stało.

Lecz między temi barbarzyństwa i spekulacyi ofiarami, najwspanialszą, najwymowniejszą zapewne jest, amfiteatr Flawjana. Ten bogaty kolos, chciwą dłonią z posągów, brązu, marmurów obrany, w wojnach za fortecę użyty, później schronieniem złoczyńcom, ten olbrzym z którego ułamku powstały pałace Farneezów, Barberynich, kancelaryi, i tak nazwany wenecki, oraz port Ripetty, tak już teraz zubożony, dumnie jeszcze na świat spogląda, do najwspanialszych starego Rzymu należy zabytków, w jego dziejach ważny tworzy ustęp, i swoje własne ma także niepoślednie wspomnienie.

W 72 r. ery naszej, Wespazyan Flawjusz, wróciwszy z żydowskiej wojny, położył jego węgielny kamień w środku ogrodów *złotego pałacu* Nerona, zajmujących sam miasta środek; 12,000 hebrajskich jeńców, do téj użyto fabryki; a tak, w miejscu ogrodowego kanału, zaczęła się wznościć budowa, jakiej przed nią ani później nie widziały wieki, którą dla jęj dumnych wymiarów *colosseum* przezwano.

Jest to amfiteatr, a raczej dwa w jedno koło połączone amfiteatra, 1641 stóp mające obwodu. Cztery rzędy arkad jedne nad drugimi, boki jego tworzą. Każde piętro na ośmdziesięciu takich oparte arkadach, poprzedzielanych pilastrami, innego jest porządku, a wszystko razem przesliczne, wspaniałe, i mimo swęj massy lekkie i malownicze.

Ruina ta, nosząca na sobie piętno długich i rozmaitych swęgo losu kolei, w końcu zaniedbana, i, jak mówiłam, spekulacyjnymi niszczona rękami, głęboko już osiadła w ziemi. Oderwany bok, z którego powstały pałace, nowym ją z malowniczej strony darząc wdziękiem, byłby jednak zupełny jęj sprowadził upadek, w gruz ją obrócił, gdyby napoleoński genjusz, w swym chwilowym przelocie, nie był ją pod swoje wziął skrzydła.

Za francuzkich to rządów, tak *colosseum* jak i inne starożytne pomniki, poczęto z należytą czcią z pod gruzów i ziemi wydobywać. Za tym wzorem później, Pius VII, Leon XII, i Pius VIII, także je zaczęli swą otaczać pieczę, zaczęli się domyślać iż to, co tak marnie trwonione było, do skarbów ich stolicy należy; a taką koleją, dziewiętnasty wiek, ujrzał wskreszenie tego olbrzyma pierwszego stulecia naszego; olbrzym już do połowy pochłonięty ziemią, wysokim porośniętym chwastem.

Teraz wszystkie przejścia, galerye, korytarze, oczyszczone, na drzwiach pokażą ci numera wskazujące miejsca; przekonasz się iż ta śmiała budowa, co do wygody także, dobrze pojętą była, i że przez te ośmnaście wieków, tak w tym względzie jak w wielu innych, mało postąpiliśmy.

Dolne sklepienia, mieściły gladyatorów i drapieżne zwierzęta, do igrzysk przeznaczone. Wyższe piętra, licznemi opatrzone drzwiami, do każdego

miejsca ułatwiały przystęp. Te, na których niema numeru, prowadziły do *Podium*, gdzie cesarze, ich rodzina, senat, dygnitarze i westalki, mieli swe krzesła.

Przed wejściem do *Podium*, sala marmurem wykładana, dla tych dostojnych osób, za miejsce spoczynku służyła, a przy wejściu gladiator-skich sklepień, sterczy jeszcze dawniej studni mur, gdzie ci biedni szli z krwi się obmywać, gdy przypadkiem im się zdarzyło, z walki życie unieść.

Mimo tylu rąk, do tej użytych budowy, Wespazyan nie ujrzał końca teatru swego, i dopiero następca jego, Tytus, go inaugurował

Owczesni pisarze jednozgodnie twierdzą, iż przy tej uroczystości, igrzyska trwały dni sto. W tej zaś drapieżnej walce, na której całe zasadzało się widowisko, legło 5,000 lwów, tygrysów i t. d. i 3,000 ludzi! mówię trzy tysiące!! a każdy z nich, pomijając pana, dla którego rozrywki, na męczeńską szedł śmierć, wiwaty i radośne wydawać musiał okrzyki.

Otóż to jest jeszcze jedna strona tego hieroglificznego dla nas świata.

Nie mówię o lekceważeniu własnego życia, bo się jednak i w naszych zdarzało czasach słyszeć o takich, co śpiewając za pana lub dla pana je niesli. Ale jakże pojąć taki stopień okrucieństwa tego Tytusa, którego dobroć w przysłowie poszła? Jak sobie wyobrazić te westalki, skromności i czystości typ, z resztą rozjuszonej publiczności, oklaskami odpowiadające na konających jęki? te kapłanki niebiańskiego ognia, bezwstydnie napawające się widowiskiem rozszarpanych i drgających pod drapieżnym zębem członków ludzkich? Jak wytłómaczyć wzorowego monarchę, ojcem ludu przezwanego, zaprawiającego tenże lud do krwi i mordów, dającego z góry przykład, jak się dla igraszki poświęca podobnych sobie.

Bo też Tytus, w swym jeńcu niewidział podobnego sobie! Chrystus to dopiero nam dał poznać w nim bliźniego. On nauczył, iż w obliczu Ojca Jego, równemi jesteśmy, iż przy ostatecznym obrachowaniu się, nie jeden z pierwszego na ostatnie pójdzie miejsce, z ostatniego na pierwsze; co zwróciło uwagę (a przynajmniej zwrócićby powinno było) na stosunki, jakie między temi co się mientą pierwszymi, i temi, których za ostatnich uważają, istnieć powinny; co się od możniejszego, od silniejszego słabszemu należy.

Chrześcjanizm równie i o czystości, o skromności niewieścić, inne nam wyobrażenia wpoił. I dla tego, tak nam trudno teraz zrozumieć ten świat Jowisza i Westy, Chrystusa zatarty ręką; a nam, północnym

narodom, mało z przedchrześcijańskich czasów pamiątek i tradycji posiadającym, jeszcze trudniej niż południowym.

W Hiszpanji też, dotąd jeszcze trwają byków igrzyska, a ta drapieżna, że tak nazwę, zabawa, najmilsza tamtejszemu ludowi, nasby odrażała, tak jak nas rażą niektóre wyobrażenia i obyczaje włoskie, oczywiście im z pogańskich pozostałe czasów.

O ileż ta wiara z nieba do nas przyszła, zlała na ten świat dobrodziejstw i szczęścia zarodów! Jak wątek jój prawideł przebiegając, wszędzie się jój niebiański objawia charakter!

Jeśli cię kiedy słońce na tём szerokiém dla myśli zostawi polu, a pomrok swą szarawą gazę spuści na twe marzenia, wejdź, Antosiu, pod stare *Colosseum* sklepienia, a przy czerwonym blasku pochodni, co im jakiś straszliwy nadał wyraz je przebiegłszy, usiądź na samym ruinie wierzchołku. Tam doczekaj księżyca; przy jego dumającym świetle dokonaj dumań twoich; przy pieniu słowika, posłuchaj duszy twój pieniów, kilka z tój rzymskiej epepei przerzucając stronic.

Z wierzchołka *Colosseum*, widok się rozciąga na cały Rzym nowy i stary; pod stopami jego, *Forum* ze swemi pomnikami się ściele; z przeciwnej strony, Sgo Jana laterańskiego dumna bazylika, stolicę zamyka, jak z innych Stój Maryi Maggiore i Sgo Piotra.

Ten obraz, białym księżyca promieniem oświetlony, piękny dla malarza, niema równego dla człowieka wyższego umysłu. Ogólny rzut oka na stolicę grobów, kiedy szczegóły jój niknąc w cieniach nocy, już nie sprawiają cząstkowego roztargnienia, i wszystkie razem jednym chórem ogromny swój hymn śpiewają, i żyć i umierać nas uczy. Bo czyż dość jest tylko widzieć i chwalić? czyż myśleć, zgłębiać, marzyć, nie do głównych roskoszy w podróżach należy? Gdyby nowe przedmioty, nowych w nas nieobudzały myśli i uczuć, gdyby szczytne przeszłości natury lub kunsztu pomniki, szczytnych a przedtém nieznanych nieotwierały w duszy tajników, niewartoby domowego progu opuszczać, od ciepłego odejść kominka.

Sławny, a słusznie sławny wojażer, Chateaubriand, powiedział: »La rêverie du voyageur, est une sorte de plénitude de coeur et de vide de tête, qui vous laisse jouir en repos de votre existence (1).»

Gdy się nasycesz tym widokiem przedwiecznej stolicy, i wysłuchasz wszystkich duszy twój poezji, w środek amfiteatru spuść oczy, Antonjo. Tam na dnie postrzeżesz jakieś małe ruszające się światelko, jakby

(1) Ob. Voyage en Amérique, en France et en Italie.

świętojański fosforyczny robaczek, jakby te *luciole* co nieraz wśród ciepłej nocy z kwiatka na kwiatek przelatujące widziałeś.

Nie jest to jednak swawolny *luciole*, ani do kwiatka on dąży. Jest to nocna lampa pobożnej duszy, u stóp krzyża szukającej pociechy.... bo tam w środku krzyż teraz stoi, a ten krzyż utwierdzony jest w ziemi, świętą przesiąkniętą krwią.

Za Tytusa bowiem, gladyatorzy tylko tam walczyli; lecz niecy następca jego, Domicyan, łącząc do zabawy zemstę, pierwszych chrześcijan od stóp skromnych ołtarzy oderwawszy, na pastwę tygrysom tamże rzucać kazał.... Tam Sty Ignacy, w obec cesarza i licznej na ciekawe widowisko sproszonj publiczności, wpośród hucznych oklasków, w jednej chwili na tysiące rozszarpany części, krew i kości swe posiał..... Tam wiele innych podobnąj męczeńską śmierć ponieśli....

Krzyż ten expjacyjny, niemógł w lepszym stanąć miejscu. Processyie penitentów i pielgrzymów, często tam się spotykające, i dla oka i dla duszy piękne czynią wrażenie. Ale krzyż ten za mały, niknie w kolosu objęciach. Przy tym olbrzymie, on wydaje się karłem; gdy właśnie przeciwnie, na jego gruzach wzniesiony, powinienby nad nim panować, swe ramiona nad jego rozciągnąć głową. Wówczas *Colosseum*, takie jak go nam przesłały wieki, jak go teraz widzimy, wyraźnym byłoby odbiciem, jednym z długich i ciekawych historyi Rzymu rozdziałów, oniemał jój treścią.

III.

RZYM PODZIEMNY. — KOLUMBARIA. — GROBY SCYPIONÓW. —

GRÓB Ś. PIOTRA. — BAZYLIKA I PODZIEMNA KAPLICA.

Zrozumiawszy tak cokolwiek Rzym stary i nowy, Rzym pogański i święty, Rzym Romulusów, Brutusów, Augustów, i Rzym Śgo Piotra, historyczne jego karty coraz wyraźniej poczynają klasyfikować się w głowie. Chmury czasów bajecznych, na ostatni plan tego ogromnego cofają się obrazu; zagasłe ludy z grobów się podnoszą; rozmaite historyi epoki, każda odmienny, właściwy sobie przyodziewa charakter. Wielkie społeczne zmiany, każda osobnym kreśli się kolorytem i poniekąd osobny tworzy obraz, a w jedne ogólne zamknięte ramy, dwadzieścia i sześć wieków naszym przedstawiają się oczom tak dobitnie, tak wyraźnie, jak gdyby wczorajszemi były ich wypadki.

Tylko co widziałeś posąg Jowisza, dawnych bogów króla, i wysokie jeszcze złomy świątyni jego, w kapitole ujrzysz spiżowe, starożytne odłanie sławniej wilczycy, Romulusa i Remusa piastunki, z bliźną od pioruna, co spadł na nią w chwili gdy Cezar odbierał od Brutusa śmiertelny cios.

W katedrze Ś. Maryi Maggiore, pokażą ci kawałek żłobka, tój pierwszej Chrystusa Pana kolebki, i uschłe siano na którym święte jego spoczywało Ciało. W Bazylice Śgo Jana laterańskiego, stół, na którym

dzielono się szatami Boga-Człowieka, gdy obdartego z nich, na męczeńską prowadzono śmierć, a na placu kościoła tego, w osobnej świątyni, schody z pałacu Piłata, uświęcone obelgami jakie na nich Jezus odbierał. U Śgo Piotra, zobaczysz krzesło w którym ten apostoł kazania swe miewał.

Te wspomnienia obok tamtych, tak wyglądają świeże i młode, iż nasza wiara, co na północy niejednemu już się zdaje zgrzybiałą i potrzebującą odnowienia, w Rzymie w najczterstwiejszych przedstawia się rysach; a ślady Jezusa i apostołów tak liczne, tak niezaprzeczalne, tak głęboko i silnie odbite, iż nieraz oniemał szukamy w pamięci, czyśmy w dzieciństwie naszym nie widzieli Zbawiciela, nie całowali nóg Jego.

Tak ciągle przestawanie z przeszłością rodzi w nas, obok jakiegoś zobojętnienia na terażniejszość i drobiazgowę życia troski, jeszcze bardziej w obec niej drobniejące, rodzaj namiętności do coraz głębszych śledzeń, jakaś żądza do zapuszczania się w jej najciemniejsze tajniki. Radzibyśmy wszystkie miasta gmachy podważyć, wszystkie jego terażniejsze domy i domki przewrócić, cały grunt zburzyć, by zająrzeć co tam on w swém pochłonął łonie, by wydobyć z niego cały Rzym przedwieczny, by się dowiedzieć co tam przed nim jeszcze było?

I byli też tacy, co dogadzając tej rzymskiej namiętności, zaczęli pod nim nurtować i niebezskutecznie.

Do najciekawszych tego podziemnego Rzymu odkryć, należą groby tak nazwane *Columbaria*, takiej starożytności, iż dla wielu z nich dokładnej epoki oznaczyć niepodobna. Do najwymowniejszych, katakumby gdzie pierwsi chrześcijanie przed mściwą musieli się kryć ręką. Do najhistoryczniejszych, groby Scypionów.

Widzisz, Antosiu, iż Rzym, jak nad tak i pod ziemią, jednostajnie swe kreślił dzieje, na trzy główne dzieląc je epoki: najdawniejsza starożytność — czasy bohaterskie — a w końcu chrześcijaństwo.

Columbaria tém są ciekawsze, iż nie tylko pośmiertną wykrywają naddziadów naszych wystawność, lecz niejakię rzucają także światło na wyobrażenia ich o rzeczy, tak silnie terażniejszy zajmującej świat, to jest o stosunkach pana z podwładnemi.

Columbaria, co znaczy gołębnice, są rodzaje podziemnych izb które nie zagrzezły w niej, jak inne starożytne budowle, lecz oczywiście pod ziemią się zrodziły. Bywa ich czasem dwie lub trzy razem, a wszystkie mają do koła kilka rzędów małych półłokciowych nisz, podobnych do tych, co dla gołębi w gołębnikach robią, z czego swe wzięły nazwisko. W tych otworach, stawiano urny z popiołem ciał spalonych, i resztą ich kości.

Groby te musiały być przy składaniu tylko popiołów otwierane; zresztą całkiem od powietrza ochronione, doskonale się aż do naszych przechowały czasów.

W niektórych, malowania zadziwiającej świeżości, równie są ciekawe pod względem sztuki; w innych rzeźby i napisy, różnią izby pańskie od służebnych, w jednym jednak z nimi obrębnie, pod jednym zamkniętym sklepieniem.

Ztąd widać iż jakkolwiek pan od sługi się odróżniał, nie odłączał się jednak od niego; popioły jego nie ze swą rodziną ale tuż przy niej mieścił. I dotąd też we Włoszech służba domowa zowie się *familią*; co nieprzeszkadza, iż obok pewnej poufałości, Anglików mianowicie zadziwiającej, niema bardziej uniżonych i pełnych uszanowania sług jak włoscy.

Groby Scypionów daleko mniej są zajmujące. Kto do nich przybędzie z całym w pamięci urokiem historycznej tej rodziny sławy, a przez czas co custodia (1) do oświetlenia pieczar zapala pochodnie, przebiegnie myślą wszystkie każdego z jej członków bohaterskie czyny, wielkiego dozna zawodu.

Sarkofagi bowiem, źle zrozumianą troskliwością, oddawna do watykańskiego przeniesione zbioru, zostawiły tylko po sobie ślady w miejscach gdzie dawniej stały; a wszedłszy w te wilgotne lochy, gdzie się miało je oglądać, słyszy się tylko od custoda, gdzie który się niegdyś mieścił.

Katakomby chrześcijańskie daleko więcej zachowały swych pamiątek, i bez porównania też bardziej są interesującymi.

Jest to długi labirynt, tysiąca krzyżujących się korytarzy, czasem tak ciasnych i niskich, iż zaledwo pozwalają przejścia, czasem też szerszych i wyższych. Boki ich z obu stron pełne są trumien i kości po nich pozostałych, w przetworach długości i szerokości trumny z profilu. Gdzie niegdzie widać ślady ołtarzy. Przy niektórych grobach pokażą ci w szkłe zachowaną krew, co nigdy nie stygnie ani wysycha. Jest to święta męczenników krew, wylana za wiarę, co ztamtąd na cały rozszerzyła się świat, co przy grobowej tam lampie, zapaliła swą wielką dla światła pochodnię.

Taki labirynt, pod całym, jak mówią, a przynajmniej pod większą częścią Rzymu krąży. Nikt nie zna początku jego ani końca. Nieraz w miejscach gdzie się o nim ani domyślano, ziemia raptownie się zapadnie, przetworzy się, i nowe jego odkrywa jeszcze nieznanne ramie.

(1) Stróż miejscowy, odźwierny, przewodnik.

Teraz gdy się liczne zdarzały przypadki, iż ciekawością tam zaprowadzeni nigdy z tych niewrócili pieczar, staranniej wejścia ich strzegą. W niektórych tylko miejscach obcych wpuszczają, i to z przewodnikami i pochodniami. W innych, gruby mur zasłania je tak przed niebacznością, może pobożną zuchwałością, jak i przed nieraz już tam ukrywającą się zbrodnią, która w swém niepojętym zapamiętaniu, na nic niebaczna, na tych świętych grobach nie raz już swe sztylety z krwi ocierała, lub do nowój ostrzyła zbrodni.

Z najciekawszych części podziemnego Rzymu, do której należą także wyż wspomniane przy Capitolu mamertyńskie więzienia, nie trzeba wyłączać piwnic Ś. Piotra watykańskiego, gdzie ciało tego Apostoła męczennika spoczywa.

Miejsce gdzie się teraz pyszna wzniosła kadedra, było niegdyś, jak ci już mówiłam, wpośród ogrodów, cyrkiem Nerona. W nim to sławny tyran, krwi ludzkiej cheiwy, dogadzając swęj drapieżnej namiętności, poświęcał jęj najwięcej chrześcijańskich ofiar. Po skończonem widowisku czy zabawie, zwłoki ich, a raczej kości, pobożnemi tajemnie zbierane rękami, znoszone były do gladiatorskiej pieczary. Tam i Ś. Piotr męczeńską otrzymałszy palmę, swój grób znalazł.

Papież Anaklet, wykrywszy później tę świętą mogiłę, małą kapliczką oznaczyć ją kazał, a w 306 roku, cesarz Konstanty Wielki, za namową Ś. Sylwestra, zastąpił ją wspianiałą świątynią.

Przyznasz iż niepodobna było znaleźć stosowniejszego miejsca na farę stolicy świętej. Nie jest to jednak ta, którą dziś wielbiemy.

Przez jedenaście wieków, rabowana, niszczone, i rozmaitym smutnym uległszy kolejom, ta matka naszęj dzisiejszęj katedry, zagrażała całkowitem runięciem, gdy papież Mikołaj V, widząc zbliżającą się klęskę, umyślił ją rozebrać i na nowo odbudować całkiem.

Zaledwo atoli wznosił ją o kilka stóp nad powierzchnię ziemi, gdy śmierć mu przeszkodziła dokonania tego wielkiego zamiaru.

Wszesnaście lat później, papież Paweł II, poświęcił na to 50,000 skudów (450,000 złp.). Lecz ta fabryka znowu przerwana, dopiero za Juliusza II, w 1503 r. zaczęła należytyim postępować krokiem.

Juliusz, całą energją charakteru swego do tego przykładając przedsięwzięcia, kazał ogłosić konkurs, i dał wybór planowi sławnego architekta, *Bramanta Lazzari*.

Lecz i papież i architekt umarli, do połowy nie doprowadziwszy dzieła.

Następcę Juliusza, Leon X, poruczył je Julianowi *Sangallo*, *Jokondowi* z Werony i sławnemu *Rafaelowi* z *Urbino*. Baltazar *Peruzzi*

z Sienny, a następnie Antoni *Sangallo*, zastąpili później tamtych trzech artystów; a Michał-Anioł ukoronował ich pracę swą hardą, swą zdumiewającą kopułą. Wykonanie jej należy jednak głównie do Jakóba *della Porta*, tak jak dwóch pobocznych kopuł, do architekta *Vignolle*.

Za Klemensa VIII, wielka kopuła została wewnątrz złotą mozaiką ozdobiona. Paweł V porucił dokończenie gmachu Karolowi *Maderna*, który zrobił przedsionek i facyatę, przedmiot głównych dotąd krytyk. Za Alexandra VII, *Bernini* dodał tę sławną kolumnadę, co tak pięknie plac okrąża, tworząc zarazem katedry skrzydła; a Pius VI, do wielu innych tę dla siebie dołączył sławę, iż dokonał całą tę olbrzymią budowę, dodając jej godną zakrystyą.

Zakrystya, któraby mogła sama zwać się gmachem, jest planu Karola *Marchioni*. Facyata winna mu także swe dwie zegarowe wieże.

Tak więc budowa Ś. Piotra, pochłonęła (od Mikołaja V licząc), więcej dwa wieki czasu, papieżów ósmiu, i więcej dwóch set milionów franków; a widząc ją, bynajmniej nikt się temu nie dziwi. Dziwić się tylko trzeba, iż przez tyle rąk, jakkolwiek biegłych, przechodząc, przez tylu artystów tworzona, z których jeden drugiego plan odrzucał, drugi przerabiał co pierwszy zrobił, że mówię z tej całej łataniny, mogło się wznieść coś tak pysznego, coś tak doskonale harmonijnego!... Ale bo nad temi wszystkimi architektami, wyższy był i genialniejszy architekt, co ich kierował ręką! co przyzwolił by w stolicy namiestników jego, na grobie najukochańszego z uczniów, tego którego podstawą kościoła mianował, stanął godny czci jego przybytek.

Opisywać Ś. Piotra jest rzeczą daremną. Kto go nie widział, żaden mu opis nieda idealnej jego wspaniałości wyobrażenia; dla tego co widział, opis niepotrzebny; a jeśli wzrokiem duszy go ogarnął, znalazłby pewno każde opisanie zimne, niedostateczne.

Powiem ci, jeśli chcesz, to co na każdym znajdziesz planie, co ci tam każdy cicerone powtórzy, a co w gruncie bynajmniej do przyjęcia tej świątyni ci nie pomoże, to jest: że ma kształt łacińskiego krzyża, trzy nawy, ośm pobocznych kaplic, z których każda jest wielkości znacznego kościoła; iż długości ma stóp 575, na 517 szerokości. Wysokość zaś wzięta od suterenu, aż do wierzchołków krzyża, co się nad kopułą wznosi, (a który sam ma stóp 13), trzyma 435 stóp paryzkiej miary.

Kolumny dźwigające baldachim wielkiego ołtarza, ze spiżu pantheonńskiego ulane, o 24 stóp są wyższe od tych, co Louvre z Tuillerjami łączą, których to wzniosłość, artyści jeżdżą do Paryża podziwiać. A każdy ze czterech słupów, na których kopuła się opiera, ma 206 stóp obwodu, co bywa zwykłą znacznych kościołów miarą. W końcu ta latar-

nia co wierzch kopuły oświetla, i z kościoła jak mała dla ptasząt klateczka się wydaje, ma 75 stóp wysokości, a na ziemi postawiona, zasłoniłaby dom trzy lub cztery piętrowy.

W ozdobach, też same zachowane wymiary. W kopule, naprzykład, na tle złoto mozaikowém, są czterech Ewangelistów wizerunki. Pióro które jeden z nich w rękę trzyma, 17 stóp ma długości, a oku wygląda nie większe od zwyczajnego pióra.

Słowem, wszystko tam nadzwyczajne, nadludzkie, a skutkiem doskonałych proporcji, całkiem się naturalném wydaje. Wszystko, prócz człowieka, który tam nie do swęj pigmejskiej nie znajdzie miary.

Ten dumny władzca światów, co się zwykle królem całej mieni przyrody, i nic nad siebie nie ceni, gdy wejdzie na galeryą u spodu kopuły, u stóp Ewangelistów krążącej, wydaje się jak jakaś nędzna mucha; a z dołu patrząc nań, chce się zawołać: »zejdź! bo taka wzniosłość tobie nie przystała, bo twe kształty dowodzą, iż ona nie dla ciebie. Zejdź i upadnij czołem pod Tym co jedyną wielkością, bo twe miejsce u stóp ołtarzy, a nie na ich szczycie.»

Na mozaikowej posadzce, znajdziesz londyńskiej, medyolańskiej i innych sławnych katedr oznaczoną długość, i przekonasz się o ile są mniejsze. W ozdobach także żadna jęj niedorówna, bo u S. Piotra za marmurem, spiżem, porfirem, mozaiką, złotem, kamienia nikt się nie domyśli. Ale skutkiem także tego cudownego uroku, co tam na wszystko się rozlał, wszystko pokrył i uharmonizował, obfitość ozdób nie razi, jak to się w innych włoskich zdarza kościołach. Owszem, na pierwsze wejście całkiem się go niepostrzega, a ta ogromna przestrzeń wydaje się szarawą. Nagrobki, rzeźby i posągi, któreby pod względem sztuki nie wszystkie surową artysty wytrzymały krytykę, ginąc w tęp massie, i z ozdobami architektury się łącząc, do bogatęj tylko ogółu dodają wspaniałości.

I nie też równego jak wielka uroczystość, w tęp uroczystęj obchodzona świętyni!

Już ci, zda mi się, wyznałam jak mało czuję pociągu do wszystkich włoskich ceremonji; jak ich zbytęzna pompa, tak pełna blasku jak ich niebo, i kwiatów jak ich ziemia, mało do mojęj przemawia duszy, pod szarem niebem do szarych zrodzonęj wrażeń. Dla nięj, w religijnym obrządku, więcęj trzeba powagi niż szumu, więcęj dumającęj i kornęj niż kwiecistęj i radosnęj poeczyi; a lubo wiara nasza równie żal jak i nadzieję za cnotę uważać zaleca, pobożna łza żalu, bardzięj daleko niż nadziei uśmiech, ją wzrusza, przenika.

Mimo to, w solennościach Ś. Piotra (z których w mej sumiennosci wielkoczwartkowy wyłączyć muszę obchód), niepodobna mi było zimną pozostać.

Gdy na szkarłatnym krześle wniosą świętego wyrazu starca, gdy sędziwa głowa między dwoma ze strusich piór osłonami, wpośród kadzidła kłębow, jakby z obłoków wygląda, a wzniesiona ręka szle błogosławieństwo; gdy ten nad pobożnego ludu głowami zwolna sunący się tron, poprzedzony licznym w szkarłacie, gronostajach, złotem duchowieństwie, wpośród tysiąca świec, przy muzyce i kościelnym śpiewie, pod złotą Ś. Piotra wejdzie kopułę; gdy cały ten monarchiczny orszak, z asystencyą szwajcarskiej gwardyi w stroju z XIV wieku, z hełmami na czole, zbroją na piersiach i halabardą w rękę, rozwinie się w tym monarchicznym gmachu, jest coś w tém wszystkiém niepojęcie wspaniałego, idealnego, do nieba unoszącego umysł!

Najpiękniejszą, najestetyczniejszą z tych ceremonji, jest niezawodnie w pierwszy dzień Wielkiejnocy, błogosławieństwo z watykańskiego ganku na miasto i świat spuszczone.

Podówczas cały plac zalany tłumami ze wszech stanów i krajów zbiegłego ludu, pełen orderowych panów i pielgrzymów z kosturem w rękę, ukwieconych elegantek i wiejskich z okolic kobiet w narodowych ugalonowanych strojach, w jaskrawych kolorach, we wstążkach lub białych na głowach zasłonach, cała ta mówię gromada, bogatą opasana gwardyą, pod wiosenném słońcem, jakby ogród kwiatów wygląda.

A jak kwiaty do słońca się obracają, tak tam wszystkie twarze, w jeden także zwrócone punkt, wszystkie oczy na wysoki ganek, lożą watykańską zwany, patrzą.

Raptem, bębny i szcęk na ramie rzuconej broni, gwar tłoku ucisza, wystrzał z dział przybycie Ojca Świętego oznajmia, a on w tejsze chwili ukazuje się w łoży. Wszyscy razem jakby jedném tajemnej spreżyny pociągnięciem, na kolana, na twarz padają, cichość tak uroczysta, iżby ciemny mógł się tam samym mniemać, całą zalega placu przestrzeń, a wpośród niej pobożny ojca głos słyszeć się w końcu daje, głos błagający nieba o błogosławieństwo dla ziemi.

W téj chwili, i kiedy sędziwy starzec, w swym namiestnika Chrystusowego charakterze, obie ręce do nieba wzniesie, a później, jakby błogosławieństwa pełne, na klęczący spuści lud — gdy wymówi uroczyste słowa: „*Urbi et Orbi*” — niema pewno serca któreby podwójnie bić nie zaczęło. Każdy czy to Arab, Chińczyk, czy Turek, każdy niezawodnie uczuje łzę w oku, każdy w sercu usłyszy jednego dla wszystkich Boga głos!.....

O! szczerze pożałować można tych co choć jednej podobnej nie mieli w życiu sekundy, sekundy wartéj całego życia; co do swego zbliżą się kresu, niedoznawszy ani jednego z tych wrażeń jakie tylko pod kopułą Ś. Piotra się rodzą, w jego niebiańskiej atmosferze w niebo nas unoszą, niebo przecuć dają!

A do tego nie trzeba ani świątecznych, ani solennych obrządków, pompy, ani nawet widoku wszystkich téj świątyni bogactw, i uroczej jéj dumy.

Przed wielkim, potężnym ołtarzem, o którym ci mówiłam, postrzeżesz marmurową balustradę, stu dwunastu, zawsze palącemi się, otoczoną lampami. Zamyka ona marmurowe schody, sprowadzające do części podziemnego kościoła.

W środek téj balustrady na dno wzrok spuściwszy, przed drzwiami kaplicy, Piusa VI posąg w postaci gorliwéj modlitwy, posąg dłuta Canowy, zwróci najprzód twą uwagę; następnie do pieczar wszedłszy, ujrzysz w nich trumny kilku papieży, zmarłych w Rzymie Stuartów, i kilka starych rzeźb z pierwszéj Konstantyna pozostałych bazyliki. W końcu wprowadzą cię do małéj kapliczki.

W miejscu téj co pierwotnie S. Anaklet na mogile Ś. Piotra postawił, kaplica ta znajduje się teraz zupełnie pod wielkim katedry ołtarzem, pod baldachimem jego, pod niebotyczną kopułą, lecz nie dla wszystkich przystępna i jakby dla ukrycia się przed objętym, ciekawym tylko światem, pod ziemię schroniona, jakąś religijną tchnie tajemniczością.

Tam znaleziono zwłoki Apostoła, i dotąd spoczywają tamże.

Zbyteczne, całkiem niepotrzebne nagromadzenie bogactw i ozdób przykrąby może z jéj surowym i dumającym charakterem stanowiło sprzeczność, gdyby cieniem pieczary się nie powlekały. A jedyna gorejąca tam ciągle lampa, swém grobowém światłem, żadnego in nie daje odblasku.

Dla kobiet trzeba osobnego do wejścia pozwolenia: jednak mi się zdarzyło, w jednym z dni moich bolesnego wspomnienia, z tych dni żałobnych jakimi to życie ludzkie poznać się zwykło, otrzymać tam mszę dla siebie.

Msza taka, w cieniu i całkowitém od świata odosobnieniu, przy grobowéj lampie, na trumnie w ołtarz zmienionéj, przypominając pierwszych chrześcijan tajemne obrządki i cierpienia, zdawała się wyłącznie dla cierpienia przeznaczona, współczuciem je koić, zdwojonéj gorliwości łąz spiekłą zwilżać ranę.

Lecz gdy wpośród tego cichego, tajemniczego nabożeństwa, dały się niespodzianie słyszeć katedralne z góry organy, a ta muzyka mdle tylko

w podziemne lochy przesyłając tony, jakby niebiańskich głosów echo, nowém uczuciem serce wstrzęsła, nowa, nieznaną owionęła je błogość.

Wówczas zdało mi się, obok anioła pociechy, i nadziei anioła słyszeć głos. Słowa chóru tego przypominały, że droga boleści i łez dalej niż roskoszy i śmiechu prowadzi, że jak ci co się śmieją, płakać kiedyś będą, tak dla tych co płaczą, rajska da się kiedyś słyszeć pieśń roskosznój nagrody..... A ci których my tu płaczemy, może już teraz tych słuchają hymnów, lub sami je śpiewają.....

I na tém zakończyłam podziemnego Rzymu przegląd.

tarła przepych, a z popiołów dawnego Rzymu, Rzym nowy, jakby fenixa zrodziła, nową go darząc potęgą i sławą.

Gdy się ją widziało przy schyłku słońca, ostatniemi jego ozłoconą promieniami, bierze ochota poznać ją przy bladym księżycu blasku. Gdy się ją w nocy ujrzało, chce się doczekać ranka, by pod rumieńcem zorzy ją powitać. A cóż gdy na Wielkanoc, w tenże dzień gdzie z pod jęj gzymsów błogosławieństwo na całą spada ziemię, w wieczór, i kiedy gwiazdy uiluminują niebo, cały gmach raptownie tysiącem zapłonie światła, i wszystkie od razu gwiazdy zagasi? Gdy następnie po razy dwa jakby czarnoksiężką władzą, zmieniając całą postać i rysunek swych ognistych kwiatów i linii, nowe czary do pierwszych doda czarów?

Któż niewidział pięknych i sławnych illuminacyi? Należą one wszakże do tych monarchicznych obchodów, w każdej stolicy kilka razy do roku ponawianych, należą co do wykonania, do wydziałów industrii, do talentów tego świata całkiem obcego Rzymowi, a jednak jak żadna świątynia nieda przeczcucia ani pojęcia piękności Ś. Piotra, tak też żadna illuminacya nie może do jego illuminacyi się porównać.

O tak Antosiu, dla tego pierwszego dnia Wielkiénocy, dla wrażenia przy ranném błogosławieństwie, a uniesienia przy wieczorném oświetleniu, warto o tysiąc mil do Rzymu przybiedz.

O czemuż się dotąd nieznalazło estetyczne jakie pióro, coby godnie a z namiętnym zapalem te wrażenia, uczucia, uniesienia, oddać zdołało? Czemuż *Notre Dame de Paris*, Wiktora *Hugo* natchnęła, a S. Piotr, co tyle już miał krytyków, tyle długich opisów, mdłych dySSERTacyi obudził, prawdziwego nieznalazł wieszczą swego!

Napotkałeś może rymy, świeżo w świat rzucone — rymy jakby złego ducha natchnienie, chorobliwój niespokojności noszące wyraz, co upadek świątyni zwiastując, już opiewają grób jęj i ruinę!.... Co za pośpiech!.... jaka skwapliwa, przedwczesna a może daremna gorliwość!....

A jeśli znasz takie, coby jęj wdzięki, sławę, urok, tę potęgę co ziemię z niebem łączy, w godnych oddały pieniach, prześlij mi je proszę, i dla siebie zachowaj na szczęśliwe chwile, gdy przybędziesz do Rzymu, poznasz to serce jego, i ulegniesz ogólnój tam namiętności.

Jeśli nie poemat? bo wiek nasz w poetów nie bogaty — w takich, coby ten dom Boży opiewać zdolni byli, czemuż przynajmniej w tym roju powieściopisarzy co terażniejszy zalewają świat, nieznajdzie się wyższego rzędu talent? a ten w urojonym dramacie, czemu choć parę rymów estetycznej świątyni nam nieudzieli?

A jakżeby to nawet łatwe, co do tła utworu, być mogło! S. Piotr ma bowiem całą swą wyłączną ludność, co się rodzi, wzrasta i umiera

pod jego sklepieniami. Ci ludzie, nazwani *Sanpietrini*, nieznają innego jak swą bazylikę świata. Przeznaczeni do piastowania jęj, dozierania, okurzania, strojenia, od najmłodszych lat, do tęg się jedynie sposobią sztuki. Na jęj galeryach, na tych wschodach, co między podwójnem kopuły pokryciem się wijąc, na szczyt jęj prowadzą, swych pierwszych próbują kroków, uczą się po najwyższych chodzić wysokach, gzymsach, po tajemnych skakać wiązaniach i belkach, od najciemniejszych piwnie, do wierzchołka krzyża, wszędzie zajrzeć muszą. Pod dachem i na dachu, muszą znaleźć miejsce do postawienia stopy, a tam gdzie zwyczajnemi środkami dostać się niemogą, na linach uwieszeni, jakby baletowi genjusze, z jednęj na drugą przelatują scjanę, pływając poniekąd w atmosferze tęg ogromnęj przestrzeni.

.. Kto na złotem dniu wnętrza kopuły, mniemał kiedy widzieć chodzącego pajęczka, widział *Sanpietrina*. Kto w dni uroczyste i kiedy świątynia w ciężkie stroi się złotolite lub gobelinowe makaty, zastanowił się jakim cudem one się tam u góry gzymsów zawiesiły, niech zapyta *Sanpietrina* co je tam utwierdził.

Lecz najwięcej potrzeba im zręczności w owęj wielkanoctęj illuminacyi, o któręj mówiłam. Wówczas na dane hasło, 3,800 lamp, w jednem oka mgnieniu zapalić się muszą; za drugiem, 690 innego kształtu, swój do pierwszych dodają blask. Za trzeciem nowa następuje zmiana. Wszystko to z niepojętą odbywa się szybkością. Wówczas *Sanpietrini*, wpośród nocy, ze stoczkami w ręku, uwijają się, skaczą z jednęj kopuły na drugą, tu zapalą, tam gaszą, tysiące odbierają, tysiące dają rozkazów, wszystko prędko, żwawo, cicho. Jednak mimo całej znajomości gmachu i biegłości w skakaniu po nim, gdy się zabierają do tęg illuminacyi, każdy z nich się spowiada, komunikuje, jakby do śmierci się sposobił, i rzadko podobno bez przypadku się obejdzie!

Za francuzkich czasów, według twierdzenia P. Norvins, 26,000 franków na ich utrzymanie było przeznaczonych. Rząd papieżki niemnieszą ma nad nimi pieczę. Wdowy ich, emerytury pobierają; są między nimi co do rangi starsi, i im podwładni, słowem *Sanpietrini*, jak swój wyłączny świat, tak też całą swą wyłączną mają organizacyą, swój rząd i prawa.

Widzisz jakby to łatwo na tęg tle, coś pięknego usnuć!

Ale otóż znów postrzegam, żem cię w Stym Piotrze wstrzymała! a co gorsza, iż tyle o nim mówiąc, tak mało powiedziałam.

O tych, naprzykład, słynnych mozaikach, zdobiących ołtarze, co petryfikując niejako najpiękniejsze obrazy których są kopjami, wiekom je niezmienione przesła, ani słowa nienadmieniam. O sławnym posągu

Maryi, trzymającej na łonie konającego syna, Michała-Anioła dłota, także przemilczałam. Słowem, całej artystycznej nieknełam strony. I już nie zacznę o niej, boby na to osobnych trzeba tomów.

Wolę więc wrócić jeszcze na Forum, na drogę tryumfalną, *Świątą* nazwaną, a przebiegwszy powtórnie już widziane pomniki i Colosseum, do łaźniów Tytusa i Karakalli pośpieszyć.

Thermy czyli łaźnie, wielkie w starym Rzymie trzymały miejsce; a dla badacza tém ciekawszemi być powinny, iż odkrywają jedną z głównych stron domowego Rzymian życia. Miałbyś więc słuszne prawo wymawiania mi, iżem tak długo przepomniała o nich, gdybym nie miała gotowej na to odpowiedzi: — „Byłam u Śgo Piotra.”

Starożytni liczyli kąpiel do najpierwszych potrzeb życia, a zarazem do najmilszej rozkoszy. Sposób w jaki urządzali swe thermy, najlepszym tego dowodem. Ich łaźienki pyszniejsze były od terażniejszych pałaców. Gromadzili w nich ogrody, biblioteki, muzea i co tylko nprzyjemnić życie może.

Sławny Laokoono posąg, ozdoba teraz watykańskiej galeryi, był znaleziony w Tytusa łaźniach; a Herkules, Flora, i grupa tak nazwana farnezyańskiego byka, któremi teraz muzeum neapolitańskie się szczyci, w Karakalli.

Agryppa był najpierwszy co do thermów taki zaprowadził przepych. Łaźnie jego graniczyły z Pantheonem, tak iż są tacy, którzy utrzymują teraz, że Pantheon nie był nigdy osobną świątynią, tylko rodzajem salonu, czyli altany, do thermów należącój.

Konstantyn wielki, ostatni tego rodzaju gmach postawił; lecz z tego jako i z Trajana małe już zostają szczątki.

Dyoklecjana, które miały być największe, gdyż jak twierdzi Olimpiadores, więcej 3,000 objąć mogły od razu kąpiących się, pod gruzami i na nich powstałemi kościołami, trudno wynaleźć się dają. Z jednéj jego sali, lub może przedpokaju, ładny zrobił się Śgo Bernarda kościół; z pinakotheki zaś, czyli muzeum, Michał-Anioł jedną z najpiękniejszych rzymskich świątyn utworzył, Stój Maryi Anielskiej, do której użył kolumny tamże znalezione, a do połowy już osiadłe w ziemi.

Tytus swe thermy, tuż przy Colosseum leżące, przerobił z części złotego pałacu Nerona. Teraz już pod ziemią szukać ich trzeba, co nieprzeszkadza, iż zapomocą pochodni można jeszcze widzieć piękne i świeżością zadziwiające sufitów freski. Mówią iż one dały Rafaelowi myśl tych, które w podobnym rodzaju w lożach watykańskich wykonał.

Lecz ze wszystkich najciepij się dochowały Karakalli łaźnie, i z tych najjaśniejsze można powziąć wyobrażenia o tym już nieistnjącym rodzaju prze-

pychu, o tém także *amfibiové*m, miękkim, jakby zniewieściałém życiu, tak mało odpowiedniém naszemu o dawnych Rzymianach wyobrażeniu. Zdaje się że oni tylko w ogniu lub w wodzie żyć lubili.

Kąpiele Karakalli, we 212 lat po narodzeniu Chrystusa otwarte, dotąd okażą ci jeszcze miejsca i ślady kanałów, któremi tak zimną jak ciepłą wodę odbierały. Codziennie z nich mozaikowe wydobywają posadzki, a jeszcze znaczne ich ujrzysz tafle. Pokażą ci licznych rzeźb i posągów miejsca; a z pomiędzy nich, miejsca zabranych przed dwóchset laty i do Neapolu przeniesionych tych arcydzieł, o których wyż wspomniałam. W watykańskim muzeum, zobaczysz nadzwyczajnej wielkości dwie bazaltowe wazy, tamże znalezione. Ale już niezobaczysz marmurów, któremi ściany niegdyś się pokrywały, ani portyków, ani wielu innych zbytkownych ozdób, które już tradycją się stały, a gdzieindziej jak w Rzymie, w tém mieście wszystkich cudów przepychu i sztuki, pewnoby się nam bajeczną wydały powieścią.

Obejrawszy therny, warto już nie wyjść z cesarskiego tego Rzymu, nieprzebiegłszy reszty tryumfalnych łuków, już nie w Forum lecz w innych częściach miasta wzniesionych. Jako: Dalabelli, Galiana, drugi Septima Sewera, Druzusa i t. d.

Kilka także grobów, na szczególną zasługuje uwagę, a bogaty pomnik Cceylji Metelli, żony Krassysusa, piękną teraz utworzył ruinę. Sam zaś sarkofag niepotrzebnie ze swego naruszony miejsca, pójdź zobaczyć na dziedzińcu pałacu Farnezów.

Grobowiec Cajusa Cestiusza, tém tylko godny uwagi, iż jest jedynym w Rzymie kształtu piramidy egipskiej. Ze znalezionej w nim posągu, pozostała tylko jego podstawa z napisem nam donoszącym, iż Cestiusz był za czasów Augusta *Septimvirem*, a urząd jego leżał na urzędzeniu i dozieraniu uczt, z powodu zwycięstw lub w obawie klęsk jakich, dla bożków wyprawianych. Cestiusz tak Olimpowi marszałkując, tyle z resztek objadów jego dla siebie uzbierał, iż powziął zamiar, dla przejścia do potomności, postawić sobie piramidę egipską. Nasi restauratorowie, stawiają dotąd tylko pałace.

Do zabytków tychże cesarskich czasów, a na uwiecznienie większych przeznaczonych czasów, należą jeszcze dwie piękne kolumny: pierwsza Trajana, plac jego nazwy zdołająca, druga Antonina, na placu zwanym, *della Colonna*.

Trajana kolumna, siedmnaście licząca wieków, do najwspanialszych cesarskich jest liczona spuścizn. Obrona na wzór do téj, którą w Paryżu, na placu Vendôme, dla sławy napoleońskiej armji wzniesiono, była także i dla Antonina kolumny wzorem. Pokryta wijącemi się do koła

plaskorzeźbami, wojenne czyny Trajana przedstawiającemi, u góry okrążona galeryą, dźwigała niegdyś cesarski posąg.

Rzeźby nieco już zatarte, wzniesając jeszcze podziw znawców, lecz szczyt, zamiast cesarskiej, już teraz Śgo Pawła ma statwę.

I inne Rzymu place, których obfitość wielka, obeliskami i fontannami są ozdobione, a i pierwszych i drugich, żadna stolica tyle i tak pięknych nieposiada pewno.

Niektóre z nich, jakoto: obelisk z *Heliopolis* na plac watykański przybyły, brat jego także w *Heliopolis Sesostrysa* rozkazem postawiony, później przez Augusta na marsowym w Rzymie placu, a teraz około poczty, na *Monte Citorio*, przeniesiony, ten także co plac *Sta Maria Maggiore* zdobi, lub najwyższy z wszystkich znanych obelisków, przed Stym Janem Laterańskim teraz stojący, w innych miastach stanowiłyby ich sławę, podróżnychby wabiły; trzeba bowiem Rzymu, żeby takiej starożytności tak wspaniale pomniki, podrzędny tylko obudzały interes.

Między wodotryskami, toż samo powiedzieć trzeba o fontannie Trevi. Woda jój, dziewiczą wodą nazwana (ztaąd iż przed wielu laty źródło jój było przez młodą dziewczynę jakimś żołnierzowi wskazane), z pod nóg kolosalnego *Oceanu*, i dwóch innych posągów, *obfitości i zdrowia*, z pomiędzy skalistych brył co im za podstawę służą, z pomiędzy *trytonów i delfinów*, sztucznie na nie rzuconych, tysiącem srebrzystych wstęg krzyżuje się, swawoli, wytryska, i w końcu szeroką kaskadą w marmurową spada obręcz.

Niektóre zaś piękne Rzymu place, nie poprzestając na jednym, kilku wzbogaciły się wodotryskami. Plac *Farnezów* ma ich dwa, a plac czterech wodotrysków (*delle quattro fontanne*), swą nazwą liczbę ich oznacza.

Najobfitszą jest fontanna paulińska, co całą wylewa rzekę; lecz najpierw pośpiesz do téj, co na placu thermów Dyoklecjana, z pod Mojżesza posągu wytryska. Wodę jój zowią bowiem *acqua felice!* (woda szczęśliwa). O któżby jój nierad choć raz w życiu zakosztować!

W środku innych placów, fontanny w obeliski się stroją, to obok to pod nimi swe tocząc wody, tym zgrzybiałym stareom swęj udzielają świeżości.

Tak na placu ludu, przez który cię do świętęj stolicy wprowadziłam, u stóp obelisku, cztery leżące lwy wodą pryskają. Tak, przed *kwirynalskim* pałacem obelisk z *Forum* tam przeniesiony, także nad fontanną się wznosi. Lecz ten, prócz wody, większą ma jeszcze ozdobę: dwa ogromne i starożytne *Kastora i Polluxa* posągi, na dwóch sparte koniach. Te ogólnie podziwiane konie, mają być *Fidyasza i Praxytelesa*

dziełem, i one to dały swe nazwisko placowi, który *Monte Cavallo* zowią.

Obelisk przed Pantheonem stojący, także ma u stóp swych fontannę. Z czerwonego sam granitu i hieroglifami pokryty, należał niegdyś, jak antykwaryusze twierdzą, do jakiejś świątyni Izis lub Serapis.

Ten co plac Minerwy ustroił, z Egiptu przybyły, na grzbiecie czarnego słonia stanął.

Plac hiszpański ma w środku wodę, z dużego marmurowego czółna wylewającą się obficie; lecz na wierzchołku pysznych wschodów, stanowiących główną placu tego piękność, a które trzema ramionami na wzgórze Stój Trójcy prowadzą, na wierzchu, mówię, tego pagórka, wysmukły strzela w niebo obelisk, z pod którego już nie woda, lecz na cały Rzym śliczny rozlega się widok.

Z pod obelisku, publicznego na Pincio spaceru, jeszcze szerszy, jeszcze wspanialszy przedstawia się obraz. Wszystkie części starego i nowego miasta, ruiny, pałace, kościoły i ville, Śgo Piotra Bazylika z całą watykańskiego placu kolumnadą, wszystko tam jakby na dłoni stoi, a co dziwniejsza, daje Rzymowi pozór ogromnego miasta, utwierdzając tę illuzya, której każdy z razu ulega, i dopiero powoli — powoli i niechętnie ją traci.

Stolica święta tak dotąd zachowała swój dawniej wielkości wyraz, iż go niemożna z teraźniejszymi jej wymiarami pogodzić, i jak w świętym Piotrze potrzeba cyrkla do uwierzenia w świątyni ogrom, tak w Rzymie, z tymże cyrklem, poczynamy dopiero w jego szczupłość wierzyć.

O niezawodnie, niema dla wyobraźni większych nieprzyjaciół, jak arytmetyka i geometrya! Numera i cyrkiel, są to dla niej trucizna i sztylet. Jakże bowiem smutno się przekonać iż ten Rzym tak pełen wspaniałych gmachów, pałaców i wszelkiego rodzaju bogactw, jakich żadna największa nie posiada stolica, ten Rzym, którego przedmieścia o kilka niegdyś rozciągały się mil, a za Augustów więcej dwóch milionów liczył mieszkańców, teraz ich zaledwo ma około 150,000!! a z reszty mu zostały tylko gruzy i wspomnienia!

Największy z placów teraźniejszego Rzymu, jest plac *Navonna*. Zająwszy Alexandra *Severa* cyrkul miejsce, otoczył się teraz pięknemi pałacami, i facyatą kościoła Stój Agnieszki. W środku na kilku skały bryłach, rodzaj grotty tworzących, wznosi się obelisk 51 stóp wysoki. Z pod skał i grot ozdobnych spiżowemi posągami, delfinami i t. d. dłóta *Berniniego*, czterma korytami obfite leją się kaskady.

Prócz tej środkowej ozdoby, plac *Navonna*, ma jeszcze dwa duże poboczne wodotryski, równie jak i środkowe spiżowemi strojne rzeźbami.

Mimo tych wszystkich bogactw i znacznej przestrzeni, które go między najpiękniejsze mieszczą place, w mało zamieszkałej miasta części położony, przekupniami warzywa zaludniony tylko bywa. Cały rok nikt prawie go nie zwiedzi, ale za to, w Sierpniu, cała nań zbiega się ludność.

W największe Sierpnia upały, co sobotę i niedzielę, wszystkie jego fontanny, na całkowitą, że tak powiem, wypuszczone wolność, napełniają go wodą. Grunt nieco w środku wklęsły, pomaga do przeistoczenia go w sadzawkę. Muzyki wojskowe w dwóch końcach przygrywają; pojazdy, ekwipaże i konni jeźdcy, pośród tej wody brodzą, pluskają się piechotni, z brzegów i po oknach oklaski im dają... jest to letnia Rzymian ulubiona zabawa, drugi dla nich karnawał!

Prócz publicznych wodotrysków, jakich ci tu zaledwo dwódziestą część wymieniłam, każdy pałac w dziedzińcu, ogrodzie, sieni, lub na jakiej gdzieś swój wystawie, ma piękną fontannę w stare opleśniałe ozdobną rzeźby, z pośród zwojów zielonego bluszczu, co się pnie po nich, świeżą pryskającą wodę. Niema tam skromnego nawet domu, któryby w miejscu prozaicznej naszej pompy lub żurawiej studni, nie miał jakiegoś rodzaju wodospadu, który po kamieniach malowniczo ułożonych, lub starych kolumn i rzeźb ulamkach, pięknie igrając, sączy się lub szumi. A ze wszystkich, największych nawet piętrowych domów, liny do tego źródła idące, tworzą mu, jakby rodzaj promieni. Po tych linach blaszane wiaderka biegną tam po wodę, a napełniwszy się za pomocą lekkiej korby, wracają na swe wysokie piętra. Przemysł ten, oszczędzający służbę, ładnie dla oka także wygląda.

Widzisz, iż Rzym nietylko dla historyka i starożytności lubownika, dla malarza i poety, lecz i dla hydraulika ma bogactwa i powaby, że i on mógłby go swą zwać stolicą.

Ale ta masa wody, już nie potrzebą, lecz raczej zbyt dawnych Rzymian sprowadzona, do nieszczęścia terażniejszych przyczynia się wiele.

W czasach kiedy tamci pół życia w łaźniach trawili, kiedy to do ich głównych należało rokoszy, tysiącem wodociągów z dalekich stron i wielkim kosztem sprowadzona woda, upiękniła wprawdzie, uposażyła fontannami wszystkie miasta części. Teraz gdy kąpiel w nienawiść u terażniejszych Rzymian poszła, ta masa wody, te wodociągi, już nie potrzebne, a przez wzgląd na kosztą należycie nie utrzymywane, jak cały stary Rzym w ruinę się obrócili. Sterczące ich grzbiety, jakby arabskie jakie wielbłądów karawany, przez Agro-Romano smutno się ciągną; a ich woda, nawykła w tę stronę zwracać swe koryto, w gruncie teraz pozostaje.

staje, zbytecznie go przesieka, w rodzaj bagna go przeistacza. Ona to, łącząc się z wulkanicznemi żywną niegdys ziemi pierwiastkami, rodzi te zabójcze wyziewy, które promieniami słońca ulotnione, powietrze zarażając, już wyludniły okolice swęj stolicy, i coraz srożej ją samą oblegają do kola.

Tam, gdzie niegdys wposród pałaców, świątyń, pomników, przez pełne życia i ruchu przedmieścia Rzymu się jechało, teraz długą pustynię przebywać trzeba; a i samęj stolicy niektóre części już się w pustynię także zmieniają.

Z niektórych zakonów mnichy na lato swe klasztory opuszczają muszą. Przy bazylice Ś. Pawła jednego tylko do pilnowania kościoła zostawują księdza, a ta ofiara najczęściej z końcem lata sama także kończy.

Gdy będziesz oglądał Caracalli thermy, ujrzysz tam odzwiernego, i młodą córkę jego — ich, lub ich następców! — oboje straszliwęj bialości. — Zapytasz co im jest? — To nie, to rzymska febra, odpowiedzą spokojnie, mdły, obumarły podnosząc wzrok. A ta rzymska febra, córka malaryi, rozmaite przybierając postacie, czasem w lecie tylko wraca, co rok powoli swą ofiarę dręczy i niszczy, aż ją zniszczy całkiem; czasem też piorunem w kilku dniach ją porwie. Ten ostatni rodzaj zowie się *febris pernicioso*. Od pierwszëj uciec można co prędzej opuszczając Rzym, to jęj główne siedlisko; na drugą niema ratunku!

Mówią iż gdyby Agro-Romano drzewami porosło, one by zbytęk wilgoci gruntu pochłaniały; a swym cieniem przeszkadzając słońca działaniu, dobroczynną przyniosłyby zmianę. Robią też na ten cel już składki; pustynia za sto lat, jak obiecują, ma się w ogród zmienić, a wówczas, kto ją będzie widział, dowie się czy swych przyrzeczeń dotrzyrna.

Teraz to tylko wiemy, iż między villami i ogrodami, te które są najbardziej ocienione, niemniej ulegają malaryi, jak i te co na promienie słońca wystawione. W *Villi Medicis* zmienionej teraz w akademię franuzką malarstwa i rzeźby, lubo pełnej gęstych szpalerów i na wzgórzu leżącej, co lato wszyscy prawie uczniowie chorują. Gorzej jeszcze choroza zalega sąsiednią jęj *Villę Borghese*. Chociaż najpiękniejszemi ocieniona drzewami, położenie jęj niskie, taką tam szerzy a coraz większą zarazę, iż gdy me tak jeszcze dawno siostra Napoleona, księżna Paulina, bez najmniejszej tam mieszkała obawy, teraz nie tylko terażniejsi właściciele, ale nawet ogrodnicy na noc w nięj pozostać nie mają odwagi. Śliczny jęj pałac posagami tylko zamieszkały, a ogrody za spacer służą publiczności, która co wieczór, z ostatnim promieniem słońca, na gwałt z nich ucieka.

Z teje co *Villa Borghese* strony, w *Villi Massani*, należącej do jakiegoś kardynalskiego marszałka, jest ogrodnik Polak. Ten niemogąc zrozumieć niebezpieczeństwa o którym jakby o żelaznym słuchał wilku, niedowierzając mu wcale, bo w jego kraju nieznanie, uparł się na noc nie opuszczać ogrodu i kwiatów swoich. Lecz siedm razy najokropniejszą napastowany febrą, a za ósmym od doktorów opuszczony, jakimś homeopatycznym proszkiem cudownie do życia przywrócony, przekonał się że i pod włoskiem niebem nie wszystko samą roskoszą, że to słońce co tak piękne rozwija kwiaty, razem z niemi i truciznę szle swęj ziemi (1).

I też do zwiedzania villów nie życzę ci lata czekać.

Wreście większa ich część, więcej artystycznemi niż wiejskiemi może wabić wdziękami. Ich śliczne, niby wiejskie pałacyki, tak są pełne marmurów, obrazów, posagów jak kościoły i miejskie gmachy, a w ogrodach toż samo się jeszcze napotyka. Jak w salonie, zamiast miękkiej sofy znajdziesz posąg, zamiast biurka lub biblioteczki, starożytną urnę lub popiersie; tak w ogrodzie zamiast klombu, kwiatu, lub rozłożystego drzewa, jeszcze porfir i marmur cię powita. Słusznie też przewano Włochy wielkiem muzeum, bo to muzeum wszystko zalega, nigdzie się nie kończy.

Włoch urodził się artystą: dla niego sztuka jest rzeczą o niemal do życia potrzebną; żadnej bez niej nie pojmuje piękności, i wszędzie ją też w około siebie gromadzi. Natura jest dla niego rzeczą podrzędną, a tém bardziej natura w ogrodowych zamknięta ramach, bardziej miła, sielska, niż wielka i szczytna, ta co raczej kołysze umysł, niż go zadziwia i przeraża, co domowemu pożyciu raczej wtóruje, niż poetyczne przesyła w duszę natchnienia.

Ogrody też włoskie tém są obok angielskich, co artysta angielski przy artyście włoskim; to jest iż w dziele widać niedołęztwo autora, niepojęcie rzeczy. Nigdzie cieniu! nigdzie kwiatów! nigdzie chłodu ani miejsca spoczynku! Jeśli gdzie zobaczysz rodzaj altany, nie śpiesz do niej w nadziei że tam na ławce, w cichości, przy liścia szmerze, mile sobie pomarzysz. Bynajmniej, jest to świątynia z jakimś starym lub

(1) Nieraz czyniono zarzut tym co zepsutym wodociągom przypisują rzymską malaryą, iż ona i takie zalega kraje które ani jednego nigdy wodociągu niewidziały, jakoto: bagna pontyńskie, i niektóre części neapolitańskiego królestwa. Jakkolwiek-bądź, jest ona niezawodnie skutkiem wilgoci, skutkiem bagnistych, siarką i innemi żywiołami zarażonych wyziewów — a te bagna najczęściej z rzek niemających bystrego biegu i dobrego ujścia się rodzą, lub morze, cofając się z brzegów, po sobie je zostawia. Wenecya w swych początkach, podobnym ulegała zarazom, a teraz najlepszym jest dowodem, iż je zwalczyć można.

nowym posągim (często bez nosa, ręki lub nogi), a dla oswobodzenia go od nowych obelg, najczęściej żelazną lub spiżową zamknięta kratą.

Jak po salonach, tak po ogrodach chodząc, unosi się przekonanie, iż tam nikt nigdy nie zamieszkał, nie zamiłował domu swego, nie duł, nie żył domowém, wewnętrzném życiem.

Dawni Rzymianie publiczne tylko życie znali. Później wystawność i kunszt je zastąpiły. Terazniejsi Rzymu mieszkańcy pierwszego nie pamiętają, na drugie im nie starczy, trzeciego to jest domowego, jeszcze się nie nauczyli dotąd. Kto też nie rozumie jak można żyć, nie robiąc *nic* od rana do wieczora, wcale *nic*, niech w głąb ich domów zajrzy. Tam bowiem mężczyźni w karty nawet nie grają, ani polują, ni cygarów ciągle nie palą, a kobiety igły nie znają, i romansów nawet nie czytają.....

mianie do Grecyi uczniów posyłałi, własnej nie mając szkoły. Po odrodzeniu, rzeźba we Florencyi najprzód nowém odżyła życiem. Teraz zaś pełno w Rzymie znajdziesz rzeźbiarzy, którzy tam dla mnogości starożytnych wzorów swe założyli pracownie; lecz ci, to cudzoziemcy, to szukając samodzielnój oryginalności, żadnym ogólnym nie cechują się charakterem.

Pokażą ci tam osierociałe już pracownie Thorwaldsena i Canowy, te dwie najgłówniejsze w tym zawodzie wieku naszego sławy. Pierwszy był Duńczyk; drugi lubo Wenecyanin i nad wszystko swą wielbiący ojczyznę, kochał jednak Rzym którego poniekąd był poddanym, i wiele w nim pięknych zostawił pamiątek (1).

Chcąc obudzić w młodych artystach emulacyą, podał im za przedmiot i bodziec, popiersia sławnych współziomków. Sam je doglądał i sam płacił. Zrodził się z tego piękny i ciekawy zbiór popiersi artystów i poetów włoskich, w Capitolu złożony; lecz mimo szlachetnych usiłowań mistrza, nie utworzyło się z tego to coby się szkołą zwać mogło.

Najsłynniejszy teraz w Rzymie rzeźbiarz, *Tencrani*, całkiem odmienną od Canowy poszedł drogą. Inni po większej części Niemcy lub Szwajcary, każdy sobie właściwym technie duchem. Jednak każdy z nich pracuje; niema dnia żeby ich dłото nie zrodziło jakiej bogini, bachantki, anioła lub świętego i t. d., a ta marmurowa ludność dodana do przodków tak z Grecyi przybyłych jak i z odrodzenia czasów, ta ludność codzienną wzrastająca i nieulegająca małaryi, wkrótce swą liczbą przewyższy innych Rzymu mieszkańców.

Istotnie, trudno wyobrazić sobie jak Rzym jest w posagi bogaty. Już nie mówiąc o tych, co jakby do architektury należąc ozdób, jakieś zapełniają po kościołach nisze, lub na fontonnach stoją, takich nawet co do osobnej czci mają lub tworzą prawo, niesłychana jest liczba.

Otóż, jak w pomnikach, fontannach, posągach, tak i w obrazach, nie przebrane znajdziesz tam skarby.

Grecya obrazami Włoch nie zasyciła, żadnego w téj sztuce nie udzieliła im wzoru. Olimpowi trzeba widać było marmuru, lub też może czas bardziej marmur niż płótno i farby oszczędził. Malarstwo może się więc zwać kunsztem całkiem włoskim; a gdy z pogańskich czasów, kilka tylko pozostało fresków, zowią go zwykle kunsztem katolickim. Nie trzeba mu téj odmawiać sławy, chociaż przed Chrystusowe pompejańskie freski, pełne idealnej i nadobnej gracyi, mogłyby temu dać zaprzeczenie.

(1) Pius VII obdarzył Canowę małym margrabstwem Ischia zwaném, i nadał mu tytuł Margrabi na Ischji, rząd Canowa uważał się poddanym papieżkich stanów.

Malarstwo więc z chrześcijaństwem, jak mówią, zrodzone, a początkowo poświęcane wyłącznie przedmiotom świętym, powinno było w Rzymie swych pierwszych probować kroków. Wiemy jednak iż tak niebyło. Jakkolwiek we Florencyi wyprzedzona, szkoła jednak rzymska do najpiękniejszych włoskich szkół należy. Dość przypomnieć iż pod Perrugina i Rafaela powstała przewodnictwem, by powziąć o niej to szczytne wyobrażenie, na jakie zasługuje.

Nie trzeba wszakże ztąd wnosić, iż zbiory rzymskie do własnej wyłącznie przywiązywały się szkoły. Przeciwnie: w niektórych jego galeriach, zdaje się iż trudność dostania podwyższała obrazu wartość. I tak, znajdziesz w nich czasem arcydzieła szkoły flamandzkiej, lubo ta nie może się z włoskimi równać, w innych najpiękniejsze Murylla dzieła, i innych hiszpańskich malarzy, jakby ich Włochy nie dość miały!

Gdy papieże zaczęli kunsztownym tchnąć duchem, artystów wabić i protegować, gdy ten z góry przykład, kardynałów i innych także ogarnął magnatów, Rzym artystami, a kościoły jego i pałace obrazami i rzeźbą przepelniać się poczęły. Następnie, gdy nastąpiło to panowanie siostrzanów papieżkich, *nipotyzmem* przezwane (1), a dochody państwa obracały się na wykwintne tych paniczów zbytki, ile który papież miał siostrzanów, tyle Rzym ujrzał wspaniałych pałaców, a każdy pałac swe bogate musiał mieć muzeum.

Po tych więc pozostałych z owych czasów pałacach, jako też po starych i nowych świątyniach, trzeba teraz kunsztownych szukać zażytków; a to przedsięwzięcie niemałe ztąd najbardziej, iż trudnoby od nich przegład kościelnych skarbów, razem się mieszczących, odłączyć.

Rzym ma bowiem kościołów tyle ile dni w roku, to jest 365, a z nich niewiele coby na żadną nie zasługiwały uwagę; siedm katedralnych, z przywiązaniem do téj zaszczytnej nazwy przywilejami, około murów miasta, przystęp jego strzegą; z tych cztery: Ś. Piotr watykański, S. Jan laterański, S. Marya Maggiore i Ś. Paweł, potężne i wspaniałe, mają tak nazwane drzwi święte, to jest drzwi zamurowane i które tylko podczas jubileuszów otwierają. Trzy zaś mniejsze: Ś. Sebastyan, Ś. Krzyż jerozolimski i Ś. Laurynty, bardziej swą starożytnością niż bogactwami są znakomite.

Ś. Paweł przed dwudziestu laty całkiem spłonął. Ogromne jego filary od ognia popękane dotąd przed nim leżą. Mówią że jego wspaniałe zgliszczą, w téj już stronie miasta gdzie się zaczyna pustynia, bardzo malowniczo wyglądały. Długo czas mniemano iż trzeba na zawsze opła-

(1) Siostrzeniec zowie się po włosku *nipote*, z kąd się wzięło słowo *nipotyzm*.

kać tę bazylikę; kiedy papież Grzegorz XVI, powziął śmiałą myśl odbudowania jęj w dawnych proporcjach.

Fabryka ta, za pomocą więźniów których w Rzymie nie brak, dość postępuje żwawo. Już cały las nowych powstał kolumn i potężny dźwiga dach. Już samo *sanctuarium* i parę pobocznych kaplic ukończone, pełne światła, mozaiki, pozłot, obrazów, posągów, piękną wyłożoną marmurową w deseń posadzką.... jakby do tańca!.... bo jak ci już wyznałam, włoskie kościoły takie na mnie, niestety! robią wrażenie!.... ich widok rodzi we mnie myśl muzeum, gdy są arcydziełami sztuki przepelnione, a gdy puste, koncertowej lub balowej sali. Łatwiej tamby mi się zdało śpiewać i tańcować, niż w pobożném zanurzać się uczuciu. Bo też ich kraju pobożność nie odpycha bynajmniej wesołości. Możeby nawet całkiem tam się modlić przestano, gdyby ta modlitwa ze łąa a nie ze śpiewem i z uśmiechem, do nieba iść miała.

Pewien rozumny człowiek powiedział:— »Tout homme qui ne sent pas que la mélancolie est inhérente à l'architecture gothique, et la joie à la grecque, doit s'appliquer à l'algebre.» (1)

Otóż w tak wielkiej ilości kościołów w Rzymie, niema ani jednego architektury gotyckiej!

Najwięcej z nich po wschodach, pod piękną wprowadzają facyatę, inne z dawnych świątyń przerobione, jeszcze bardziej Olimpem tchną, do niektórych wchodzi się jakby do mieszkalnego pałacu czy domu.

Wewnątrz mniejsza jeszcze różnaitość. Większe, jakto i u nas często się widzi, na trzy kolumnami lub arkadami naw przecięte; mniejsze są okrągłe i mają do koła nisze z oltarzami. Ś. Jan laterański i Ś. Paweł, na pięć naw się dzielą; ale to jest rzecz wyjątkowa.

Do tych co pozór pałacu noszą, trzeba policzyć tyle swą pięknoscią słynną Ś. Jana katedrę. Jęj facyata pięciu przecięta balkonami, szczyt swój ozdobiła dziesięciu posągami świętych, między któremi Chrystus Pan stanął, co nieprzeszkadza iż daleko bardziej do pałacu, niż do kościoła podobna.

Prócz zwykłych katedrom przywilejów, laterańska ma jeszcze swe wyłączne, liczne i ciekawe. Jest ona bowiem dyecezyą Ojca Świętego. Każdy papież mieni się jęj biskupem, i w tym tytule, zaraz po swęj elekcyi, jedzie jak najuroczyścięj possessyą swęj metropoli ogarniać. A od Henryka IV który jęj wielkie dobrodziejstwa wyświadczył, każdy król francuzki zowie się jęj kanonikiem. (2)

(1) Stendhal. Histoire de la peinture.

(2) Mówią że za czasów rzeczywospolitej we Francyi, złośliwe umysły, do jęj tytułów *una et indivisible* dodawały, et *Chanoinesse* de S. Jean de Latran.

Ś. Jan dla tego tylko nazwany laterańskim, iż niegdyś plac jego należał do Planta Laterana, za spisek przeciw Neronowi straconego, czasem także bazyliką Konstantego zwany bywa. Cesarz ten bowiem pierwszy jej kamień, w 324 roku, we własnym położył pałacu, i darował papieżom. Od tego czasu przez lat 1036, pałac ten służył za stałą Ojcom Świętym rezydencyą. Lecz gdy przez niejaki czas, ta się do Awinionu przeniosła, pałac i jego bazylikę pożar w popiół obrócił. Natychmiast Klemens V, i następcy jego aż do Klemensa XII, zajęli się jej odbudowaniem. Wówczas to stanęła ta wyż wspomniana facyata, z napisem o któryby może Ś. Piotr mógł się dopomnieć: *»Ecclesiarum urbis et orbis mater et Caput.»*

Wnętrze Ś. Jana jest bogate i wspaniałe. W głębi portyku stoi posąg Konstantego Wielkiego. Dalej pięć naw odpowiadających pięciu zewnętrznyim balkonom, tyłuż drzwiami wyjścia udzielają. Środkowe drzwi, całe z brązu prześlicznój roboty, prowadzą do środka świątyni, spartęj na pilastrach dwunastu apostołów posągami ozdobnój. Wielki ołtarz z świątyni Jowisza kapitoliińskiego wzięty, także na uwagę zasługuje. Pod nim głowy ŚŚ. Piotra i Pawła spoczywają. Mozaiki, podłoga, sufit, wszystko piękne i pyszne; a nadewszystko poboczna po lewój ręce z wejścia kaplica, na groby rodziny Korsynich przeznaczona, którą Klemens XII z tejże familji papież, wszelkimi wzbogacił sposoby.

Ś. Jan w wielu względach chce iść na równi z Ś. Piotrem.

Prócz licznych uroczystości, ze środkowego balkonu jego, papież udziela także błogosławieństwo *Urbi et Orbi*. W wielką sobotę w jego chrzcielnicy, dają chrzest nawróconym w ciągu roku heretykom. Chrzcielnica ta (*il batistero*) także zowie się kaplicą Konstantego (gdyż jak tradycya mówi, cesarz ten w niej był chrzczonym), jest w osobnój rotundzie, malęj, lecz zapelnionęj starożytnemi kosztownościami.

Najciekawsza zaś z ceremonji S. Jana odbywa się w oktawę Bożego Ciała. W ten dzień żywi i umarli (albo prawie umarli), udział w niej biorą. Bazylika ta bowiem ma szpital pod dozorem sióstr miłosierdzia. W dzień o którym mówimy, wszystkie szpitalu łóżka, stroją się w jedwabie; wieńce z kwiatów przysłaniają śmiercią naznaczone czoła; jęki boleści w pobożne i radośne zmieniają się pienia, którym szumna wtóruje muzyka. W końcu bębny dają znać zbliżenie się processyi. Ojciec Święty na jej czele do sali wchodzi. Wszystkie obumarłe głowy jak mogą się podnoszą, a odebrwszy błogosławieństwo, odpadają pod ciężarem wysilenia swego, z przeczcuciem może nieba, do którego uzyskane błogosławieństwo otwiera im drogę, ale z większą jeszcze belescią wszyst-

kich tój ziemi goryczy, i tego życia, co jakby dla urągania, rzuca wpośród ich dni łzawych, wspomnienie ukwieconej i hucznej fety.

Lecz jeżeli u Ś. Jana, umierających tylko do uroczystych powołują obchodów, są i takie w Rzymie kościoły i klasztory, gdzie całkiem umarli do nich należeć muszą, gdzie ich i do sztuk pięknych używają także.

Klasztor kapucynów słynie swym cmentarzem. Tam ujrysz w kilku pośmiertnych kapticach, całe ołtarze, ze wszystkimi architektury wymysłami, z kości ludzkich złożone. Rozasy wpośród sufitu i wiszące u nich świeczniki, z tegoż są zrobione materiału; a w dzień zadusznego, stare szkielety wydobyte z grobów, w świeże przywdziane są habit, i dają im zapalone gromnice do ręki. Wpośród tych towarzyszy, przy tój szczególnej iluminacyi, kapucyni żywi idą w nocy dnia zadusznego psalmy swoje śpiewać!! Mniemam że nie jeden z nich z gorączką ztamtąd wraca.

Bazyliki cały dzień otwarte bywają; można więc wygodnie i po razy kilka zwiedzać Ś. Jan, i starożytny jego klasztor, a w nim wiele świętych i dobrze dochowanych skarbów. Tam dwie kolumny z przedsiönka Pilata domu zobaczysz; stół na którym apostołowie jadal, drugi na którym się odzież Chrystusa dzielono, i tym podobne.

Wychodząc zaś, na placu laterańskim, osobna budowa osłania wschody *święte*, także z domu Pilata przywiezione, na których Pan nasz, tyle odebrał obelg! Są one z marmuru białego deskami pokryte. Zawsze tam postrzeżesz całą processyą pobożnych, na kolanach na nie idących. U wierzchu jest kaplica z laterańskiego przeniesiona pałacu, niegdyś papieżom na wieczorne służąca modlitwy, a za nią jakieś zamurowane tajemnicze miejsce; nikt dokładnie niewie co się w nióm znajduje. Jest ono obok pobożności takiego postrachu przedmiotem, iż mówią że gdyby dano pozwolenie otworzenia go, niktby nieśmiał pierwszego odjąć kamienia.

Po Ś. Janie następuje, w hierarchicznym porządku kościołów rzymskich, *S. Maria Maggiore*, ze swemi dwoma facyatami, nazarethańskimi relikwjami, ze swemi kolumn długimi linjami, i niesfychanych bogactw kapticami.

Inne, nie katedralne świątynie, po południu zamknięte, z rana podczas nabożeństwa oglądać tylko można. Lecz wszędzie znajdziesz usłużnego cicerona, co w nadziei złotówki, wszystkie jej ciekawości pokaże, jak najdokładniej opowie, a częstokroć nie bez uczucia i zadziwiającej znajomości sztuki, którą, nie machinalnie jak dziecko lekcyi się nauczył, lecz oczywiście z własnej powziął duszy.

Nieraz gdy taki cicerone (zwykle stróż kościelny), zacznie *con amore* przedstawiać ci szczegółowe jakiego obrazu piękności, twarz jego zapło-

nie, oczy się zaiskrzają, tak, iż niepodobna wątpić, że gdyby zamiast miotły wziął pezel do ręki, podobneby arcydzieło natychmiast utworzył!

O czemuż choć cząstkę tego zbytującego tam uczucia, innym ziemniejszym nie przesłał krajom! Czemuż metanpsychozy władzą, te stróżowskie dusze, nie przechodzą gdzieindziej, w tych co sobie artystowski obrawszy zawód, mniemają iż istotnie są artystami!

Niema potrzeby, ani nawet podobieństwa opisywać kościołów rzymskich, wymieniać przedmioty kunsztowne, święte lub świętych wspomnień jakie do nich wabić mogą. Trzebaby osobnych na to wyłącznie tomów, a i tak jeszcze nagromadzone opisy podobnych do siebie przedmiotów, ćmiłyby się w oczach, a jeszcze bardziej w pamięci. O niektórych ci więc tylko nawiasowo napomknę.

U Ś. Piotra w okowach (*S. Pietro in vincoli*), pokażą ci łańcuch którym ten apostoł w Jerozolimie był okuty, i sławny grobowiec Juliusza II, rysunku a po części wykonania Michała Anioła *Buonarrottego*. Na tym to grobowcu ujrzysz ów Mojżesza posąg, tegoż mistrza dłuta, posąg którego szeroka sława już musiała dojść uszu twoich, który do arcydzieł sztuki należy. Marmur ten żyje, zdaje się że przemówi do ciebie, a strach bierze by nie powstał, bo jest potężny, żeby się nie rozgniewał, boby cię w dłoni zgruchotał, takięj bowiem siły ma wyraz.

U Śtęj Agnieszki na placu *Navonna*, prócz pięknej facyaty i rozmaitych tęg świątyni bogactw, zobaczysz wschody prowadzące niegdyś do suterenów podpierających amfiteatr cyrku Aleksandra Severa, gdzie ta święta obnażona i na publiczne obelgi wystawioną była. Piękna rzeźba wielkiego ołtarza przedstawia chwilę, gdy cudownym sposobem, długie włosów pierścienie, jakich przedtém nie miała, całą ją od głowy do stóp jakby płaszczem pokryły.

W kościele Śtych apostołów, na placu tegoż nazwania, piękny nagrobek papieża Klemensa XIV, do arcydzieł Canowy należy. Jest tanże jego płaskorzeźba, pamięci przyjaciela sztycharza *Volpato* poświęcona.

Gdy zechcesz widziéć zbiór niesłychanych bogactw, ołtarze pobłyskujące złotem i klejnotami, pójdź do kościoła jezuickiego. Tam kaplica w której spoczywają Sgo Ignacego zwłoki, prócz allegorycznych posągów, i pełno innych kosztownych ozdób, posiada statwę świętego, ze szczerego ulaną srebra. Cztery kolumny, całe wykładane lapis lazuli, z podstawami i szczytami na brązie złoconemi, podpierają fronton, cały z werdantyku. W tymże kościele podziwiają obraz przedstawiający śmierć Sgo Xawerego, pęzla Karola *Maratta*.

U Sgo Onufrego znajdziesz grób Tassa, i kilka pamiątek z ostatnich dni jego, w klasztorze tym spędzonych. Zwłoki Rafaela, jak ci już mó-

wiłam, w Pantheonie leżą. Mikołaja Pussina, u Sgo Laurentego na placu Lucina, gdzie jest sławny obraz Guida, przedstawiający Chrystusa na krzyżu.

Kościół Stój Cecylji, jak i Sgo Klemensa, stoją w miejscu, gdzie ci święci domki swe mieli. W ostatnim, który do najdawniejszych Rzymu świątyń należy, i swój dawności nosi cechę, jest kaplica ozdobiona freskami *Masaccia*, jednego z początkowych odrodzenia malarzy.

Śgo Grzegorza kościół, także się wznosił na rodzinnym gruncie tegoż świętego. Święty Grzegorz, założywszy tam kamedulów klasztor, sam się pod jego schronił sklepienia, aż ztamtąd na tron apostolski powołany został. W nim kaplica poświęcona Stój Sylwji, tego świętego matce, której tam posąg między dwoma porfirowemi kolumnami, jest dziełem jednego z uczeni Buonarottego, Mikołaja Cordieri, druga, Stój Barbary, z tegoż artysty rzeźbą, na uwagę zasługują. Lecz najciekawsza jest ta, gdzie *Guido Reni* i *Dominikin*, wyzwaawszy się, kto najlepiej zrobi obraz, obrali do tego dwa jednostajnych wymiarów boki, i życie Śgo Andrzeja. Pierwsza z tych fresk na prawej stronie jest *Dominikina*, przedstawiająca biczowanie świętego, druga na lewej *Guida*, chwilę kiedy na męczeńską prowadzony śmierć, dla modlitwy czy uwielbienia, przed krzyżem się wstrzymał.

Klasztor Ś. Grzegorza, gdzie zachowują stół na którym ten święty jedzenie ubogim rozdawał, i tém jest teraz zajmującym, iż zeszedł papież Grzegorz XVI, kilkadziesiąt lat był w nim kamedulą, i dla tego wchodząc do Watykanu, wybrał imię świętego, którego przez tak długi czas za patrona swego uważał.

Lecz ten z kościołów co się najbardziej od innych różniąc, nie ustępuje im swą że tak powiem elegancyą, jest kościół Stój Maryi Anielskiej. Nadmieniałam już o nim, mówiąc o thermach Dyoklecjana, w których sala, w świątynię teraz zmieniona, była pinakotheką, czyli muzeum. Jest to co do budowy, dzieło starości Michała-Anioła, a niemniej śmiałe i piękne. Z wejścia rotonda, z dwoma ołtarzami i czterma grobowcami, z tych dwa, sławnych malarzy pokrywają zwłoki: *Salwatora Rosy* i *Karola Maratty*. Sam kościół, ani nawami niepodzielony, ani okrągły, a mimo to, wspinały i piękny, kilka szacownych posiada obrazów: *Dominikina*, *Maratta*, *Pomarancia* i innych mistrzów XVIIgo wieku. Na marmurowej posadzce uważają ogromny, i jak mówią, bardzo dokładny kompas.

Ś. Marya na Minerwy placu, szczyty się Chrystusem, Buonarottego dłota, i nagrobkami dwóch papieży Medyceuszów: Leona Xgo i Klemensa

Vllgo. Ci, jak wiemy, dużo za życia narobiwszy hałasu, bardzo teraz cicho i skromnie pod cieniem wielkiego ołtarza spoczywają.

Ale któżby zdołał spamiętać wszystkie kościelne w Rzymie skarby? Pan Stendahl (Henryk Bęjle) dowodzi, iż po ocenieniu ich w zbliżeniu, pokazało się, że kościoły włoskie posiadają w bogactwach, wartość wszystkich dóbr ziemskich kraju swego; a między temi, Włoch świętymi, rzymskie są najbogatsze. Dość wspomnieć, iż wszystkie znaczniejsze familje, miały po kościołach grobowe swe kaplice, a każda jedna nad drugą przepychem celować chciała. Z kilku dotąd jeszcze pozostałych, dwie mianowicie na szczególniejszą zasługują uwagę: rodziny Borghesow w bazylice St. Maria Maggiore, i Corsynich u Ś. Jana latekańskiego. Obie złotem i klejnotami zasute; a ostatnie ma w swęj piwnicy, piękną grupę z jednéj bryły marmuru białego, Berniniego dłóta, wyobrażającą to, co we Włoszech zowią, niewiem czemu, *la pietà* (pobożność), to jest Maryą nad synem z krzyża zdjętym płaczącą.

Inne grobowe kaplice, pod teraźniejszego ubóstwa kurzem, dawnego przepychu dochowują jeszcze ozdoby i herby; a gdy daleko łatwiej stracić majątek niż dumę, dziedzice ich tam jeszcze każą swe popioły składać, jeśli nie dla potomności, to przynajmniej dla własnego potomstwa, tę jedyną już zostawując po sobie spuściznę.

Wreście, nie trzeba ich tak bardzo w tém winić; jest to wypływem z pozostałego z dawnych czasów, jak we Florencyi tak w Rzymie, zwyczaju, grzebania panów po kościołach, wśród miasta (co zapewne do czystości jego powietrza się nie przyczynia). Cmentarze tam są tylko dla gminu przeznaczone, dla tych, co pod murem a nie w pałacu kończą; a tak, pośmiertna duma, zwyczajem upowszechniona i utwierdzona, trudno żeby łatwo zatrzeć się mogła.

Żyje też ona we Włoszech, a jeszcze bardziej niż w grobach, objawia się w pałacach. Tam zaraz z wejścia, bywa duża sala *tronowa*. Przy głównej ścianie na stopniach, często balustradą okrążonych, pod wzniosłym baldachimem, stoi tron, a za tronem na szkarłatném makaty tle, herbowa świeci się tarcza, z księżęcą najczęściej mitrą.

Źle mówię że się świeci: wszystkie te owszem makaty, baldachim, tron i korona, wszystko dawno już opłowiałe, złote ich ozdoby wyprute lub szerniałe: lecz mimo swęj zgrzybiałości dochowane świecie, jakby jakie familjne relikwie; a do nich zdaje się należeć także odźwierny, kamerdyner, czy lokaj — niewiem (może wszystko razem), który jakby z tamtych czasów, z kluczami pałacu w ręku, a starą liberyą na plecach pozostały, teraz skrycie do obcych wyciąga rękę drzwi im otwierając.

Z takiego to tronu, za feudalnych wieków, pan swym poddanym sprawiedliwość wymierzał. Tam nie jeden z tych poddanych, a nawet nie jedna żona, usłyszała śmierci wyrok.... (jak to nam terazniejsze dramy, często teraz przypominać lubią).

Wszedłszy do takiej sali, zdaje się że to opis w romansie, czy teatralna widzi się dekoracya, albo że raptownie o dwieście lat w tył się odskoczyło. I też łatwiej, zda mi się, zrozumieć iż terazniejszy takiego tronu posiadacz, jako naddziadów pamiątkę go zachowuje u siebie, niż że go wystawia na widok publiczności, z *terazniejszej Europy* przybyłej, na widok a może na śmiech tych kroci *turystów* terazniejszymi przesiękłych wyobrażeniami, a tém mniej pojmujących przeszłości część, iż większa część żadnej z nią nie miała styczności, i nigdy jej nierozumiała.

Pałace rzymskie, jak to i w kościołach uważałam, mało w zewnętrznej postaci urozmaicone, jeszcze mniej wewnątrz różnią się rozporządzeniem. Najczęściej cztery swe ramiona, koło czworobocznego rozciągają dziedzińca. Czasem w około nich bieży portyk na kolumnach lub arkadach sparty, ozdobny herbami, posągami i starożytności jakimiś szczątkami; czasem, lecz rzadziej, te portyki kończą się kilku drzwiami, które się ogrodem tam zowią.

Każdy z tych niegdyś wspaniałych gmachów, tak był obficie w sztowne uposażony bogactwami, iż teraz gdy trzy czwarte z nich czas i Europa zabrały, gdy codziennie się powoli w świat rozplývają, resztki ich jeszcze niemają gdzieindziej podobnych sobie zbiorów. Rzadko kraj posiada w publicznych swych muzeach, tyle i taki wybór obrazów, jak galerya Borghezów. Inne także mogłyby za najpiękniejszy ująć klejnot królewskiego jakiego zbioru.

Na pierwszym piętrze te cztery skrzydła, zapełnione sztownymi przedmiotami, a teraz ciekawym jako muzea pokazywane, musiały niegdyś do pańskich uczt służyć. Szczątki pozostałych mebli zdają się temu mniemaniu iść w pomoc. Oczywiście te długie galerye i salony, do których się wchodzi przez ową tronową wyż wspomnianą salę, nie mogły nigdy mieszkalnego mieć przeznaczenia. Właściciele musieli zawsze wyższe zamieszkiwać piętra, lubo może nie tak wysokie jak terazniejsi.

Łatwo się domyślić, iż większa część tych gmachów, rozmaitym uległszy kolejom, już tylko zewnętrzne zachowały kształty. Salony i galerye według nowego przeznaczenia i potrzeb przerabiane i krajane, jedne już potraciły, drugie codziennie tracą swój pierwotny charakter.

Tak, na przykład, pałac Ruspoli na Corso, sławny pięknnością marmurowych wschodów, przed kilkunastu jeszcze laty, widział pod zioconemi

sufitami swemi królewską, lubo już z czoła zdjętą koronę, a teraz te sufity od cygarów kopcą się tylko. Po upadku francuzkiego cesarstwa, zajmowała bowiem ten pałac królowa Hortensya, a teraz zajmuje go trakter i kawiarnia. Kto zaś będzie stare jego czytał kroniki, jakieś z feudalnych czasów legendy, na ostatnich kartach kucharskie wyczyta rachunki, i dzieje słynnej kawiarni, w której teraz około dwóchset funtów kawy codzień wypijają goście! Co zapewne godne tak dla sławy kawiarni, jak dla namiętnej terażniejszych Włochów do kawy skłonności, przejść w potomne wieki (1).

Architekci pałac Farnezów za najpiękniejszy uważają. Prócz wspinałej facyaty, czworobocznego z portykiem do koła dziedzińca, bardzo ma piękną do niegoż prowadzącą bramę, czyli raczej sień. Należał on niegdyś do papieża tego nazwiska, Pawła V, czyli do jego synowca. On to z thermów Caracalli kazał tam przenieść sławne statui, o których wyż mówiliśmy, i sarkofag Cecylji Metelli; on to inne arcydzieła sztuki tam nagromadził. Lecz teraz gdy familia Farnezów wygasła, a dobra jej do neapolitańskiego przeszły domu, posągi i obrazy przeniosły się do Neapolu. Jeden pałacu kąt zajmuje tegoż kraju ambasada; reszta opustoszała, kilku piękniemi *Guerchina* i *Guida* szczyli się jeszcze freskami, i sarkofagiem Cecylji, któryby daleko lepiej wyglądał na dnie swjej ruiny, jak w dziedzińcu opustoszałego pałacu.

Pałac tak nazwany wenecki, niegdyś Wenecyi, a teraz razem z dawną swą panią, Austrii własnością, także wszystkie swe postradał bogactwa. Karol VIII, król francuzki, idąc na Neapol w nim mieszkał, a teraz pan Lutzow, austryacki poseł.

Pałac Cafarelli, zajęty jest legacją pruską, a Giustinjani rossyjską. Ten ostatni tak był zniszczony, iż terażniejszy poseł przez cały rok go restaurować musiał, zanim go mieszkalnym zrobił.

Są jednak i takie, wprawdzie ich nie wiele, co przez ten wieków niszczący potok, zdołały dla nas swą dochować wspinałość, lubo częstokroć powierzchowną tylko!

Na czole tych co nie upadły, i nie zdają się upadkiem grozić, trzeba liczyć pałac Borghezów, po nim Dorio i Corsini, najlepiej wydają się utrzymane.

(1) Nie tylko w Rzymie, ale w całych Włoszech, taka panuje do kawy namiętność. Kawiarnie całą noc bywają otwarte, i całą noc w nich piją kawę, ale czarną, bo mleczywa niecierpią. W dni mięsne zaprawiają potrawy olejem, a w postne sadłem (struti), gdyż sadło tam do postu należy. Niemoga zrozumieć by masło przekładać nad olej i sadło.

Wszystkie trzy, bogate swe galerye dla publiczności otwierają. Każda z nich po kilka arcydzieł pierwszych mistrzów posiada. Corsynich pałac liczy, między innymi, najpiękniejszego *Murylla* (kobietę z dzieckiem) jakiego widzieć można; a prócz swych artystycznych skarbów, między wspomnieniami to zapisywać może, iż w nim mieszkała i umarła Krystyna szwedzka.

Galerya Borghezów, całe oddziały wyłącznym poświęciła szkołom. W niej flamandzka i wenecka, gdzie *Tycyan* pamięć, osobno sobie mieszka; w pierwszych zaś salach wita nas najprzód *Garofolo* i *Francesco Francia*; w następnych *Rafaël*, *Andrea del Sarto*, *Dominikin*, *Carlo Dolce* i t. d. *Rafaela* pęzła sławny tam jest portret *Alexandra Borgji*, i sławniejszy jeszcze ogromnych wymiarów obraz, przedstawiający zdjęcie z krzyża.

W innych podobnychże pałacach, jako to: *Sciarra*, *Colonna*, *Barberini*, *Spada*, są także galerye, mniej więcej jak się spostrzedz można już napoczęte, lecz w swych resztach jeszcze piękne posiadają zabytki. *Sciarra* szczyć się pięknym *Leonardem da Vinci*, posiada prócz tego jednego *Rafaela*, portret kochanki *Tycyana*, przez niegoż malowany, i sławną *Guida* Magdaleng.

W niektórych są także posągów i rzeźb zbiory; w innych pod obrazami stoją rozmaite starożytne meble i sprzęty, wazy chińskie, biórka misternej roboty, broń starożytna i t. d. A stary odźwierny mówi ci do ucha, iż jasnie oświecony pan jego (la Sua Alteza) mógłby się okazać skłonny, do ustąpienia za niewielkie nawet pieniądze tych precjozów, gdyby się kto ich bardzo napał, a co do obrazów sam ułatwiłby ich z kraju wyprowadzenie.

Trzeba albowiem wiedzieć, iż z Rzymu niewolno oryginałów wywozić, bez osobnego na to pozwolenia i opłaty części ich wartości do skarbu; również nie wolno robić kópii takich zupełnie jak oryginał wymiarów; musi być albo większa albo mniejsza; tak, żeby za sam oryginał ujść nigdy nie mogła, ani go zastąpić.

Mimo tych pochwały godnych ostrożności, wszystkie te rzymskie skarby powoli się rozplują: codziennie ich ubywa. Kilka lat jeszcze, a nie wiele z tych upadających zostanie zbiorów, ile że zubożona szczątkami, szacowna galerya kardynała *Fesch*, stryja cesarza Napoleona, po jego śmierci, przy mnie właśnie, przez publiczną licytacją do rozmaitych krajów sprzedaną została.

Nie tylko ich muzea, ale i same teraz pałace przez licytacje cząstkowo sprzedawane bywają. Pałac *Cavotti* na *Corso*, pięciu ma teraz wła-

ścicieli, i cudzoziemcom po kilka pokoi, jakby w oberży, wynajmowany bywa.

Sumi książęta także już nie będąc w stanie ich utrzymania, między sobą dzielą się niemi. Tak zobaczysz piękny książąt *Ruspigliosi* gmach, gdzie znajdziesz jeszcze galerye obrazów i rzeźb ostatki, gdzie idą podziwiać *Guida* zorzę na suficie al fresco w pierwszej dochowaną świeżości, w częście już tylko do swych dawnych należący dziedziców. Dół i drugie piętro im pozostało, a pierwsze piętro kupił książę *Pallavicino*, i w nim mieszka.

Ten zwyczaj zbywania piętrami pałaców i kamienic, który mi się zrazu szczególniejszym wydał, nie tylko w Rzymie ale i w Neapolu jest upowszechniony. I nie może być inaczej w krajach, gdzie arystokracja runęła, a industria w tyle wieku pozostawszy, niezdolną jest jeszcze wziąć po niej dziedzictwa.

Niema mniej przemysłowych, mniej industrialnych na świecie ludzi jak Rzymianie. Zdaje się że nawet nas w tém przeszli. Wyznać też trzeba, że nikt i nic ich do tego nie zachęca, nie podnieca: rząd przemysłem ani industryą kraju ni stolicy wcale się nie troszczy, a jój mieszkańcy na grobach przodków śpią, i jakby słysząc ciągle ten głos ich co o znikomości wszech rzeczy przemawia, bynajmniej jutrem kłopotać się niechcą.

Rodzina *Torlonia*, jedyny i nadzwyczajny stanowi między niemi wyjątek. Dziad terażniejszych książąt, z tasiemkami, zapalkami, szpilkami po mieście chodził, i monetę mieniał. Ojciec już się między pierwszych liczył bankierów, przy końcu życia miał pałac i tytuł. Synowie z pierwszymi już się mierzą książęty.

Starszy, od Odeschalków, spłacając tylko ich długi, nabył księztwo Braciano, bankowe interesa zdał na brata, a sam w pysznym pałacu ba le i fety daje, i mieni się księciem na Braciano.

Młodszy pierwszym jest, po Rotszyldzie, Europy bankierem. Bogactwa jego niepojętym szerzą się sposobem. Dwa czy trzy teatra jego są własnością; słowem najpiękniejsze ma w Rzymie pałace, najpiękniejsze ville, z najdawniejszego, bo z *Colonna* rodu żonę; ta żona najpiękniejszą jest kobietą, w najpiękniejsze stroi ją brylanty, najpiękniejszemi wozi ją ekwipażami, z pąsową złotem wygalonowaną liberyą. Codzień nowe nabywa jeszcze pałace, tak iż wielu mniema że w końcu wszystkie w jego przejdą ręce.

Bo też to jest podobno nie tylko rzymskich, ale wszystkich na świecie uherbionych pałaców ostatnia teraz stronnica.

A jeśli życzysz obszerniejszą powzięć wiadomość o tych, jak ich tam zowią, Rzymu królach, o książęcej Torlonich rodzinie, i jej związkach, otwórz kalendarzyk Gotha, i między książętami poszukaj. Jabym ci tylko o ich balach, wdziękach samej księżnej, i jej równie znakomitych klejnotach, coś dodać mogła, bo te widziałam i podziwiałam.

VI.

CAPITOL. — WATYKAN. — RAFAEL SANZIO Z URBINO I MICHAŁ-ANIOŁ
BUONAROTTI.

O pałacach ci mówiąc, najznakomitsze, to jest papieżkie, zostawiłam na koniec, dla zwrócenia bardziej twój na nie uwagi.

O Capitolu, już przy wstępie do Rzymu kilka słów rzuciłam, ale o nim więcej jest do powiedzenia. Na samo jego imie już się myśl podnosi, po bohaterskich zaczyna bujać czasach. Zdaje się iżbyśmy tam powinni jakie olbrzymie napotkać cienie.... lecz to już teraz do poetycznych należy marzeń.... napotykamy tam wprawdzie, ale nie cienie, tylko olbrzymie posągi, które tam witają, których tam w dziedzińcu, w sieniach, w salach i galeryach, słowem wszędzie pełno.

Teraźniejszy też Capitol, całkiem już katolickich czasów, daleko bardziej z-kunstownego niż z historycznego powinien być uważany stanowiska. Starożytność zostawiła mu tylko nazwisko; a jeśli młody nazwiska tego dziedzic, szczytnemi także może się pochwalić wspomnieniami, w nich imiona Petrarki, Tassa i tym podobne, największym jaśniają blaskiem.

Capitol który Włochy zowią teraz *il Campidoglio*, wydał mi się daleko mniejszy, niż w imaginacyi méj istniał. Wchodzi się na plac jego przez pyszne wschody, u dołu przez dwóch potężnych lwów strzeżone,

u góry przez dwa równie potężne Castora i Poluxa posągi. W środku placu, spiżowy Marek-Aureli na koniu, odbiera znawców holdy. Cesarski ten posąg, między najpiękniejsze liczony, nosi jeszcze dawniej pozłoty ślady.

Trzy piękne pałace ten dziedziniec okrążają. Środkowy tylko stoi w miejscu dawnego tabularium. Założył go na początku XV wieku Bonifacy IX, a w sto lat potem, Michał-Anioł Buonarotti dokończył, dając mu facyatę z koryntskimi pilastrami i wejście dwoma schodów rzędami. Przed tém wejściem duża fontanna upiękniała się trzema starożytnymi statkami. Dwie leżące: Nil i Tyber, w środku siedząca Minerwa.

Z ganku wchodzi się zaraz do rodzaju sieni czy sali, także marmurami ozdobnej. Między innymi, dwóch papieży Pawła III i Grzegorza XIII posągi, i Karola z Andegawji, neapolitańskiego króla, tam umieszczono.

W tej sieni czy sali, najwyższy zasiada trybunał. Z niej wschody ani piękne ni wygodne, prowadzą na zegarową wieżę, z której w szerokiej panoramie przedstawia nam się Rzym we wszystkich swych zmianach; gdzie gruzami i pomnikami wszystkie swe opowiada dzieje; a na ich dopełnienie, na téjże wieży, postawił posąg przedstawiający Rzym chrześcijański, z krzyżem w ręku.

Obok tego historycznego pomnika, kapitolńska wieża ma także historyczny dzwon z Viterby, *Patarina* zwany. Serce jego we dwóch tylko bije okolicznościach.... nie zbyt jak zobaczysz podobnych do siebie. Zawsze prawie niemy, srebrny Capitolu dzwon, objawia tylko rzymianom konie papieży, i początek karnawału.

Środkowa ta budowa, nazwana początkowo cytadellą, teraz się zowie senatorskim pałacem. Dwie poboczne, później i nierazem powstałe, lecz obie na jeden stawiane plan, jedną muzeum kapitolńskim, drugą pałacem konserwatorów zowią.

Muzeum za Klemensa XII założone, a dopiero za Piusa VII ukończone, tak jest pełne posągów i płaskorzeźb, iż niepodobna ani ich spamiętać, ani opisać, zaledwo wszystkie należycie obejrzeć można.

W głębi dziedzińca kolos oceanu, Marforio zwykle zwany, znaleziony przy tryumfalnym łuku Septima Sewera, stoi w towarzystwie dwóch starożytnych także Satyrów. Pod portykiem ogromna Minerwa i pełno innych rzeźb; przy drzwiach, dwie marmurowe Dyanny, Izys z czerwonego granitu, Jowisz, posąg Adryana, słowem i bogi i cesarze wprowadzają do sali, Canopo nazwaną, pełną egipskich pamiątek.

Z tamąd wchodzi się do pokoju, którego ściany pokryte tablicami dawnych statutów, czyli ukazów, tak cesarskich jak konsulowskich, począwszy od Tybera aż do Theodoza. Dalej tam można jeszcze dawnym ołtarzom, sarkofagom i t. d. przypatrzeć się.

Wróciwszy do przedsionka, naprzeciw kolosalnego Marsa, wspaniale postrzegasz wschody, a nad ich poręczą, pian starego Rzymu, z czasów Septima Sewera. Prowadzą one do długiej galeryi pełnej kunsztownych zabytków, z której wchodzi się do rozmaitych sal. Z tych każda bogata i ciekawa, każda głównej swój ozdoby nosi nazwę.

W sali filozofów, między dawnych mędrców biustami, znajdziesz Dyo-
genesę, Homera, Sofoklesa i t. d. W tak zwaną sali wielkiej, ujrysz sta-
rożytnego Herkulesa, znalezione na awentyńskiej górze. Ten bożek
przedstawiony w dzieciennym wieku, w grubych i dość niezgrabnych człon-
kach, swój późniejszej sily nosi już zaród.

Za tą idzie sala Fauna; tam, pomiędzy wielu sławnymi posągami,
sławniejszy od nich króluje Faun. Lecz najbardziej pośpiesz do sąsie-
dniej, gdzie szczytny umiera Gładyator. Siądź tam przy nim, i patrz
i słuchaj ostatniego jęku; nie jęku boleścią rany lub przestracham śmierci,
lecz niemocą zemsty z piersi wydobywającego się. Pod tém to jedynie
niemocy uczuciem opuścił on ramie, i czoło ku ziemi jakby wstydem ci-
śnione uchyla. O rzadka to w swym rodzaju rzecz ten konający, a w swym
upadku, dumny jeszcze Gładyator! Jest to najpiękniejszy z kapitolińskiego
zbioru klejnot.

Stoją tam w koło niego różne arcydzieła. Jakiś Antynous ogólnie
podziwiany, i inne jeszcze piękne jak mówią posągi. Ale obok gładyatora
któżby na nie patrzył? One tylko do twych oczu, a on do duszy przemawia.
Nie tylko czoło jego, wzrok spuszczone i opadła ręka, ale każdy muszkuł,
wszystko w nim żyje i cierpi.

Za gładyatorem, o mało o Wenerze nie zapomniałam. O Wenerze
kapitolińskiej! o tak słynnej bogini, któraby medycejskiej rada odebrać
berło!

Niewiem czy przez skromność, bo jak jęj florencka rywalka rękami
tylko się zasłania, czyli przez dumę i niechąc się mięszać z gminem,
w osobnym gabinecie mieszka. I dobrze czyni: to odosobnienie szerzy
wdzięków jęj sławę (do których oglądania, osobnego trzeba pozwolenia).
Co do mnie, mocno pożałowałam chwil które dla niej gładyatorowi ode-
brać musiałam, i zdziwiłam się czemu mając przy sobie jakiś rodzaj bie-
lizny czy szalu, drży i rękami się zasłania. Medycejska ma tylko u stóp
swych małego amorka, na jakimś morskim siedzącego straszędzie, co tłóma-
czy rąk jęj pozycyą.

Przeciwny pałac, zupełnie zewnątrz podobny do tego z którego
wychodzimy, prócz rzeźb mieści jeszcze obrazy. W sieni dwa nas
wstrzymują posągi, Cezara i Augusta, z których pierwszy wielką słynie do-
skonałością. W głębi portyku posąg Rzymu zwycięzkiego; obok niego

króle i jeńcy; dalej egipskie starożytności, i rozliczne kolosalne ułamki. Na wschodach i gdzie się tylko obrócić można, wszędzie posągi i płasko-rzeźby.

W końcu, wchodzi się do dwóch sal malarstwem zapełnionych, gdzie między wielu piękniemi, ujrzysz najslawniejsze Guerchina dzieło: wyjęcie z grobu Ś. Petronelli. Mozaikowa jego kopja zdoła z jednej z ołtarzy Ś. Piotra.

W innéj pałacu części, znajduje się tak nazwana Protometheka. Tam, w ósmiu salach Pius VII kazał ustawić wielkich ludzi popiersia, z Pantheonu wygnane, a Canova te co swoim kosztem, jak to już wspominałam, dla zachęty młodych artystów wykonywać kazał. Przedstawiają one znakomitych z trzech ostatnich wieków, włoskich sztuki mistrzów, między których przypuszczono Niemca Mengsa, Francuzów Mikołaja Pous-sin i Suvé, jako Rzymu uczniów.

Prócz tych dolnych galeryi, na pierwszym piętrze, w dawnych konserwatorów komnatach, dość ciekawe pokazują przedmioty; najciekawszy jest stara spiżowa wilczyca, karmiąca Rzymu ojców, z etruskich jeszcze czasów, naznaczona blizną, którą jęj zrobił piorun w chwili kiedy Cezar zabójczy cios odbierał.

Zobaczysz tam prócz tego kilka pięknych fresków, rzeźb, i tego młodziana co z pięty igłę sobie wydobywa, a którego liczne odlewy po całej rozeszły się Europie.

W tymże gmachu odbywają się posiedzenia naukowego zakładu, akademją *Arkad* zwanego. Tam raz do roku, po popisach, uczniowie odbierają nagrody. Widzisz że i teraz Capitol wierny przeznaczeniu swemu, laury rozdaje..... tylko na inném zbierane polu.

Ostatnim oka rzutem te trzy nowe zmierzyszy budowy, uczulam iżbym wolała znaleźć w tém miejscu starą prawdziwego Capitolu ruinę. Ten rodzaj uzurpacyi, nieprzemawia do przekonania ani do méj duszy. Rzym katolicki jęj niepotrzebuje, ani też żadnego naśladownictwa niezgodnego z jego powagą i dumą. Może mieć artystyczne przybytki i rozdawać poetyczne wieńce, własnymi uwite kwiatami, niepożyczając od starego Capitolu jego bohaterskiej sławy, nienaruszając tych, od tak dawna zapełnionych dziejami jego ksiąg do których nowe chcieć rozdziały dodawać, jest rzeczą niepodobną, o niemal powiedziałam śmieszna.

Watykan wszakże żadnej nie wziął po nim spuścizny, a własnymi jedynie skarbami bogaty, niemniej hardo na Europę patrzy. Czy jako monarchiczny gmach, czy zbiór sztuk pięknych, niema w niej nic coby nie tylko równać się ale zbliżyć nawet do niego mogło. Jest on najwię-

kszym z pałaców, jak jego biblioteka i muzeum najszacowniejszym zbiorem, jak jego kaplice najwspanialszymi świątyniami świata.

Architektami jego byli pierwsi architekci: Bramante, Sangallo, Rafael, Bernini — malarzami Rafael i Michał-Anioł!

Pałac ten ma dwadzieścia dwa dziedzińców, a między nimi liczy się watykański plac, który ze swym obeliskiem, wodotryskami i królewską swą kolumnadą, jest także Watykanu tylko dziedzińcem! Ośm dużych a dwieście mniejszych schodów, między którymi te co z sieni Ś. Piotra się wznoszą, na wzór do wszystkich monarchicznych pałaców od wieków służą. Jedenaście tysięcy sal i pokoi!! a w ich liczbie te co Rafael swym uwiecznił pezzem, które się stancyami Rafała zowią, a mogłyby się zwać sławy jego przybytkiem; i trzy świątynie: sykstyńska, paulińska, i Ś. Piotra; ta ostatnia jakby jego główny front tworzy.

Nieraz zwiedzałam ten watykański gmach, nieraz po jego dwudziestu dziedzińcach, po labiryncie galeryi jego błądziłam, z wierzchu i wewnątrz na wszystkie oglądałam strony, ale dotąd nie pojęłam, gdzie S. Piotr się kończy a zaczyna sam właściwie pałac? jak te massy w jedną zlane massę każda osobną ma tworzyć całość? Jak te krocie sal, galeryj, dziedzińców, sieni i schodów, we wszystkie krzyżując się strony, jedna drugiej nie zabiera światła, a wszystkie jednym pokryte dachem, tworzą jeden i kilka od razu pałaców.

Pytania moje w tej mierze nieotrzymały nigdy dostatecznej odpowiedzi, a Watykan pozostał w mej głowie nierozwiązaną zagadką, bardzo opis jego utrudzającą.

Naprzykład, niewiem od czego zacząć, którym dziedzińcem wejść do tego kunsztownego a razem świętego przybytku? Jeżeli wejdziemy na dziedzińiec trzypiętrowym otoczony krużgankiem, tam zaraz napotkamy Rafała z całą jego sławą, której ten jego utworu dziedzińiec mógłby się zwać przedsionkiem.

Z drugiej strony, innego rodzaju podwórze, inne przedstawia nam kunsztu przedmioty, inne gotuje wrażenie. Mniej surowych rysów, w otwartych i ozdobnych portykach, daje przeczuć Olimp i do niego prowadzi. Tam tronuje Apollo belwederski.

Jeżeli zaś wejdziemy na wspaniałe, z sieni Ś. Piotra schody, tam znów co innego, i zupełnie co innego znajdziem. Tam już ani rokosznego Olimpu przepychy, ani mistrzów sława, lecz w głębi długich i żadnym zbytkiem nie połyskujących komnat, sędziwy starzec pobożnym powita nas uśmiechem.

Uważając Watykan w monarchiczno-świętym charakterze jego, z tamtąd właśnie godziłoby się przegląd jego zacząć. Ale tam o kunsztach

zapomina się całkiem, a my na ich byliśmy polu. Ten Watykanu terazniejszy monarcha (1), zdaje się wyższemi zajęty myślami, a my właśnie kunsztownych stolicy jego chcieliśmy posłuchać dziejów. Nieprzerwywając ich więc pod Watykanu sklepieniami, i w tę jego zajrawszy stronę, wróciemy u stóp jego pana czci naszej złożyć hołd.

Na pierwsze wejście może się zdawać także, iż galerye starożytnych posągów, pierwsze artysty powinny mieć kroki; iż ta sztuka przed malarstwem zrodzona, a jej tam zebrane plody daleko dawniejsze od Rafaela i Buonarrottego dzieł, i w zwiedzaniu pierwszeństwo miećby powinny. Wspomniawszy jednak iż ci dwaj mistrze byli poniekąd Watykanu ojcami, że ten gmach pod ich okiem, pod ich pieczę wzrastał, że oni pierwsze jego tworzyli ozdoby, zdaje się iż tam krąży dotąd ich genialny duch, iżby się obraził, gdyby w artystycznym Watykanie, któbądź przed nim iść miał.

A więc idźmy do łoż i do stancyów rafaelskich, podziwiać jego wdzięczne pomysły; bieżmy do syxtyńskiej kaplicy, gdzie początek świata, i ostateczny sąd Michała-Anioła zadziwi nas i przerazi; a w dziełach postrzegając zupełnie odmienny, całkiem spreczny mistrzów charakter, jeszcze raz zastanówmy się, jak pod wpływem takich sprzeczności mogło się coś tak doskonałego zrodzić, jak watykańska bazylika.

W jednej zrodzeni epoce, nie było dwóch bardziej sprzecznych sobie geniuszów, jak *Buonarotti* i *Sanzio*; a to w ich każdym dziecinym nawet kroku, jak w ich obrazach objawia się i uderza. Był to dąb i róża; granit na pomniki, i brylant do oprawienia w złoto i emalję. Oba na chrzcie świętym dostali anielskie imiona; ale *Rafael*, jest imie anioła czułości i miłosierdzia, a *Michał*, siły i surowej sprawiedliwości.

Le style c'est l'homme, powiedziano oddawna. Obraz i rzeźba także stylem duszy artysty się tłómaczą. Myśl nagiąć można, zmyślić uczucia, ale sposób w jaki są oddane, grunt umysłu zdradza, charakter jego mimowolnie wyjawia. W tak nazwaną trybunie medycejskiej galeryi we Florencyi, można widzieć Madony tych dwóch mistrzów pędla. Przedmiot tenże sam, a jaka między nimi różnica!

Michał-Anioł Buonarotti z szlachetnego był rodu. Ojciec ubogi ale dumny niechciał pozwolić, by, jak się wyrażał, syn miał kamienie skrobać, lub olejem mazać. Michał-Anioł uciekł skrycie od profesora gdzie go gwałtem grammatyki uczono, do pracowni *Ghirlandaja*, prosząc żeby go wziął za ucznia. Po niejakich sporach, stary Buonarotti powiedział malarzowi iż może wziąć syna, którego jako wyrodka już uważał, i na trzy lat zawarł kontrakt, zaśługi syna na własne warując sobie potrze-

(1) Gdy to było pisane, Grzegorz XVI jeszcze panował.

by. Miał wziąć za rok pierwszy złotych (florini) 6, za drugi 8, za trzeci 10. Razem 24 — na które ojciec z góry kazał sobie połowę zaliczyć.

Ghirlandajo, postrzegając już w dziecku wielkiego talentu zarody, na wszystko chętnie przystał; a gdy wkrótce uczeń mistrza błędy w swych kopjach prostował, on z pobłażającym uśmiechem przyjmował tę z dołu naukę.

Lecz, o ile Michał-Anioł znajdował przychylności i pobłażania z jego strony, o tyle od kolegów był niecierpianym. Rzecz naturalna, wyżej stał a nawet wyżej się od nich cenił!

Jak teraz w Rzymie, wszyscy zaczynają malarskie wyższego rzędu ćwiczenia od naśladowania rafaelskich stancyów, tak naówczas we Florencyi, w kaplicy *del Carmine*, Masaccia freski za wzór brano.

Michał-Anioł także tam kopjować poszedł; a znalazłszy malarza *Torregiani* od dawna już przy pracy, w jednej chwili z największą łatwością zrobił to, nad czém tamten się męczył; w dodatku, począł jeszcze robotę jego wyśmiewać. Zniecierpliwiony *Torregiani* dał mu pięścią w twarz tak mocno, iż mu nos złamał, a Michał-Anioł nie bardzo szczerze w powierzchownych wdziękach od natury uposażony, do reszty zeszpeconym, na zawsze pozostał. Po tym złamanym nosie najłatwiej go we wszystkich rzeźbach i popiersiach poznać można.

Ghirlandajo nie długo się nim cieszył. Samodzielna ta natura, ani w kopjach nie mogła dla siebie znaleźć żywiołów, ani w żadnego rodzaju skrepować się więzach.

Niezważając na kontrakt ojca, jak opuścił szkołę tak i malarza swego; lecz nie dla grania w piłkę lub hulania z kolegami; bynajmniej: gdy tanci go do siebie wołali, on w przeciwną obróciwszy się stronę, zawsze w końcu trafił do medycejskich ogrodów, gdzie się już greckie starożytności zbierały. Tam, między niemi całe dni trawił. Czasem się czczią unosił, czasem goryczą uwagi swe zaprawiał.

Zajęci tam ludzie rozmaitemi Laurentego Medyceusza fabrykami, słysząc te młodego chłopaka dziwaczne wyrocznie, dali mu dla żartu, zbytkujący im jakiś marmuru kawał, by zrobił z niego co mu się podoba. Michał-Anioł zabrał się natychmiast do niego.

Następnego ranka, Laurenty przechodząc się po ogrodzie, zanim jeszcze godzina pracy wybiła, postrzegł w odległym jego kącie jakiegoś nieznanego chłopca, z największym zapalem kującego w marmurze. Zbliżył się ciekawie, i ujrzał głowę starego Fauna wychodzącą z bryły. I robotą i robotnikiem, wszystko Medyceusza zastanowiło. „Może pozwolisz, rzekł po niejakić chwili, żebym ci jedną zrobił uwagę?”

— „Może krytykę? — już dumny swém dziełem, rumieniąc się odrzekł Michał-Anioł, mierząc okiem nieznanego.

— Właśnie, z uśmiechem odpowie Laurenty krnąbrnemu chłopcowi.

— „I cóż takiego? Radbym ją słyszał, mój kochany panie!

— „Oto, twój stary Faun, w swym uśmiechu, szeroką przetworzył gębę, a w niej wszystkie nam pokazał zęby. Gdzieżeś widział starego ze wszystkimi zębami?”

Na tę uwagę Michał-Anioł zamilkł; do krwi sobie wargę zgryzł, a gdy się nieznamy krytyk oddalił, porwał za młotek i dwa zęby swemu Faunowi wytrącił.

Na drugi dzień, młody rzeźbiarz ze świtem u bram ogrodu już czeka, a gdy je tylko otworzono, bieży kończyć swego Fauna, ostatnie mu dać rysy. Lecz cóż za rozpacz!.... głowa w nocy znikła.

....Nadaremnie ją szuka, daremnie cały ogród swemi zapełnia skarżami, nikt jej nie widział, nikt o niej nie słyszał. I któżby tak bardzo miał pożądać tego skarbu? Szyderczo mu odpowiadają ogrodowi stróże. Wszakże tu tyle widzisz szacownych marmurów największym kosztem z Grecyi sprowadzonych, a nikt ich nie kradnie, nikt się nie łakomi na nie, a na twoją głowę miałby się kto skusić?! ..

Taka odpowiedź zamiast łagodzenia, podwaja gniew i rozpacz młodzieńca. „Choćby mi przyszło do samego pójść Laurentego, woła, to mego Fauna odzyskać muszę, bo jednak on w powietrze nie uleciał!” To mówiąc spostrzeżga w dworskiej liberyi człowieka, i bieży skargę mu swą przełożyć, gdy ten mu powiada, iż właśnie pan go do siebie wołać kazał.

— „O pocziwy to pan, zawoła! musiał się o mojej krzywdzie dowiedzieć, i chce mi ją wynagrodzić. Dobrze to mówią że Medyceusze pocziwi i wspaniali ludzie. Daj Boże by zawsze naszym rządząli krajem.”

Jednak gdy z pierwszego ochłonął uniesienia, a wpośród przepysznego pałacu i jego królewskich komnat, spójrzył po sobie, postrzegł błoto i wapno na zszarzaném odzieniu, zawstydził się i niechciał iść dalej. Ale mu lokaj drugi raz rozkaz pana powtórzył, dodając iż on nie lubi i nie nawykł czekać.

Coraz mniej śmiałym postępował krokiem biedny chłopiec, a gdy drzwi gabinetu Laurentego się przetwarły, już nieśmiało oczu podnieść. Lecz cóż się z nim stało, kiedy w końcu ośmielony, poznał w Laurentym wczorajszego krytyka którego tak z góry traktował? a na jego stoliku głowę swego starego i bez zębów Fauna!....

Od téj chwili, Michał-Anioł pozostał na zawsze u swego wspaniałego pana; stary *Buonarotti* otrzymał natychmiast obietnicę jakiej tylko

zażąda posady, sam oznaczył jaką ma syn pobierać płacę, i już się go nie wyrzekał, lubo ten i nadal miał kamienie skrobać.

Starego Fauna, tę pierwszą wielkiego mistrza próbę, co mu do świąta i sławy otworzyła drogę, między arcydziełami florenckiej galerii zobaczysz.

W dziewięć lat po Michale *Buonarottim*, 1483 r. urodził się Rafael *Sanzio*. W małym miasteczku *Urbino* zwanym, stolicy księstwa tego imienia, które później zostało do stanów papieżkich przyłączone. We Włoszech też go inaczej nie zowią jak Rafael z Urbino (1), a ci co chcą w nim jakiejś niebiańskiej myśli wcielenie spostrzegać, co jakiegoś z niebem pragną dla niego spokrewnienia, uważają, iż się narodził w wielki piątek, to jest w dzień a nawet w godzinę Chrystusa śmierci, a w 37 lat potem, w podobnyż dzień, to jest także w wielki piątek umarł.

Kiedy Michał-Anioł swego Fanna w ogrodzie Laurentego ciusał, Rafael, delikatne na łonie matki wypieszczone dziecko, zaledwo je opuszczają, by ojcu czyścić paletę i pędzele.

Stary *Sanzio* Jan, był także malarzem, i syna od dzieciństwa do tejże sposobił sztuki, lecz spostrzegłszy w nim większe zdolności niż on był je w stanie rozwinąć, troskliwszy ojciec, niż zarozumiały artysta, posłał syna do *Perrugi*, do przyjaciela swego, większej sławy malarza, Piotra *Vanuccego*, od miasta w którym mieszkał, *Perruginem* przezwanego.

Rafael wziął się z zapałem do pracy. Przejął się duchem mistrza swego, i wkrótce zupełnie podobne, tylko nieco piękniejsze, tworzył obrazy. Należą one do tych co zowią z pierwszego sposobu, czyli pierwszego stylu jego (*la prima maniera*). Z tej epoki jest ślub Najświętszej Panny, w medyolańskiej galerii, z największą czcią w osobnym zamknięciu chowany.

Wkrótce potem, wslawiony w Rzymie malarz *Pinturiccio*, dostawszy polecenie malowania zakrystyi w katedrze syeńskiej, powołał młodego Rafaela do pomocy. Ale już ten takie robił postępy, iż jak *Perrugina*, tak i *Pinturiccio* daleko za sobą zostawił, a we freskach tej zakrystyi, bardzo już odznaczają się części jego wykonane ręką.

Michał-Anioł przez ten czas ciągle się rzeźbiarstwem zajmował. Lecz los mu nie tak ciągle jak w pierwszych uśmiechał się krokach.

Laurenty wspaniały umarł. Syn jego Piotr wygnany z Florencyi, w największym zaburzeniu rzeczpospolitą zostawił. Buonarotti bez protekcyi, ni zajęcia, udał się do Wenecyi; z tamąd do Bolonji, ale mu się nie

Zapewne dla odróżnienia go od innych tegoż imienia malarzy. Mengs miał także imię Rafael, i kilku innych artystów.

wiodło. W Bolonji zrobił na oltarz Ś. Dominika, dwie małe statuetki, S. Petronellę i klęczącego aniołka; te małe mu przyniosły pieniędzy, a taką obudziły zawiść iż grożono go zabić. Michał-Anioł nie czekając tego, wrócił do ojczyzny; albowiem nie mając i tam z czego żyć, a widząc w jakiej są modzie wszystkie starożytne rzeźby, zrobił uspiętego amorka w greckim stylu, złamał mu rękę, odjął marmurowi świeżości połysk, i jako starożytność posłał do Rzymu, gdzie jakiś kardynał, wielki ich amator i znawca, za taką go kupił, i dobrze zapłacić obiecał.

Otrzymałszy zadatek, niemógł wytrzymać *Buonarotti* żeby się swym nie pochwalić figlem. Ten z ust do ust wkrótce do Rzymu doleciał. Obrażony kardynał, zerwał się z targu. Michał-Anioł prócz zadatku, nic więcej nie otrzymał. Ale ci co się z kardynała naśmiewali, lub ubolewali nad nim, oglądając figlarnego amorka, z dzieła wielkie o autorze powzięli wyobrażenie. Powołany do Rzymu zaraz tam parę dostał obstalunków; zrobił między innymi tę prześliczną *Pieta* którą u Ś. Piotra teraz podziwiamy. A uzbierawszy trochę pieniędzy, wrócił do Florencyi, gdzie z rozkazu Gonfaloniera *Soderiniego*, wykonał kolosalnego Dawida, stojącego teraz przy wejściu pałacu Granduca.

Ale razem z talentem i charakter rzeźbiarza wzrastał, rozwijał się, tężał. Już tylko uwielbienia potrzeba mu było: każda nie krytyka, ale uwaga, była mu nieznośną. Gdy *Soderini* powiedział że znajduje nos jego Dawida cokolwiek zaduży, Michał-Anioł, porwał garść marmurowego prochu, a udając że nos posągu skrobie, rzucił go niby niechcący Gonfalonierowi w oczy.

Bo też ten talent był niesłychany! każdy bowiem rzeźbiarz, gdy pojmie, gdy ułoży w głowie posąg, lepi go jak najśpieszniej z gliny, w małej kilka calowej statuetce, by mu ten pierwszy pomysł nie uleciał. Następnie poprawiwszy, a najczęściej kilkakrotnie go przerobiwszy, starannie robi takież z gliny do tego już przysposobiony model, w wielkości i kształtach zamierzonej statui, ale jeszcze całkiem nagi. Dopiero draperye czy inny strój z tegoż materiału dla niego tworzy, układa, przylepia i wykończa. Podług tego modelu odlewają z gipsu drugi, i dopiero z tego drugiego czyli raczej już trzeciego, tworzyć się zaczyna marmurowy posąg. Ta ostatnia praca zupełnie mechaniczna, zwykle bywa zostawiana uczniom i robotnikom. Artysta ją tylko w końcu poprawia, i ostatnie daje rysy.

Nie taka była Buonarrottego metoda, zbyt na jego zapal powolna, długa. Gdy przyrzekł stworzyć jaki posąg, już on w tejże chwili ożył w jego myśli i duszy, już on go widział w bryle marmuru którą sobie obrał; a bez żadnej próby, modelu ni pomocy, porwał za młotek, pót kuł i ciosał, aż się jego bóstwo zrodziło.

Rzeźbiarze tylko oceniać mogą całą taką pracę zuchwałość, i oni też przed *Buonarottim* dotąd uginają kolano.

Malarstwa nie cenil: olejne mianowicie wyśmiewał, mówiąc że to jest zabawa dla dzieci. Często zrobił na płótnie szkic i dał go któremu ze znajomych do wykończenia, bo to była rzecz dla niego za mała, za nudna. Na ścianie (al fresco), bardziej mu się podobało, bo tam poprawiać nie można; trzeba robić prędko i od razu dobrze. Ale go nigdy nie próbował, gdy niespodzianie z Medyolanu przybył do Florencyi wielki w téj sztuce mistrz, *Leonardo da Vinci*.

Michał-Anioł cudzych sław nie lubił. Rafaelem, jeszcze wówczas podnoszącym się pogardzał; lecz Leonard ze swą oddawna jaśniejącą na czole artysty koroną, kłuł mu w oczy.

Leonarda, tak w całej Europie wielbionego, zostawić we Florencyi bez zajęcia, nienżyć talentów jego w jego mieście rodzinném, gdzie po długiéj niebytności wracał, byłoby za wstyd poczytane.

Soderini dał mu do pokrycia całą ścianę sali publicznych obrad, na której miał przedstawić zwycięstwo Florentczyków nad Medyolanami. Na przeciwległej ścianie miała być bitwa z Pizanami, i tę poruczył Buonarottemu.

Bitwy dla każdego malarza są najniewdzięczniejszym przedmiotem, mianowicie dla takiego, co jak Buonarotti, jedynie celuje znajomością kształtów ludzkich, bo na tych się opiera rzeźbiarska sztuka, a szyszaki, zbroje i t. d. rzeczą mu całkiem obcą. Buonarotti także, w wielkich malarskich kompozycjach jeszcze się nie próbował; nikt i on sam nie wiedział do czego jest w téj mierze zdolnym. Jednak gdy mu tę drugą zaproponowano ścianę, uniesiony żądzą mierzenia się, rywalizowania ze sławnym *Vincim*, przyjął ją bez namysłu.

Ale już tu nie postępował jak z marmurem. Zwykłym innym malarzom idąc torem, zrobił najprzód to co u nich zowią *kartonem*, to jest pierwowzór obrazu swego; a w nim zręcznie unikając trudności jakich mógł się lękać, całą scenę właśnie na swe ulubione sprowadził pole; to jest iż zamiast ubiorów mógł malować ludzi. Obrał bowiem chwilę gdy Florentczycy znużeni upałem w Arnie się kąpią. W tém nieprzyjacieli niespodzianie napada, kąpiące się wojsko wyskakuje z wody, do broni bieży, trwoga i rozpacz na każdej się maluje twarzy, niecierpliwość i energia w każdym ciała ruchu. Michał-Anioł w tém wszystkim celował. Namietność i energia były właśnie jego rzeczą. Karton też jego wszystkich zachwycił, największy obudził zapal, i poniekąd nowy nadał malarstwu charakter. Od czasu odrodzenia bowiem, widziano tylko na płótnach głowy

ręce, nogi i draperye; nagość zostawiano rzeźbie. Michał-Anioł pierwszy ją farbami oddał.

Na rozgłos kartonu tego, wszyscy się poruszyli artyści, zewsząd widzieć go przybyli; między niemi i Rafael *Sanzio*; a tak Florencyja ujrziała tę najświętszą artystycznego świata konstellacją, te trzy gwiazdy, z której jedna (Leonarda), już z horyzontu schodzić poczyniała, druga (Michała-Anioła) w samym jego zenicie najżwawszym jaśniała blaskiem, trzecia (Rafaela), niemniej jasna nań wstępowała, wznosiła się dopiero.

Sława Rafaela już dość jednak szeroko brzmiała. Wszyscy wielbili jego utwory pełne gracyi, jego pełne nadobnego wdzięku Madony; on jeden z nich nie był zadowolony. Dusza jego czuła iż sztuka może pójść dalej.

Przybywszy do Florencyi, zaraz zaczął freski Masaccia za wzór brać sobie, uczęszczać do najslawniejszych malarni. *Fra Bartolomeo* udzielił mu wiele w kolorycie dobrych rad; on wzajemnie jego nauczył perspektywy. Obraz Leonarda i ów Michała-Anioła karton, nie zostały mu także bez korzyści. Talent jego nabrał więcej hartu, obrazy więcej życia. Odtąd liczą drugi jego sposób (*la seconda maniera*), do którego należy owa licznemi kopjami całemu światu znana świata Madona w krześle (*Madona alla seggiola*), której oryginał we Florencyi pozostał, Ś. Jan, zdjęcie z krzyża, teraz w galerji Borghesów, Madona nazwana *la belle jardinière* teraz w Louvrze będąca, i wiele innych arcydzieł.

Działo się to za Juliusza II. Papieża tego można S. Piotra i całego Watykanu prawdziwym nazwać piastunem. Architekt *Bramante*, wuj Rafała, prowadził te dwie wielkie budowy, i co do nich, pierwszym był Ojca S. doradcą. Za jego pośrednictwem, Rafael liczący dopiero lat 25, został powołany do ozdób Watykanu, przez Perrugina już rozpoczętych.

Papież tak był pochlebnie i publicznym głosem, i przez *Bramanta* za młodym artystą uprzedzony, iż chciał żeby on zmaszał poprzednika swego robotę. Lecz Rafael pamiętając że był jego uczniem, zawsze skromny, jak bez zawiści tak i bez zarozumienia, niechciał dopuścić się tej artystowskiej zbrodni.

Pokoje te watykańskie, jemu wówczas poruczone, nazywają Rafała stancyami (*le Stanze*); są one podstawą wielkiego mistrza sławy. Ta sława jeszcze nieśmiałyłm wszedłszy doń krokiem, wyszła z gwiazdą na czole; nie wyszła, ale orlim w świat puściła się lotem.

Stancyów tych jest cztery; w nich dziesięć lat jego życia i pracy! Dla potomności niewyczerpane źródło podziwu; dla artystów szacownych wzorów skarb; a nawet dla bjoграфа nie są bez wartości. W każdej

z nich widać, nie tylko talentu znaczny postęp, lecz umysłu, prawie charakteru artysty rozmaite zmiany, jak zwykle, wpływem okoliczności wprowadzone.

Już teraz ściany te czasu ręką uszkodzone, wypadkami znieważone, ludźmi zebrane, straciły swą świeżość, lecz głównych nie straciły zalet. Wpatrzywszy się w te całe poemata, w ogromnych rozwinięte ramach, poemata wymagające nie tylko szerokiego pojęcia, ale głębokich nauk i rozlicznych znajomości, podwójnie dziwić się należy, jak młodzieniec, wyłącznie od lat dziecinnych malarstwu oddany, mógł je ogarnąć, i tak szczerze ze swęj wylać duszy. Bo inną jest jeszcze rzeczą zrobić pięknie familją świętą, nadać bozki wyraz dziecięciu, dziewiczy i niebiański matce, niż całą epopeę tworzyć.

Widok Rzymu, wstrząsł zapewne, rozdał tę młodą duszę, obudził, i do dawnych, nowe dodał zdolności. Zachwycenie Rafaela przy pierwszym do tej wiekopomnej stolicy wstępie, i stałe jęj zamilowanie (gdyż do ostatniego dnia już z niej nie wyszedł) tego dowodem. Ale niemniej także rady *Bramanta* i innych znakomitych przyjaciół, dopomogły mu w kompozycji stancyów.

Jak tylko bowiem Rafael okazał się w Rzymie, *Avriost* i wielu innych, z przychylnym uśmiechem tę nową powitały pobratymczą gwiazdę. Jeżeli z jednej strony, powierzchowność wdzięczna, naiwna skromność wielkiego artysty, tę sympatyą tłómaczy, z drugiej, znakomity jego talent i coraz szerszy rozgłos, zadziwiającą ją czyni.

Lecz każdemu zapewne zdarzyło się w życiu słyseć pochwały obficie jednemu sypane, dla zaćmienia niemi innej jakiejś cudzej wartości, dla zagłuszenia niemi gdzieindziej sławnych pochwał. Otóż i tu toż samo było zdarzenie.

Każdy ówczesny artysta, przeczuwał powstanie nieznanego przedtęm zjawiska, jakiejś kolosalnej sławy, przed którą wszystkie sławy upadną, która je wszystkie zaćmi.

Mówię o *Buonarottim*. Michał-Anioł był rzeźbiarzem, architektem, malarzem, poetą; wszystkie w rękę nosił berła; nikomu swych talentów nie był dłużnikiem; od nikogo się ich nie uczył; nikogo nie naśladował nigdy. Była to ogromna potęga; wszyscy się jęj lękali, a na tych czele Bramante, któremu prócz sławy, chodziło jeszcze o monarsze łaski, o miejsce, o dochód.

Spodziewano się w Rafaelu znaleść dla niego rywala, i pokochano nie tylko, a może nie tyle, Rafaela, jak przeciwnika, przyszłego zwycięzcy Buonarottiego. Dopomagano do jego sławy, szerzono ją ile możności; tak, że zanim on do najwyższego szczytu talentu swego doszedł, już był

oddawna pierwszym malarzem świata uznany. Rozgłos imienia jego, głuszył w Rzymie Michała imię, nie dopuszczał go do papieżskich uszu; a jednak mimo tych wszystkich zabiegów, straszliwe to imię do Watykanu trafiło.

Juliusz powołał Buonarrottego do zrobienia dla siebie nagrobka; a co gorsza, jak tylko go poznał, polubił go serdecznie.

Juliusz i Michał-Anioł mieli obaj coś popędliwego i ostrego w charakterze, obok żądy jakiejś nieograniczonej, nieznannej wielkości, słowem pełno pobratymczych zalet i wad, które wzajemny pociąg do siebie czuły.

Papież chciał pomnika jakiego przedtem świat nie widział. Rzeźbiarz przyrzekł kolosalny monument, czterdziestu ozdobiony posągami, czterdziestu posągami Michała-Anioła dłuta!! prócz płaskorzeźb i innych kunsztu bogactw.

— „Ileż to będzie mogło kosztować zapytał monarcha?”

— „Okolo sto tysięcy skudów, odpowie artysta.”

— „Dwakroć, jeśli potrzeba, zapalając się coraz bardziej, przerwie Juliusz; jedź zaraz do Karrary, sam marmury wybierz, i pamiętaj w każdej potrzebie wprost się do mnie udawać, bez niczyjego pośrednictwa, albo lepiej jeszcze: każę rzucić most z moich pokoi do pracowni twojej, i codzień sam cię w nią odwiedzać będę.”

Pomnik ten równym był dla Buonarrottego szczęściem, jak stancye Watykanu dla Rafała. Każdy z nich widział w tej zadanej sobie pracy zaszczyt, los i sławę.

Rzeźbiarz pojechał do Karrary, pełen myśli, nadziei, przyszłości; cały swym zajęty planem, zaczął góry pruć. Lecz zobaczywszy białe ich łono, przyszedł mu nowy, dziwaczny pomysł, dający wybujałych jego wyobrażeń miarę. Zachciało mu się, nienaruszając skały, z niej samą utworzyć jakiegoś poczwarnego olbrzyma, któryby nad morzem się wznośząc, zdaleka przyświecał okrętom.

Lecz ten nowy projekt, papieżkiemu kroku ustąpić musiał. Michał-Anioł zostawił go na dalsze czasy, i nigdy nie doprowadził do skutku; a teraz wyprawiwszy do Rzymu marmur, sam za nim pośpieszył.

Ale w Rzymie zmieniła się postać rzeczy. Kiedy artysta w Karrarze sobie marzył, w Watykanie intryga nie spała. Trzeba jednak powiedzieć, iż Rafał osobistego niebrał w nią udziału. Charakter jego tak słodki jak imię, dusza tak czysta, tak kochająca jak wyraz jego niebiańskich dziewic, niebyłyby do tego zdolne. Cały zajęty miłością, między dwa podzielał ją przedmioty: sztukę i kobiety. Obu się zapamiętale oddawał. Na nic więcej w życiu jego czasu, w sercu miejsca nie było.

Gdy Michał-Anioł do Rzymu wrócił, ogromne marmuru stosy, połowę watykańskiego zalegały placu; majtkowie co je złożyli, płacy się dopominali. Artysta dawnyim zwyczajem, i pomnąc na ostatnie Juliusza zalecenie, wprost z tém do niego poszedł. Lecz odźwierny zastąpił mu drogę. Na drugi dzień podobnaż jeszcze zniewaga; a gdy mniemając iż to jakiegoś nieporozumienia skutkiem, Michał-Anioł swe wymienił nazwisko, służący mu odrzekł, iż go zna, lecz że wyraźne ma od pana swego polecenie, żeby go niepuszczać.

Rzeźbiarz zbladł, ścisnął zęby..... we dwie godzin już go w Rzymie niebyło.

Papież niespodziewał się tak gwałtownych swęj nielaski skutków; a rozpaczając po artyście, gońców za nim posłał.

Ci go aż w *Poggibonsi* o kilka mil od Florencyi dognawszy, nie nie wskórali. Buonarrotti powiedział że woli do Turcyi niż do Rzymu pojechać. Sultán właśnie mu jakieś propozycye czynił. Michał-Anioł mniemał że go lepiej będzie niż papież traktował.

Juliusz się udał do gonfaloniera *Soderiniego*, zagroził całą zburzyć Florencyą; lecz i tym sposobem nie odzyskał zbiega.

Michał-Anioł zawzięty i uparty, do Turcyi jednak nie pojechał. Siedział we Florencyi, i gniewał się na papieża i na świat cały; przeciwnicy jego w Watykanie tryumfowali; a Juliusz nową zajęty wojną, na późnej swą odłożył zemstę. Poszedł na Bolonją, a sam jak zwykle wojskiem dowodząc, wkrótce ją zdobył.

Bolonja już sąsiadką Florencyi się mieni. Gdy Buonarrotti dowiedział się że papież w niej jest, przyszedł mu żal swój wynurzyć; niewiem czy postradanych łask jego, czy téj pracy, której duszą i sercem pragnął, tego pomnika co i jego imienia miał zarazem być pomnikiem, w którym już tyle jego genialnych pomysłów, tyle spoczywało nadziei.

Pobiegł do Bolonji, i wedle zwyczaju ukląkł przed Ojcem Świętym.

— „Cóż to, rzekł do niego rozgniewany Juliusz, zamiast pośpieszyć do mnie, czekałeś żebym ja do ciebie przybył?”

Znając popędliwość papieża, wszyscy tam przytomni drżeli, nikt słowa przemówić nieśmiał; a gdy i artysta nic na to nie odpowiadał, jakiś kardynał, przez *Soderiniego* przysłany dla dania téj kłopotczącej go sprawie dobrego obrotu, ozwał się w końcu, dowodząc że artyści nigdy nie wiedzą co czynią, że za obrębem swęj sztuki całkiem są głupcami, a zatem na pobłażanie zasługują.

Papież, jeszcze bardziej takim tłómaczeniem oburzony, niemogąc znieść żeby *Buonarrottego* zwano głupcem, na biednego kardynała cały swó gniew wylał, a artyście przebaczył.

Jednak, czy to lękając się nowych domowych intryg, czy innym wiedziony powodem, nie kazał mu dla rozpoczęcia pomnika natychmiast do Rzymu przybyć, tylko zażądał spiżowego posągu do postawienia na szczycie katedry bolońskiej. Michał-Anioł z największym wzięciem się do niego pośpiechem, widząc za nim swych głównych życzeń przedmiot.

Juliusz nie znalazł się zadowolony projektem artysty, który mu wznosił prawą rękę jakby do błogosławieństwa, a w drugą biblję czy brewjarsz włożył. Zamiast książki chciał mieć szablę. »A ta wzniesiona ręka, zapytał, co tu ma oznaczać?« — Buonarrotti domyślając się wtenczas iż to ma być raczej zwycięzcy bolońskiego niż Ojca Świętego posąg, zręcznie odpowiedział, że ona grozi Bolończykom, gdyby nie mieli być ulegli i grzeczni.

Statua w kilka miesięcy ukończona, i ze spiżu odlana, jak najlepij się udała. Ale co przewidywał artysta później nastąpiło. Lud był niegrzeczny, a niezważając na grożącą rękę, w kilka lat potem potłukł robotę jego, z jej materiału ułał szauicowe działo, które dla pamiątki, Juliusza ochrzcił imieniem.

Michał-Anioł jak drugi Jakób, co dla Racheli siedm lat służebnictwa się podjął, odbywszy swą bolońską próbę czy pokutę, pośpieszył do Rzymu, w nadziei przystąpienia do nagrobka. Lecz także jak Jakób, drugi jeszcze tam napotkał nieprzewidziany opór, drugą i okrutną do przebycia próbę!

Przeciwnicy rzeźbiarza, zastraszeni bolońską zgodą, użyli na nowe intrygi czasu, posągiem papieża zabranego. Nieprzewidując iżby nową między panem a artystą podniecić zdołali wojnę, i zerwać ich ściśle stosunki, w inny go sposób podkopać sprobowali; bo łatwiej zwichnąć trudność niż ją obalić.

Wiadomo było iż w rzeźbie niemał podobnego sobie; iż na tém polu on pewno będzie zwycięzcą; a więc trzeba go było zręcznie sprowadzić z niego. W malarstwie królował Rafael: czemużby te dwie sławy nie miały się w tym zawodzie spotkać?

Juliusz był stary, i jak zwykle bywa, z każdym rokiem co mu grób przybliżał, imniej o nim myśleć lubił, odwracał od niego oczy. Wyperśwadowano mu, iż grobowy pomnik złą jest wróżbą, że zwykle wywołuje mieszkańca swego. Gdy Buonarrotti zaczął mu o nim mówić, zmienił rozmowę, a w końcu także w skutek zręcznej namowy, oświadczył iż pilniejszą ma dla niego pracę, to jest ozdobienie freskami sufitu sytyńskiej kaplicy.

Na te słowa, Michał-Anioł osłupiał: mniemał że z niego żartują.

— „Ja jestem rzeźbiarzem, zawołał! Wszakże malarskie ozdoby Watykanu są poruczone Rafałowi z Urbino, malarstwo nie moją jest rzeczą! Ręka do dłota nawykła, niepotrafi z pędzlem się pieścić.”

— „Ty jesteś malarzem, jak rzeźbiarzem, wszystkiem czém być chcesz, odrzekł Ojciec Święty, a co do ozdób Watykanu, *Sanzio* by im wszystkim wydolać nie potrafił. Jemu zostawiam pokoje, ty weźmiesz kaplice.”

Piorun na głowę artysty spadły, nie byłby go więcej przeraził, przygnębił. Zamiast marzonego przez tyle czasów pomnika, malować sufit! Stanąwszy na szczycie rzeźbiarzędz sztuki, zacząć się w malarstwie *al fresco* próbować, i tę próbę w czterdziestym zaczynać roku, i na sklepieniach watykańskiej świątyni!

Sławny jego bowiem wojny pizańskiej karton, nigdy na ścianę przeniesiony nie został. Florencyja w ciągłych żyjąc zaburzeniach, nie zawsze swym artystom dość swobodnych chwil zostawiała do wykonania rozpoczętych prac. Tak i wówczas się stało: karton ten podczas jakiegoś politycznego zamieszania zaginął. Niektórzy mówią, że go częściowo na wzory rozehwytano sobie; inni, że zawistną zgładzony został ręką. Ten ostatni wniosek, *Benvenuto Cellini* w swych pamiętnikach potwierdza.

Ztąd wynika iż Michał-Anioł, który podniecony wówczas Leonarda przytomnością, miał uczyć się robienia fresków, zaniechał całkiem tej sztuki; a oddając się rzeźbie, ledwo kiedy niekiedy, jakby przez dystrakcyę i niedbale, rzucił jakiś szkic na płótno.

Po tej z papieżem rozinowie, rzeźbiarz przy swych pozostały marmurach, na watykańskim placu czekających od niego życia, tchnienia i myśli, na jednej usiadłszy bryle, nie podniósł wrytego w ziemię wzroku. Następnej doby, zorza jeszcze go w témże miejscu, w tejże samej postawie znalazła. Ale ta noc bezsenna, wiele mu objaśniła tajemnic wiele rozwiązała nieodgadniętych zrazu dla niego pytań.

Pomiarkował iż tu, w miejsce skrytej i podstępnej, otwarta zaczyna się wojna; iż nieprzyjaciel upatrzwszy najeżony trudnościami i niebezpieczeństwem dla niego grunt, wywołuje go by na nim do walki stanął.

Charakter Buonarrottego nie był z tego rzędu, coby się w podobnym razie cofnąć dozwolił.

Na drugi dzień, rzeźbiarz kazał odpowiedzieć Juliuszowi, że się kaplicy syxtyńskiej podejmuje; posłał do Florencyi po takich coby mu pokazali mechaniczną część ściennego malowania; a nauczywszy się, jak się do tego przyrządza wapno, jak się rozrabiają i kładą nań farby, za-

płacił ich, pożegnał, i sam jeden bez niczyjej pomocy, zamknął się w nowej swjej pracowni, niedozwalając nikomu do niej przystępu.

Tak to, gdy w jednym końcu pontyfikalnego gmachu, dniem i nocą samotnie pracuje człowiek ponury, brzydkiej twarzy, żelaznej duszy, hardego umysłu, niedoścignego talentu; od wszystkich nie lubiony i nie lubiący nikogo, stroniący od ludzi, o wygodę niedbały, gardzący przepychem, w swój tylko zakochany sztuce, swą tylko dumny sławą; w drugim jego końcu, tworczy także geniusz, człowiek młody, wesół, bogaty, piękny i roskosze lubiący, wpośród trzydziestu uczniów, wpośród samych przyjaznych uczuć, z sercem pełnem miłości, swe estetyczne pomysły miękkim i wdzięcznym pędem, na uwielbienie potomności także przesyła.

W obrazach też razem się wówczas rodzących, w ich układzie i charakterze, można od razu wyczytać nietylko twórców ich usposobienie, ale i towarzyszące ich dziełom okoliczności. U Michała-Anioła sama się objawia energia, do walki potrzebna siła; u Rafaela panuje miłość, gracya, i szlachetnych uczuć wyraz. W późniejszych i gdy do najwyższych doszedł u dworu łask, zarzucają mu do pochlebstwa skłonność. Bohaterom i świętym zaczął nadawać swych dobroczyńców rysy, i w podobny sposób szczytny kłaść talent; lecz naówczas jeszcze od pierwszej swjej nie odszedł był prostoty.

Sanzio zaledwo dosięgał lat trzydziestu, a już był nietylko Watykańu malarzem, ale licznej szkoły mistrzem. Najpierwsi artyści własne opuszczali pracownie, poczytując sobie za honor pod jego pracować przewodnictwem, własne imię jego zacierać imieniem. W stancyach Watykanu, nie jedna też ale trzydzieści stało sztalug, a ten którego zwano tam mistrzem, nie pragnąc, nie szukając uczniów, tylko kolegów i przyjaciół, od jednej do drugiej się przechadzał; tu dał radę, tam błąd poprawił, wszędzie zostawił swjej ręki ślad, pod nią, kilku rysami wszystko rafaelską przybierało postać, i pod tém hasłem szło zdumiewać świat.

Inaczej, to lubo pełne lecz zbyt krótkie życie, nie byłoby i połowy zostawiło po sobie tych arcydzieł jakimi się Europa szczyci. Razem bowiem ze stancyami i lożami Watykanu, pełno się tworzyło portretów, pełno innych obrazów, do monarchicznych teraz należących zbiorów, a prócz tego urwane sztuce, ukradzione przyjaciółom i światowym stosunkom minuty i sekundy, posiadała czule i aż do śmierci kochana *Fornarina*.

Kochanką być Rafaela!... Już wyobrażasz sobie zapewne coś środkującego między aniołem a różą!... bynajmniej, portrety *Fornariny* jedne do drugich niezupełnie podobne (lubo jak ich właściciele dowodzą, pędła Rafaela lub Juliusza Rzymiana, najpierwszego z jego uczni), przedstawia-

ją otyłą brunetkę, czarnych oczu, pięknych i śmiałych kształtów, lecz nie a nie do rafaelskich niepodobną dziewic. Była to córka piekarza z Trasteweru, i dla tego przezwana *Fornarina*, iż piekarz po włosku zowie się *fornajo*. Innego jój nieznano imienia.

Gdyby to niebyło wielką niedorzecznością pytać co mogło w niej tak wielki mieć dla Rafała pociąg, i tak stale go przywiązać, nie raz bym już była to pytanie zrobiła. Ale kto się kocha, czyż sam wie czemu i dla czego? Niedorzeczność tylko mocy namiętności dowodem, i nie więcej.

Rafał, jak widzisz, nie tylko nie miał duszy skłonnej, ale nawet czasu do nienawiści i intrygi. Owszem, wysoko cenił Michała-Anioła, czi mu swój nie odmawiał, i często powtarzał, iż dziękuje przeznaczeniu, że go w jednej z nim w świat rzuciło epoce.

Nie tak się działo z Buonarottim. Oddawna z góry traktując urbińskiego artystę, odmawiając mu genjuszu, utrzymywał że on tylko dowodem, co z pilnością i pracą otrzymać można. Teraz zaś po ostatnim wuja jego Bramanta podstępie, w skutek którego zamiast tworzenia pomnika, został sytyńskim malarzem, teraz gdy go postawiono naprzeciw rywala którym pogardzał, nieprzestawał pociski na niego rzucać.

Dowiedziawszy się że Sanzio zaczął obraz Przemienienia Pańskiego natychmiast rzucił na płótno szkic wskrzeszenia Łazarza, lecz niemając czasu do wykończenia (bo papież codziennie swojej kaplicy się dopominał), posłał po Sebastjana *del Piombo*, żeby pod jego robił okiem, i naprzeciw transfiguracyi Rafała postawił.

To pierwsze wyzwanie wcale mu się niepowiodło. Prześliczny Rafała obraz, dotąd na całą Europę sławny, acz wówczas niedokończony, zupełne otrzymał zwycięstwo. Buonarotti lubo pod Sebastjana del Piombo niezgrabnie ukryty imieniem, jeszcze bardziej zgrzytał zębami; a raz jednego gdy się artyści rozeszli, wszedłszy do malujących się ciągle stancyów, uderzony postępem, jaki się mianowicie w drugiej i trzeciej objawia: Oho! zawołał, *Bramante* musiał swemu siostrzeńcowi sufit mój pokazać.

I tak istotnie było: *Bramante* jako główny architekt Watykanu, wolne miał wszędzie wejście, podwójne do wszystkich drzwi klucze. Mimo całej ostrożności Michała-Anioła, który najczęściej nocy na swój sztaludze spędzał, upatrzawszy dobrą chwilę, gdy on był do papieża zawołany, tajemnie do kaplicy siostrzana wprowadził, a Rafał to zaraz na swą obrócił korzyść.

Od tej epoki liczą trzeci Rafała styl, szerszy, silniejszy, więcej sprężystości mający, i już zupełnie od *Perruginu* i *Fra Bartolomeo* odmieniony, a jednak zawsze rafaelską noszący powłokę.

Tajemnica jaką się otaczał Michał-Anioł, podwajała ogólną niecierpliwość. Rzym wrzał pod nią; nie miał innéj rozmowy, innego zajęcia. Potworzyły się dotąd w nim jeszcze niezgasłe partye; jedne widziały w Rafaelu genialne technienie, niebiańską myśl w piękném ciełe zamkniętą, drudzy talent jego zwali niewieścim, i w drugim go mieścili po Buonarottim rzędzie.

Wszystkie jednak niecierpliwości były niczém w porównaniu starego papieża. Nie było dnia, nie było godziny, żeby nienaganiał biednego artystę, żeby mu pozwolił swobodnie pracy się oddać.

Już to tak dwadzieścia miesięcy trwało: spojrzawszy na sklepienie sytyńskie, jest to niczém; dla Juliusza o kiju już chodzącego, było to wiekiem. Papież niemogąc w końcu swéj niecierpliwości powściągnąć, kazał sobie gwałtem drzwi kaplicy otworzyć, i śucho oświadczył artyście, że choćby go przyszło ze sztalugi zrzucić, żąda mieć w niéj mszę na dzień wszystkich świętych.

Buonarotti wiedział, że starzec gotów dotrzymać co powiedział. Zostawując zatem niektóre części nie całkiem wykończone, na dzień oznaczony uprząłnął kaplicę, a niecierpliwy Rzym cały poniósł się ją oglądać.

Wrażenie było ogromne, niesłychane! Później ozwały się uwagi, lecz w pierwszój chwili zadziwienie z otwartemi każdego trzymało usta; nie tylko mowa ale myśl pod niem zaniemiała.

Opisywać tego obrazu, czyli raczej tych stu obrazów, niepodobna. Jest to całe stworzenie świata, na rozmaite części w rozmaitych pozamykane ramach, poprzedzielane między sobą innemi jeszcze dodatkami i ozdobami.

Nietrzeba tam szukać ani biblijnéj surowości co do ogółu, ani w szczegółach téj świętości, téj nawet przyzwoitości, jakaby miejscem wymaganą być mogła. Co do kompozycyi, Dante głównie się przebija, a w szczegółach niewczesne jakieś, że tak powiem, tu i owdzie Olimpu przypomnienie. Ale wszędzie, w każdéj twarzy, figurze, postawie, prawda tak wielka, tak wszelkie przechodząca pojęcie, iż dotąd, gdy czas już i farby i ówczesne wrażenia przyćmił, jeszcze się zdaje, że zaraz chodzić, mówić zacząną, bo już myślą, już się ruszają.

Gdym weszła do téj kaplicy, znając już nieco styl Buonarottego, a samą kaplicę z licznych jéj kopji (które wprawdzie żadnego o oryginalne nie dają wyobrażenia), jeszcze podobnemuż zadziwieniu uległam, a cóż gdy bez tego przygotowania, po raz pierwszy ujrzano rzecz całkiem w malarstwie przedtém nieznaną!

Tak jest, obrazy *Buonarottego* o tyle zadziwiają, o ile *Sanzia* zachwycają, unoszą. Porównania żadnego między niemi stanowić niego-

dzi się. Gdy się na ten patrzy, o tamtych się niepamięta, i odwrotnie. bo każdy z nich całą pochłania myśl.

Bardzo też rozumiałam piorunujące (jak ówcześni pisarze nazwali), pierwsze syxtyńskiego sklepienia wrażenie; ale wyznać muszę, iż także rozumiałam tyle wyśmianego Adryana VI, który z grubém rzeczy pojęciem, po Medyceuszu na apostolski tron wstąpiwszy, znalazł iż ten sufit bardziej do rokoszują jakiej altany, niż do pobożnego przypadłby przybytku. Z czego proszę nie wnioskować iż podzielałam także papieża tego zdanie, gdy chciał Laokoono i Apollina belwederskiego na kawalki potłuc, znajdując w czci im niesionój, bałwochwalcze zarody.

We dwa lata po odsłonięciu sufitu syxtyńskiego, Juliusz II umarł, polecając synowcom pomnika swego dokończenie, w skromniejszych jednak wymiarach. Michał-Anioł już był do niego zrobił potężnego Mojżesza (o którym ci u S. Piotra w okowach wspominałam), i młodzieńca nazwanego *Zwycięzstwem*, do Florencyi przeniesionego. Pomnik zaś tak długo marzony i upragniony, same tylko zrodził dla artysty niesnaski. Synowcowie papieży nań skąpiąc, chcieli mu dowieść, iż ogromne wziął na to summy, i brzydki rozpoczęli proces. Robota tym procesem, późniéj innemi jeszcze wypadkami, jak to następnie opowiem, przerwana, nieprędko potem za papieża Pawła III, przez uczniów Buonarrottego, jakotako tylko dokończoną została, a nagrobek już niekolosalny, zachował dla swój sławy, jednego Mojżesza, który naturalnie teraz za duży i nie we właściwym dla swych wymiarów miejscu, wiele traci. Mimo to, nosząc genjuszu piętno, ogromne i tam sprawia wrażenie.

Po Juliuszu nastąpił Leon X, całkiem do rafaelskiej należący partyi; Michał-Anioł trapiiony procesem, wydalil się beczynny do Florencyi, a *Sanzio*, po śnierci *Bramanta*, został mianowany architektem Ś. Piotra.

Rafaël, jak każdy naówczas artysta, znał architektury zasady; we Florencyi się w niéj ćwiczył, a w Rzymie postawił dla siebie dom nad brzegiem rzeki, i willę którą jeszcze w ogrodzie Borghezów ci pokażą. Jednak gdy został do tak wielkiego powołany gmachu, zaczął przeziierać wszystkie starożytne o architekturze dzieła, a nawet własnym kosztem posłał do Grecyi po rozmaite plany; w końcu zrobił model, który wszystkich zadowolnil, prócz niego samego, jak o tem w pozostałym z tych czasów nam liście się wyraża.

Panowanie Leona X, rozpoczęło najsmutniejszą dla Buonarrottego, a przeciwnie najświetniejszą epokę Rafaëla życia, już niestety! do swego zbliżającego się kresu.

Medyceusz, jakby dla zbycia się Michała-Anioła, prócz genjuszu, mającego jeszcze, jako Florentczyk, do jego względów prawo, chciał go we

Florencyji zająć. Polecił mu najprzód facyatę Ś. Laurentego, następnie pośmiertną familji swęj kaplicę; lecz nie dał na to pieniędzy, ani się rzetelnie tém wszystkiém zajmował. Rafaela zaś tak wysoko cenił i kochał, iż nie tylko swą katedrę i pałac, ale wszystkie starego Rzymu pomniki, pod jego oddał opiekę. Dekretem papieżkim, niewolno było nikomu bez wyraźnego urbińskiego malarza pozwolenia, tknąć się żadnego z jakiegobądź ruiny, kamienia, pod karą 300 skudów. Nareszcie przyrzekł mu tajemnie, iż pierwszy wakujący kardynalski kapelus, będzie dla niego, myśl która się nie jednemu teraz dziwaczną może wyda.

Jak zwykłe, za wzorem pana, wszyscy, a mianowicie dworzanie, także go dowodami przyjaźni darzyli. Kardynał Bibiena za własne uważał go u siebie dziecie, i nalegał, żeby się z jego synowicą żenił. Rafael długo się bronił, prosił o kilka lat zwłoki, dając za przyczynę zatrudnień zbyteczny nawał. Jedni przypisywali ten wstręt do małżeństwa stałej i zapamiętałej dla *Fornariny* miłości, inni posądzali, iż nadzieja kardynalskiego kapelusza, większy jeszcze ma w nim udział. Rafael dał się w końcu skłonić; lecz narzeczona jego, Marya *Bibiena*, niebawnie po zaręczynach umarła, i na swym tylko grobie, małżonką Rafaela się nazwała. *Vasary* czytał jeszcze ten jej grobowy napis, naprzeciw Rafaela grobu, w Pantheonie umieszczony.

Nicby jednak dziwnego niebyło, gdyby na ożenienie czasu mu brakło. Prócz stancyów, nowy tworzył w Watykanie dziedziniec, otoczył go trzypiętrowym portykiem, a każdy z nich prześlicznemi zdobił freskami. Przedstawiają one w 52 medalionach, całą treść starego testamentu. Przewalali je rafaelską biblją, jak cały portyk rafaelskimi lożami. Niektórzy wnoszą, iż on pierwszą tych ozdób myśl powziął z Tytusa termów, gdzie podobnego rodzaju znajdują się szczątki. Czas im wielką przyniósł szkodę, pełno jednak anielskich twarzączek dójrzyć tam dotąd można.

Jeszcze był Watykanu nie skończył, kiedy się papieżowi zachciało mieć obicia, kobierce i makaty, jakich nikt w świecie niema. Rafael musiał mu rysunki do nich tworzyć, a te do Flandryi posłane, dokładnie, ale niesłychanym wykonane kosztem, teraz pod nazwiskiem *Arazzi*, podziwiane są w watykańskim zbiorze. Przedstawiają także z historii świętej brane przedmioty.

W téjże porze zrobił dla Franciszka I Ś. Michała, w luwrańskiej teraz będącego galerji, a król tak mu za niego znaczną przysłał summe, iż artysta, przez wdzięczność, drugą do Paryża w dodatku posłał pracę swoją.

Do najpiękniejszych jednak dzieł jego, liczą ozdoby villi *Farnezina* zwanój. Należała ona wówczas do sławnego bogactwy swemi bankiera

Chigi. Ten póty nie dał pokaju Rafaelowi, aż się on podjął salony jego freskami ozdobić. Przedstawił w nich całą *Psyszy* historią, a tak nadobne nadał swym urojeniom kształty, iż miłością *Psyszy*, bardziej jeszcze własną podniecał miłość. Dziesięć razy na dzień rzucał peźle i do stóp Fornariny leciał. Bankier widząc robotę niepostępującą w miarę swych życzeń, wysledził przyczynę częstych artysty ucieczek, i natychmiast znalazł sposób przytrzymania go przy niej; sprowadził Fornarinę do swego domu.

Villa Farnezina, później Farnezów i królów neapolitańskich własność, stoi teraz opustoszała, lecz jeszcze swemi freskami sławna. Pójdź je oglądać, Antosiu. Pokażą ci tam także węglem narysowaną głowę, dużą, śmiałą, hardego wyrazu, co z góry jakby zły jaki duch, na te poetyczne Sanzia utwory, dwoje ogromnych wlepiła oczu. Skreśliła ją ręka sławna Michała-Anioła.

Wpadłszy tam razu jednego w nieobecności malarza, w złym jak najczęścięj humorze, wysmiewając Rafaela miękką i wdzięczną robotę, porwał jakiś węgiel, a rzuciwszy na ścianę ten hardy szkic, odwrócił się do chłopca co tam farby rozcierał: »powiedz, rzekł, swemu sławnemu mistrzowi, iż to tak się rysuje!»

Rafaël tych fresków w drugim salonie niedokończył. Po jakiejś zbyt wesolej nocy, wróciwszy nad rankiem do siebie, uczuł się słabym. Doktorzy nierozsądnie krew mu puścili (gdyż dotąd jeszcze we Włoszech na tem się głównie, jeśli nie wyłącznie, sztuka lekarska zasadza). Chory we trzy dni już nieżył.

Czując zbliżający się koniec, Rafaël ku wieczności myśl zwrócił, i w chrześcijańskim skończył duchu, 7 kwietnia 1520 roku, w wielki piątek, o 3 w nocy, trzydzieści siedm dokonawszy lat! Ci co w życiu jego usiłują jakieś niebiańskie upatrywać oznaki, muszą zapewne żałować, że nie cztery lat pierwěj, żeby jak Chrystus, miał trzydzieści trzy. Żądał, by zwłoki jego, w trzeciěj Pantheonu niszy, spoczywały pod Najświętszěj Panny posągiem, który jeden z uczniów jego obowiązał się zrobić, i zrobił.

Niepodobna opisać całego Rzymu wzruszenia i żalu. Młody jeden margrabia pisał do matki:— »Jesteśmy tu w Rzymie dla zabaw, ale Rzym od śmierci Rafaela wydaje się nam wszystkim pustką i grobem.»— Gorzej jeszcze dotąd prawdziwi sztuki lubownicy nad jego tak wczesnym boleją zgonem. Mówią, iż spotkanie się takich dwóch ludzi jak Leon X i Rafaël, już może się w dziejach kunsztu nie ponowić; a obliczyć nie mogą, coby to jeszcze te dwie połączone potęgi geniuszu i władzy, potomości zostawiły.

Bo co dla niego, niepodobna zdaje się było piękniej kończyć, jak na szczycie talentu, pośród woniejących kwiatów sławy, młodości, zaszczytów i miłości. Cóż lepszego to wszystko przeżyć, i dopiero na tych krwawemi łzami skropionych grobach, swój ziemny śląc grób.

Taka owszem jak jego śmierć, powinnaby, zda mi się, najbardziej być pożądaną, i nazywać się *rafaelską śmiercią*.

Papież mu pyszny kazał sprawić pogrzeb. W pośmiertnej sali gdzie ciało jego wystawione było, zanim go do Pantheonu złożono, zawieszono niedokończony jego obraz Przemienienia (*transfigurazione*), ten obraz co w walce z Buonarottim zwycięstwo odniósł, a który później przez Juliusza Rzymiana (*Giulio Romano*), najpierwszego z uczni jego wykończony, dotąd pierwsze między obrazami trzyma w świetle miejsce. Pójdź go w watykańskim podziwiać zbiorze, lub u Ś. Piotra w mozaikowej kopji.¹

W 153 lat potem, Karol *Maratte* zrobił Rafaela popiersie, także w Pantheonie umieszczone. Lecz jak za życia tak i po śmierci, Rafael najspokojniejszy z ludzi, musiał być kłótni przyczyną, a tą razą to jego popiersie, stało się do niej powodem.

Akademja S. Łukasza, niewiedzieć zkąd zaczęła razem się chwalić iż posiada głowę urbińskiego malarza, i jakąś pod tą firmą pokazywała publiczności czaszkę. Zapytana zkąd ją wzięła, odpowiadała iż *Maratte* stawiając popiersie, wyjął ją z trumny i jej ją poruczył.

Ztąd się wszczęły długie między uczonemi spory. Przyszło do tego, iż z największą uroczystością przystąpiono do wydobywania i otworzenia grobu; poczem, gdy się przekonano iż czaszka i kości niebyły naruszone, i żadnej nie brakuje, przedstawiono je przez dwa dni na widok upragnionej publiczności, a w końcu nowy i świetny, przy illuminacyi Pantheonu i wielkiej orkiestrze, sprawiono im pogrzeb.

W kilkanaście miesięcy po śmierci Sanzia, i dobroczyńca jego Leon X umarł. Krótkie panowanie następcy jego, Adryana VI (o którym wyżej wspomniałam, iż chciał Apollina pogruchotać, a syxtyńską kaplicę wybielić), nie sprzyjało sztuce ani artystom. Powołany po nim na apostolskie krzesło Klemens VII, niezapominał że z Medyceuszów rodu, że Florentczyk, że Michała-Anioła współziomek. Zaczął go przeciw ciągłym napasciom synowców Juliusza bronić, i polecił mu biblioteki laurentyńskię we Florencyi budowę.

Lecz ta praca, gdzie Buonarottemu już nie rzeźbiarzem, ni malarzem, ale architektem być rozkazano, została przerwana innego rodzaju zajęciem. Papież mu kazał być budowniczym, a rzeczpospolita wypowiedziawszy mu wojnę, nakazała strategikiem zostać.

Przebiegając niektóre ustępy Florencyi dziejów, opowiedziałam ci jak Michał-Anioł ufortyfikował miasto, jak je bronił, jak nawet dla ochronienia od kul pięknej dzwonnicy kościoła Ś. Miniata, materacami ją obwinął.

Klemens zwyciężwszy, niemógł zrazu przebaczyć artyście, ale ten się przed zemstą jego ukrył. Gdy gniew ochłonął, papież kazał rozgłosić że mu przebaczy, byle do kunsztownego wrócił zawodu, i dokończył grobową Medyceuszów kaplicę, za Leona X już zaczęta. Michał-Anioł na to przystał i zaraz wziął się do téj zakrytyi laurentyńskiego kościoła, o której we Florencyi dość ci obszernie mówiłam. Tam już sam był architektem i rzeźbiarzem, i wszystko też największą odznacza się harmonją, pięknością i siłą.

Szczegóły jęj niezupełnie są dokończone, gdyż Buonarotti mając powody niedowierzania Alexandrowi, synowcowi papieża, naówczas panującym we Florencyi, a pod przyjaznemi oznaki przeczuwając chytre jego względem siebie zamiary, do Rzymu zemknął.

Lorenzino wkrótce tyrana zgładził, ale papież mając Buonarottego pod ręką, już go wypuścić niecheiał, i nowe mu dał polecenie. W tém Klemens umarł, a synowcowie Juliusza II, odżywili o pomnik stryja proces.

Michał-Anioł zmuszony raz skończyć z niemi, przystał na uciążliwe dla siebie warunki, lecz następca Klemensa, Paweł III, nie dał mu nawet czasu ich wykonania. Nową, ciężką, obarczając go pracą, nie w artysty duchu, znów mu kazał być malarzem.

Wówczas to, gdy uczenie rzeźbiarza kończyli Juliusza pomnik, on sam zaczął ów sławny ostatecznego sądu obraz: dokonanie ozdób kaplicy syxyńskiej, konkluzya na sulicie rozpoczętej epopei. Obraz ten kosztował artyście dziewięć lat pracy, a w niektórych częściach daje się spostrzegać pośpiech; gdyż to nie jest jeden, ale raczej jedenaście obrazów. Na tyle bowiem części artysta tę straszliwą podzielił ostatnią scenę naszą. Ogromna ściana, od góry do dołu nią pokryta, zdaje się zrazu jedną tworzyć treść; lecz wpatrzywszy się, każdy jęj podział bardzo wyraźnie się odkreśla, żadnego ni oczom, ni w myśli niezostawując zamieszania.

Obraz ten niesłychanie wiele obudził uwielbień, więcej może jeszcze krytyk. Artysta usiłował w nim, zdaje się, z największemi walczyć trudnościami. W przedmiocie już z siebie bardzo trudnym, przedstawił ludzi we wszelkich jakie sobie wyobrazić można pozycyach ciała i duszy, jednych przerażonych, drugich błagających, jednych powstających z grobu, drugich już osadzonych i do piekieł idących. W samym środku, Najwyższy Sędzia, Sędzia srogi, bardziej do Jowisza piorunującego niż do Chrystusa podobny, wyroki swe ciska. Matka jego tuli się jakby sama

przestraszona, gniew jego zmiekczyć próbowała; przy nich apostołowie i święci męczennicy; nad nimi wznoszą się aniołów chóry; a w dole obrazu przybłąkał się z mitologii stary Charon. Ten niezbyt łagodnie, podniesioném wiosem ze swój łodzi pędzi skazanych do piekieł, gdzie król Minos ich przyjmuje, gdzie już pierwsze dają się spozstrzegać płomienie, i innych męczarni początek.

W nich nie jeden z nieprzyjaciół Buonarrottego, portret swój znalazł, jak w boskiej komedyi Danta, jego przeciwnicy, także się w piekle poznawali.

Myśl bowiem całego Michała-Anioła obrazu, Danta poematu jest odbiciem; i dla tego nie wolno nam go sądzić. Myśmy za późno przyszli, i za nadto do innego należemy świata, żeby w tych wieszczych pomysłach nie nieznałość sprzecznego z wyobrażeniami naszemi. Już my, mianowicie na północy, niezupełnie z Dantem i Buonarottim, tam gdzie on poniekąd jest jego tłómaczem, się rozumiemy. Oni w wielu punktach nas rażą, a mybyśmy się im politowania jedynie godni wydali.

Ta zmiana, ta wyobrażeń różnica, daleko wręście mniej we Włoszech postrzegać się daje. Tam niema prawie kazania bez najstraszliwszego obrazu zapalczywości boskiej, i piekieł najczęściej z Danta lub jego naśladowców wziętych. W nich mithologiczne figury bardzo często używane bywają; i zapewne też to spotkanie Chrystusa i Matki jego z Charonem i Minosem, jednemi objętych ramami, bardzo się tam naturalném wydawać musi.

Po ostatecznym sądzie, Michał-Anioł otrzymał rozkaz malowania kaplicy paulińskiej. Paweł III, od swego ją nazwawszy imienia, chciał z niej rywalkę syxtyńskiej zrobić. Ale obrazy Buonarrottego bynajmniej temu nieodpowiedziały celowi. Mimo terazniejszego ich od świec okopnienia, w kompozycyi jak w exekucyi starość artysty przeczuwać się daje. Mówią, iż dłutem tak już miał osłabioną prawą rękę, że malował lewą, a wzrok jego najbardziej ucierpiał przy syxtyńskim suficie. Oczy tak były wówczas nawykły do patrzania w górę, iż przez niejaki czas potem, w dół ich spuścić niemógł.

Kiedy tak powoli gasł malarz i rzeźbiarz, pozostał jeszcze architekt. Mniemany budowniczy Ś. Piotra, gorliwie się nim zajął, i uwieńczył swe liczne a sławne dzieła, sławniejszą nad wszystkie kopułą. Lecz jego jest tylko pomysł jój, wymiary i rysunek, podług których po zgonie mistrza pod inną dyrekcyą wiernie wykonaną została. Wówczas dał także plan prześlicznej świątyni, o której już mówiłam, Ś. Maryi Anielskiej, z Dyoklecyana thermów przerobionej.

Mimo to, starość jego była coraz smutniejsza, humor coraz bardziej cierpki i ponury. Razu jednego zwichnąwszy sobie nogę, odmówił wszelkiego starania, zamknął się i chciał głodem skończyć. Musiano aż oknem wejść dla ratowania upartego starca.

Często przez ciąg budowy S. Piotra, wydalal się na czas jakiś do dzikich gór Nettuna i Spoleto, szukając tam samotności, bo już ludzi znieść niemógł. Jedyne miał wówczas towarzysza, wiernego sługę, który go od lat 26 nieodstępował, i któremu znaczną część majątku zapisał. Ale i ten jego wyprzedził, na jego skończył rękę; a tak, Buonarotti, nie tylko swych współzawodników, jako i dobroczyńców swoich, wszystkie wieku swego sławy (między którymi ośmiu papieży) (1), ale nawet wszystkie swe przyjazne uczucia przeżył, pogrzebał, a wpośród tego cmentarza, śmierci się dopraszał.

List po zgonie Urbana (tego ukochanego sługi) do Vasarego pisany, najlepiej maluje usposobienie osierociałej tej niegdyś potężnej duszy.

— »Kochany Jerzy.

»Trudno mi jest pisać, jednak spróbuję dać ci odpowiedź. Wiesz że mój Urban umarł. Bóg mi go odbierając wielką dał naukę; ale jest to dla mnie strata ogromna, nieskończona boleść. Póki on żył, życie mi jeszcze znośne było, umierając nauczył mię umierać; ja też oczekuję śmierci, nie z obawą ale z upragnieniem, z rokoszą.

Daléj jeszcze nad tą rozwodzając się stratą, temi kończy słowy:

»Biedny mój Urban, umierając nie miał innéj troski jak tę, że mnie »zostawia wpośród tego przewrótnego i nędznego świata. Ale już on »zabrał z sobą większą część mego życia, a to co mi pozostaje samą »jest i ogromną boleścią!»

Polecam się twéj pamięci

Michel-Agnolo Buonarotti.

Długą nakoniec trawiony gorączką, jak samotnie żył, tak podobnie i skończył, w Rzymie 17 Lutego 1563 r. Miał lat bez dwóch tygodni ośmdziesiąt dziewięć.

Chciał sobie na grób zrobić Matki Boskiej posąg, lecz go niedokończył. Testament w kilku napisał słowach:

— »Ofiaruję duszę moją Bogu, ciało ziemi, a majątek najbliższemu krewnym.

Nie było zapewne człowieka, mniej do miłośnych podobnego uczuć, jak Buonarotti. Wszystkie jego tak obrazy jak rzeźby tego dowodem.

(1) Juliusz II, Leon X, Adryan VI, Klemens VII, Paweł III, Juliusz III, Marceli II, Paweł IV.

Nigdzie w nich nie ujrzysz tego wdzięku niewieściego, nic coby zdradzać mogło jego w duszy uczucie. Przypisują mu jednak kochankę; lecz ta daleko bardziej mym oczom na przyjaciółkę tylko wygląda.

W początku XVI wieku, za medycejskich czasów, pełno było we Włoszech uczonych kobiet i literackich salonów. Wpółśród nich celowała piękna Wiktorya Colonna, małżonka Margrabi Peschiera, której portret możesz w galerji pałacu Colonna w Rzymie zobaczyć. Nie tylko swemi poezjami, ale co rzadziej naówczas bywało, dobremi odznaczała się obyczajami. Po śmierci męża, poległego pod Pawją, już sama nie bardzo młoda, zaprzyjaźniła się z Buonarottim, także już nie młodym. Ona mieszkała w Neapolu a później w Witerbie; on w Rzymie. Pisywali do siebie najczulsze listy, sonnety, poezye. W nich potomność upatrzyła miłości oznaki, miłości całkiem platonicznój; mi się zaś to wydaje, czuła wyższych dusz przyjaźń, kilku ich estetycznemi oświecona promieniami.

Jakkolwiekbaż, co do mnie, wołałabym ją była do Rafaela przenieść wspomnień; a jeśli dla dokompletowania już i tak, zda mi się, dość kompletnego Buonarottiego życia, potrzeba było koniecznie miłości, wołałabym mu w zamian otyłą Fornarinę oddać.

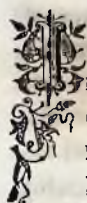
Synowiec artysty, Leonard Buonarotti, dowiedziawszy się o śmierci stryja, przybiegł do Rzymu i tajemnie ciało jego do Florencyi uwiózł. Tam mu sprawiono wspaniały pogrzeb, do którego wszyscy na wyścigi artyści należeć pragnęli. Katafalk był bowiem rozlicznemi rąk ich kunsztownemi wzbogacony ozdobami.

Świetne te zwłoki u Ś. Krzyża teraz spoczywają, pod pomnikiem gdzie trzy statui oznaczać mają trzy główne Michała-Anioła sztuki, rysunek, rzeźbę i architekturę. Lecz te posągi dość każdy z osobna piękny, każdy z innego dłóta, z innój nawet szkoły, nie mają żadnej wspólności, zdają się raczej gniewać między sobą, niż jedną tworzyć rodzinę.

Buonarotti i w tém z Rafaelem sprzecznością się odznaczał, iż gdy ten w krótkiej swój karyerze dotąd szacowaną po sobie zostawił szkołę, licznych i kochających go uczniów, tamten mimo długiego życia i genialnego talentu, ani szkoły, ani nawet jednego nie zostawił ucznia, któryby jak Rafaelowi grobowy zrobił mu posąg.

VII.

GALERYE WATYKAŃSKIE. — PREZENTACYA U OJCA ŚWIĘTEGO. —
QWIRYNAŁSKI PAŁAC. — CEREMONJE PRZY ŚMIERCI I OBIORZE PAPIEŻY
I KARDYNAŁÓW. — LUD. — ŻEBRACTWO. — TRASTEWERANIE. — ZBÓJCY. —
STRÓJ NARODOWY. — ZABAWY PUBLICZNE.



nną stroną do Watykanu wchodząc, napotyka się czworoboczny dziedziniec stylu greckiego. Otwarte jego do koła portyki, zapelnione posągami i rzeźbą. Po czterech jego rogach, rodzaje gabinetów czy świątyń, najsławniejszemi z nich uświetnione. Tam w jednej znajdziesz Laokooną z dwóma synami. Wszyscy trzej bronią się przeciw straszliwemu wężowi, który ich swemi obwinął pierścieniami i niemiłosiernie kępuje. Grupa ta znaleziona była w Tytusa thermach, za panowania Juliusza II. Przedstawia najwyższy stopień fizycznej boleści.

W drugiej podobnej świątyni, stoi Apollo belwederski. Sławny on jest, ale nie dość na swą piękność sławny. Jeśli Wenerę medycejską uznano za królowę wdzięków żeńskich, Apollina już nie za króla ale za bożka męzkich kształtów uznać trzeba. Nic dotąd nie było i zdaje się że już nie równie doskonałego, w tym rodzaju, na świecie nie będzie. Nie tylko w swych rysach i kształtach, ale w postawie, spójrzaniu, głowy i ręki podniesieniu, wszystko młodego Olimpu księcia objawia. A im więcej się weń wpatrzysz, tém więcej postrzeżesz i uczujesz tego szczytnego posągu doskonałość.

Niepotrzebnie w jednym z tych dziedzińcowych gabinetów, umieszczono Perseusza Canowy. Mówię, niepotrzebnie, dla rzeźbiarza sławy, bo co dla sztuki, dla tych co ją chcą poznać i zgłębić, bardzo on tam dobrze owszem stoi. Kto nie czuł różnicy między starożytną a terażniejszą rzeźbą, zaraz ją tam pojmie.

Perseusz Canowy, zupełnie naśladuje Apollina. Też co on wziął postawę, w takiż sposób podniósł głowę, podobnie wyciągnął rękę. Co do wymiarów, kształtów i rysów, wszędzie się także naśladownictwo spostrzega. W takim jak Canowa artyście, słusznie to zadziwiać może; tém bardziej iż przypuszczając nawet największej zarozumiałości stopień, niemożna jeszcze wnosić iżby sobie zwycięstwo w tém porównaniu wróżył. I jakże też daleko za swym wzorem pozostał! Perseusz jest bezwątpienia piękny, ale jego zokrąglone kształty, jego miękkie rysy, są całkiem niewieście. Artysta nie potrafił połączyć piękności, z tą dumną siłą, jaka młode tylko, lecz wcale nie kobiece Apollina krasi wdzięki.

Obok Perseusza, stoją i zabierają się do walki, dwa tegoż rzeźbiarza gladyatory. Lecz ci jeszcze mniej mogą ze starożytnemi braćmi się równać.

Kunstowny ten portyk, pełno jeszcze innych zawiera starego świata i nowszych sztuki zabytków; a prowadzi do części pałacu wyłącznie im poświęconej.

Lecz tam wszedłszy niepodobna na nie całkowitej zwrócić uwagi. Niesłychany przepych tych bez miary długich galerji, bez końca licznych, nad pojęcie bogatych sal, gabinetów, korytarzy, omamia umysł, wzrok oślepia. Niechce im się zrazu dowierzać; zdaje się że to jakiś zaczarowany pałac, lub przynajmniej że w tych bogactwach musi być coś fałszywego, że może (jak to się w sławnych Wersalu galeryach widziało), to co się spiżem i marmurem zrazu wydaje, jest tylko *na prawdę* malowanem drzewem, że te porfiry i mozaiki są tylko zręczne naśladownictwa. Ale później się przekonywasz, że tam przeciwnie, nie udanego niema, że to wszystko rzetelne są klejnoty.

Spuścisz oczy? postrzeżasz najszacowniejsze mozaiki na których nie masz śmiałości postawienia nogi. Spójrzysz w górę? widzisz nad sobą najpierwszych pęzli szczytne obrazy, złotemi ozdobne ramami. Sklepienia te sparte na kolumnach z orientalnego alabastru, porfiru lub najrzadszych marmurów i bazaltów, pośród których na złocistych podstawach, z kosztownych kamieni urny i wazy, zadziwiają swą wielkością i pięknymi formy; lub starożytne nagrobki, spiżowe trójnogi, i cała marmurowa ludność! ludność bogiń i bożków, westalek i bachantek, srogich bohaterów i lubieżnych amorków; każdy z osobna uwagi dopomina się,

uwielbienia pragnie; bo gdzieindziej jak w watykańskim zbiorze, gdzie własną ilością ómią się i głośzą, każdy z nich osobną miałby świątynię.

Dla wielu i Watykan osobny przybytek lub tron wystawił. Sławny *Meleagr* ma swą rotondę; *Kleopatra* w głębi galerii na wywyższeniu, jakby na tronie, spoczywa. Lecz większa część jedynie swą wartością się odznacza, a takich obliczyć byłoby niepodobieństwem. Niema na świecie muzeum, któreby dziesiątą część tych kunsztownych skarbów posiadało, niema monarchicznego gmachu coby połowę tych miał przepychów; a to wszystko tak artystycznie, tak pięknie, a razem tak zręcznie ułożone, iż to ich ułożenie podwaja szczegółów wartość, jak i ogółu zachwycający urok.

Między tym olimpijskim labiryntem, napotyka się także sale same-mi zwierząt odlewami zapełnione; inne egipskimi posągami, mumjami, i tym podobnemi wschodu pamiątkami.

Daliej, długa galeria zawieszona makatami zwanemi *Arazzi*, nieco już spłowiałych kolorów, lecz rysunku Rafaela, o których wyż mówiłam, prowadzi do obrazów zbioru.

Zbiór ten bez porównania skromniejszy i uboższy od rzeźbiarszego, gdyby nie kilka szczytnych arcydzieł, nie jedną w samym Rzymie znalazłby się zakasowany galerią. Główne jego płótna, z kościołów za francuzkich czasów pozabierane, przejechawszy się do Paryża, po upadku cesarstwa, zamiast na swe ołtarze, do Watykanu wróciły. Do tych należy piękna Rafaela *Madona z Foligno* wzięta, i sławny *przemienienia* obraz, który niegdyś, jak wspomniałam, niedokończony jeszcze, po zgonie swego nieśmiertelnego twórcy, węzłowie trumny jego zdołił. Górna część, gdzie Chrystus w niebo się wznosi i już daleko jest bardziej Bogiem niż człowiekiem, Rafaela jest ręki. Dolną wykonał podług jego kartonów, uczeń jego, *Juliusz Pyppi*, przewany *Rzymianem (Giulio Romano)*, dla tego iż był rodem z Rzymu, i szkoły jego ozdoba.

Z innej strony galerii posągów, znajdziesz wejście do biblioteki, dużej i wspaniałej. Rękopisma wschodnie, zbiór papirusów i ryciny z XV wieku, najprzód uwagę twą zwróca. Autografy Tassa i innych sławnych ludzi, ciekawe są i zajmujące; ale to wszystko w szafach pozamykane, szczególnego do oglądania wymaga pozwolenia.

Z okien tych sal i galerii, szerokie rozlegają się widoki. Dalsze na miasto i Agro-romano; bliższe, na niektóre pałacu dziedzińce i ogrody jego.

Watykański ogród duży, szpalerami przecinany, i bardziej ocieniony niż inne ogrody włoskie, nie może się jednak zwać pięknym. Ma on wszakże swe osobliwości, należące tam, jak się zdaje, do koniecznych

ogrodu warunków, to jest jakieś rzadkie zwierzęta w osobnych pozamykane podwórkach, i wodotryski w szczególnych lub dziwacznych kształtach.

W Watykanie, są między innymi bardzo piękne i duże pawie, całkiem białe; a lubownicy hydraulicznych ciekawości, bardziej jeszcze dzieci, mogą się ubawić jakimś ciemnym okręciakiem, co na rozkaz *Custoda* ze swych masztów, armat steru i kabin, na wszystkie strony przyska wodą, nadając jej rozmaity kształt.

Teraz już pozostaje nam tylko do zwiedzenia samego tych gmachów i bogactw monarchy mieszkanie, lecz w niem domyśleć się nawet o ich istnieniu nie można, i w innym też niż artystycznym, trzeba doń przybyć duchu.

Chcąc być przedstawionym Ojcu Świętemu, trzeba się z tém udać do posła dworu swego, lub do *Monsignora*.

Monsignor, jest to rodzaj szambelana pontyfikalnego dworu, w ubiorze duchownym, ale nie ksiądz, istota środkująca między kościołem a światem, daleko bardziej do świata niż do kościoła należąca, jakich w Rzymie pełno.

Tacy *Monsignori*, w uroczystościach, z wielką gracyą robią honory Ś. Piotra; w wielki tydzień, kaplicy sytyńskiej lub paulińskiej; znajomość ich dla obcych bardzo jest w Rzymie przydatną, a tém łatwiejszą, iż z ich strony największą napotyka gotowość.

Co do prezentacji, każdy naród ma wyłącznego *Monsignora*, bez którego obejść się nie można, gdy się ta nawet za pośrednictwem posła odbywa. Dla Polaków, w 1846 r. był wymieniony *Monsignor Bruttì*. Jemu się tylko oświadcza życzenie, i podają nazwiska osób przedstawiających się żądających; on otrzymawszy od Ojca Świętego oznaczenie dnia i godziny, uwiadamia o nich, i udziela ceremonjału przepisy.

Dla mężczyzn, jak dla kobiet, czarny kolor jest przepisany. Kobiety lubo w wysokich, to jest nie wyciętych u góry sukniach, i z długimi rękawami, starają się jednak jakimiś klejnotami strój swój podnieść. Na głowie muszą mieć koniecznie welon czarny.

Wysiada się pod prawem skrzydłem kolumnady, gdzie jest *odwach* szwajcarskiej gwardyi. Ubiór ich z XV wieku, bufujący się, namarszczony mundur w pasy czarne, żółte i pąsowe, jakich nigdzie w świecie prócz tam nie zobaczysz, przypomina już nam iż i zaszczyt do jakiego mamy być przypuszczeni, jedyny na świecie w swym rodzaju.

Pyszne wschody, z sieni Ś. Piotra do pałacu watykańskiego idące (na wzór których wschody Muzeum luwrańskiego w Paryżu były zrobione) także są Szwajcarami strzeżone. Prowadzą one do sali sławnymi ozdobnej

freskami, przedstawiającemi rzeź tak nazwaną S. Bartłomieja (*la S. Bartholemi*), śmierć Colignego i t. d.

Z tej sali wchodzi się na prawo, do kaplicy paulińskiej, na lewo do syxtyńskiego; lecz *Monsignor* prowadzi cię środkowemi drzwiami, i przez długie pasmo pokoi, korytarzy, wschodów, sieni i sal, w którym niepojmuję jak się sam poznać może, wprowadza do galeryi gdzie cały stoi szereg ludzi, ubranych od głów do nóg w adamaszek karmazynowy.

Ci karmazynowi ludzie, tak karmazynowi iż prócz czarnych trzewików, nie znają innej farby jak amarant, innej materyi jak w wielkie floresy adamaszek, zowią się *Sedjary*. W uroczystościach oni wnoszą papieża do Ś. Piotra, tylko wówczas na swój amarantowy strój, kładą jeszcze pąsowy płaszcz; a gdy on na swym kościelnym zasiądzie tronie, stoją koło złotego krzesła na którym go wnieśli i wynieść mają. W dni powszednie do pokojowej są używani usługi.

Tam, między niemi, parę chwil się czeka, aż dzwonek Ojca Świętego da się słyszeć. Wówczas jeden z *Sedjarów* idzie zameldować, następnie podwoje się otwierają.

Papież nie zawsze w jednem przyjmuje miejscu; znam panie, co były w bibliotece jego przyjmowane. My zaś byliśmy w dużym salonie, dość ciemnym, lubo z czterema na ogród oknami, wprawdzie osłoniętemi ciężkiemi frankami. Obrazów ni żadnych w nim niebyło ozdób, ni mebli, prócz w samej głębi, stół zielonym suknem przykryty, za którym duże poręczowe krzesło, rodzaj tronu. Zwykle prócz tego niebывa w całym pokoju innego siedzenia, lecz Grzegorz XVI, dla dam kazał wnosić taborety, i my takich już znalazliśmy przyrządzonych tyle, ile nas było.

Wszedłszy, przy samych drzwiach się klęka po raz pierwszy, w środku sali po raz drugi, a trzeci przy nodze, którą się w pantofel całuje. Ojciec święty zwykle stoi przy stole, za każdym ukłęknięciem błogosławi, a za trzecim, wysuwa w złotolitym pantoflu nogę. Ubrany jest w wełnie, całkiem biało; suknia od góry do dołu zapięta, kroju podobnego jak naszych plebanów, ale z dużą peleryną. Na głowie ma w środku czapkę także białą, jaką we Włoszech wszyscy duchowni w czarnym noszą kolorze, a kardynali w pąsowym, podobne, co do kroju, do jarmułek żydów naszych.

Mówiąc do niego używa się trzeciej osoby, mówi się: *la Sua Santità* (Jego świętość). Po rozmowie, która czasem bywa uczona, częścię potoczna tylko, papież powstaje i przy pożegnaniu daje rękę do pocałowania. Odchodząc, także się trzy razy przyklęka.

Protestanci kłaniają się tylko, a Ojciec Święty niedaje im nogi ani ręki do pocałowania.

Grzegorz XVI, gdym go widziała, miał podług kalendarzowych obliczeń lat 83, ale mówił że mu jeden rok w nich kradną. Było to na trzy miesiące przed zgonem jego. Wydawał się czerstwy i żwawy, dość otyły i rumianej cery; lecz gdy go do S. Piotra na krzesło wnoszono, cierpiał zawrót głowy i bladł jak chusta, co dodawało do świętobliwości twarzy jego wyrazu. W ogólności zaś, prócz nieco tępego słuchu, żadnej niedawał zgrzybiałości oznaki.

Nazywał się *Capellari*, a na chrzcie imie Maura mu dano. Ród jego nie wysoki z Belluno, pochodził od kapelusznika, z kąd i nazwiska początek, i kapelusz w herbie. Karyerę swą zaczął w zakonie kamedułów, gdzie świętobliwą pokorą i swą professyi cnotami, stawszy się przykładem, został na jenerała powołany. Następnie gdy w nim wykryto szerokich nauk, a mianowicie wschodnich języków znajomość, odebrał rozkaz nau czania ich w propagandzie.

W taki sposób zmuszony do opuszczenia srogiego zakonu swego, zachował mimo to na zawsze, czułą dla niego, a w nim dla siebie pamięć. Spowiednik jego i najpierwszy aż do śmierci przyjaciel, był tegoż zakonu po nim jenerałem.

Po wyniesieniu Capellarego na pontyfikalny tron, zastąpił go w propagandzie sławny lingwistyk, kardynał *Mezzofanti*, teraz między ciekawości Rzymu liczony, i w takiż odwiedzany sposób. Gdy z gronem mych rodaków wychodziłam od niego, w pierwszynie salonie już czekało, liczniejsze jeszcze Meksykanów grono; a on z każdym, jego rodzinnym rozmawiać zwykł językiem. Słyszając oddawna o tak niepojętym talentcie, mniemałam iż ta polska z nami rozmowa, w kilku ograniczy się słowach. Lecz jakże wzrosło podziwienie moje, gdy dając jój szeroki i nawiasowy obrót, ani wyszukany ani ułożony zawczasu, nigdy mu nie zabrakło właściwego wyrazu, a prócz *L*, które jak *L* wymawiał, możnaby go wziąć za polaka.

Papieże mają na każdy prawie krok, na każdą godzinę przepisy lub zwyczaje. W skutek podobnego przepisu czy zwyczaju, jadać muszą zupełnie sami; po czém jadą lub idą na spacer; a w tych godzinach, muszą znaleźć czas dla odwiedzających dam, i na inne jałowe wizyty.

Kiedy w qwirynalskim przez część lata mieszkają pałacu, mają na takie wizyty w głębi ogrodu oficynę, czyli raczej piękną altanę, niewiem

czemu *kasenhauz* nazwaną; i tam w ozdobniejszym daleko niż w Watykanie salonie, przyjmują.

Qwirynalski ogród, równie może duży jak watykański, więcej ma jeszcze niż tamten ciekawych stworzeń i hydraulicznych figlów. Między innymi pokażą ci grootę na trzy podzieloną części, z których jedna niby wulkanu kuźnia, marmurowemi posągami bożka i jego dworzan ozdobna, ma być téj jaskini kuchnią. Z przeciwnéj strony jadalna sala, gdzie marmurowe także nimfy, do usług już gotowe, a w środkowéj części stoją organy. Za przyciśnieniem misternéj sprężyny, z pod posągów, nad nimi, ze ścian z pod ziemi i zewsząd wytryska woda, a pod jéj żyłami, organy niespodziany zaczynają koncert.

Mniej przyjemną niż ta, nieco dalej napotyka się siurpryzę. W póród suchej ścieżki, i kiedy się jak najmniej o wodzie myślało, raptownie z pod nóg ci wyskakuje, na głowę spada, i całe rosi odzienie. Hydraulik któremu ten winniśmy pomysł, musiał się w jakiej modniarce kochać, i chciał jéj dochody pomnożyć.

Qwirynalski pałac, prócz kilku w jednéj sali starych i dość szacownych obrazów, żadnych prawie kunsztownych nieposiada zabytków. Cesarz Napoleon na swą go przeznaczając rezydencją, kazał odświeżyć i upięknąć. Wówczas przeniesiono z *Tivoli* i villi *Adriana*, kilka pięknych mozaikowych podłóg, a sufitu kilku sal ozdobiono freskami. Łatwe są do poznania, bo w nich główny bohater czy bożek, nieomylnie napoleońskie nosi rysy. Artysta oczywiście nieprzeczuwał, iż cesarski wzrok, nigdy się nie zwróci na pracę jego.

Prócz pozostałych z téj epoki ozdób, zobaczysz tam jeszcze śliczny gobelinowy Ś. Stefana obraz, świeży króla Filipa dla ojca świętego dar. Lecz ciekawsze nad to wszystko są oficyny w głąb ogrodu ciągnące się, przeznaczone dla kardynałów podczas konklawu, i kaplica w której się obiór papieży odbywa.

Chcąc ci porządnie szczegóły téj elekcyi opowiedzieć, trzeba rzecz wziąć od początku, to jest, od poprzedzających ją pogrzebu papieżów ceremonji; wszystkie są równie wspaniałe jak niepospolite.

Gdy kapitolinśki dzwon, witerbska *Paterinu*, nie w ostatkach karnawału daje się słyszeć, donosi on Rzymowi, nie zabaw lecz żaloby początek, ogłasza śmierć Ojca Świętego.

Natychmiast kardynał Kamerling z senatorami udaje się do nieboszczyka pokoju, a znalazłszy go z zasłoniętą twarzą, małym młoteczkim trzy razy go po głowie uderza, tyleż po imieniu go wołając. Obraca się następnie do senatorów i mówi: "Tak jest, papież niezawodnie umarł."

Poczem zdejmuje mu z palca pontyfikalny pierścień, pierścieniem grzesznika (*l'anello pescatorio*), nazwany.

Potem ciało zmarłego zabalsamowane, sześcią białymi mułami, w żałobę suto ubranemi, z wielką paradą do Watykanu przewożą. Tam w kaplicy sytyńskięj w pontyfikalnym stroju, z odsłoniętą twarzą wpośród kroci gromnie i nieustającego nabożeństwa, na publiczny je wystawiają widok i cześć; poczem do Ś. Piotra przeniesione, w kaplicy Najświętszego Sakramentu, w taki sposób stawiają, żeby nogi do drzwi obrócone i wystające za nie, mogły być z łatwością całowane, gdyż kobietom do środka tęj kaplicy, wejście na zawsze jest zabronione.

Kiedy tak cała Rzymu i okolic ludność, do ucałowania nóg się tłoczy, pod kopułą katedry wspaniała wznosi się do exekwiów budowa. Coraz wzrastający jęj przepych, zmusił w końcu papieży, do określenia przeznaczonęj na to summy; i teraz koszt tego katafalku nie ma przewyższać 2,000 skudów, około 20,000 zł. polskich.

Zwłoki pod ten złocisty złożone baldachim, ostatnią odbierają usługę. Wówczas i biografia zmarłego, i mowy pochwalne słyszeć się dają. W końcu ciało w potrójną złożone trumnę, cyprysową, ołowianą i orzechową, zniesione zostaje do piwnic Bazyliki, gdzie zastępuje poprzednika miejsce.

Papieże niemają monarchicznych grobów, jak to w królewskich bywa dynastyach. Każdy testamentem oznacza, gdzie chce być pogrzebany, lub familja obiera dla niego kościół. Lecz na ten ostatni swój idzie dopiero spoczynek, gdy nowo zmarły zastąpi go w piwnicy, gdzie ciało przez ciąg następnego panowania stoi (1).

Wszystkie te przenosiny, parady żałobne i nabożeństwa, w całym katolicyzmie obchodzone, w Rzymie trwają przez dni dziewięć, i zowią się *novendiali*, poczem zaczynają o nowym myśleć papieżu.

Kardynali zanim do konklawu wejdą, najprzód każą urządzić dla siebie w oficynach Qwirynału mieszkania. Tymczasem obecni miewają posiedzenia, dla obioru rozmaitych do nadchodzącego konklawu urzędników, i innych tym podobnych przygotowawczych czynności, a nieobecni z dalszych przybywają krajów.

Gdy już wszystko gotowe i nie tylko urzędnicy, ale doktor, aptekarz, chirurzi, cyrulicy i t. d. są wybrani, kardynali odbierają dyplomatyczne wizyty, a ze wszystkiemi się pożegnawszy, przenoszą się do Qwirynału.

(1) Grzegorz XVI w testamencie, objawił wolę spoczywania w kamedulskim Ś. Grzegorza kościele; ale ciało jego przez cały ciąg panowania Piusa IX będzie stało w piwnicy Ś. Piotra.

Tam, prosto udają się do kaplicy, jak watykańska także paulińska nazwanej, mszy słuchają, spowiadają się i komunikują, prosząc Boga o natchnienie do wyboru jaki uczynić mają, a przez ten czas drzwi któremi do pałacu weszli, zamykają się, zamurowywają, i nie tylko one, ale nawet balkon pałacowy, lożą qwirynalską zwany, także zamurowany zostaje. Od tej bowiem chwili, wszelkie między konklawem a resztą świata mają ustać stosunki.

Kardynałów, czyli jak ich w Rzymie dla ich purpury i porperati zowią, powinno być siedmdziesięciu. Taką ich liczbę Syxtus V, na pamiątkę siedmdziesięciu starców, na puszczy radę Mojżesza składających, ustanowił; ale nigdy cały ich komplet się nie zbierze.

Podczas konklawu, każdemu z nich wolno tylko mieć przy sobie jednego sekretarza i Idkaja, a ci, jak ich panowie, muszą wszelkich zrzec się z miastem stosunków. Jednak w skutek podanych prośb w przedkonklawowych posiedzeniach, kardynałowie otrzymują zwykle na większą służby ilość pozwolenie. Miejsca te bywają bardzo poszukiwane, gdyż nowo obrany papież, przeznacza zwykle na służbę 15,000 skudów bonifikacyi.

Kuchnia zaś zostaje w domu. Niewiem czy brak na 70 kuchni miejsca, czyli też iż potrzeba skupowania wiktuałów, nadtoby otworzyła do zamurowanego Qwirynalu drzwi, tego przyczyną, ale obiady już gotowe z miasta przynoszone bywają. Z liczną assistencyą, i jakby pod policyjnym nadzorem ulice przebywszy, wchodzą one do pałacu, rodzajem klasztornego koła; co mimo całych tej przezorności obostrzeń, nieprzeszkadza złośliwym językom do mówienia, iż pieczone kurczęta zanoszą w swém łonie bilety i listy, wpływające na tak ważny dla Europy wybór.

Obiory w trzech mogą się odbywać sposobach: 1) z natchnienia — Wówczas w pierwszym zebraniu, wszyscy razem powstają i obwołują wybranego nazwisko. 2) W jednomyślności — gdy tak ważne za kim przemawiają powody, iż oddalają głosowania potrzebę. 3) Ten co najczęściej i prawie wyłącznie używany bywa, jest przez głosowanie.

Kardynałowie wtenczas zbierają się po razy dwa na dzień do paulińskiej kaplicy. W południe mszy tam wysłuchawszy, wieczór nieszporów, każdy na swém zasiada krześle, które ma baldachim u góry, a przy poręczy z papierami i kałamarzem pulpit. Pół ćwiartki papieru we troje złożony, każdy pisze w jednym składzie swe imię i nazwisko, w środkowym imię i nazwisko tego któremu głos na papieża daje, w trzecim godło herbu swego, lub inną jaką sentencyą, zdolną do sprawdzenia głosu, gdyby się tego znalazła potrzeba, każdy z tych składów osobno laskiem pieczętuje i wrzuca do dużego mszalnego kielicha.

Gdy wszystkie głosy zebrane, losem, wyznaczeni do tego urzędnicy, zwani *skrutatory*, przystępują do zliczenia, ile które imie ich miało. Lecz otwierają tylko środkową część ćwiartki, tak że imie głoszącego i dewiza jego, tajemnemi pozostają.

Każda z takich kartek, przez trzy przechodzi ręce; a każdy z trzech *skrutatorów* na osobnym arkuszu spisuje, ile które imie otrzymało głosów. Te arkusze w końcu porównane, jeżeli dowiodą iż który z kardynałów otrzymał ich dwie trzecie, ten zostaje Chrystusa wikarym.

Idą go najprzód zapytać, czy na to przystaje? Jeżeli usłyszą, *tak*, natychmiast pociągnięciem sznurka, wszystkie krzesłowe baldachimy znikają, nowy tylko papież pod swoim zostaje, i powinszowania odbiera. Następnie idzie za ołtarz, gdzie swe kardynalskie na pontyfikalne zmienia suknie; a w tym nowym stroju przed stopniami zasiadłszy ołtarza, odbiera pierwsze od swych dawnych kolegów uwielbienie (*adorazione*). Wszyscy kardynałowie przykleknawszy w nogę go całują, on wkłada na palec podany sobie grzesznika pierścień, i objawia, jakiego sobie obiera patrona, pod jakim imieniem panować pragnie.

Jeżeli zaś po obliczeniu głosów, okaże się, iż nikt dwóch trzecich części ich nieotrzymał, naówczas wszystkie kartki wrzucają się w ogień do małego za ołtarzem na ten cel piecyka, którego luft na qwirynalski wychodzi plac.

Plac ten od rana niecierpliwym wówczas zalany bywa ludem, ze wzrokiem na ów piecykowy luft zwróconym. Gdy tylko da się widzieć palących się wotów dym, lud zaczyna smutnie się rozplwąć, i ze wszech stron dają się słyszeć słowa: „Jeszcze nie! jeszcze nie!” a te do wszystkich posyłane okien, całe niebawnie obiegają miasto. Lecz jeżeli którego wieczora, dym się nie pokaże, oznaką to jest iż Rzym ma już nowego pana, kościół nowego przewodnika, a wszystkie odgłosy w jeden radośny zlewają się głos. Mur pokrywający balkon drzwi, niebawnie pod młotkiem się rozpada, a na balkonie okazuje się z krucyfiksem w ręku najstarszy z kardynałów, i donośnym głosem te mówi słowa:

„Annuntio vobis gaudium magnum: Papam habemus. Reverendissimus Dominus N. N. electus est in Summum Pontificem, et elegit sibi nomen N.”

Obór kardynałów daleko mniej czasu i zachodu bierze. Papież zwołuje konsystorz i oświadcza mu kogo radby mianować. Kardynałowie powstają, a skłoniwszy się mówią: „Dobrze.”

Wieczorem nowy kardynał dom swój oświecła. Przed bramą palą się smolne becзки i kagańce, w oknach lampiony i pochodnie, w salach świece i lampy. Pokoje w kwiaty ubrane, otwarte są dla wszystkich. Mężczy-

zni i damy, znajomi i nieznanymi stroją się jak na bal; pierwsi kładną wszystkie swe ordery, drugie wszystkie klejnoty, i jadą niby z powinszowaniem. Kardynał przy wejściu głównego salonu każdego wita. Jeżeli postrzeże znajomą twarz jaką, a znajdzie wolną od powitań chwilę, zamieni czasem słów parę. Cześćniej jednak niema na to czasu. Wchodząca para już zwykle ma za sobą kilka, którym ustępując miejsca, posuwa się dalej; a tak z tyłu popychana, innych przed sobą popychając, obszedłszy do koła pokoje, do pojazdu wraca.

Nie mogę tak dokładnie opisać ceremonji po obiorze papieża odbywających się, bom żadnej niewidziałam. Przez dwuzimowy pobyt mój w Rzymie, trwało błogie Grzegorza XVI panowanie. Śmierć jego w sześć tygodni po moim wyjeździe nastąpiła. Mówią że pierwsza ceremonja, gdy nowy pasterz jedzie do S. Jana laterańskiego, jako biskup, swój dycecyzi braci possessyą, druga, gdy u drzwi Ś. Piotra, wobec zebranego ludu, wkładają mu potrójną jego koronę, mają być bardzo ciekawe i piękne (1).

Ale w Rzymie ceremonji kościelnych nie brakuje. Na każdy tydzień znalazłoby ją w której z jego świątyń można; i co do mnie, bardziej oniemiała żałuję widoku rzymskiego ludu, na kwirynalskim placu, na wzór przodków, ważną zajętego sprawą. Ciekawą istotnie byłoby rzeczą widzieć ten lud, niegdyś dzielny, teraz ospały, gnuśny, leniwy, budzący się raptownie i bez gniewu, ani karnawałowego szalu, w niecierpliwy wpadający zapał, jaki się już teraz niepodobnym wydaje.

Zwróciwszy w tył oczy, posądzać lud rzymski o brak zapału, zdaje się występkiem; i z tąd trudniej jeszcze wyobrazić sobie stopień gnuśności i zleniwienia teraz jego.

Patrząc na Florentczyków, po Arna wezbraniu błoto z ulic uprzątających, zdawało mi się, iż ich lenistwo do najwyższego doszło stopnia. Dopiero zobaczywszy Rzymian, z rydlem lub łopatką w ręku, przekonałam się, iż tanci w porównaniu, za bardzo pracowitych mogą ująć ludzi. Życzę ci pójść przez ciekawość, w miejsca gdzie oni z pod ziemi jakiś wydobywają pomnik, i spojrzeć na zegarek, ile między jedną a drugą

(1) Tyara czyli potrójna korona, używana teraz do koronacji, jest ta którą Napoleon Piusowi VII ofiarował. Na białym aksamicie pierwsza jest z szafirów, druga z rubinów, trzecia ze szmaragdów, a każda brylantami jeszcze ozdobna. U wierzchu ogromnej wielkości jest szmaragd, a nad nim brylantowy krzyż. Wartość jej wynosi 80,000 skudów (40,000 dukatów). Zwykle bywa złożona w twierdzy Ś. Anioła.

Pierwszy papież jaki się koronował, był Mikołaj II. Korona jego podobna do królewskich, miała dwie jednak przepaski: na pierwszej był napis: *Corona regni de manu Dei* a na drugiej: *Diadema imperii de manu Petri*. Jan XXII dodał trzecią przepaskę, na pamiątkę duchownej ojców świętych władzy nad trzema częściami świata (gdyż Ameryka nie była jeszcze znana), — a z tąd się zrodziła dzisiejsza Tyara.

podniesioną łopatką upływie czasu, bobyś inaczej, sam sobie dowierzać niemógł.

Nie tylko praca, ale każde zajęcie, jest dla nich największém nie-
szczęściem. Gdyby tam jakie powstały kiedy fabryki, musiano by, jak
wnoszę, z dalekich stron robotnika sprowadzać. Rzemieślników prawie
nie widać. Do rzeczy już nieco kunsztu tykających, więcej okazują ochoty
i zdolności. Sklepów mozaikowych, gipsowych, lub z kameami i brą-
zami, daleko więcej niż innych; i daleko też łatwiej w Rzymie o piękny
marmurowy wazon, lub mozaikowy stół, niż o parę jakich takich trze-
wików.

Utrzymanie ogrodów nadzwyczaj jest kosztowne. Mężczyzna bez
czterech złotych, dniowo się nie najmie, a kobieta niezrozumiałaby na-
wet, gdyby jęj jaką zaproponowano w ogrodzie robotę. Ale wyjdź tylko
na ulicę, a ujrzysz stare i młode, kalekich i zdrowych, wyciągających ręce,
każdy (z tak czasem pełną gębą iż przemówić im trudno) woła: „*Mori
di fame!*” (umieram z głodu!)

Czasem całemi rodzinami tak się po ulicach włóczą, zastępując ka-
żdemu drogę. Ten woła że chory, tamten że kiedyś chorował, a dzieci
wszystkie się tam bez matki i ojca zrodziły; każde z nich krzyczy: „*Senza
padre, senza madre!*” (bez ojca, bez matki!); ale powiedz któremu
z tych sierot, najczęściej w swych łachmanach bardzo malowniczo wy-
glądających, że chcesz go odrysować, zaczyna się z tobą targować,
i nie najmie się *na wór*, bez dwóch złotych od godziny. Kobiety zaś,
w miarę wdzięków, cenę swą stanowią, gdyż być *modelem*, jest ich
najulubieńszém i najkorzystniejszém rzemiosłem.

Nietrzebą ztąd wnosić, iż w Rzymie dobroczynnych zakładów braku-
je. Przeciwnie; niema w świecie miasta gdzieby ich tyle było, i na ty-
le rozmaitych przeznaczonych chorób, kalectw i niedoli.

Ale tych żebraków gromady, do żadnego z nich, chyba by do domu
poprawy, niezaprzeczone miały prawo; a jeżeli i znajdzie się między
niemi jaki prawdziwy kaleka, osobliwie ślepy, na tego wydalenie rodzina
nie zezwoli, bo on jest jęj podporą, jęj majątkiem. Zaraz jedna z có-
rek, która na modelkę niema powołania lub dość malowniczej postaci,
po wszystkich prowadzi go ulicach, i najwięcej zbiera. Rząd i ducho-
wieństwo nieprzeciwia się temu, znajdując że to miłosierdzie w sercach
obudza, i do dobroczynności nakłania, w czém z siebie pierwszy dają
przykład. Cudzoziemcy, znudzeni, także dają, broniąc się od napaści,
a Włochy, przez świętobliwy zabobon. Zdaje im się że jałmużna grzech
jaki zmaże, lub szczęście przyniesie. Przy jakim targu, najmie domu,
lub biorąc bilet na loteryą, żaden Włoch nie pominie żebraka, żeby mu

coś niedał. Koło poczty poczwórnym też stoją rzędem, bo każdy z listem, lub po list idący, dla otrzymania dobrego skutku lub szczęśliwej wiadomości, od jałmużny zaczyna.

Za długo może byłoby zastanawiać się tu, czy taka do żebractwa zachęta, więcej w swych skutkach przynosi korzyści, czyli raczej szkody ludowi, już i tak do próżniactwa skłonemu? Czy takie z jednej strony do miłosierdzia pobudzanie, nie rodzi z drugiej tysiąca wad? Nie tępi szlachetnego wstydu do pokrywania się lachmanami, dla obudzania lietości? do wyciągania ręki, któraby godziwie zapracować sobie mogła? Czy dzieci nie uczy od kolebki fałszu, nie prowadzi ich do innych jeszcze bardzo już z kradzieżą sąsiadujących występków?

Wszystkie te pytania tobie do rozwiązania zostawując, opowiem ci tylko, jak to żebractwa zamiłowanie, z dołu w górę sięga, i w rozmaitych formach, wszystkie powoli ogarnia klasy.

Nie wspominając tu nawet o prezentach bez liku, jakimi w całych Włoszech najmniejszą, niemówię usługę, ale grzeczność, okupić potrzeba, prócz ulicznej żebraniny, można by jeszcze trzy inne wyliczyć: przedpokojową, garderobową, a w końcu, salonową.

Salonową nazywam wszystkie, bez granic ni miary kwesty i składki. Dziś daleś na jakieś bractwo, jutro na wychodzących do nawracania dzikich ludzi misyjonarzy. Tu ci mówią że jakaś panna chce zostać zakonnica, lecz na habit jój i wyprawę nie starczy, tam że koło Rzymu mają za lat sto, pustynie drzewami zasadzić, a na ten przedmiot dziś już zbierają. Zrana księżna X. X. przysłała ci spis składających się na rozwiązłe kobiety, pod jój pieczęcią poprawić się kiedyś mające. W wieczór Monsignor N. N. przyprowadza ci z Kanady przybytego biskupa, zbierającego w Europie, na swe amerykańskie owieczki.

Do przedpokojowej liczyć się mogą wszystkie kwestujące zakony, których braciszki od świtu do drzwi pukają. Wszyscy wstydlivi ubodzy, co z wielkim na żebractwo patentem, z domu do domu bezwstydnie chodzą; drudzy z prośbami tylko; trzeci z książką, najświetniejszymi ozdobioną imionami, w której i ty swym datkiem, możesz okupić zaszczyt wpisania twego imienia. W przedpokoju znajdziesz także lokaja kardynała, któremuś wczoraj wizytę oddał; kamerdynera księcia, do którego na wieczór zaproszony byłeś, i pełno tym podobnych znajomości, co przyszły o twe zdrowie dowiedzieć się, a proszą o *komplement*. Tak się tam bowiem każdy dar nazywa.

Z przedpokoju uciekasz do garderoby? Tam oddawna cię już czeka cały szereg kobiet, dzieci i bab. Jedna mówi że jój mąż, przed dziesięcią laty służył jakiemuś niby kuzynowi twemu, z kąd oczywiste do twych

względów ma prawo. Druga straciła dziecko, i niema za co pochować. Trzecia nie żąda pieniędzy tylko starych sukien. Czwarta najgłośniej płacze, bo jest żoną lokaja twego, a on ją głodem morzy, nic nie daje i bije kiedy się o co dopomina.

Taki lokaj bierze (od cudzoziemca ma się rozumieć, bo dla krajowców inne są ceny i we wszystkim inny rzeczy porządek) miesięcznie *najmnie*j skudów 12, to jest 120 złp. i to jeżeli jadasz w domu, inaczej 14 lub 16 skudów dać trzeba. Żywi się resztami stołu twego, bardzo jest uprzejmy, pokorny, uniżony; nigdy niema innego jak twoje zdanie, i nigdy ci hardo nie odpowie. Zawsze ma sentencyą moralną na ustach, i dużo o swęj uczciwości i cnocie mówi. W kościele jeżeli nie codzień, to przynajmniej co niedziela bywa, i zawsze się przeżegna gdy na anioł pański dzwonią. Lecz niewymagaj od niego ochędóstwa, akuratności w służbie, ani w sprawunkach skrupulatnej uczciwości. Włoch jużby całkiem przestał być Włochem, gdyby te trzy pojął rzeczy.

Jeżeli nic z twego biórka nie wyjmie, co nie zawsze się zdarza tym którzy najwięcej o cnocie mówią, ma już siebie za najuczciwszego z ludzi; lecz za grzechby sobie poczytał gdyby na każdym kupnie i sam nie zarobił, i kupcowi jak najwięcej zarobić nie dał. Każdy także ze swęj strony, tak ten co ci węgle, drzewo, wino lub obiad dostarcza, jak i ten co najmuje pojazd, każdy mu się opłacić musi, i to dość znacznie. Furman, na przykład, gdy miesięcznie najęty, daje mu 6 skudów na miesiąc, bo inaczej on by ci innego nastreczył, a on tylko przemyśla, jakim sposobem jak najwięcej wyludzić grosza.

Ale tak go łakomie zbierając, niema bynajmniej na celu polepszenia rodziny swęj bytu, ani dzieci przyszłości, ani swych dni starych. Chodzi mu tylko, żeby opędziwszy najpilniejsze długi, wykupiwszy pozastawianą ruchomość, mógł jak najprędzej porzucić służbę, i przez ósm lub dziewięć miesięcy, nic nie robiąc, odpoczywać od nięj.

Żonie i dzieciom nic nie daje, bo wie, że one sobie poradzą. Dzieci idą na ulicę wołać: „*Senza padre, senza madre!*” a żona szuka zarobku; to jest, czasem komuś kilka koszul wypierze, bo to jedyna rzecz jaką tancezne kobiety niby umieją, a resztę czasu idzie płakać po garderobach, i prosić o wspomóżenie i o stare suknie.

To wszystko, tak lży żony, jak spekulacya i zbiory męża, w karawale się kończą. Oboje wówczas o wszystkich przeszłych i następnym zapominają biedach. Oboje, każde ze swęj strony, hulają, szaleją, jakby chłopcy dziś ze szkoły uciekli; i wówczas dopiero przekonają się można, iż ta ospałość ludu, co mię zrazu tak uderzała, iż ją klimatem, malaryą, i tym podobnemi chciałam tłómaczyć przyczynami, jest

istotnie tylko, od kolebki wkorzenioną do wszelkiego zajęcia nienawiścią; z pokoleń do pokoleń przesyłaném lenistwem; lecz wyłącznie do pracy, gdyż do zabawy tenże sam człowiek co się leni drzwi ci otworzyć, jest hoży, żwawy, zapamiętały, namiętny. Wówczas go widząc, zrozumiałam także, i dopiero uwierzyłam, iż on zdolny przez całą noc na qwirynalskim placu, imienia nowego papieża oczekiwać, i przez cały konklawu czas, w poruszeniu, nim jedynie zajęty; gdyż to jemu rozmaite wróży fety, drugiego karnawału rodzaj.

Po karnawale większa część cudzoziemców Rzym opuszcza. Inni pozostają, lub wracają na ostatni postu tydzień, z którym ostatecznie kończy się spekulantów rzymskich zawód. Lokaj odpoczywa po swęj trzy lub cztero-miesięcznej służbie, furman konie na paszę puszcza, wszystko o połowę ceny i niżej spada. Jeżeli któremu z nich udało się tyle uzbierać żeby i po karnawale coś z tego zostało, ciągnie jak może do następnej zimy, to jest do następnego cudzoziemców zjazdu, bo oni ich jedyném są żniwem. Jeżeli przehulał wszystko, żyje na długiej, sałatą i jajami, ruchomość znów na zastaw niesie, wyciąga się na słońcu lub z nędzy dostaje febry, i przemyśla jak na przyszłą zimę jeszcze lepiej oszukiwać i zdzierać obcych panów. Jeden drugiemu nowe w tym podaje myśli, sprzymierzają się między sobą, robią na ich kieszeń zasadzki, spiski, bo na tém cały ich opiera się przemysł, w tém ich cała indystrya.

Na drugiej Tybru stronie, innego rodzaju znajdziesz ludzi. Od tego rzeki przecięcia Trastewerami zwani, są to jak oni dowodzą, jak wielu wierzą i powtarzają, w prostej linii dawnych Rzymian potomkowie. Nowego Rzymu mieszkańców za współziomków nie uznają. Zowią ich mieszańcami, gardzą nimi; dumni i swym rodem pyszni, panów nie cierpią, i przed duchownym tylko trójgraniastym kapeluszem uchylą głowę.

Nie mając żadnej styczności z cudzoziemcami (którzy przez ciekawość chyba do ich zajrzą części miasta), nie mogąc na nich żadnej opierać nadziei, muszą w godziwych sposobach zarobku szukać. Gnusność i niechłujstwo nie są i tam obcemi; ale nie znajdziesz już tej giętkości charakteru, uniżoności i pokory, tego na ustach uśmiechu a pochlebstwa w słowach, koniecznie do zamierzonych spekulacyj, o jakich wyżej mówiłam potrzebnych, do podstępów i oszustwa nieodzownych.

Owszem, jeżeli bokiem Corso spokojnie idąc, spostrzeżesz na przeciw siebie człowieka, twardym go mierzącego krokiem, z wytartym, na bok nieco, na kędzierzawych włosach kapeluszem, w zawieszonęj raczjęj niż włożonęj kurtce, człowieka z miną że cię prędzjęj potraci niżby ci się

miał ustąpić, jest to niezawodnie Trasteweranin; i życzę ci usunąć mu się z drogi, bo on ma nóż za pasem, i rękę do niego zwyczajną.

Nóż jest całej tej klasy rzymskiego ludu nieodstępny towarzyszem. Broń ta straszliwa, przez niejakis czas zakazywana i skrycie tylko noszona, teraz publicznie się sprzedaje po sklepach, gdzie całe ich za oknem widać zapasy. Jeżeli chcesz ją poznać, pójdź tam ją lepiej obejrzyć, niż w swym boku długość jej ostrza mierzyć, o co tam nie trudno. Czasem interes, daleko zaś częściej zemsta, namiętność, szczególnie zazdrość, albo tylko kłótnia, kończy się zbrodnią.

Dziwnym rzymskiego ludu przesądem, zbójca najżwawszą w nim obudza litość i współczucie. Gdy postrzegą, po jakim między dwoma zajściu, jednego we krwi obalonego, drugiego z broczącym uciekającego nożem, wcale się nie troszczą pierwszym, tylko nad drugim ubolewając, głośno do ucieczki mu dopomagają; a wszelkimi sposobami od policyi go chroniąc, czasem nawet przemocą z jej wydzierają ręki.

Taki uciekający zbójca, do kościoła zwykle zmierza; wiedząc że gdy do niego wpadnie już jest zbawiony. Dawny w Rzymie zwyczaj z pod ołtarza nikogo tykać nie pozwala; pod sklepieniami kościoła policyjna ustaje władza; w nadziei, jak mniemam, iż one pobudzą do takiego żalu, skruchy, poprawy i pokuty, że niemi się lepiej niż inną karą wina zamaże.

Nie raz też zobaczysz tam ołtarze i obrazy Matki Boskiej (w których szczególną pokładają ufność), otoczone ofiarowaniami na ex-voto nożami, sztyletami i długimi metalowymi szpilkami. Jest to także rodzaj małych sztyletów; kobiety zapinają niemi włosy, a w gwałtownej potrzebie służą im za broń, jeżeli nie śmiercią to kalectwem grożącą; bo na Trastewere i kobiety niemniej są jak ich mężowie namiętne, zapamiętałe.

Słyną one także wdziękami. Malarze między niemi o modele się starają. Lecz to niebezpieczeństwem grozi, jeżeli któremu kochankowi lub mężowi to rzemiosło żony nie przypadnie do smaku. W ówczas i malarz i wzór jego, srogo mogą mu za to odpowiedzieć. Podczas mojej w Rzymie bytności, właśnie taki zdarzył się przypadek. Obrażony kochanek przyszedł, i zabił malarza przy sztaludze, uciekającą kochankę na schodach.

Co zaś do piękności Rzymianek, ta bardziej może jest dla pęzla niż dla oka wdzięczna. Są tacy jednak, nie artyści nawet, co ją sławią i unoszą się nad nią. Rysy ich śmiałe, oczy bystre, plecy i całe popiersie szerokie; gdyby wzrost miały, mogłyby w potrzebie, piękny grenadyerów utworzyć batalion. Prawda iż gdy w karnawał włożą kostium odpowiedni swym rysom i mekkiej postawie, są prześliczne. Gdy tak one, jak i salonowe panie, w ubiorze niedbałe, nierozumiejące ani

mody, ani jak do twarzy i kształtnie się ubrać, w kostiumach największą okazują zdatność, najdoskonalsze jego pojęcie. W takim dopiero stroju, więcej już do artysty niż do modniarki należącym, postrzegać można, iż się w pośród artystycznego zrodziły narodu, że jego przesiekiły duchem, i ztąd może ta ogólna namiętność do przebierania się, co nam się maskaradą tylko wydaje, a im obok zabawy, kunsztownemu także dogadza usposobieniu.

Kobiety nowego Rzymu, żadnego narodowego nie noszą stroju. Opuszczone, nieuczesane, brudne, rzekłbyś z podrzędnych kawiarni naszych dziewczęta. Trasteweranki odznaczają się w obręcz zwiniętym, i długą jakby sztylet szpilką spiętym warkoczem, w około którego, w dni galowe, kładną rodzaj girlandy ze wstążek zrobionej. Na sukni zaś, także nieco odmiennego kroju, festonują jakby firankę, małą chusteczkę, która im plecy i ramiona jeszcze podnosi i gracji niedodaje wcale.

Ale Rzym jest pełen z okolic przybyłego ludu; a tam każda miejscina ma swój wyłączny narodowy strój, malowniczy i piękny. Niektórzy z tych wieśniaków noszą na sobie skóry owcze, do góry wełną odwrócone, i obuwie podobne do tak nazwanych łapci litewskiego kmiotka, a kapelusze w pawie piórka i wstążki ubrane.

Lud rzymski w zabawach publicznych, najmniejszej nie okazuje do jakiegobądź nadużycia skłonności; wesołość jego huczna, hałaśna, nigdy nie wychodzi z największej przyzwoitości obrębu. Bawią się jak wesołe, dobrze wychowane dzieci; a patrząc na nie, niktby się nie domyślił, ani mógł przypuścić tego mściwego noża, co nieraz podobną zabawę kończy.

Prócz religijnych obrządków, mianowicie na Trastewere główną i ulubioną stanowiących rozrywkę, pospólstwo ma na każdą porę roku, czasem wspólne z wyższym światem, czasem dla siebie wyłączne zabawy.

Na wiosnę, książę Borghèse, ustanowił w ogrodach swój willi publiczną fetę. Za feudalnych czasów, panowie włoscy podobne zwykle dla ludu dawali; z tą różnicą, że tamte były ich kosztem, a publiczność darmo w nich brała udział, a teraz przy wejściu je opłaca. Za to patrzy na gonitwy wozów przypominające mu dawne Rzymu czasy, i na loteryą, tombollą zwaną, w której trafiwszy piętnaście numerów, jakąs można wygrać sumkę (1).

(1) Wszystkie hazardowne gry bardzo są we Włoszech lubione. Wieśniacy z okolic Rzymu, grywają w jakąś grę zawieszoną na przedkiem odgadnięciu wiele palców w pokazanej ręce jest wyciągniętych, a ile w dłoń schowanych. Koło Bolonji lud jest tak do gry obojętny, iż do roli idzie z kartami w kieszeni i w godziny odpoczynku, na łacie gra. Karty ich zupełnie od francuzkich i od naszych są odmienne.

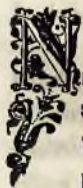
W lecie, plac Navonna, jak to już mówiłam, wodą się zalewa; wszyscy przy muzyce, przy trąb i bębnow odgłosie w niej się pluskają; w środku ekwipaże, po bokach uliczniki, i to ich ulubioną zabawą.

W Jesieni zaś góra *Testacio* swe jaskinie dla ludu wyłącznie otwiera. Góra ta z potłuczonych urn, waz i garnków, jak mówią, wzrosła, a ztąd najmniejszej w swych piwnicach niemająca wilgoci, od dawna swemi uctwami słynie. W tych piwnicach pozakładały się restauracye dla Trasteweru, czyli jaśniej mówiąc, szynkownie; a w dawnych czasach, na jój łące odbywały się karnawałowe szaleństwa.

Teraz karnawał przeniósł się na Corso, a *Testacio* we Wrześniu i Październiku, co niedziela i czwartek, widzi na swych trawnikach hożą swą stantarellę, tańczoną przez elegantów i elegantki trastewerskie. Strój ich, pełen wówczas kwiatów, wstążek i świecidełek, wozy w girlandy i chorągwie ubrane, z muzyką i bębnami na czele, wiele wabi widzów. Lecz od czasu co ostatki karnawału zamiast jednego na siedm rozciągnęły się dni, ucztę te coraz mniej huczne i świetne bywają; bo każdy grosz chowa się na zbliżające się już zapusty. Wszystkie myśli, życzenia, nadzieje, ku nim już zwrócone; a jak wielkiego tonu damy, przy intercyzie ślubnej warują sobie, żeby nigdy na wsi nie mieszkały, tak w niższej klasie, przy ślubie, karnawału zabawy są zawarowane.

VIII.

KARNAWAŁ. — POST. — WIELKI TYDZIEŃ. — PIELGRZYMKI.



Nie niema w gruncie sprzeczniejszego, jak karnawał i Rzym. Ta stolica grobowej poezyi i szczytnych wspomnień, hałaśnym raptownie śmiechem i wrzawą zagłuszona; duchowna jej terazniejsza postać pajacem i arlekinem skalana, zdają się nieznośną rzeczą; i nie tylko się zdają, ale dla ludzi, nie biegających po świecie za hucznymi jedynie rozrywkami, dla ludzi którym poważny Rzym, odpowiedział duszy usposobieniu, ogarnął ją swym duchem, ta sprzeczność, to raptowne z głębokich marzeń do zapamiętałego szaleństwa przejście, jest w początku nadzwyczaj rażącym.

Wyznać jednak szczerze trzeba, iż to jest tylko chwil pierwszych wrażenie.

Karnawał rzymski tak jest piękny, tak swą naiwną wesołością porciągający, iż niepodobna długo tym jego wdziękowi się oprzeć. Przez tydzień przeszło, idąc codzień *crescendo*, ta wesołość której każdy sercem i duszą się oddał, nic w niej nie szukając jak szczerzej i pustej zabawy, najzimniejszych w końcu rozgrzewa; każdy czy to stary, czy młody, melancholik, żalobą nawet pokryty, w pierwszych dniach swój wyexpensuje humor, później walczy z nim, następnie powoli go zapomina,

i gubi w tym weselnym szale, w tym potoku, który w końcu wszystkich, i jego z innymi, porywa i unosi. I dziwić się niepodobna, że Rzymianie i Rzymianki, tak go upragnieni, tak chciwi!

Wenecya to niegdyś karnawałowe dzierzyła berło. Z całej Europy na zapusty do Wenecyi jechano; wszędzie, a najbardziej w Paryżu, usiłowano naśladować jęj maski, jęj publiczne zabawy i swawolę; ale Europa ojców naszych, łatwiejsza była niż terazniejsza do wesołości i śmiechu. Dziś, każdy przyzna, iż niepospolitego trzeba uroku do osiągnięcia podobnych skutków.

Wenecyi także charakter i postać, daleko bardziej niż Rzymu, karnawałowi sprzyjały. Lud jęj jak i paryzki, wesół i hoży, zawsze zdaje się do pustoty gotów. Tymczasem Wenecya, już ledwo tradycyjną swych zapust dochowuje pamięć; co dziwniejsza, Paryż bogaty, niepodległy, szczęśliwy Paryż! daremnie robi wysilenia do utrzymania swoich. Co rok mniej na jego bulwarach widać masek, a tłum przybyły do ubawienia się niemi, w oczekiwaniu zawiedziony, w złym humorze się rozpląwa, lub rozwiczyłą swawolą chce ją wynagrodzić sobie.

Wesołość już niepodobna w Paryżu, zdawała się na całym skończona świecie, gdy nowo narodzony karnawał rzymski przekonał, iż tylko chwilowo może z niego wygnana, w poważnym nawet Rzymie, łaskawie sobie ofiarowane przyjęła schronienie; iż jęj łatwiej z religijnym jednać się duchem, niż z zimną polityką lub z suchą żyć industrią.

Karnawał rzymski niezbyt dawno swęj nabrał świetności. Przed Piusem VII zabawy publiczne trwały tylko dzień jeden. Odtąd rozciągnęły się do dni siedmiu (a raczej do dziesięciu, z których nabożeństwu poświęcone dwie niedziele i piątek się wyłączają), i coraz jakiejś malęj a dla wesołości korzystnej ulegają zmianie.

Gdy się ta wielka, ta upragniona zbliża szafu epoka, o której od przybycia do Rzymu ciągle się już słyszy, całe miasto wre, i jakby morze przed burzą, jest w poruszeniu. Wszyscy mieszkańcy w nim się budzą i nowęj nieznanęj nabierają żwawości. Jedni uprzątają swe sklepy, robią w nich nową wywyższoną podłogę, balustrady i gradusy dla widzów; drudzy tysiącém rozmaitych cukrów, inni w tyleż jeszcze rozmaitszych kostiumów swoje przybierają. Ogromne lalki w nie ustroiwszy, stawiają przy wejściu; a te lalki ukostiumowane, drugą nieruchomą, obok skoczliwęj tworzą późnięj maskaradę.

Główna ulica *Corso*, blisko pół naszęj mili długa, dwóma zakończona placami, *Weneckim* i *Ludu*, w teatralną przemienia się salę. Magazyny, sklepy, sienie, balkony, okna, wszystko galonami pobłyskuje, wszystko w kobierce, adamaszek, aksamit i rozmaite stroi się materye, i lożową

przybiera postać. Niektóre dla swych właścicieli, większa część do najeścia, tak się świetnie gotują. Ci też co chcą być tylko widzami, zawczasu się starają o najwygodniejsze miejsca, niezbyt wysokie do rzucania i odbierania kwiatów, niezbyt dla ogólnego rzutu oka niskie.

Na innych ulicach, lubo mniejszy jak na *Corso*, niezwykle jednak także panuje ruch. Tu stroją manekiny, lalki, lub na drzwiach albo szczytłach rozpinają kostiumy, tam je przymierzają, najinują, kupują. Na placach krzątają się koło powozów, z których jedne w girlandy, chorągwie i błyskotki ubierają, inne w tryumfalne rycerskie przemieniają wozy. W pomniejszych uliczkach, zdarza się napotkać pościel lub inną ruchomość, na zastaw niesioną; albo jaką żonę, skrycie przed mężem do żyda biegnącą, z paczką sukien pod fartuszkiem.

Nareszcie, po tych wszystkich już radośnych przygotowaniach, w sobotę, na tydzień przed tłustą, o drugiej z południa, daje się słyszeć kapitoluński dzwon, owa *Paterina*, wielkiego tam zawsze dla ludu wrażenia. Poczém zaczyna przez *Corso* defilować wojsko, i szlachecka gwardya (*guarda nobile*) w paśowych ze złotem mundurach, na dzielnych koniach; a następnie jedzie gubernator miasta, kardynał, inni urzędnicy także kardynałi, w ekwipażach o sześciu ciężkich karych w pióra ubranych koniach, w karetach i z uprzężą kipiących złotem, z odpowiednią do tych przepychów liberyą, która, dawnym zwyczajem, przy portyerach, pieszo, z obu stron idzie.

Cały ten orszak wydaje się nam, mieszkańcom przemysłowej Europy (gdzie, co do stajni, już się tylko angielskich trzymają prawideł), jakimś średnich wieków romansem. Wierzch karety złotą okrążony galeryjką, opiera się na czterech po rogach złotych pięknej rzeźby genjuszach. Spód jęj cały, robotą *rokoko* teraz nazwaną, massif brązowy, grubo pozłacany, bogaty i ciężki; także koła, koziół i dyszel; uprzęż aż do ziemi konia pokrywająca, jaką już tylko po skarbcach dziadów naszych czasem widzieliśmy, tak odmienna od naszych rzemiennych szorów, wszystko razem swą odwieczną staroświecczyną, swą poważną wspaniałością zadziwia i zupełną jest dla nas nowością.

Taka pompa, ten solenności rodzaj, i kardynałów przytomność w rozpoczęciu zapustowego szalu, może się nie jednemu wydać śmieszna. Ale w terażniejszym Rzymie, każda rzecz, jakiegobądź rzędu, musi być jakimś religijnem nacechowana znaczeniem. I jak ojcowie nasi do żadnej pracy, do obiadu ani do żadnej nie przystąpili uczyty, nie zrobiwszy znaku krzyża na piersi, tak i tam żadnej nie śmianoby otworzyć publicznej, a do tego tak długo trwałej zabawy, nie rzuciwszy nań pobożnej powłoki cieniu.

I ta też pierwsza sobota, prócz wojskowej i kardynalskiej okazałości, mało innych przedstawia widowisk. Gdzie niegdzie, jakaś najgorliwsza pokaże się maseczka i parę do okien rzuci kwiatów; o piątą strzał armatni daje hasło pojazdom do nastąpienia z Corso, dwa rzędy żołnierzy, chodników jego strzegą, a w pół godziny potem, wyścigi konne ten jak i każdy karnawałowy dzień kończą.

Niedziela w zawieszeniu jeszcze, wrzący już trzyma Rzym. W święta huczne zabawy są zakazane. Papież zaczyna swe czterdziesto-godzinne nabożeństwo, prosząc nieba, żeby lud jego, w zapamiętłym szale, żadnego nie ściągnął na siebie nieszczęścia; a po klasztorach otwierają się rekolekcyje, dla wybranych i pobożnych dusz, któreby wołały ten tydzień ofiarować Bogu.

W poniedziałek dopiero od świtu już słyszysz pod oknami: *Ecco fiori! ecco fiori!* (oto kwiaty!) tysiące chłopaków w koszach je, w małe powiązane bukietki, do przedania roznoszą, i każdy się w nie zaopatrjuje. Do żadnej cukierni wejść niepodobna, tak są przepełnione kupującymi; a po rogach ulic na straganach, sprzedają tak nazwane fałszywe *konfetti*, to jest rodzaj krochmalem oblepionego groszku.

Lubo godzina druga ma być karnawałową godziną, jednak około pierwszej już niektóre okazują się najniecierpliwsze wozy i maski. Wozy są zwykle pełne sultanek lub pasterek, które wyszukują a jeszcze nie mają kogo zaczepiać, komu swych rzucić kwiatów; a maski jeszcze najobojętniejsze, ze szkolnych ławek, arlekiny lub pajace. Nieco później dwa rzędy pojazdów po dwóch bokach ulicy iść poczynają, a chodniki i środek ludem się zapełnia; około trzeciej, czwartej, już się zaczynają charakterystyczne i bogate stroje i powozy, a wojna kwiatowa i cukierkowa coraz idzie żywawiej.

We wtorek, środę, a cóż dopiero we czwartek, który już jest tłustym czwartkiem, zapał ten nie co dzień, ale co godzina wzrasta, a maski coraz świeższe, bogatsze, obfitsze. Tu cały sypie się peruwjański orszak, ze starszemi swęj osady na czele, ze strzałami na plecach i koronami różnofarbnych piór na głowie, na przeciw winem uwiecznzonego wozu, gdzie na beczce tłusty siedzi Bachus, gronem pięknych otoczony bachantek. Za nim drugi wóz samych westalek; trzeci, gdzie na szyldzie czytasz, iż medyczną wiezie szkołę, a każdy jej członek opatrzonny w kolosalne sztuki swęj narzędzia, których wymieniać nie widzę potrzeby, a niektóre z nich, jakby wieże jakie do pierwszopiętrowych dochodziły okien.

Chodnikiem poważnie postępując, czarnoksiężnik przepowiada ci twą przyszłość; improwizator z energicznemi ruchy jakieś ci plecie wiersze.

Ogrodnik pod łokciem niesie coś, jakby do książki podobnego; jest to składana drabinka, którą raptownie w górę wyciągnąwszy, trzecio lub czwartopiętrowego dosięga okna, i podaje na nią, u góry uwiązaną pomarańczę, a w niej czasem coś jeszcze słodsze.

Z drugiej strony, cały Greczynek powóz, zgielkiem wstrzymany, stanął na przeciw bogatych kalabryjskich zbójców i wojnę sobie wydali. Zbójcy rzucili kwiaty, Greczynki odrzuciły, jakby dla zbycia, kilka obwiedłego bukszpanu wiązek — zniewaga! — Zbójcy jeszcze raz próbują szczęścia, jeszcze raz rzucają kwiaty i fioletki (które mają być największą uprzejmości wyrazem), i znów w zamian, odbierają bukszpan!! tu już zniewaga wołająca zemsty! A więc biorą się do krochmalnych z obu stron konfektów, i całemi garściami w oczy sobie sypią. Już wkrótce całkiem obieleni, do młynarzów tylko podobni będą, gdy Greczynki upamiętywać się poczynają. Zamiast zmyślonych, kilka rzucają prawdziwych cukierków, a to już do zgody krok; odbierają w zamian, jeszcze piękniejsze z dewizkami cukry, w ładnych jedwabnych woreczkach, lub innym ładnym kształcie, i za to fioletkami odpowiadają.

Ale biada ci, jeżeli w twém sąsiedztwie z balkonem podobnaż zaczniesz się walka! bukiety cukierki i konfetti, lubo z największą ciskane zręcznością, bo w tém Rzymianie celują, nie zawsze tak wysoko dolecieć mogą; kwiaty i cukry, chłopcy w przelocie łapią, a krochmal opadając, niewinnemu często sąsiadowi w oczy się dostanie, i dla tego opatrz się zawczasu rodzajem siatkowej z drutu uplecionej maski, przez którą wszystko widzieć można, ochraniając twarz i oczy.

Już nie dwu ale trzema rzędami, pojazdy krzyżują się; czasem powoli, czasem pędem, żeby niestracić miejsca, jeden za drugim gonią, bo nie same tylko *Corso*, ale wszystkie do koła ulice niemi są zalane. Jedne pełne masek tak świeżych i bogatych, jakby na książęcy jaki bal (póki ich nieosypią krochmalem); drugie elegantek i wielkich pań, które dnia tego dla odpoczynku się nie zamaskowały, lub na same ostatki świetny i świeży zachowują kostium, a teraz tytko znajomym rzucają kwiaty.

W bocznych ulicach mniej elegancyi, ale hałasu i wrzawy oniemal jeszcze więcej. Tam jest bowiem Trasteweranów i ich klasy panowanie. Pajaców i arlekinów bez liku; wozy najśmieszniejsze karykatury wiozą, a pośród nich, wesela z ośmdziesięcioletnią panną młodą i takimże narzeczonym, z butelkami w rękę i udając pijanych, popularne koncepta, swe włoskie powtarzają *lazzis*. Tam ujrzysz nieraz babę na bociannie jadącą furmana z psią głową wiozącego cielę i osła, dwóch swych panów. Tam w margrabiowskim, od góry do dołu zahaftowanym stroju,

pod ogromną peruką niejednego poznasz żebraka, co koło poczty codziennie wyciągając rękę, woła: *«Mori di fame!»*.

Policyjnie przepisaną i pilnowaną koleją, wyjechawszy z Corso, długie się czasem w tych bocznych ulicach trawią godziny, zanim się do niego napowrót wjedzie. Ale za to, za powrót, co za radość! jakie szczęście! z podwójną wówczas żwawością do każdego pojazdu, do każdej łoży, balkonu, okna, lecą bukiety; chociaż tych połowę w drodze ginie, bo już chłopakom brakuje kwiatów, i oni też z podwójnym zapalem na przelocie je chwytają, pod powozy, pod konie, bez najmniejszej uwagi po nie się cisną, jeden przed drugim je sobie wrywa. Ten już się ciesząc iż pełny zbierał kosz, całém woła gardłem: *«Ecco fiori!»* do pojazdu je podając, gdy gromada waryatów, z dzwonekami u wysokich czapek, z bębniami i piszczalkami, w różnobarbném odzieniu, z boku wypada, jak szalona leci, chłopców przewraca, i kwiaty ich z niemi!

— Czy to w pani łoży niema fałszywych konfektów? zrywając się raptownie, pyta mię pan Władysław.

— A to na co panu fałszywe, kiedy masz pełną garść prawdziwych cukierków?

— Bo widzę nadjeżdżającą ładną panią, do której mam złość i chcę jęj garść konfektów za to posłać.

— Czy to jaka dawna znajomość?

— Nie, niewiem kto ona jest, ale widać że coś porządnego, i widzi ją pani, jak siatkową maską się przysłania; ale jednak czasem ją odchyli by ładne pokazać oczy. Od poniedziałku, codzień jęj rzucałem do pojazdu kwiaty, i nawzajem podobnie odbierałem; ale wczoraj, niewiem czemu, wzięła przesłiczną kamelję, com jęj na kolana rzucił, odwróciła się i komu innemu ją posłała. Szczęściem, żem niemał konfektów przy sobie, bo bym się zaraz zemścił. Ale ja jęj i tak tego nie daruję, niech tylko tu pod łożę się zbliży!

— Wstydź się pan! kobiéta a do tego ładna!

— Prawda! a więc ten raz jeszcze przebaczenie. Rzucę jęj jeszcze dziś bukiet, ale już nie kamelję, tylko te związane stokrotki, chyba żeby mi odpowiedziała fiołkami, tobym jęj wówczas tę piękną posłał różę, i na wszelki przypadek, będę ją w ręku trzymał. Niech ją widzi, a odebrawszy stokroć, niech myśli że nie dla nięj.

— A pan — drugiego zapytałam towarzysza mego, od kogóżes dostał ten różany pączek, co tak czule do ust tulisz?

— Od tęj pocziwéj co tu tylko co łożę pani pominęła. Ktoś jęj właśnie robił znak, żeby mu ten pączek oddała, a ona przypomniawszy może, iż jęj wczoraj wyborowy posłałem cukierek, mnie go rzuciła, i te-

raz śliczną mi rączką, za oznaki méj wdzięczności dziękuje. Ja też muszę na jój powrót przygotować całą wiązkę rezedy i fjołków. Ale temu co tu nadchodzi, i jakiś sobie zadarty nos przypiął, muszę szczyptę konfetów cisnąć!

W tém armatni zabrzmiał wystrzał; pojazdy w poboczne ulice śpiesznie się zwracać poczęły; obu mych towarzyszy zamiary, w zawieszaniu pozostałe, niewiem czy następnych dni doszły do skutku! czy ta kwiatowa kłótnia, zgoda, rozmowa, dalszy ciąg miały? czy ta *korsowa* znajomość w jakim ponowiła się salonie, lub jak najczęściej bywa, w masce zaczęta, razem z nią się skończyła.

Po pierwszym wystrzale, na poprzek placu *ludu* stawia baryery, a z za żelaznej pobocznej kraty, wyprowadzają dzikie do biegania konie.

Dawniej wyprowadzano tak żydów z workami kamieni na plecach, i oni to dla zabawy rzymskiego ludu, te odbywać musieli kursa. Teraz żydzi uwolnienie od nich za łaskę sobie wyjednali, a składką na koszta konnych wyścigów okupili się od tego upokorzenia. Lecz i w terażniejszej zmianie, mieśza się jednak cokolwiek okrucieństwa. Konie te mają na sobie poprzylepiane zapalone hubki, jakieś oraz kawałki kołących blaszek, które za każdym poruszeniem je ramią. Ból w największą wprowadza je złość. Szarpia się, targają swych masztalerzy, którzy im rady dać nie mogą; gryzą się między sobą, i na zamkniętą baryerę skaczą. Jest to dla Rzymian jakby gladyatorów przypomnienie, i z zapalem na to widowisko biegają!

Nareszcie drugi wystrzał słyszeć się daje. Ostatnie pojazdy umykają z *Corso*; żołnierze ścisłym szeregiem bronią pieszym przejścia z chodników na ulicy środek, baryera na placu ludu opada, a konie jakby wściekle, w pośród radosnych ludu okrzyków, w czwał lecą, same, bez jezdzców, przez całą długość ulicy, aż do weneckiego kończącego ją placu.

Tam rozpięte od góry płótno, nową im stawia baryerę. Pierwszy do mety przybiegły wspaniały odbiera tryumf, wieńczą go, noszą na przyrządzonej do tego podstawie, oklaskami pokrywają; a dla swego pana dostaje chorągiew, i jakąś z żydowskich pieniędzy nagrodę.

Potém już tylko słyszeć szum uchającego powoli karnawału, który na dzwon Anioła pańskiego przeżegnawszy się, aż do następnego usypia ranka, by znów jeszcze żwawszy na *Corso* wleciał.

Dwóch dni ostatnich, *Corso* tak jest natłoczone pojazdami i ludźmi, iż cyrkulacya ich utrudzona, i jak to mówią, szpilkaby niedoleciała do ziemi. Wszyscy już się prawie znają, i jakby jedną tworzą rodzinę, a przynajmniej jedno towarzystwo, poufałe lecz przyzwoite, wyborowe,

gdyż od pierwszej do ostatniej chwili, w pośród najszczerszej, lecz tylko naiwnej i pustej wesołości, największa wszędzie grzeczność i skromność panuje, nie od czegooby oczy odwracać trzeba.

Czasem jakiś Anglik w jasnym surducie, zakupi cały korzec krochmalnych konfektów, i środkiem jadąc, na wszystkich, blaszaną tarczą rozsypuje; inni jego rodacy, najmą wysoki balkon, gdzie wiedzą że z dołu nic im nie dojdzie, a zasadziwszy się na najzgrabniejsze maseczki, mianowicie na *modelki*, niemiłosiernie je tym zasypują gradem. Ale prócz tych angielskich konceptów, rzekłbyś iż w zaproszonym jesteś zebraniu, lub że każdy przy wejściu tego salonu w jaki się ulica wydaje zmienioną, dwa dukaty zapłacił.

Jednak gdy ranku jednego, nieco tą wrzawą zanadto zmęczona, nie otworzyłam od strony Corso mych okien, zaczęto do nich ciskać, wołać, gniewać się. Była to zbrodnia karnawałowego stanu.

Ostatniego wtorku, już nawet i na Anioł pański nikt nie pamięta. Dzwonu odgłos ginie w zapustowych głosach. Przy zmroku każdy małą zapala świeczkę, *moccolo* zwaną, i zaczyna się karnawału pogrzeb, nowa zabawa, *Moccoletti* nazwana.

W oka mgnieniu, od piwnic do dachu, i dachy nawet wszystkich domów, tysiącem pobłyskują światełek, wszystkie loże, balkony, pojazdy ich pełne; każdy pieszy ile może ich zapala, jedne w rękę, drugie na długich ulepione kijach niesie, a te latające po długiej ulicy ognie, dziwny i piękny robią efekt.

Ale niedość jest je zapalić, to najłatwiejsza! chodzi oto najbardziej, żeby ją sąsiadowi zgasić, a swoją od podobnego ochronić zamachu. Największym bowiem jest wstydem, być bez zapalanej świeczki, i ten co ci ją zgasi, zaraz woła, a za nim inni powtarzają: „*Vergogna senza moccolo! amazzato senza moccolo!*” (wstyd bez świeczki, zabić tego co bez świeczki!)

I niema też sposobów jakichby do zgaszenia ich i do obrony nie używano. Jedni je kładną w rodzaj papierowych latarek, a do kija uwiązawszy, w górę je wznoszą; inni po sześć i ośm razem zlepwszy, wielki i trwalszy chcą mieć płomień. Ale nie nie pomaga! Jeżeliś w oknie, z wyższego piętra spuszcza się cichaczem zmoczona chusta, i gdyś się najmniej tego spodziewał, gasi twe światełko. Jeżeliś na ulicy, z przodu, z tyłu, skaczą do niego, z okna, z łoży, zewsząd niebezpieczeństwo cię napotyka, wszędzie do kija przywiązana chusta cię dosięgnie. W pojeździe toż samo! Niema ratunku! i już lepiej, mniej się troszcząc własną sławą, przykładać się do odwetu, więcej gasić niż się bronić, a gdy się ujrzyysz bez światła, i słyszysz owe straszliwe: „*Vergogna senza*

moccolo!” powtarzaj ten odgłos dla tego któremuś przez ten czas zgasił, jakby on się nie do ciebie miał stosować, co prędzej swoją świeczkę u świeczki uprzejmego sąsiada zapal, a *przez wdzięczność*, zaraz mu ją zdmuchnij, wołając: *«Amazzato senza moccolo!»*

Oto jest taktyka najbieglejszych *moccolistów*. Własnym jej niestety! nauczyłam się kosztem!

W ostatni wtorek, zjadłszy na prędce w południe jakies zimne śniadanie (bo jakżeby w taki dzień o obiedzie myśleć!), pragnienie mi po nim ciągle dokuczało. Ku wieczorowi, niemogąc już wytrzymać, pod opieką grzecznego towarzysza, spróbowałam do bliskiej przecisnąć się cukierni na limonadę. W przejściu, mało dwadzieścia razy rozmaitemi wyż wyliczonemi sposoby, świeczki nasze pogaszono; a gdy widząc, że tak zapalcząwą odpierając walkę, za godzinęym jeszcze do cukierni nie doszła, wszystkie pogaszone rzuciłam świeczki; tysiące ozwało się głosów, jedne wstydem, drugie śmiercią grożące, a niektórzy panowie zastępowali mi drogę, i z najszczerzszym zadziwienia wyrazem, załamując ręce i w oczy mi patrząc, pytali: *«Come? Una Signora senza moccolo?»* (jak to? taka pani i bez świeczki?)

Nareszcie *il festino*, to jest maskarada w teatrze Alibert, ostateczną jest zapust konkluzją. Tam w łożach jedne jak na bal postrojone damy, w klejnotach bez masek, inne w dominach i maskach, a na parterze i po salach, pełno jeszcze znanych z całego tygodnia kostiumów, uwijają się, intrygują i śmieją, niewychodząc nigdy z przyzwoitości prawideł.

O północy, sale się wypróżniają, świece ich gaszą, i już wówczas na prawdę, lubo bez *moccolotów* karnawał pogrzebany, przez cały rok zmarłychwstania oczekiwać musi.

Następnego ranka, po stosach obwiedłych i podeptanych kwiatów, w pośród obnażonych z kobierców i makat domów, łoż z jedwabiów i świecideł odartych, idziesz do kościoła, gdzie ci popiół na głowę sypią, przypominając, żeś był prochem i w proch się obrócisz; a to przejście z róż i fiołków do popiołu, jeszcze jest raptowniejsze, niż Rzymu śpiewającego swych wspomnień ode, do Rzymu szumiącego zapustowemi odgłosy.

Po tym dniu, stolica święta jeszcze surowszą i pobożniejszą przybiera postać. Cały świat protestancki i bawiący się, raptownie go opuszcza. Nie ujrysz na ulicy jak upakowane wyjeżdżające ekipaże, a po domach nieusłyszysz innej rozmowy jak o najlepszych kaznodziejach, spowiednikach, o naukach i obrzędach kościelnych; te zaś, jak niegdyś karnawałowe zabawy, coraz idąc *crescendo*, w końcu już cały zabierają

dzień, a w wielki tydzień do najwyższej dochodząc świetności, swym rozgłosem zacierają poniekąd karnawału sławę i pamięć.

Post w innych miastach zwykle muzyką i koncertami rozweselany, w Rzymie samój oddany modlitwie. O żadnym koncercie w nim niesłyszałam, może dla tego iż czasu dla nich niema. W karnawał nadto się bawią, a w poście bawiący się świat co prędzej ucieka. Ten co pozostaje nie wzbogaciłby pysznego artysty.

Jest w prawdzie towarzystwo filarmonijne, podobne temu o którym ci we Florencyi mówiłam. Zaprasza ono na trzy koncerty, które w poście *darmo* daje. Lecz o tych mało powiedziećby można.

Na wielki tydzień dopiero znów się cudzoziemcy gromadzą, miasto się przepełnia; pojazdy są bez ceny, mieszkania prawie niepodobne, i każdy lokuje się jak może. Po zajezdnych oberżach i hotelach po siedm łóżek w każdym stawiają pokój, nietylko w pokoju, ale w ich braku, w przedpokojach lub jadalnej sali; a taki któremu żaden salon niedość był wykwiłtyny, szczęśliw czasem, gdy między nieznanymi, jedno do najęcia znajdzie jeszcze także dla siebie łóżko.

O wielkim tygodniu rzymskim każdy słyszał; obszerne jego opisy, nieodzowny stanowią w każdej włoskiej podróży rozdział, i dla tego krócej nad nim niż nad daleko mniej znanym karnawałem się rozciągnę.

Między ceremonjami, nazwanemi tam *funzioni*, co tak obcych wabia, wielkoczwartkowa najdłuższa jest i najciekawsza: zaczyna się od błogosławieństwa z łoża czyli watykańskiego balkonu, które to błogosławieństwo przy większym daleko ludu zgromadzeniu, i wojskowej wystawie, w pierwszy dzień świąt powtórzone, wiernie ci opisałam.

Po błogosławieństwie, Ojciec Śty idzie do kaplicy po prawej stronie wielkiego u Ś. Piotra ołtarza, i tam nogi dwónastu myje ubogim.

Kaplica do téj ceremonji natenczas urządzona, z obu stron ma gradusy dla dyplomacyi, dla dam i innych widzów, którzy dla znalezienia miejsca na kilka przedtém godzin, już się tam znajdować muszą. W głębi pod baldachimem, na wyższych jeszcze stopniach, papieżki stoi tron, a po prawej jego ręce ławka, na której dwunastu siedzi ludzi w białych wełnianych płaszczach, w białych czapkach, z nogami już umytemi, ale bez pończoch, w pantoflach tylko.

Duchowieństwa niewiadać! Ministrowie i starsi ich urzędnicy w wielkich są mundurach, damy w czarnych sukniach, i czarnym na głowie welonie bez kapeluszków. Jest to bowiem konieczny w wielkich Ś. Piotra uroczystościach dla płci żeńskiej strój. Lecz te welony co początkowo zapewne na twarz spadały, teraz gdzieś na tyle głowy zawieszzone, do połowy czasem tylko kryją przypięte we włosach róże; a zawsze śli-

cznie odbijają od białej twarzy, i podnoszą angielskie, głównie tam panujące piękności.

Prócz dyplomatycznych, tysiące innych, wszelkich narodów, farb i kroju, błyszczą tam mundurów; a te połączone z amarantową papieżką służbą, szwajcarską gwardyą, w pośród tych czarnych strojem a jasno włoskich dam, bardzo oko bawia.

Ojciec Święty odmówiwszy jakieś pacierze, zapasuje się białym fartuchem, bierze miednicę i nalewkę, i ze stopni tronu swego schodzi. Każdy ze starców podaje mu nogę; on ją wodą zlewa, a jakiś zanim idący dygnitarz, zapewne kardynał, ją obciera.

Gdy ubodzy potem się podnoszą, z podziwieniem zamiast dwónastu nalicza się ich trzynastu; a lubo wiadomo iż każdy z nich w tej okoliczności odbiera jakiś pieniężny datek, powierzchność ich najmniejszej zgrzybiałości ani nędzy nie objawia.

Wówczas się dowiadujesz, iż gdy po raz pierwszy obchodzono w Rzymie tę świętego wspomnienia uroczystość, między dwónastu apostołami okazał się anioł; odtąd obie te łącząc pamiątki, i wieczerzy pańskiej i zesłanego później anioła, trzynastą dodają osobę.

Co zaś do ich wyboru, ten jest obcych krajów ministrom zostawiony. Każdy z rezydujących w Rzymie posłów, podaje ze swego narodu jednego na to członka, i ztąd bynajmniej nieodpowiadają naszemu oczekiwaniu, wcale nie przypominając tych szpitalnych dziadów, jakich tam idąc, nasza wyobraźnia zawczasu stworzyła sobie.

Po tej *funzioni*, papież i ubodzy idą do jednej z watykańskich sal, gdzie za przykrytym zasiadają stołem, a Ojciec Święty podaje im potrawy i talerze zmienia.

Elegantki z czarnemi welonami, i mundurowi eleganci, wszystko to za niemi śpieszy, goni, leci. Kościół Ś. Piotra, podwórza, wschody i korytarze, wszystko się jednym przebiega tehem, żeby jeszcze tę drugą zobaczyć ceremonją. Ale nadaremnie: rzadko, prawie nigdy, taka się nie uda sztuka; gdyż ci co w kaplicy nieznaleźli już przystępu, i mycia nóg niewidzieli, tam się wprost udawszy, od godziny miejsc swych pilnują. Najgorliwsi, najzapaleńsi, usiłują jednak się wtłoczyć, i czasem do połowy sali (zkaąd nic nie widać) dójść potrafią; lecz ci co z zimniejszą krwią za drzwiami pozostali, winszują później powolności swojej, słysząc tamtych jęki widząc jak ondlone nieraz, a czasem w tym zgiefku pokaleczone, wynoszą panie.

W wielki piątek jest jedna ceremonja w kaplicy paulińskiej, gdzie grób Pański sławią; druga w syxtyńskiej, gdzie sławni jęj śpiewacy *mizerere* śpiewają.

Te głosy innego całkiem niż zwykle dźwięku, żadnym nie towarzyszone instrumentem, zdają się z innego przybyłe świata. A gdy oświetlenie kaplicy, bardzo zrazu obfite, powoli ćmić się poczyna, wrażenie jęj wzrasta. Gromnice bowiem po jednej nieznacznie gaszą, tak że ostatnia śpiewu strofa w zupełnej kończy się ciemności.

Później papież idzie do katedry i swą niesie cześć najświętszym relikwjom, które wówczas z wysokiego pod wielką kopułą balkonu, są wszystkim pokazywane.

Wieczór dnia tego także ciekawe przedstawia zajęcie: Rzym między licznymi miłosierdzia zakładami, ma jedno dla pielgrzymów. Każdy pielgrzym odbiera w nim darmo, przez dni trzy, a później za małą opłatę, całkowite utrzymanie; a na przypadek choroby, w przyłączonym doń szpitalu, wszelkie staranie, doktora, aptekę, aż do chwili wyzdrowienia.

W wielki tydzień, gdzie ich najwięcej przybywa, i większej niż zwykle wymagają usługi, pobożne dusze, przykładnie się jęj poświęcają. Mężczyźni dla mężczyzny, kobiety dla kobiet, zawczasu do naczelnika zakładu się udają, by swe w tym celu zapisać imię, i dostają służebny znak: jest to rodzaj obrazka w okrągłych ołowianych ramkach, który jak order trochę niżej ramienia przypinają. Do mężczyzn kobiety nie wchodzą, ja zatem kobiecą tylko widziałam stronę.

W wielki piątek, ku wieczorowi, znalazłam już tam całe grono pięknych z białemi rączkami pań. Każda w czarnej wysokiej sukni, z czerwonym fartuchem, także na gors i plecy zachodzącym, z orderem przy ramieniu (gdyż taka widać jest ich liberya), miała swą pielgrzymkę i nią się wyłączenie trudniła.

Zaczyna się od mycia nóg: ale nie w złożonej miednicy, jakeśmy wilją widzieli, ani ze złożonej nalewki kilka wody kropel na nie się polewa; tam wszystko samą rzeczywistością; i też jak każda prawda, nie pobłyскуje złotem.

W długiej sali, kilkunastu łojowemi oświetlonej świeczkami, na drewnianych około ścian ławach, siedziało z pięćdziesiąt lub więcej niewiast. Jedne młodsze i z dziećmi na ręku, drugie starsze; wszystkie brudne, do róż ni liji nie dające się porównywać, nie pieściły bynajmniej wzroku ni powonienia zmysłu. Każda miała przed sobą ceberek z wodą, a panie umywszy im nogi, wylewały ją w rodzaj kamiennęj studni, w środku sali do tego urządzonej; z pompy zaś także w sali będącej, świeżej naczepawszy wody po raz drugi i trzeci, gorliwie te czasem pokaleczone opłókiwały nogi (co ręczę że nie było za nadto).

Każda potem zaprowadziła swą pielgrzymkę do jadalnej sali, za stołem ją posadziła, zastawiła jęj przykrycie, sałatę przyprawiła, napoje

i ciepłe potrawy podała, pilnując żeby jój niczego nie brakło, żeby się jój nie mniej od innych, i wszystko podług przepisu dostało; a cała ta usługa z największą prostotą, bez najmniejszych, jak się przynajmniej zdawać mogło, próżności zarodów, się odbywała.

W pierwszy dzień świąt, możesz te wszystkie widzieć panie, każdą ze swą pod rękę pielgrzymką, prowadzące je po błogosławieństwo na watykański plac; lub na nim, gdy Ojciec Święty w loży się okaże, obok nich pobożnie na bruku klęczące. Tamby już obszerniejsze było dla próżności pole, gdyby w tój chwili można ją przypuścić, gdyby podczas tego obrządku, wyższe uczucie nie przepelniało całkiem duszy.

Wyobraź sobie jakie było moje podziwienie, kiedy w ten wielki piątek, między przykładnie usługującemi paniami, poznałam ową sławną w Pizie napotkaną hrabinę Egeryą? Zamiast świetnego młodzieży grona, widząc ją teraz pośród bzydkich bab, własnym nie chciałam dowierzać oczom, tém bardziej że strój i wyraz twarzy, całkiem ją odmieniał. W zamian amazonki miała na sobie czerwony fartuch, zamiast męskiego kapelusza, gładko za uszy zaczesane włosy, zamiast cygara i pejezyka, niosła wiaderko z brudną wodą. Wzrok jój także, bystrych i tryumfalnych nie siał już w około siebie promieni; tylko skromnie w miseczkę pielgrzymki spuszczoney, jadła jój dozierał. Czy miała jeszcze zamiar nawracania czyli odwracania od katolicyzmu Ojca Świętego, jak to w Pizie głosiła? dowiedzieć się tam, niemogłam. Gdzieindziej późnziej powiedziano mi, iż w tym istotnie celu do Rzymu przybyła; lecz tam o jój niewiedziano przeszłości, a każdy czém inném zajęty, ani zważał na nią.

W wielką sobotę, udają się wszyscy do kaplicy, czyli chrzcielnicy laterańskiej, gdzie się uroczyste odbywa chrzest żydów i innych nawróconych heretyków. Dawniej główną dnia tego ciekawością, był sławny ognisty krzyż, tak duży, iż sam jeden całą oświetlał katedrę, co wpośród ciemnych jój boków, przesłiczne miało sprawiać wrażenie. Ale ja go już niewidziałam. Krzyża tego już nie illuminują.

Jak to ci o karnawale mówiłam, tak i w uroczystościach wielkiego tygodnia, rozmaite od niejakiego czasu zaprowadzono modyfikacye.

Przed kilką jeszcze laty, pierwszego dnia zapust, gdy już okna makatami się pokryły, balkony i loże ustroiły się w aksamit, galony i draperye, zanim jeszcze wpuszczono wpośród nich skrzydlatą karnawału boginię, ze swym szalonym orszakiem, innego rodzaju ciągnął się tam orszak.

Na placu ludu stało rusztowanie: skazany zbrodniarz poprzedzony czarnemi z pokrytymi twarzami braćmi miłosierdzia, w towarzystwie spowiednika i kata, przez całe *Corso* na stracenie był prowadzony; a wi-

dok przygotowanej uczy, podwajał jeszcze bladeść lica jego. Spadająca głowa stawała się poniekąd rozpoczęcia zabaw hasłem, a wstrząśniony tém widowiskiem lud, jeszcze zapamiętałęj do nich leciał.

Niejasny zrazu, a dla nas niedościgły cel tęg śmiertelnęj wystawy, nie jednemu swą w tęg chwili sprzecznością dziwnym się wydawał, a w ogóle, dla obcych, odrażającą był rzeczą.

Miało to służyć za hamulec dla ludu rzymskiego, być przypomnieniem jaki jest koniec tego co się zbrodni dopuszcza.

Dla przerwania także choć na chwilę tego szału, którego pozwalając lękano się jednak, prawie codzien urzędnicy, kardynałowie w godzinach kiedy wnosili że on może być największym, w swych pysznych ekwipażach przejeżdżali *Corso*, i lud na dwa rozstępujący się boki, błogosławili. Czasem też pogrzeb tam jaki posłali. Ale to wszystko, jak się zdaje, nie wielkie musiało nieść owoce.

Nie tylko rzymska, ale całego półwyspu ludność, tak jest zwyczajna i chciwa silnych wstrząśnień, że dla nięj te wszystkie sprzeczności nową tylko były roskoszą. Serce na chwilę podwójnie zapukało w piersi, czego Włosi właśnie najbardziej upragnieni; a w moment potém, nowęj zapamiętale oddając się czy to zabawie czy namiętności, już o niczém więcj jak o nięj nie pamiętają, wszystko inne całkiem tracąc z oczu.

Zaledwo kardynał przejechał, lub pogrzeb wszedł do kościoła, kwiaty i cukierki jeszcze żwawięj latały; karnawał na chwilę wstrzymany, jeszcze lepięj rozpinął skrzydła; a że mimo całej jego powierzehownęj przyzwoitości, niepodobna przypuścić żeby i szatan niebrał w nim udziału, żeby tak dobrą opuścił zręczność do płatania swych figlów, i pod czarną lub różową maską, nie posłał tam bladęj zazdrości najdzielniejszję swęj współniczki, często bardzo, z rana, pomiędzy kwiatami, znajdując jęj smutne ofiary.

Rząd więj zważywszy, iż karnawał tak teraz długi i świetny, nie tylko ma na celu zabawienie, lecz bardziej może jeszcze, wzbogacenie Rzymu, w którym zwabieni nim cudzoziemcy, przy niesłychanęj drogosci, ogromne zostawują summy; widząc, iż te wszystkie żalobne demonstrancye, bardziej ich odrażają niż dla ludu przynoszą korzyść, wszystkie zaniechać kazał. Podwoił za to policyą i straże, także nie wiele pomagające.

Nie było jeszcze ani jednego tam karnawału z krwi i zbrodni całkiem czystego, i nie prędko, zda mi się, dokazać tego zdołają. Trzebaby nie tylko w obyczajach i wyobrażeniach wielkięj zmiany, co już dłuęgo wymaga czasu, lecz co jeszcze trudniejsza, trzeba żeby ta ziemia,

co na wulkanach spoczywa, zagasiła w swém łonie palne ich pozostałe zarody, i słońce żeby mniej ogniste lało na głowy promienie.

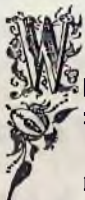
Teraz więc karnawał nie zaczyna się już od katowskiego miecza, jak i wielki tydzień nie kończy się na oświetleniu kolosalnego krzyża. Nadto, jak mówią, liczną, a nie zawsze pobożną i skromną gromadząc publiczność, stawał się rozmaitych nadużyć przyczyną. Poważna Świątę Piotra świątynia, średnią tylko swą nawę pałającym krzyżem mając oświetloną, w cieniu pobocznych, rozmaite znosić musiała zniewagi, a gdy niezdołano znaleźć na to środka, Leon XII na to piękne i na cały świat słynne widowisko, śmiały rzucił wyrok.

Od téj chwili nie tylko illuminowanego krzyża już nikt nie widział w Rzymie, ale nawet żadnej przy zmartwychwstaniu wspauiałej ceremonji; a ta wielkosobotnia rezurekcyja, co u nas do północy wszystkich obudzonych trzyma, w Rzymie jak najspokojniej, około południa w każdym odbywa się kościele.

Do zwiedzania grobów, nie przywiązują także tyle co u nas wagi, i nie widziałam żeby bardzo wysadzano się na ich przystrojenie, jako też i naszego święconego wcale nie znają.

IX.

URBI ET ORBI.—CYTADELLA ŚWIĘTEGO ANIOŁA.—AVE MARIA.—RZYM
SPOŁECZNY.—TEATRA.—POLOWANIA.—VILLE I ICH KUNSZTOWNE
ZBIORY.



pierwszy dzień świąt, papież wielką ma u Ś. Piotra mszę, poczem z balkonu błogosławi lud: *Urbi et Orbi*.

Wieczorem wszyscy się gotują na illuminacyą bazyliki, ze trzema zmianami, nad pojęcie piękną, którą lubo niedołąźnie, jak mogłam ci opisać.

W poniedziałek, tak nazwane żyrandole, czyli fajerwerk Ś. Anioła cytadelli, wszystkie kończy uroczystości.

Bastyon ten, cesarski niegdyś grobowiec, tak dziwnymi chodził kolejami, iż jak swą pięknoscią tak i historią słusznie zastanowić może.

Imperator, a razem architekt, Adryan, wróciwszy ze swych artystycznych podróży, kazał to mauzoleum postawić na groby swęj rodziny i na swój własny. August miał podobnyż na jednym Tybru brzegu; Adryan chciał na przeciwnym wznieść coś jeszcze wspanialszego.

W czworobocznęj pomnika podstawie, grobowe mieściły się stancye, wyższa część jego, okrągła jakby początek kolosalnej wieży, na rodzaj świątyni przeznaczoną, jak się zdaje, była. Olbrzymia szyszka, którą

teraz w watykańskim zobaczysz ogrodzie, szczyt jego kończyła Ścia-
ny z wierzchu pokryte najpiękniejszym z Paros marmurem, ozdobione by-
ły do koła kolumnami, między którymi stały posagi.

Kolumny, z jednej szacownego głazu bryły, później zdobiły Ś. Pawła
bazylikę, i dopiero w jej pożarze popękane, między gruzami przed ko-
ściołem teraz leżą. Posagi jeszcze smutniejszej uległy kolei.

Gdy ten starożytny pomnik, jak większa ich część, został w X
wieku na obronną twierdzę obrócony, tłuczono te prześliczne arcydzie-
ła rzeźby: na nieprzyjaciół, w miejsce kul, ciskano niemi! Później gdy
zupełną zrobiono z niego cytadelę, kopiąc do koła fossy, powynajdywa-
no ich szczątki, parę nawet całych posągów, między innymi sławnego
Fauna, zdobiącego teraz bawarskie muzeum, a te szczątki ogromny po
reszcie obudzają żal.

Grobowiec Adryana, zmieniony w fortecę, dla dwóch papieży zbawien-
niem stał się przeciw nieprzyjaciół schronieniem. Alexander VI Borgia,
kazał go podziemnym przejściem z Watykanem połączyć. Urban VIII,
nowemi w miejsce postradanych ozdobami go pokrył. Zamiast zrzuco-
nej ze szczytu szyszki, postawiono posąg archanioła Michała, ze szpa-
dą w ręku, i odtąd nazwano go zamkiem anioła świętego (Castel S.
Angelo).

Most przez Tyber do niego prowadzący, także z obu stron otoczył
się aniołami, niosącymi męki Pańskiej narzędzia. Są one Berniniego
dłota, jak to z ich długich na wszystkie strony rozwianych draperyi
łatwo poznać można. Mówią że jeden z nich do Buonarrottego dzieł na-
leży; lecz to jest wątpliwe.

Most ten wspaniały, a za nim pomnik z posągiem anioła w powie-
trzu, piękny robią efekt; a dla przybywających z nowego Rzymu do Wa-
tykanu, godnym do dalszych wrażeń są wstępem. Można tylko znaleźć
brak harmonji, między dawnym i terażniejszym tego gmachu przeznacze-
niem a nazwą jego. Gdy się dowiesz iż ten pośmiertny przybytek, gdzie
grobowy miał spokój panować, armatami i hucznym zalany teraz żoł-
nierstwem, że z jego podziemnych stancyi, śmiertelnym przeznaczonych
zwłokom, srogie zrobiono więzienia, a pod niebiańskim godłem, brzęczą
kajdany i więźniów szerzą się jęki, chciało by się inaczej go uazywać
niż zamkiem Ś. anioła.

Jakkolwiek bądź, położenie jego nad brzegiem rzeki, bardziej fajer-
werkom sprzyja, i tłónaczy wybór, któryby także mógł się dziwnym
wydawać. Rzadko bowiem tak grobowe pomniki jak i więzienia, do
uciech publicznych należą, rzadko je do fajerwerków przeznaczają.

Sute i piękne świąteczne te ognie, z przeciwnego widziane brzegu odbiciem wody się podwajają, a w tysiącznych zmianach, jednym razem cały otaczają zamek różnokolorowemi pajakami, z kąd im żyrandolów pozostało nazwisko.

Ostatni fajerwerkowy bukiet, jest także ostatnim świątecznych Rzymu zabaw bukietem. Nazajutrz, jak się to już w popielcową środę widziało, tysiące ekwipażów wszystkimi uciekają bramami, a miasto do swęj poważnej samotności, do swęj dumającej powraca cichości.

I dobrze czynią że uciekają! ci co chcą życie bengalskimi ciągle oświetlać ogniami, co zamierzają go z uczyty nieść na ucztę, codzien nowemi zasypywać różami, i znajdują jeszcze w swęj drodze tych róż podostatkiem, nie długoby wytrzymali w codziennym Rzymie; w Rzymie grobowym, gdy świąteczne zrzuciwszy szaty do swęj żałobnej wróci poezyi. I niech proszą Boga, żeby im oddalił godzinę, gdzie już ta jedynie poezya do ich przemówi duszy!.....

Rzym nie jest ani dla zakochanych, ani dla kochających się w życia uludach, ani nawet dla takich co je zużywszy, już tylko jego wygod szukają; co w smacznym obiedzie, w dobrém winie, w wygodném mieszkaniu swą zakładają przyjemność, tém mniej jeśli się do tego schludności zwyczaj łączy. Dzisiejszy Rzym nic z tego wszystkiego niema i dostarczyć nie może. Każdy Paryżanin w nim musi być najnieszczęśliwszym z ludzi, bo nawet tego tak nieodzownie potrzebnego dla siebie żywiołu, gazet i potocznej literatury, romansów i broszur, nie dostanie. Jedna jest tylko czy dwie czytelnie, ubogie i w największym trzymane nieładzie. Gazety doprosić się nie można, a w dziełach najczęściej pierwszego lub ostatniego brakuje tomu.

Co do ochędóstwa: dzisiejszego Rzymu mieszkańcy, tak się daleko od swych odszczepili przodków, iż gdy tamci połowę życia w wodzie trawili, wnuki ich uciekają od niej; a wpośród ruin najwspanialszych łaźni, dziś niepodobna schludnej dostać kąpieli. Oswoiwszy się zaś z jęj odrażającą powierzchownością, gdy się w końcu zrezygnujesz wejść do niej, każą ci za tę przyjemność, prócz usługi, cztery złote zapłacić; a gdybyś ją chciał mieć w domu, po wielkiem nad tak niedorzeczném żądaniem zadziwieniu, bez skuda, to jest bez pół dukata, nie podejmą się podobnego kłopotu.

Co do mnie, prawie nad to wszystko jeszcze był przykrzejszym zupełny brak godziny. Żaden Włoch, a jeszcze mniej Rzymianin jęj niewie, i potrzeby jęj się nie domyśla. Paryzkie zegary, w salonach na stolach lub kominach, jedynie dla ozdoby stoją. Długo nad tém przemyśliwszy nieszczęściem, od zegarnistrza w końcu duży zegar do mego

najęłam pokoju; lecz i to nic niepomogło! On ani przypuszczał, żebym dla wiadomości godziny takiego zbytku się dopuszczała, a co gorsza, zregulować go nieumiał. I niech cię też Bóg broni, gdy się twój zegarek śpieszy lub późni, w zegarmistrzowskie oddać go ręce. Pewno powróciłby na zawsze zepsuty.

U nich dzień się podług zachodu słońca reguluje. Gdy słońce zachodzi i na anioł pański, czyli jak tam mówią na *Ave Maria* zadzwonią, jest to za koniec dnia uważane; zowie się to godziną dwudziestą czwartą; poczem znów od pierwszej, aż do dwudziestej czwartej, liczyć poczynają. Kiedy słońce o ósmej zachodzi, o dziewiątej jest u nich pierwsza, o północy czwarta, o południu szesnasta. Gdyby też codzień o jednej zachodziło godzinie, możnaby się tej kombinacji nauczyć, do porównywania ich godzin z naszymi zwyczajaić. Ale ten zachód, jak wiadomo, codzień o kilka minut według roku pory, spóźnia się lub zbliża, a z nim dwudziesta czwarta godzina, dalej następne, codziennie się zmieniają.

Publiczne zaś bijące zegary, sześć tylko wskazują numerów; igły ich cztery razy na dzień cyferblat obiegają. Ale je tylko dwa razy w miesiącu nastawiają; co czyni, iż ich godzina pierwszego tylko dnia zgadza się z rachubą ludu rzymskiego, który też na nie wcale niezważając, trzyma się zawsze *Ave Maria* dzwonu.

W tém, jak w bardzo wielu codziennego życia szczegółach, coś całkiem obcego naszej Europie wyraźnie czuć się daje; i jeszcze jawniej się okazuje iż zaalpejski półwysep, a tém bardziej Romanja nie należy do niej.

Nasze godziny zowią się tam francuzkiemi. Mało ich kto rozumie a jeszcze mniej stosują się do nich; bo Włoch, któremu każdy porządek jest nienawistnym jarzmem, szczęśliw iż ma ten pretext do wyłamania się z pod niego. Dla wielu, mianowicie dla furmanów, ta godzin niewiadomość, jako też szczególny także dnia podział, pomocą jest do oszustwa, co im także do smaku przypada. I tak naprzykład, najawwszy na pół dnia pojazd, z największym potem dowiadujesz się zadziwieniem, że u nich połowa dnia ma tylko godzin cztery, a taką rzeczą, dzień stan-gretów rzymskich, dzieli się na połówek sześć.

Elegantom i elegantkom, mniej jeszcze niż wietrznikom i wygodni-siom Rzym sprzyjać może. Magazynów mało: parę jest francuzkich gdzie obok dość ubogiego wyboru, ceny niesłychane; w innych jeszcze gorzej. Gdyby kto z sobą nawet stroje przywiozł, i podług ostatniego ubrał się żurnalu, na nic by się to nie zdało; nikt się na tém by niepoznał, a oczy nienawykłe do oceniania tych zalet, ani by ich spostrzegły. U Rzymianek głównym strojem są brylanty. Kto ma, przy każdej je kładzie okoli-

czności, lubo często krzywo są przypięte, a jeśli na głowie, to nieraz nieuczესane z pod nich wyglądają włosy.

W zimie resursa dla bawiących się także nie obfite, i zwykle też Florency i wybór dają, tam tańcować jadą. Rzym balami nie słynie. Jeśli który z obcych posłów z jakim wystąpi, u nich, jak wiadomo, zaproszenia nie podług elegancyi stopnia stosować się muszą, i zwykle więcej widać figur poważnych i weale nie balowych, niż młodych i ładnych.

Między Włochami o balach nie słyhać; u nich tylko bywają tak nazwane *Conversazioni*, to jest to, co u nas zowie się teraz *przyjmowaniem*; z taką różnicą że u nas każdy co *przyjmuje*, daje gościom filiżankę herbaty a czasem lodów, a Włosi trzynając się dosłownie nazwy wieczorów swoich, samą konwersacją sycić się każą, nie dając ani szklanki wody do ust zwilżenia. Rozmowy te najczęściej po teatrze się uczynają, toczą się w języku narodowym, a cudzoziemcy mały (żeby nie powiedzieć żadnego), udział w nich mają.

Włoszki obcych w ogólności nie lubią; od cudzoziemek mianowicie stronią. Mówią iż różnica ich wychowania, a z drugiej strony nienawiść wszelkiej żony, ten w nich rodzi wstręt czy nieśmiałość; a mężowie ich i synowie wiedzą iż do ich kraju nie dla towarzyskich przyjeżdża się rozrywek, że ich ziemia inne ma ponęty i uroki, i jęj zostawują staranie zajęcia obcych, odpowiedzenia ich oczekiwaniu.

Każde jednak znaczniejsze miasto, posiada domy, w których cudzoziemiec oświetlony dla siebie znajdzie salon, i zaproszenie zawsze gotowe.

W Rzymie, w braku balującego jak gdzieindziej dworu, prócz ambasadorskich salonów, księżne Borghese i Doria swoje w zimie otwierają; bankier książę Torlonia kilka zawsze świetnych daje balów, a brat jego książę Braciano, także na wieczory zaprasza.

Lecz wszystko to wykwinąłnej elegantski nieodpowie życzeniu. Nie są to bowiem te wyborowe towarzystwa, gdzie z pomiędzy stu powołanych dziesięć wybranych się znajdzie, gdzie bal z samego młodzieży kwiatu jakby piękny tworzy bukiet, w pośród którego jedna lub dwie, świeższych i wyższych od innych lilji otrzymuje berło.

Te domy włoskie dla wszystkich są otwarte. Ktokolwiek nieco przyzwyczajonej postaci tym księżnom się przedstawi, w ich pałacu wyrzuci wizytowy bilet, a do tego z tytułem i herbem (bez jakich za granicą żadnego niezobaczysz wizytowego biletu), zaproszenie otrzyma. Wyboru wielkiego spodziewać się tam niestrzeba.

U księcia Torlonja wstęp jeszcze łatwiejszy. U niego już nieuherbiony bilet podwoje salonu otwiera, ale innego rodzaju większej wagi

kartka. On gruntowniej rzeczy biorąc, i jak na niego przystało, czeka do swej kassy wexlu. Kto go przyniesie, obok wypłaty, zaraz otrzymuje na wszystkie mające się dać w przeciągu zimy uczyty zaproszenie; a spojrzawszy na procent jaki mu policzono, może śmiało brać w nich szeroki udział.

Jednak w szczerój prawdzie wyznać trzeba, iż te bale więcej sprowadzają co zimę wexli, niż istotnej mają wartości. Książę żalując dla gości jakich się spodziewa, pysznego na placu weneckim pałacu, na którego umeblowanie krociami sypał, gdzie każdego krzesła wartość, a przynajmniej koszt jego, mógłby stać się posagiem dla biednej jakiej Brutusów lub Cezarów wnuczki, daje swe uczyty w starym i nieozdobnym gmachu, w zatybrzańskiej stronie. Lecz gdyby ten gmach dwa razy piękniej się ukwiecił i oświetlił, jakżeby mogło być piękne zgromadzenie zasypane dziwnej postaci figurami, gdzie wpośród ich natłoku, czarne podróżne Angielek panują suknie?

Brak kształtnych tancerek w ładnym i świeżym ubraniu, co piękność każdego we Włoszech balu czyni wątpliwą, zupełnie ją niepodobną robi w takim, że tak nazwę, wexlowém i szarém zebraniu, gdzie tylko samej gospodyni świetnieją brylanty. Szczęśliw też, kto się z głównej sali wymknie, kto ucieklszy z grożącego apopleksyą gorąca, niepatrzy już na te niezgrabne skoki, w brew taktu i wszelkich tańca prawideł, walcem, kontredansem lub polką nazwane. Sto razy szczęśliw, kto w pobocznym salonie, którego niezbyt gęste świece nierozgrzewają zbyt znacznie powietrza, a na toalety dam, korzystny rzucają pomrok, znajdzie wygodne miejsce do słyszenia jakiej śpiewaczki, symfonji, lub co lepsza, dla widzenia żywych obrazów.

Książę Torlonja zwykł temi dodatkami swe krasić uczyty, i one jak mi się zdaje, główną ich stanowią zaletę. Kto na koncertowy trafił wieczór, niech się pożałuje: gdyż te wszędzie słyszeć można; lecz obrazów z żywych osób, jak je w Rzymie robią, nigdzie nieturzy podobnych. Trzeba na to głęboko artystycznego pojęcia i osób zwyczajnych do przedstawienia się w taki sposób. Artyści je zwykle układają podług Rafaela i podobnych arcydzieł, *modelek* używając do tego.

Gdy się zasłona z ram usunie, nieruchawa tych figur postać, doskonale w stroju układ, kolorów ich dobór, i równie doskonałe oświetlenie, robi złudzenie kompletne i prześliczny efekt. Dzieci szczególnie, co malowanych aniołków udają, lub w świętych familjach dzieciątko Jezus albo Ś. Jana przedstawiać mają, są do uwielbienia! Póki zasłona niespadnie, żadne powicką nawet nie poruszy, a tak zwykle są piękne, iż się zdaje że je naprawdę między aniołami wybrano.

Na teatru, nie trzeba także bardzo w Rzymie liczyć. Zakazane przez adwent i w poście, zostają im tylko karnawał i lato. W lecie każdy od nich dla upału ucieka, w karnawale dostać się niemoże. Mieszkańcy Rzymu, których to jest najulubieńszą zabawą, zawczasu łożą sobie w głównym, *Apollo* zwanym teatrze zapewniają, jedni dla dogodzenia własnej przyjemności, większa część przez spekulacyą. Odnajmując je później obcym, taką kładą cenę, iż w dwóch, czasem jednem odnajmieniu, cały abonament im się zwraca, poczem już czysty z nich zysk, jakby z dobrej wioski ciągną.

Gdy sławna jaka przybędzie artystka, mianowicie tancerka, łożę coraz trudniejsze, w końcu prawie niepodobne, do czterdziestu i pięćdziesięciu dochodzą skudów, to jest 25 dukatów na jedną reprezentacyą! W roku 1846 tak się opłacała rozkosz widzenia ostatnich *Elsler* i *Tagljoni* skoków! Moznaby się dziwić, iż z taką ceną znajdują się jeszcze na łożę amatorowie, gdyby na świecie niebyło Anglików, a Rzym co rok niemi przepelniony.

Lecz te wszystkie spekulacye, z których wynika że główna opera niema stałej ceny, i na każdy wieczór inny targ rozpoczynać trzeba, co niejednego tam odstręcza, te wszystkie niesłychane zyski, zostają w obcych rękach (to jest w tych co odnajmują swe zaabonowane łożę), i bynajmniej na korzyść sceny nie idą. Budowa teatru własnością jest *Torlonji*, a ten co ją dzierżawi i ma widowisk *entrepryzę*, przy tak krótkiem ich trwaniu i miernych korzyściach, niemoże wiele na nie łożyć. *Mechaniki* i dekoracye nie są też zachwycające; *Sylfida* daleko piękniej w Warszawie niż w Rzymie przedstawiana bywa.

Są tacy co się z tego cieszą, mówiąc, że balet w Rzymie nieznośną jest anomalją; a ja doś ich zdanie podzielam. Mówi się tu o balecie paryzkim, to jest tym, jaki w naszej Europie zwykł się widzieć; bo to co baletem we Włoszech zowią, a jaki jeszcze we *Florencyi* widziałam, zupełnie innego jest charakteru, i tenby mniej może w poważnym nawet Rzymie raził.

Jest to bowiem bez końca długi dramat w pięciu, czasem sześciu aktach, przy muzyce bez słów, samą oddawany mimiką. Z historycznego najczęściej wątku, z odpowiedniami do tego ubiorami, niezobaczysz tam ani jednej obnażonej sylfidy, ani jednej z ich wylamanych postaw, ani jednej do tańca podniesionej nogi. Taniec w tych włoskich baletach ostatnie trzyma miejsce. Przykładają się w nich głównie do oddania spójrzaniem i ruchami żwawych namiętności, do znalezienia w tej niemęj grze, malowniczych pozycyi, słowem są to jeszcze obrazy, tylko wymo-

wnym obdarzone ruchem, zbyt czasem dla naszych północnych oczu energicznym.

Włochy swe opery takim przeplatają baletem. Widziałam tak we Florencyi przedstawioną operę *Hernani*. Pięć aktów prześlicznej Verdiego muzyki, były przeplecione sześćcio-aktowym historycznym baletem. Ten sposób bardzo dla aktorów korzystny, dający im długie do odpoczynku chwile, dla niezwyčajnych go jak ja widzów niejest wcale przyjemnym; a długość takiego widowiska tak znajdowałam męczącą, iż mimo najlepszej chęci, niemogłam ostatniego dosłuchać aktu; towarzysze zaś, współziomkowie moi, jedni w łoży pozasypiali, drudzy bez ceremonji uciekli.

Dla Włochów, żadne sceniczne widowisko nigdy zbyt długiem nie jest. Oni swe *konversazioni* zaczynają już w łoży. Wracając ze spaceru, który w dnia podziale główną jest ich rozkoszą i zajęciem, pojazdy (bo piechotą żadna salonowa Włoszka niechodzi) w obraném do tego zatrzymują się miejscu; tam się zamieniają ukłony i zaproszenia do łoży. W teatrze oddają się także wizyty; nikt z dobrego tonu na scenę nie patrzy. Gdy piękna ma się odśpiewać arię, wówczas dopiero rozmowy się przerywają, cichość powstaje; za to potem zaczyna się grzmot oklasków, tysiące okrzyków, na kwadrans lub pół godziny ogólna wrzawa i hałas. Śpiewaczka do dziesięciu a czasem więcej wywołana razy, musi na powtórzeniu ulubionéj skończyć arię.

W Rzymie, gdzie w teatrze więcej zawsze po łożach cudzoziemców niż Włochów, mniej w nich wizyt i rozmów słyhać. Oklaski tylko, wywoływania i bukiety z parteru zwykle słane, z południową idą żwawością, a ta swym gorącym zapałem i albiońskie czasem rozgrzewa głowy. Panna Elsler po ostatniéj swéj reprezentacyi, ośmnaście przywołana razy, za każdym razem zasypana kwiatami, znalazła między niemi bukiet kosztowną związany bransoletką, i tak drogiemi obwinęty koronkami, iż do kilku tysięcy wartość jego ceniono.

Prócz téj wielkiéj opery, dla baletu razem przeznaczonéj, jest druga w Rzymie sala, dla drugiego rzędu oper i także komedyi, teatrem *Valle* zwana; trzeci *Metastazego* teatr, gdzie sama wysoka panuje komedia, *Aliberta* maskaradami słynny, i para mniejszych na krotofile.

Na *Valle*, ściągała podczas méj bytności widzów, Panna *Zoja*, śpiewaczka którąśmy przed parą laty w Warszawie, w Córce Regimentu widzieli, niegra ona innnéj jak tę rolę, ale też ją gra doskonale, i bardzo była w Rzymie lubiona. Razem z córką regimentu, przedstawiano Goldoniego prawdziwie narodowe sztuczki, które mié daleko bardziej zajmowały niż w teatrze *Metastazego* szklanka wody, i inne z francuzkiego przekładane komedye.

Tłomaczenia w ogólności rzadko mię zachwycają; lecz komedia bardzo, zda mi się, jeszcze niż każde inne dzieło narodowości wymaga; razem z nią większą część swych zalet traci. Lecz Włochy, jak niektóre inne znane mi kraje, zbyt teraz w autorów komicznych ubogie, muszą w obcej literaturze czerpać, a płodność w tym rodzaju francuzkiej, zamiast zawstydząć i podniecać innych krajów pisarzy, lenistwu ich właśnie pochlebia. Wolą w romansach pióro swe uprawiać, bo to i śpiąc z łatwością przyjdzie, niż trochę nad dobrym układem dowcipnej sztuczki pomyśleć. Wolą Skryba kaleczyć, niż z większą nieco pracą, coś prawdziwie swojego oryginalnie utworzyć.

Na drugiego rzędu teatru daleko łatwiej o bilet, i ceny rozsądniejsze; ale też daleko mniej właśnie, a może po części dla tego że tańsze, ubiegają się o nie. Żle powiedziałam o *bilet*, bo w Rzymie jak w całych Włoszech loże biletów niemają; kupuje się tylko do nich, czyli raczej najmuje klucz, który podczas reprezentacyi przychodzą odebrać. Każda osoba musi prócz tego zapłacić od siebie wchodowe. Niema ograniczonej do łóż osób liczby. Może za raz najętym kluczem w nią wejść ile się zmieści, byle każdy wchodzący bardzo jakąś małą kwotę, i to już nie kaprysem lecz przepisem oznaczoną zapłacił. (To jest przepisem dla tych co o nim wiedzą, bo od obcych i niewiadomych gotowi sześć razy tyle wymagać).

Krotofile rzymskie mniej są interesujące jak innych włoskich miast, jak na przykład Florencyi, Wenecyi, Neapolu; gdyż Rzym niema jak tamte swego narodowego błazna. Florencya w karnawale tylko wprawdzie posiada swego ulubionego *Stentarella*; ale cały rok za nim wzdycha. Wenecya ma *Arlekina*; Neapol tak się w swym *Pulcinellu* kocha, iż gotówby bunt podnieść, gdyby go jeden dzień w roku, i to od rana do wieczora niewidział, gdyż we Włoszech te popularne teatra trzy na dzień dają reprezentacye, w południe, po obiedzie i wieczór, Rzym zaś swych dowcipnych Paskinów i Marforio na scenę nie wprowadza.

Gdy bawiąca się publiczność tak ubogie jak widzisz znajduje w Rzymie zasoby, nową dla siebie przemyśliła rozrywkę, o którejby się pewno nikt nie domyślił. Całą zimę i na wiosnę układa świetne polowania.

Polować w Rzymie! w mieście nagą pustynią otoczoném, zdaje się najdziwaczniejszym przemysłem, a jednak z dalekich na to polowanie przybywają stron, konie i psy aż z Anglii na nie idą, i co może jeszcze trudniej uwierzysz—są tacy co parę miesięcy w Rzymie straciwszy, nic innego nie widzą, nic, prócz polowania, nie użyli.

Co rano prawie można widzieć paniczów w pąsowych surdutach, bo ten angielski strój, nieodzowny do angielskiej zabawy; panie w pojaz-

dach lub konno. Wszystko to w towarzystwie psów i żoków, do jednej z bram miasta dąży. Za bramą, na pustym polu, naprzód wypuszczone psy, gdy stropią lisa i gonić go poczną, wszyscy myśliwcy w cwał się razem puszczają. Pojazdowe panie już ich więcej nie widzą; amazonki za nimi, lub razem z nimi lecą.

W kilka godzin przynoszą parę lisów, którym uciawszy na zwyciężką zdobycz ogon, psóm rzucają; zwykle przytęu bywa kilka spadłych z koni pokrwawionych i pokaleczonych panów i pań. Rzadko, prawie nigdy, takie polowanie, bez tego dodatkowego obejdzie się dramatu. Pustynia rzymska, na pozór tylko równa, pełna jest chwastów, gruzów i dziur pozostałych z gmachów i ich piwnic, gdy jeszcze przedmieściem stolicy była i wspaniałemi pokryta budowy. Te dziury porosłe chwastem, niebezpiecznym stają się dla myśliwego podstępem. Szczęśliw też kto guzem tylko opłaci tę rozrywkę. Ja znałam takich, co z niej z połamanemi wracali członkami, i wiecznym kalectwem jęj zachowują pamięć.

Dla spokojniejszych umysłów, jak wzmie tak i na wiosnę bez baletów i polowania nie zabraknie w Rzymie zajęcia. A gdy w lecie malarya z niego wygania, reszta roku zaledwo nawet wystarczyć im może.

Ville rzymskie, jak ci mówiłam, więcej w ogólności kunsztownych niż wiejskich posiadają zalet; więcej w nich znajdziesz rzeźb i obrazów niż drzew i kwiatów; a jak gdzieindziej muzeum w takim wiejskiem ustroniu, byłoby rzeczą wyjątkową i rzadką, tak tu ogród do rzadkich należy wyjątków.

I takie znajdują się przecież. Lecz jak ich ogrody tak muzea, z wiosną dopiéro zwiedzać życie. Wzmie te zamknięte sale zdradliwym przekają zimnem.

Co do rzeźb, najznakomitsze znajdziesz ich zbiory, w Villach *Ludovisi Albani* i *Borghese*.

Pierwsza osobne ma im poświęcone budowy. W nich między wielu arcydziełami, posiada szyderczego wyrazu *Fauna*, *Buonarrottego* dłota, i starożytnego *Marsa* w spoczynku. Ten Mars do najpiękniejszych świata rzeźb należy. W samym zaś pałacyku, we Włoszech zwykle *Casino* zwanym, kilka ładnych jest *Guerchina* fresków; piękna jego peźla *zozza*, zdobi głównego salonu sufit. Ogród bez kwiatów, i wilgoci pełen, cienistemi poprzecinany jest szpalerami.

W Albani, nieznajdziesz cieniu ani na próbkę; kwiatów za to na rabatach, po staroświecku bukszpanem ogarniowanych, więcej trochę się świeci; a *Casino*, ładne, lekkie, powabne, puste jak wszystkie rzymskie ville, od góry do dołu samemi zamieszkałe posagami. W przedsiönku nawet kilka pięknych, między innemi, matrona rzymska, poważnie i leniwie w krześle sparta, na uwagę zasługuje.

Naprzeciw Casina, druga elegancka budowa, billardem nazwana, rzeźb także pełna. W ogrodzie kilka wodotrysków, pod stopy karyatydy lub innych spadają posągów, albo z jakich pięknych urn w górę biją. Słowem, cała ta prześliczna villa, jeszcze bardziej od innych, całkiem artystyczny nosząca charakter, z przemyślną i wykwinną tegoż rodzaju połączona elegancją, nie da jednego w swym obrębie zrobić kroku, bez napotkania jakiegoś kolumny, popiersia, urny, statui i t. d.

Nieco dalej od miasta, villa *Panfili Doria*, jeszcze bardziej jak się zdaje od innych opuszczona i zaniedbana, prawie już żadnych w swém Casino nie dochowała dawnych kunsztu bogactw; ogród jój za to, czyli raczej park, duży i cienisty, właśnie swém zaniedbaniem piękny.

Ma on wprawdzie w niektórych bliskich domu częściach, jakieś dawne hydrauliczne koncepta; w jednej grocie, jakiegoś misternego Fauna z zaczarowanym fletrowersem, który na rozkaz *custoda* grać zaczyna; lecz gdy się głębiej zapuścisz, drzewa duże zapomniane żadnymi oddawna nie kaleczone nożycami, konary ich szerokie, na wszystkie rozwarne strony, w pośród równie zaniedbanych łączek, gdzie niegdyś jakieś także musiały być koncepta, a teraz polnemi porośle kwiaty, robią wrażenie natury swobodnej i wolnej, jaką Anglicy w parkach swych lubią; a jeżeli nieznajdziesz tam ich wyszukanej schludności, trawników, jak w Anglii aksamitne naśladowujących kobierce, na obalonym usiadłszy dębie, miło jednak i w pośród tych dzikich kapryśnie wijących się roślin, podumać sobie można. Rzecz tem bardziej tam upragniona, iż rzadko sprzyjające jój miejsca napotkać się dają.

Rzym dla dumań ma wprawdzie swe Forum. Tam się dla nich szerokie otwiera pole. Ale myśl na stariej świątyni ruinie, inny przybiera koloryt, jak pod cieniem zielonego drzewa, w pośród polnym kwiatem poroślej łączki. Dusza tamtą się wznosi i hartuje; w tój się kołysze, odpoczywa, usypia. A gdyby zbyt temu leniwemu chciało ci się oddać marzeniu, jeżelibyś po niej jakim czasie pragnął się wstrząść, obudzić, zwróć na powrót ku pałacowi kroki, tam napotkasz starożytnych *kolumbariów* wejście, które swemi odwiecznymi głosy, łatwo cię na głębszy sprowadzi tor.

Pogańskie te groby, przed kilku dopiero łąty przypadkiem odkryte, równie swym podziałem, jak dziwniej świeżości malowaniami, zastanowić mogą.

Kto zaś pragnie cieniu zanim jeszcze wiosna go przyniesie, może go w pięknej villi *Medicis* znaleźć.

Villa ta, niegdyś kardynała *Alexandra Medyceusza*, lepiej znanego światu pod nazwą *Leona XI* własnością, tój wspaniałej rodziny nosi je-

szcze ślady. Pałac jęj z facyatą, jak mniemają Michała-Anioła planu, aż do zbytku rzeźbiarczemi ozdobami zasuty, zajęty jest teraz kunsztowną francuzką szkołą. Przez rozmaite przeszedłszy koleje, do francuzkiego należąc teraz rządu, mniej od inych smutnego opuszczenia nosi cechę. Ogród kilku jeszcze ozdobny starami posągami, lubo w dawnym stylu, z postrzyżonemi szpalerami, samym zasadzony laurem, i inném nietracącym liścia drzewem, jeszcze zieleniej w zimie niż w lecie wygląda, i doskonałe w Styczniu wiosny robi złudzenie. Z jednej jego strony cały Rzym, z drugiej pustynię jego jak na dłoni widać; a przez kratę, która go od góry *Pincio* dzieli, cały modny świat, co wieczór po tym przejeżdżający się spacerze.

Zaraz za tą górą, lecz już z drugiej murów miasta strony, zaczyna się duży i piękny *Borghesów* park, o którym ci już parę napomknęłam razy. Jest to pierwsza villa jaką, przybywszy do Rzymu, zwykle się zwiedza. Ogród jęj służy także za codzienny publiczny spacer.

Jak w Wiedniu Prater, w Paryżu Elizejskie pola, w Warszawie niegdys Ujazdowskie aleje i Łazienki, tak w Rzymie co wieczór długi pojazdów sznur, ciągnie do villi *Borghese*. Dopiero gdy słońce spuszczać się zaczyna, zwracają się na górę *Pincio*; a parę razy ją objechawszy, kończą na *Corso*, które z zupełnym już opuszczają zmrokiem.

Villa *Borghese*, z wielkiem utrzymana staraniem, wszystko łączy co tylko żądać można, a może i więcej. Znajdziesz tam fontanny niepospolitej massy, śmiało i wysoko w niebo bijące; świątynie, stawy, tryumfalne łuki, obeliski na wzór egipskich, i udane ruiny. Pałace siatkowe dla wszelkiego ptasząt rodzaju, inne mniej przezroczyście dla rzeźb i obrazów, bo właściciele dla malarzy, najwcześniej i najokrutniej tam grasującej, mieszkać z niemi nie mogą.

Znajdziesz tam ciekawszy nad to wszystko mały i skromny domek, nikim prócz szczytnem zamieszkały wspomnieniem. Jest to wiejskie ustronie, villa Rafaela *Sanzia*, którą sam sobie wystawić kazał. Ujrzysz jeszcze pęzla jego nadblakłe już freski, któremi przedsiemek swój ozdobił.

Niedaleko Rafaela villi, jest rodzaj cyrku. W nim na wiosnę tomboła i gonitwy wozów się odbywają. Nieco dalej zaczyna się część ogrodu, nie zbyt dawno na angielski przerobiona sposób.

Same casino piękne, ozdobne; niektóre sale książęcych dostatków i przepychów posiadają jeszcze reszty, jako to mozaikowe podłogi, sufitu pięknie malowane. Dolna część samemi zajęta posągami, całkiem zdaje się na muzeum urządzona; w górnej są także i obrazy, co obok tak bogatęj w mieście *Borghesów* galeryi, słusznie zadziwiać może.

Cesarz Napoleon wydawszy siostrę za księcia Kamila *Borghèse*, zakupił wszystkie villi jego posągi. Książę później ich pożądał, a po upadku cesarstwa, ofiarował zwrócić miliony dla odzyskania statuw. Lecz nie przystano na to. Marmury te zdobią dotąd paryzkie muzeum, a książę zastąpił je innymi, które po rozmaitych Włoch kątach zbierał. Dziwią się niektórzy iż ten śmiały zamiar w przeciągu lat trzech dokonać zdołał. Dowodzi to jak jeszcze tam wielkie w tym rodzaju skarby, i to com mówiła, że wkrótce ludność marmurowa przewyższy w Rzymie liczbę żyjących mieszkańców jego.

Wszystkie nisze teraz zapełnione, nigdzie nie zostawiono luki, ale czy tak są zapełnione jak niegdyś były? o tem powątpiewam nieco. Więcej tam zdumiewa ilość niż wybór. W górnej sali, gdzie pozostało kilka z dawnego zbioru rzeźb, zobaczysz ładną Dafnę, w chwili gdy ma być zdybaną, i zaczyna się już w roślinę przemieniać. Jest to jedno z najlepszych dzieł Berniniego.

Pokażą ci także piękną miejsca tego *niegdyś* boginię, na miękkim spoczywającą materacu. Posąg ten wzorowemi kształty słynny, a bardziej może jeszcze przywiązana do niego powiastką (za której prawdę ręczyć bym nie chciała), zowią teraz Wenerą zwyciężką (*Venera vincitrice*) (1). Mniemam iż jabłko, które w ręku trzyma, ten mu nadało przydomek, gdyż nie zdaje mi się żeby same wdzięki zjednać mu je mogły. Tyle wręczcie słyszałam o tych nadludzkich wdziękach, które wówczas gdy je sławiono nadludzki także nosiły cesarskiego odbłasku urok, iż nic dziwnego, że bez tego uroku je widząc, nieodpowiedziały oczekiwaniu memu.

Także za *Ludu* bramą, z tejże strony co *Borghèsów* villa, znajdziesz villę niegdyś *Poniatowskich*, ich dotąd noszącą miano. Ale już w cudze oddawna przeszła ręce, kapustą i warzywem zasadzona, i jak wiele innych o których w katalogowych przewodnikach długie wyczytasz opisy, już teraz widzenia nie warta.

Ale jeżeliś prawdziwy kwiatów lubownik, pojedź trochę jeszcze dalej; a po lewej stronie drogi, *Via flaminia* zwaną, do *Ponte Mollo* prowadzącej, znajdziesz ustronie żadnym nie wstawione opisem, lecz co do kwiatów niemające podobnego sobie.

Już ci, zda mi się, o niem napomknęłam. Jest to villa jakiegoś kardynalskiego dworu marszałka, zwanego *Massani*. Ogrodnika ma Po-

(1) Znana ci być musi anekdotka rozgłoszona po świecie, iż gdy ktoś swe zadziwienie przed księżną wynurzał, że ona mogła tak, bez żadnego odzienia, swe piękne kształty rzeźbiarzowi przedstawiać, ona z największą najwzrostem odrzekła: „że pracownia jego zawsze mocno opalaną wówczas bywała.”

łaka, który -rodakom czasem ładnych udziela bukietów. I nie robi tém wcale panu swemu uszczerbku. Cały jego ogród ogromnym jest najpiękniejszych kwiatów bukietem, a zerwawszy sto z niego wiązek, najmniejszego nie pozostanie śladu.

Pierwszy raz tam widziałam w gruncie duże Rhododendronu drzewa, okryte bukietami szkarłatnych kwiatów. Jest to coś nad wyraz pięknego.

Wyjeżdżając zaś z villi Albani, postrzeżesz niedaleko z za muru wyglądające jakieś karle ruiny, niezgrabnie udające zgrzybiałość, której świeża ich cegła zaprzecza. Są to miniaturowe naśladowania rzymskich ruin, jest to villa *Torlonia*.

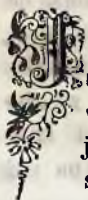
Naśladować pod bokiem Rzymu jego szczytne zwaliska, czyli raczej je przedrzyżniać, bo dzieło 26 wieków naśladować się nie daje, najdziwniejszym i niedowarzonem zdało mi się pomysłem. Lecz i w nim villi właściciel był tylko naśladowcą; gdzieindziej, w okolicach Rzymu, już mi się coś podobnego napotkać dało.

Jeżeli chcesz powziąć wyobrażenie co pieniądze dać mogą, z uwagą villi Torlonja się przypatrz. Przekonasz się zarazem iż za nie gustu kupić niepodobna. Tam bowiem brak jego zupełny; lecz prócz niego, znajdziesz wszystko na co tylko przemysł ludzki zdobyć się potrafił; aż do turniejów, z gotowemi już do nich z *tektury* rycerzami, na takichże koniach.

Dla książęcych zaś koni, piękny ujrzysz gotycki pałac, z różnofarbnymi oknami; pałac którymy pierwsza elegantka dla siebie nie pogardziła. Ale ta stajnia żadnego nigdy nie widziała konia, jak w samém Casino, gdzie wszyscy tapicerowie świata swe rozwinęli talenta, widać od razu iż nikt na żadnej nie siedzi nigdy sofie; tam wszystko do miłego, niby wiejskiego życia gotowe, ale widać iż nikt go zakosztować nie śpieszy, nie chce. Wychodząc z tego Casina, gdzie pokazawszy ci ze złoconego brązu wschodów poręcze na których nikt się nie oparł śpiesznie znów w płótno obwijają, przychodzi na usta pytanie: „I na cóż to wszystko?”

X

OKOLICE RZYMU.—TIVOLI.—VILLA D'EST.—FRASCATI.—TUSCULUM.—
VILLA ALDOBRANDINI.—CASTEL GONDOLFO.—ROCCA DI PAPA.—
ALBANO.—LARICIA.—LAS NEPTUNA.—EKWIPAŻ PAPIEŻKI.—GHETTO.—
RZYMSCY ŻYDZI.—PORTY.—TYBER.—WYSPA.—MOSTY.—RIENZI
OSTATNI TRYBUN LUDU.—POŻEGNANIE ZE STOLICĄ ŚWIĘTĄ.—
CIVITA VECCHIA.—NEAPOL.



Wiosna białym i różowym kwiatem wszystkie obsypała drzewa; jedni z turystów wyjechali, drudzy wybierali się, a dopełniając ostatniego podróżującego obowiązku, ostatnie Rzymu dni dalszym poświęcali okolicom.

W Rzymie nie ma jak w Paryżu i innych stolicach, dylizansów lub omnibusów do okolic wożących. Niewiem jakim wyłącznym przywilejem czy trafem, do Ś. Pawła bazyliki, chodzi wprawdzie co parę godzin omnibus; lecz ten, lękam się, żeby z ukończeniem budowy nie ustał. W inne zaś dalsze strony, trzeba miejskie najmować remizowe pojazdy, nie bardzo dobre ale bardzo drogie; i lepiej w licznym wybrać się gronie, gdyż wieczór wracających napastują czasem po drodze.

Tivoli, Frascati, Albano, są trzy zwykle najspieszniej zwiedzane miejsca. Ci co nie mogą lub niechęć oddalić się z Rzymu, a boją się jego malaryi, w nich zwykle spędzają lato. Bywały nawet zdarzenia,

iż w ziemie zbyt przepelniony Rzym, zmuszał cudzoziemców do szukania w tych okolicach mieszkania. W takich razach *Albano* najczęściej miewa pierwszeństwo. Położenie jego na głównym do Neapolu gościńcu, i chodzące nim dylizanse komunikacją ułatwiają. W lecie *Albano* także jest modnego świata wiejską stolicą, lecz co do piękności, pierwszeństwo niezawodnie do *Tivoli* należy.

Droga do *Tivoli* wcale nie powabna. Gdzie niegdzie wpośród równiny, widać starożytnych grobów złomy. Najlepiej z nich dochowany rodziny *Plautia*, bardzo swemi kształty pomnik *Cecylji Metelli* przypominający.

Jeszcze przed niemi, napotyka się jezioro *Solfatara*, z pływającemi wyspami. Wyspy te, czyli raczej osiadłej i spieklęj siarki skorupy, rozlewają zabójcze w powietrzu wyziewy, nieznośną wonią go przesycając.

Daliej, do dawniej Adryana villi wysiadasz. Cesarz, artysta, świat zwiedziwszy, najmilsze z niego wspomnienia w tém monarchiczném ustroju nagromadzić pragnął. Kazał w niem naśladować ateńskie ruiny, świątynię i teatru, i wszelkich dawnego zbytku i kunsztownego usposobienia pozwolił tam sobie roskoszy.

Lecz o nich z opowiadań i opisów dowiadujemy się tylko.

Niema wprawdzie pałacu w Rzymie, gdzieby między sztuki bogactwami nie pokazano ci z Adryana villi zabranych bogactw. W qwirynalskim, mozaikowe zobaczysz podłogi; w Watykanie, dziewięć muz jej niegdyś zdobiących wejście; w innych inne marmury i brązy. Za to tyle potomków wzbogaciwszy, nic dla niej już nie pozostało; a gruzy dumnych niegdyś gmachów, z ziemią, po większej części, zrównane, chwastem powoli pokrywają się, i pod nim znikają.

Nareszcie, po dwóch godzinach jeszcze drogi, przyjeżdża się do starożytnego *Tivoli*. Mówię starożytnego, gdyż historycy na pięć wieków przed Rzymem jego kolebkę mieszczą.

Pierwsza rzecz co się tam widzi, są dwie świątynie *Sybilli* i *Westy*, o siebie oparte; na odlamie wysokiej sterczą skały, tak że ich zawsze i zewsząd widać; obie, a mianowicie *Westy*, ładne i z dobrej kunsztu epoki, piękny robi efekt.

Na przeciw, z wielkiej wysokości, spadała pod stopy ich skały, rzeka niegdyś *Aniene* albo *Anio*, teraz *Teverone* nazwana; lecz gdy coroczne wylewy zbyt wielkie czyniły szkody, bieg jej cokolwiek zmieniono; a kaskada w kluby teraz wzięta, daleko mniej malowniczo i szumnie spada. Ale *Tivoli* nie poprzestaje na tém, i ma się czém z tej krzywdy pocieszyć.

Po ścieżce krętej, przepaścistej, tak czasem wązkiej iż ledwo stopa się pomieści, a mimo to rysowniczo pięknej, zaprowadzą cię do grotty *Neptuna*. Tam, wśród skalistej jaskini, na której szczycie spostrzeżasz stare budowle, *Anio* na wolność już całkiem puszczony, o głaz swe fale a w nich światła promienie łamie. To szerokim potokiem pod tęczy szarfę leci, to kurzem się rozpryska, tu znów wytryska i skacze, a tysiące utworzywszy wspaniałych lub kapryśnych kaskad, przepada gdzieś w niedoścignionej oku pieczarze. Gdy on tak huczy i szumi własne o skały rozdzierając łono, wysokie ich bryły, pod tysiącem to wijących się po nich to spadających zielonych gierland, rozmaitym ptaszkom dają schronienie. Spiew ich pod wody szumem ginie; lecz ta ich swoboda, obok rozhukanej rzeki i surowej natury, miłą robi sprzeczną. Widziałam w jednym z tak uwiecznionych głazu rozpadlin, spokojnych gołębi gniazdo.

Trudno się od tak pysznego oderwać obrazu! lecz wkrótce postrzeżasz iż pod tęp *Teveronu* deszczem, całe ci przemokło odzienie. Wyprowadzają cię wówczas na słońce, na wierzchołek urwiska; a tam też jeszcze cię wita rzeka; lecz spokojna jak najłagodniejsze dziecko, wśród zielonej igrającej równiny.

Gdy obeschniesz i wypoczniesz, nową ci wskażą ścieżkę, jeszcze stromiej nad przepaścią uwieszoną, jeszcze głębiej w przepaść wiodącą; tam na dnie jest grotta *Syreny*.

Zanim dójdiesz, podziemny ryk, jakby powtarzane w oddaleniu dział gromy, do czegoś jeszcze straszliwszego niż to coś widział cię przysposabia. I niepodobna też sobie wystawić, z jakim zapamiętaniem, toż *Anio*, którego tylko co srebrną widziałeś wijącego się wstęgą, z jaką tu mówię wściekłością, do głębokiej wpada jaskini. Jak się bałwanem po wszystkich jej odłamach, po pieczarach jego wydrążonych pędem przewraca i znów z nich wyskakuje, by z grzmotu hukiem gdzieś w czarnej, tajemnej zginął odchlani.

Jest to zdumiewające, szczytne!

Dalej, inne jeszcze ujrzysz, ale już mniejsze *Teveronu* swawole. Czekają cię owe sławne *kaskatele*, gdzie on podzieliwszy swe koryto, już nie jedną masą, lecz kilkadziesiąt strumieniami wytryska i spada. Każde to jest zapewne; ale trzeba by to oglądać przed *Neptuna* i *Syreny* szczytnymi widowiskami. Ja przeciwnie zrobiłam, i to może osłabiło wrażenie na jakie się sadziłam. Tyle o *kaskatelach tyrolskich* od dawna słysząc, nie znalazłam je godnymi ich sławy.

Pokażą ci prócz tego, i każą ci się unosić, nad dziełem inżynjera *Fulchi*, który przekłówszy *Katulla* górę, zwrócił w nią zbyt excentry-

czne rzeki koryto. Służa ta, nie tylko od zwyczajnych, ale nawet od koronowanych głów, odbiera hołdy, jak to wyczytasz na marmurowych tablicach w granicie osadzonych, z imionami znakomitych, co ją zwiedzili, książąt.

Mimo to, ja, cobym rada sto razy jeszcze podziwiać *Tivoli* i jego jaskinie, do sławnej służy nie wrócę, zda mi się, więcęj.

Przy dziełach natury, dzieła rąk ludzkich nie mają dla mnie uroku, a może też się do tego łączy żal, iż takie rzucono więzy na rzekę hardą, samodzielnią, na pierwszą prawdziwie piękną rzekę, jaką we Włoszech napotkać mi się zdarzyło.

Anio czyli *Aniene*, dzieliło niegdyś stare *Sabinów* i *Marsów* państwa. Gdy Rzym je wszystkie pochłoniął, dumna rzeka postradawszy historyczną powagę, inną chciała zemścić się sławą. Spokojne przedtem swe fale zmieniła w potoki, kaskady, fontanny. Mówią, że podziemny jakiś wulkan, tajemny jój sprzymierzeniec, pomógł do tych jój dziwnych wyskoków, otwierając przejście, tworząc sklepienia, ogniem rozwalając skały, w które potem woda lecieć miała.

Jakkolwiekby, Rzymianie widząc tak szumny potok, znaleźli iż miękka nazwa *Aniene* mu nieprzystała, i przewali go *Teverone* czyli wielki *Tyber*, a dosłownie przekładając *Tybrzysko*. Najsławniejsi, najbogatsi, najwykwintniejsi zaś z nich, na jego zaczęli przenosić się brzegi. August, Mecenaz, Katul, Vespicyusz i Varus, tam swe wiejskie założyli ustronia, jako i Horacy, co tyle je w swych opiewał poezjach. Niektórych z tych villów widać jeszcze szczątki.

Nikt nie opuszcza *Tivoli*, nie zwiedzwszy u bram miasta sławnym swym dawnym przepychem villi *d'Est*. Teraz własnością księcia *Modeny*, całkiem jest zaniedbana. Pałac pustką stoi, a w nim najgorliwsi zwiedzacze, admirują spłowiałe reszty jakichś fresków. W ogrodzie długie szpalery, zachowują także dla nich jakieś dawne i już nadpsute hydrauliczne sztuki, w około których rzędem stoją pigmejskie naśladowania rzymskich ruin i gmachów. Tam ujrzysz *Pantheon* co by onie-mal do twego wszedł salonu; świątynię *Zgody* której kolumny zamiast szparagów na półmisku podać by można; wszystko śmieszę, jeszcze prawie śmieszniejsze niż nowe zwaliska villi *Torlonia*. Szczęściem że w villi *d'Est*, te karły na prawdę teraz gruzem się sypią, i już nie długo archeologów gniewać będą.

Dla całkowitej sprawiedliwości, trzeba jednak tam wspomnieć o dużej altanie, czyli odkrytej rotondzie, gdzie z pod uóg jakiegoś posagu, teraz bluszczu siecią okrytego, piękny jeszcze rzuca się wodospad. Mnie to,

a w dni upalne chłodne ustronie, obudza żal swego opustoszenia. Każdyby rad na wsi mieć podobne.

Frascati daleko mniej od *Tivoli* szczytnych natury posiada wdzięków; za to mu nie ustępuje co do historycznych wspomnień. *Frascati* winna swą kolebkę starożytnemu *Tusculum*, którego gruzy o parę z tamtąd wiorst ci pokażą.

Tusculum ojczyzna srogiego Katona, a jakby dla sprzeczności otoczona marmurowymi pałacami Lukulla, i innych lubieżno-wspaniałych Rzymian, gdy zachciała, jak niegdyś z cesarskim tak później z papieżkim rywalizować Rzymem, padła jego ofiarą. Pozostała zniszczonego miasta ludność, niemając gdzie się podziąć, schroniła się w sąsiedztwie pod zielone z gałęzi na przedce uplecione szalasy, które swą świeżością otrzymały nazwisko *freschi*, i ztąd powstało *Frascati*.

Książę Canino (Lucyan Bonaparte) wielki starożytności lubownik, nabył tam przed dwódziesiąt laty dom wiejski, *Rufinella* zwany. W témże właśnie miejscu była niegdyś Cyclerona villa, w której swe *Tusculania* pisał.

Książę Lucyan, jak w swęj wokolicy Witerbu wsi, tak i w *Tusculum* wielkie poświęcił summy na wyszukanie starożytnych miejsc tych zabytków, i nie nadaremnie. Kilka odniosłszy pięknych kunsztu zdobyczy, sprzedał później *Rufinelle* królowi sardyńskiemu; a ten dalej prowadzić kazał rozpoczęte prace. Taką koleją piękny amfiteatr o siedmiu gradusach z pod ziemi się wydobył, i kilka mniejszej wagi starego światła szczątków.

W samym zaś *Frascati*, główną ozdobą jest villa *Aldobrandini*, należąca do Borghezów domu. Drugi bowiem syn księcia *Borghèse*, zowie się *Aldobrandini*. Gdy po księciu Kamilu i żonie jego Paulinie, siostrze Napoleona, nie zostało potomstwa, młodszy brat książę *Aldobrandini* wziął imie i spadek jego. Lecz i ten miał francuzkiego rodu żonę, pannę La Rochefoucault, która syna swego także ze swą ożeniła imienniczką; ztąd i villa ich cokolwiek mniej od innych, swęj włoskiej postaci wierną pozostała.

Wszedłszy do *Casina*, znajdziesz w nim stolik do pisanía, biblioteczkę, fortepiano, jakąś wygodną w kącie sofkę, słowem ślady domowego życia, jakich żaden włoski dom nie posiada. W ogrodzie także pomieszczono hydrauliczne figle, a kaskada, z wielkiej góry bogatym spadającą potokiem, co od strony dziedzińca zamyka domu widok, lubo trochę zanadto sztuczna, prawdziwie jest jednak piękną. Z przeciwnęj strony oko na cały Rzym i okolice dowodnie sobie bieży.

Pałac prócz pięknego widoku ma kilka fresków godnych uwagi, i niedawno skończoną, bardzo elegancką, kaplicę.

Wracając z *Frascati*, wstępują zwykle po drodze do wioski *Grotta Ferata* zwanéj, dla podziwienia, w kościele Ś. Bazylego, dwóch prześlicznych *Dominikina* obrazów, zasługujących istotnie na hołd jaki odbierają.

Ktoby chciał z tamąd na *Albano* zwrócić, napotka wioskę *Marino*, sławną pięknnością kobiet, a następnie *Castel Gondolfo*, wiejskie papieżów mieszkanie.

Castel Gondolfo, na osłoniętej położony górze, prócz dobrego powietrza i rozległego widoku, innych nie posiada zalet, i też nikt jego wnętrza nie zwiedza.

Dzisiejsi Ś. Piotra następcy, nie idąc torem Alexandra Borgji, ani Leona X, w inny sposób jak tamci zachęcają kunsztu, i w ludzie nie dają téj zagasnąć iskrze. Każdy z nich jakieś nowe otwiera muzea, nowemi je zapełnia sztuki bogactwami, ale wszystko dla Rzymu nie dla siebie. Tak przepyszne Alexandra VI w Watykanie pokaje, których sława aż do naszych doszła uszu, zmieniły się powoli w publiczną obrazów galeryę; a mieszkanie Ojca Ś. jak mówiłam, przykładną tylko skromnością się odznacza. Tak Grzegorz XVI na wzór pięciu ostatnich poprzedników swoich, grunt wstrząsać i rozmaite pod nim poszukiwania czynić kazał, nowe otworzył koło Lateranu i laterańskim nazwane muzeum (które jeszcze nie było za mych czasów, w 1846 r. gotowe), a w *Castel Gondolfo* ani jednego posągu ni obrazu nie miał.

Castel Gondolfo, nad swą górą, ma drugą jeszcze wyższą, na której wioska *Rocca di Papa* usiadła, a pod stopami, *Albano*, do którego zmierzamy.

Industryą i dochodem w *Rocca di Papa* jest śnieg. Z okolic Rzymu tam bowiem najobficiej pada. Jakiś przedsiębiorca go dzierżawi, i posiada na cały Rzym jego monopolium. Wielkie na wierzchołku góry jamy, gdy się nim napełnią, ubijają go jak najtwardziej i znoszą w lodownie, gdzie polewany wodą, w rodzaj lodu się zmienia.

Śnieżna ta wioska inną jeszcze słynie sławą. Mówią iż mieszkańcy jęj silni, zahartowani zimnem, na zmiany powietrza wytrwali, najwięcej sąsiednim góróm i lasom dostarczają zbójców.

Albano jednak swobodne i wesołe, bynajmniej się tém sąsiedztwem nietroszczy. Kilku pańskiemu ozdobione pałacami, pełne villów i casinów, ujrzysz w nim latem co wieczór, długie ludzi pasma, rozmaitej elegancyi stopni, wszystkie zapełniające przechadzki. Gdy jednak przez zapomnienie w tyle pozostawszy, spotkasz jakiego wieśniaka, a przez grze-

czność lub może przez strach, powiesz mu dobry wieczór — on jeżeli uczciwy, odpowiada ci: *Grazia, ma e molto tardo!* (dziękuję, ale już bardzo późno!)

Po pałacach siedzą wielkich imion rzymskie damy. Te panie naj-
żwawszą mając do wsi nienawiść, gdy dla upału i malaryi w stolicy
wytrzymać już niemogą, na kilka najgorętszych miesięcy, przenoszą się
do Albano, któremu starają się najmniej wiejską zachować postać. Lecz
tych pań nieturzysz między pieszą gromadą zielonego szukającą cieniu.
Połowę dnia przespawszy, ze zmrokiem siadają w uherbiony ekwipaż,
i jak w mieście, po *Corso*, tak w *Albano* po ulicy prowadzącej do *Castel
Gondolfo* się przejeżdżają. Wracających od Ojca Ś. kardynałów, Monsi-
gnorów i t. d. spotykają, witają i na nocne zapraszają *conversazioni*.

Ta zaś na pół elegancka spacerowa ludność, co po Casinach się lo-
kuje, z cudzoziemców najwięcej z Anglików złożona, to do wioski *Lari-
cia* zmierza, to do klasztoru kapucynów albo passjonistów prześlicznych
idzie patrzeć widoków; to chłodzi się w nimfowych grotach; to znów,
opatrzywszy się w osły i przewodników, na dalszą wycieczkę do Ne-
ptuna lasu się puszcza.

Wioska zwana *Laricia*, ma pretensją od Aricyi, Hipolita kochanki,
swe posiadać imię. Miejskowa tradycya, za bajkę uważa śmierć Hipo-
lita, jaką odwieczna powtarza powieść, jaką uwiecznił Racine. Według
niej Hipolit po wykryciu miłości swęj macochy, uciekł z Aricyą, wsiadł
na okręt, na łaciński wylądował brzeg, i schronił się do wioski najprzód
Aricyą a teraz Laricyą przezwanęj.

W sąsiedztwie jęj, niedawno jeszcze pokazywano, i największą ota-
czano czcią, stary dąb, pod którym marzył Virgiliusz, i w rymy swe mar-
zenia wcielał. Lecz przed kilkunastu laty, to uwielbiane drzewo, mimo
największego starania i pieczy, ogólnemu uległo losowi!

Nimfowe grotty, gdzie zwykle po przechadzce, chłodu szukać idą,
nie są natury dziełem. Są to podziemne sklepienia jakichś staroży-
tnych jak się zdaje thermów; ze szczątków sądząc, musiały być ozdo-
bne; w pustych już teraz ich niszach, musiały niegdyś mieszkać posągi;
teraz zielonemi uploty fantastycznie swe obnażenie pokrywszy, miłym
chłodem do siebie wabią; a gdy w niedziele, piękne *Albanki* w narodo-
wym swym stroju, pod temi obrosłemi usiądą sklepieniami, nowego
jeszcze nabierają wdzięku. *Albano* bowiem rywalizuje z *Marino* płci
wdziękami, a ich strojem celuje.

Jeżeli zaś chcesz go witać jako staręj *Alby* potomka, jako Kuryacyuszów
ojczyznę, *Albano* ci pokaże swych trzech synów groby, obok poległych
naówczas dwóch Horacyuszów. Ale nie wszyscy dają tym pomnikom

wiarę. Niektórzy biorą je za groby *Pompejusza*, który tam na wzgórzach miał swój wiejski pałac, inni za *Hermesa Porseny* syna.

Do Neptuna lasu, jak mówiłam, trzeba na osłach się wybrać, bo żadnej drogi niema i w dobrych opatrzyć się przewodników, gdyż nic łatwiejszego jak w nim zabłądzić i z bandą zbójców się spotkać. Las ten (w którym niebyłam czego żałuję!) nad brzegiem morza ma być swą dziką ponurością piękny. Nic w nim niesłychać jak szelest bijących o brzeg wałów morza i dzikich bawołów ryk. Jestto bowiem jak zbójekich tak bawolich rodzin schronienie.

Bawół mniejszy i brzydszy od wołu, zdaje się jednak z jednego być pochodzenia. Na niższych od wołu nogach, sierść ma czarną, boki wydęte, głowy kształt i rogów nieco odmienny, a wzrok przeraźliwy. Włóścianie mięso jego jedzą, a przyswoiwszy, do zaprzęży i pługa używają. W Neapolitańskim królestwie, jeszcze bardziej są swojskie, i całe ich można widzieć trzody, jak bydło na polu spokojnie się pasące. Ale gdy mu słońce zbyt rozgrzeje, wówczas bawół, czy to zaprzężony, czy wolny, leci do morza lub do innej wody, po głowę się zanurza, i nieporuszony, jakby martwy stoi, aż się dostatecznie ochłodziwszy, sam z własnej woli wróci. Gdy mu ta do wody przyjdzie ochota, nikt niema władzy jej poskromienia, żadna moc z niej go nie wydobędzie. W gniewie ma być także straszliwy i bardziej od wołu zawzięty.

Droga z *Rzymu* do *Albano* prowadząca, jest to sławna niegdyś *Via Appia*, drogą grobów także zwana. W dawnych czasach, oba jej boki otoczone były pomnikami; z tych, między wielu gruzami pozostał nam już tylko *Cecylii Metelli*, o którym ci mówiłam, a bliżej miasta, Scypionów podziemne groby.

Jadąc raz tą drogą, spotkałam Ojca Świętego; zapewne z *Castel Gondolfo* wracał. Gwardya konna, przed i za powozem mu towarzyszyła. Karetą poczwórna, amarantowa, bardzo bogata, na wszystkie oszklona strony, a w niej Papież sam jeden na tyle, na przodzie dwóch miał kardynałów. Lud przed nim kękał i odkrytą uchylał głowę, a on wyciągnawszy przez okno rękę, błogosławił.

Lecz rzecz prawdziwie godna widzenia, to ekwipaż i orszak Ojca Świętego, gdy w wielkiej paradzie na jaką uroczystą ceremonją jedzie. Nic równie bogatego, świetnego, nic w całej naszej Europie podobnego widzieć niepodobna.

Wówczas cała występuje konna szlachecka gwardya (*guardia nobile*) w paśowych ze złotem mundurach, i to otwiera orszak. Przed samym zaś pojazdem, jedzie tak zwany *Crucifer*, na białym mule, w fioletcie ubrany, z odkrytą głową, w wielkiej pudrowanej peruce, z długim

krzyżem w rękę. Za nim postępuje ogromnej wielkości karetą, o sześciu karych ogromnych także koniach. Uprząż nadzwyczaj bogata, całkiem je pokrywa i aż do ziemi spada; w grzywy są wplecione złote sznury, takież zakończane kutasami, a na głowach powiewają pąsowe i białe pióra.

Przy pierwszej parze, idą podoficerowie gwardyi szwajcarskiej, przy drugiej i trzeciej po dwóch szwajcarskich żołnierzy, w mundurach mody z wieku odrodzenia. Stangret i foryś, w amarantowym od głowy do stóp adamaszku, z odkrytymi głowami, w pudrowanych na ramiona spadających perukach, z białymi na szyi ransztuchami na piersi kończącemi się, jakie widziemy we francuzkich kostiumach z Ludwika XIII dworu.

Koła i cały spód karety ze srebra grubą pozłotą pokrytego, robotą z wieku odrodzenia, teraz trywjalnie *rokoko* nazwaną, tak jest piękny, iż podzielony na części, mógłby za brosze i klamery dzisiejszym eleganckom służyć. Same pudło od góry do połowy oszklone, część dolna na dnie amarantowem tyłu złotymi ozdobami pokryta, iż dna zaledwo dójrzyć można, szczyt opasany rodzajem złotych *à jour* wyrabianej girlandy, z za której ośm z piór bukietów na wszystkie powiewają strony. Na przodzie w miejscu kozła, dwa złote anioły wielkości małych dzieci, podnoszą papieżką tyarę; w tyle podobneż, złote także, snycerskiej roboty ozdoby.

Środek amarantowym wyłożony aksamitem, złotym haftem jakiś święty w części tylnej przedstawia obraz. Lecz przedmiotu jego dójrzyć nie mogłam, bo Ojciec święty w samym środku siedział. Na przodzie dwóch towarzyszyło mu kardynałów. Przy każdej portyerze, Szwajcary i liberya szła pieszo; a za nimi dopiero, długim sznurem ciągnęły kardynalskie, jedne od drugich wspanialsze ekipaże, poczem drugi gwardyi oddział szereg cały zamykał.

Mówią, że ta karetą kosztowała w swym czasie 60,000 skudów (30,000 dukatów). Terazby za drugie tyle takiej niezrobiono. Zarazby snycerską ręczną robotę zastąpiono wyciskami, zamiast srebra massif, użyłoby dla lekkości, dętych blaszek, jako w biżuterjach się teraz widzieć daje, albo po prostu złożonem zastąpionoby drzewem. Lecz te wszystkie industrialne figle, bardzo dla kieszeni korzystne, ani na chwilę biegłego nieoszukają oka, i dla niego wcale inny niż zamierzają robią efekt.

Patrząc na ten przepyszny powóz, mocno się zdziwiłam, iż przez ostatnie Rzymu koleje, aż do nas przejść w całości zdołał. Robi to zaszczyt republikańskim Francyi wojskom. Cesarskie w 1812 roku, nietaż się przykładowo sprawiły.

Już i dla mnie godzina wyjazdu oddawna wybiła, a ja codzień ją zwlekałam, codzień sama przed sobą nowych szukałam pretextów do pozostania jeszcze dni parę z mym starym, z mym ukochanym Rzymem.

To słyszałam o jakiejś uczcie artystów, i dla niej wstrzymać się chciałam, to po najciaśniejszych płądrowałam miasta zakątkach, dla wykrycia jeszcze czegoś dla mnie nowego.

Lubo ta artystyczna feta o której mówię, nowo utworzona i przez obcych artystów (podobno przez Niemców), niejest dzieckiem Rzymu, owszem zupełną jest w nim cudzoziemką, jednak jakby naturalizacyi pragnąc, naśladuje jego zwyczaje, pochlebia mieszkańców jego namiętności, i też ogromne już wabi tłumy.

Artyści, każdy swego narodu bierze kostium; nie tylko się przebiera, ale jeszcze na czele swoich, jakąś przybiera rolę. Słowem, jest to poniekąd wiosenném karnawału wspomnieniem; na wsi, bo to o parę mil od Rzymu się odbywa, i kończy się na podwieczorku, w bardzo malowniczych tam będących grotach.

W pielgrzymkach zaś moich po Rzymu zakątkach, zaszłam raz aż na *Ghetto*.

Ghetto jest to nasz niegdyś *koński targ*, teraz marszałkowska ulica, słowem jest to żydowska część miasta, jak u nas brudna i podrzędnym zalana handlem. Ale Żydzi daleko są w Rzymie nieszczęśliwsi niż u nas, jak to już sądzić można było z niedawno zniestonego zwyczaju biegania na wyścigi podczas karnawału, z workiem kamieni na plecach.

Teraz gdy, jak mówiłam, od tego wykupili się upokorzenia, niebrak im jednak innych. Naprzykład, niewolno im po *Ave-Maria* winnej części miasta się znajdować. Razem z dzwonem *Anioła Pańskiego*, bramy z obu stron *Ghetta*, ściśle zamknięte i pilnowane, nikomu z niego wyjść ani wejść do niego niepozwalają. Żydzi tak co noc zamknięci, o siódmiej zrana dopiero odzyskują wolność, a największa kara czeka tego któryby gdzieindziej nocował.

Roczne tylko otrzymują pozwolenie mieszkania w Rzymie, i co rok o przedłużeniu jego starać się muszą. Co rok w początku postu, zda mi się, cały kahał idzie do Capitolu z worem pieniędzy i dużym bukietem. Tam najstarszy rabin u stóp senatorów swe złożywszy dary, jak najpokorniej prośbę swą przedstawia, o pozostanie rok jeszcze jeden na *Ghetto*. Senatorowie kiwnięciem głowy dają przyzwolenie, a gubernator, gdy rabin mu się do ziemi kłania, robi ruch nogą, jakby miał go w głowę potrącić, i srogim tonem mówi *va via!* (idź precz!), na czém się ta coroczna ceremonia kończy.

Innego zaś ranku, tak po starym błędząc Rzymie, żegnając się z jego gmachami, ruinami, żegnając się z mojemi w nich dumaniami, a wszystkiego chcąc w duszy unieść obraz i wspomnienie, trafiłam nad Tybru brzegi.

Tyber, po włosku *Tevere*, najdawniejszy i najwierniejszy swój stolicy sprzymierzeniec, i jakby najpiękniejsza rzeka od wieków w nią kochany, większe zdaleka rodzi o sobie wyobrażenie, niż go poznawszy dotrzymuje. Lubo przed miastem odbiera hołd bystrego *Teveronu*, tego imiennika, tego kapryśnego Tybrzyska, o którym ci w Tivoli mówiłam, pochłonawszy jego swawolne fale, nie wygląda jednak wzbogacony niem; a patrząc na jego leniwy nurt, na jego brudną zamuloną wodę, przychodzi ochota go się zapytać co z pięknym *Aniene* zrobił? gdzie podział jego przejrzysty kryształ? Dopiero gdy raptownie i niespodzianie z koryta wyskoczy, pokryje Pantheon, całą Ripettę i przyległe ulice, łódkami zmusi po nich jakby w Wenecyi pływać, wówczas się przypomina zpokrewnienie i ściśle *Teveru* z *Teveronem* połączenie.

Ripetta, jest jedna z trzech głównych Rzymu ulic, z placu ludu promieniem się rozchodzących. *Ripa* znaczy po włosku brzeg, przystań; z tą nazwa ulicy brzeg Tybru okrążającej, i dwoma wzbogaconej portami. Jednym, z Sabiny i innych żyznych miejsc przysyłane wiktuały, do miasta wchodzą; drugi, *la grande Ripa*, estetyczniejsze miał niegdyś przeznaczenie, wspanialsze ma wspomnienia. Pamięta on jak dawniej egipskie obeliski, greckie posągi i inne z całego świata zdobycze, na jego marmurowych wschodach, swe wieczne poddaństwo odwiecznej zapisywały stolicy; pamięta on później, jak część ich koleją wojny do Paryża zabłądziwszy, w 1814 r. tą koleją na dawne wracała stanowisko.

Ale Tyber prócz tych inne ma jeszcze zalety, a co dziwniej, iż je dla malarza chowa, iż sam wcale niepiękny, upieknia i nowy Rzymowi nadaje koloryt, nowym go darzy wdziękiem.

Rzym z jego brzegów zupełnie inaczej niż z innych wygląda stron. Stolica grobów, zamienia tam swój całun na zielone natury szaty. Darnią i płaczącą wierzby warkoczami swe pomniki osłania; a lubo zawsze dumająca i tęskna, bardziej sielską niż żalobną przybiera postać. Jakąs sterczącą tu i owdzie ruiną, jakąs z krzyżem kopułą, przypomni wprawdzie *Forum* i *Watykanu* sąsiedztwo, ale niema już tam ich dumnych rysów, ich monarchicznój i surowój powagi.

Tyber trzema przepasany jest mostami, czwarty zniszczony w połowie rzeki się kończy; piąty i szósty, które oba za jeden policzyćby można, łączą dwa przeciwległe brzegi ładnej jego wyspy z miasta brzegami.

Widok na tę wyspę z rozdwojoną w tém miejscu rzeką i dwoma mostów łukami, któremu ubogie nadbrzeżne domostwa, kilka drzew i kilka starych świątyń złomów, bynajmniej nieszkodzą, prawdziwym jest dla pejzażysty klejnotem; lecz nieznając go, niktby nieuwierzył, iż jest wzięty w Rzymie, tak ma całkiem inny charakter.

Mosty Tybru przerabiane i odnawiane, po kilka z każdój swój epo-ki noszą imion. Najpiękniejszy przed *Ś. Anioła* cytadellą i od niej nazwany, zwał się dawniej *Ś. Piotra*, a przedtem jeszcze mostem *Aelius*, którym to mianem i teraz oznaczają go czasem.

Po nim, co do piękności idzie, za miastem, przed bramą *Ludu*, na rzekę rzucony *ponte Mollo*, niegdyś *Milwius* zwany. Ozdobiony bramą i czterma świętych apostołów posągami (z których najpiękniejszy *Ś. Jana*), pod ich pieczęą przybywających z Florencyi do świętej wprowadza stolicy; daje im przeczuć wspaniałą i świętą jój piękność.

Most *Sycta*, niegdyś *Janiculus* później *Antonina*, bez przepychów ni ozdób, prowadzi do najuboższej miasta części, do *Trasteveru*, wrzącą tylko mieszkańców krwią, i pobożnemi ceremonjami hucznej.

Pradziadem zaś ich wszystkich jest *ponte Rotto* (most złamany), niegdyś *Palatinus* zwany. Pierwszy to był murowany most jaki Tyber dźwigał; a teraz zrujnowany, w połowie rzeki szkielec jego sterczy, i zdaje się jedynie dla malarza tam zostawiony.

Z dwóch wyspy mostów, jeden się zowie *Fabrycyusza*, a częścię jeszcze mostem *Czterech głów* (*ponte di quattro Capì*, od jakiegoś posągu Janusa o czterech twarzach, który dawniej stał przy nim), a drugi na Trastevere prowadzący, jest most *Cestio*, albo *Ś. Bartłomieja*. Należy on także do najdawniejszych. Czas pokrył datę jego powstania; wiadomo tylko, że za Cesarza Gracyana, w 369 roku ery naszój, był restaurowany.

Samą wyspę zowią zwykle wyspą Tybru, *Isola Tiberiana*, a czasem *Ś. Bartłomieja*. Tradycya początek jój otaczająca dość jest dziwna. Mówią iż gdy senat wygnął Tarkwiniusza pysznego, wszystkie jego dobra darował ludowi. Lud w swój nienawiści, zaczął w rzekę ciskać snopy zboża z jego zebrane pola, a tych snopów taka była ilość, iż woda ich unieść niemogąc, na dwa podzieliła się koryta. Zbożowa ta góra, otoczona zaraz kamiennemi bastyonami, utworzyła dotąd istniejącą i zamieszkałą wyspę.

Później nadano, czyli raczej usiłowano jój nadać, okrętu kształty. Ale to już niebyło, jak mówią, dziełem nienawiści tylko wdzięczności, dla sławnego węża z Epidoru, który w 461 roku, okrętem sprowadzony, swą przytomnością wybawił Rzym od zarazy, a na tej mieszkał wyspie. Świą.

tynia zaraz na cześć Eskulapa wzniesiona, miała ster oznaczać, a obelisk w środku utwierdzony, wielki maszt jego.

Wyspa ta miała jeszcze dwie inne świątynie; lecz tak już są zniszczone, że śladów ich wynaleść trudno. Za to ma parę kościołów.

Brzegi Tybru wdzięczące się dla malarza, z innego względu mogą być jeszcze zajmującymi i kroki wędrownika sprowadzać. Na prawym rzeki boku (to jest od strony *Trasteveru*), znajdziesz niegdyś tę śliczną *Farnezinę* tę Villę pęzlem Rafaela uwiecznioną, o której ci mówiłam, i opuszczone jęj ogrody; tam pomarańczowych drzew cień, i tysiące swobodnych ptaszków, swą wonią i śpiewem zastępują dawnych posągów i innych zbytków powab. Pójdź tam życie Rafaela odczytać.

Lewy brzeg bogatszy w ruiny i dawne zabytki, przedstawi ci między innymi starą *Fortuny Virilis* świątynię. Serwiusz Tuliusz wznosił ją bogini, co z poddanego zrobiła go królem. Osmią pięknymi ozdobiona kolumnami, teraz w kościół Panny Maryi już przerobiona oddawna. Dalej postrzeżesz wysoką dzwonnice i kościół także Maryi, nazwanę *in Cosmedin* (co po grecku znaczy *ustrojonej*). Kościół ten zowią także, *Bocca della Verità*, gdyż w przedsionku jest otwarta paszcza, gdzie dawniej wrzucano tajemnie skargi przeciw rządowi, lub na obywateli jakie obwinienia.

Na tymże placu prowadzącym do Ś. Pawła, ładną ozdobionym fontanną, ujrzysz jeszcze trzeci Matki Boskiej kościół, w dawną Westy świątynię schroniony. Wszystkie świątynie Westy, na jeden stawiane plan, okrągłe, kolumnami otoczone, małe lecz wysmukłe i zgrabne, ogólnie są od architektów wielbione.

Między temi trzema Maryi kościołami, pokażą ci także na samym rzeki brzegu, dom najpóźniejszego z trybunów rzymskiego ludu, dom *Rienzego*. Wiadomo ci, iż Rienzi, jak to w parlamentowych rządach nieraz się teraz widzi, zaczawszy od roli posłannika ludu, na senatorskiem później usiadł krześle, lecz gorzej od terażniejszych, bo śmiercią swe krótkie zakończył panowanie.

Historja *Rienzego* tworzy tak ciekawy, tak odmiennego charakteru w rzymskich dziejach ustęp, iż warto odświeżyć sobie jego pamięć! i dla tego krótki rys tu jego ci rzucę.

W czternastém stuleciu, kiedy apostolski tron do Avignonu był przeniesiony, magnaci rzymscy, bez żadnego hamulca, dumą jedynie i namiętnościami rządzeni, coraz bardziej biedny ciemnili lud. W skutek czego wysłano do Papieża Klemensa VI deputacyą, z najusilniejszą o powrót jego prośbą.

Mikołaj Gabrini *Rienzi*, będąc wówczas tylko notaryuszem, tyle się swą piękną wymową wsławił, iż został wybrany do przedstawienia u stóp pontyfikalnego tronu wzmiankowanej prośby; lecz gdy ta pożądanego nie otrzymała skutku, *Rienzi* umyślił innym sposobem z przewagi magnatów Włochy wydobyć.

Roku 1347, 20 Maja, piękną do ludu przemową zapaliwszy umysły, otrzymał *trybuna* tytuł. Panów z Rzymu wygnał; a zawsze jednak papieżowi hołdując, ustanowił rząd całkiem nowy, praw i porządku pilnujący ściśle.

Tak rozsądne i szlachetne nowego trybuna postępowanie, zjednało mu wkrótce nie tylko miłość ludu, ale Ojca Świętego i ościennych książąt przychylność. Ze wszech stron otrzymywał poselstwa z oświadczeniem przyjaznych uczuć, lub z poddaniem pod światły i sprawiedliwy sąd jego, najtrudniejszych do rozwiązania pytań, najzawikłańszych spraw i kłótni. Lecz te rozlicznego rodzaju powodzenia, zaćmiły niebawnie i sąd ten światły i rozsądek co mu je zjednały.

Rienzi jest jednym z mnogich dowodów iż łatwiej z jakiej bądź głębi do szczytu się dostać, niż długo na tym utrzymać się szczycie..... bo na nim ambicya swe złociste otwiera bramy, bo próżność, pycha, duma, w nich się uśmiechają, a w swe powabne wzięwszy obietca wszelkiego pozbawiają światła.

Tak się i z *Rienzim* stało.

Nie dość mu już wkrótce było miłości i szacunku, zapragnął honorów, a sam niewiedząc jakiego rodzaju, szumnych i śmiesznych wyszukiwać zaczął dla siebie tytułów. Kazał się nazywać kawalerem kandydatem Ś. Duchy, Włoch protektorem, surowym i wspaniałym Rzymu wybawicielem, i szanownym trybunem (Tribuno Augusto).

Opis uczt jakie sobie wyprawiał, gdy na rycerza kazał się passować, da miarę wybujałej już wówczas dumy jego.

Pontyfikalny S. Jana laterańskiego pałac, jak pisze autor życia *Rienzego*, do tego wybrany, urządzony, przystrojony, a sale jego, w obawie żeby się zbyt szczupłemi nie znalazły, obaleniem ścian rozprzeźstrzenione zostały.

Cały wprawdzie Rzym, jako i z przyległych wsi mieszkańcy, z żonami i dziećmi, na tę głośną zbiegły się uroczystość. Nie tylko pałac i sale jego, ale kościelne przedsionki, ciekawym były zalane ludem. Część panów i mniejsza szlachta, *Rienzego* trzymająca stronę, pośpieszyła w złocistym stroju i sztandarami w rękę, galopując na koniach, także w błyskotki i dzwonki ubranych. Gromada dziwnie ukostumowanych pacholców, bębniła, trąbiła, grała. Lecz wszystko ucichło gdy ogłoszono przybycie trybuna i rodziny jego.

Matka i żona trybuna, wpośród grona najpoważniejszych Rzymu matron, postępowały pieszo. Dwóch wystrojonych młodzieńców, jakby paziów rodzaj, nieśli przed niemi (jak mówi ówczesne opisanie żadnego nie dając tego tłómaczenia), wyzłacaną uzdziennicę końską. Sam zaś *Rienzi* był poprzedzony zbrojnemi ludźmi, ze sztandarami na wiatr rozwitemi i polyskującemi w rękach szablami. Przyszły rycerz w jedwabnym śnieżnej białości ze złotą frenzlą płaszczu, niósł stalową podniesioną róższkę. Na prawej ręce miał wikaryusza papieżkiego; z drugiej strony, licznie zebraną szlachtę.

Ku wieczorowi udał się do papieżkiej kaplicy, a żegnając lud rzekł: „Dowiedźcie się, że tej nocy mam zostać rycerzem; jutro tu powrócie a usłyszycie o rzeczach, które w Niebie Bogu, a na ziemi ludziom się podobają.”

Lud po tej przemowie, z radośnemi rozplynął się okrzykami. W kościele solenne rozpoczęło się nabożeństwo; a *Rienzi* tymczasem kazał sobie przyrządzić kąpiel w bogatej wannie, w której, jak mniemano, cesarz Konstanty od Śgo Sylwestra chrzest Ś. odebrał, a pościel w nowém wielkiej wspaniałości łóżku, na też sprawioném okoliczność.

Obywatel rzymski, *Messer Vico Senotto*, dawny rycerz, szpadę mu przypasał; lecz gdy *Rienzi* w swe wspaniałe wszedł łoże, nie dobrze ułożone deski z dna wypadły, i popękały pod ciężarem jego, co za bardzo złą wróżbę uważane było.

Jednak dnia następnego, trybun ludu przywdział purpurowy płaszcz, bielstkami podbity, i w tym wspaniałym stroju okazał się zgromadzonemu rycerstwu, duchowieństwu i ludowi; a *Messer Senotto*, po raz drugi przypasał mu szpadę do boku, i złote ostrogi do butów przypiął.

Zapewne te to miały być rzeczy, co się w niebie i na ziemi podobać miały, gdyż historyk jego innych nie wymienia.

W takim go widząc próżności szale, szacunek i miłość stopniowo cofać się od niego poczęły. Magnaci korzystając z tego, spiszek uknowali, i dnia 15 Grudnia tegoż 1347 r. po siedmio miesięczném panowaniu, wypędzili go z Rzymu.

Rienzi schronił się do cesarza niemieckiego, Karola IV. Ale ten nie chcąc się w jego wdawać sprawy, do Avignonu go odesłał.

W Avignonie, po Klemensie VI, nastąpił Inocenty VI. *Rienzi* zawsze mając na swe usługi silną i powabną wymowę, przekonał nowego papieża, iż może wielce mu być użytecznym, jeszcze raz pychę panów poskramiając. Posłany w skutek tego do Rzymu, w 1354 r., nową dość podobną pierwszej zrobił rewolucyą; ale już nie jako ludu naczelnik, tylko pod protekcyą Ojca Ś. i z tytułem senatora.

Najwyższą jednak osiągnąwszy władzę, bynajmniej z dawnego nie korzystał doświadczenia. Znowu nadymać się jak dawniej zaczął; znowu zniechęciwszy jak poprzednio umysły, stał się mściwych magnatów ofiarą.

Pobudzony przeciw niemu lud, ścigać go począł. *Rienzi* za żebraka przebrany, z rąk mu się prawie wymknął. Lecz niebawnie poznany i przytrzymany, nie widząc innego ratunku, odwołał się do swej najsilniejszej władzy, do swej ulubionej broni: zaczął przemawiać do rozjuszonej zgrai; a ta urokiem wymowy zmiękczona, już u stóp jego broń składała, gdy jakiś domu *Colonna* służalec, z tyłu zaszedłszy, sztylitem go pchnął. Motłoch nie słysząc już głosu jego, rzucił się na ciało swego niegdyś najukochańszego obrońcy, w kawałki je poszarpał; a zawsze w swęj zemście zapamiętały i nigdy nie syt, te poszarpane części na szubienicy powieszał.

Tak skończył 5 Października 1354 r. ten XIV stulecia, ten ostatni Rzymu trybun.

Dom jego nie nosi ani żadnej wspaniałości śladów, ani nawet żadnym nie odznacza się właściwym sobie stylem. Był niegdyś, jak mówią, ozdobiony tu i ówdzie na prędce pozbieranemi rzeźbami, lecz teraz już i szczątków ich nie znajdziesz.

Obejrzawszy tak ze wszystkich boków i na wszystkie strony Rzym stary, średni i nowy, trzeba mi było zrezygnować się na rozstanie się z tą najlepszą z mych podróżyowych znajomości, z tą którąbym najsnaźniej przyjaźni uczciła nazwą.

Morzem miałam się do Neapolu udać; lecz do *Civita-Vecchia*, z której codziennie parowe okręta na wszystkie lecą świata strony, trzeba było lądem nudną przebyć podróż. Jedyna téj drogi zasługa jest ta, iż wyjeżdżając z Rzymu, o watykańską kolumnadę się ociera; że tym sposobem, pozwala ostatnie w stolicy świętej spojrzanie posłać kopule Ś. Piotra. Jest to najgodniejsze z Rzymem pożegnanie.

Civita-Vecchia, mała i niepowabna miłościna, skarży się dotąd na okrucieństwo Totili, który jęj ludność w pień wyciąć kazał; a pociesza się swym portem. Ma on być z papieżkich stanów najpewniejszym.

Po dwóch dniach burzy tam przybywszy, znalazłam przystań statkami pokrytą, a karczmy zapełnione czekającemi pogody podróżniami. Z największą przyszło mi trudnością kilka znaleźć łózek, za które po skudzie (10 zł.) od noclegu zapłacić mi kazano.

Następnego ranka, słońce wspaniale się podniosło; wszyscy radosny wydali okrzyk i tłómczki do wyjazdu zapinać poczęli. Ale marynarze téj niepodzielali radości; a nową przeczuwając burzę, długo się między

sobą naradzali, czy ład opuścić im wypada. Mniej odważni, lub ci co większą mieli do przebieżenia przestrzeń, pozostali w porcie; *Virgiljusz* zaś, któremu ja się poruczyć miałam, znajdując zapewne, iż pod tém mianem niepodobna żeby na neapolitańskich brzegach jakie go miało spotkanie nieszczęście, o parę tylko godzin wyjazd swój przyspieszył, w nadziei przesunięcia się między dwoma burzami, to jest wczorajszą i tą co na następny groziła dzień.

Gdy już wszyscy na okręcie ulokowani byliśmy, para niecierpliwa w trąbie ryczała i kotwicę podnoszono, jakaś łódka po balwanach skacząc o wstrzymanie jednej chwili błagała. Niosła dwie kobiety, chustką znaki dające. Wstrzymano się i spuszczone im schodki. Jedna z nich w czerni, oczywiście pani, ze spuszczonym z kapelusza na oczy wuałem, raptownym na pokład weszła krokiem, druga paczkami i kuferkami zajęta była. Pierwsza spostrzegłszy witającego ją kapitana, zapytała: „A dokąd okręt pana płynie?” — Kapitan zdziwiony iż wszedłszy dopiero i gdy już miał ruszać zapytano o dyrekcyą, odpowiedział że do Neapolu. — „Do Neapolu? ponowiła czarna pani, jakby jęć to się sprzeciwiało, do Neapolu! — Wreście nic nie szkodzi; jedźmy i do Neapolu!”

Ta rozmowa, przed drzwiami méj kabiny, zwróciła mą uwagę. Zająrzałam pod kapelusz nieznanomój i zdało mi się że mi jęć rysy nie były obcemi. Przypomniałam w końcu, iż to taż sama pani, którą w Pizie już napotkałam, raz przy stole rozmawiającą z młodym błądynem zwanym tam *poetą*, a następnego ranka płaczącą u stóp ołtarza katedralnego kościoła. Postrzegłam że dużo się zmieniła. Oczy jęć czarne, przy ściągnionój teraz twarzy jeszcze większe, bystrzejszy jeszcze rzucały wzrok, a w ruchach coś gorączkowego się objawiało.

Ale już nie miałam czasu dłuższych nad nią czynić uwag ani domysłów. Wały rozlukanego morza coraz silniej o statek biły. Ruch gdy na nie się wznosi a później z nich spada, podobny do bujania wysoko zawieszonój huśtawki, ten ruch ciągły, nieustanny, obok szumu i niemiłego wyziewu morza i okrętu, sprawiają zawrót głowy, a następnie to, co chorobą morską zowią.

Choroba morska do najnieznośniejszych należy chorób. Kto jęć nie doznał, ani się domyśli ile dokucza i męczy. Najprzód gdy odrazę do wszystkiego i do wszystkich rodzi, później uczucie że wszystko wewnątrz nas w sercu i pod sercem zwija się przewraca, jakby opita piwajka gdy na nią soli nasypią; w końcu gdy po wysileniach i męczarniach, do ostatecznego doprowadziwszy skutku, pozbawi sił fizycznych i umysłowych, a mimo to jeszcze nudzi, dokucza i męczy.





A. J. Payne sc.

Neapol.

H. B. P. pinx.

Im morze gorsze, tém choroba silniejsza. Wówczas ono jeszcze nie było z jednej ochłoneło burzy a drugą już przeczuwało, i nikt też jój nie uszedł. Same były jęki i gorzej niż jęki po kajutach słychać. Ja w początku prosiłam tylko nieba żeby to się prędko skończyło; później, już ani prosiłam ni żądałam niczego. Niewiedziałam czy od roku czy od godziny ta miła trwa podróż, nietroszczyłam się czy kiedy i jak się skończy. Gdy po niemilosierne długiej nocy, zawołano mi nad głową, że słońce się budzi i czy niechęć jego widzieć wschodu? — „Dajcie mi pokój!” odpowiedziałam. Później mi doniesiono że już się do wysp zbliżamy, że mijamy *Procidę* i *Ischię*, warte widzenia. Dajcie mi pokój! jeszcze raz powtórzyłam, niedobrze nawet pojmując co to jest *Procida* i *Ischia*. Nareszcie ze wszech stron dał się słyszeć tysiącnie ponawiany odgłos: „Neapol! Neapol!”... i wszystko się na pokładzie poruszyło, powstało. Ten odgłos i do moich w końcu trafił uszu. Zrozumiałam że to koniec podróży, choroby, męczarni; i ja też podniosłam głowę; a gdy wszystko jeszcze w około mnie zdawało się walcować, chwytając się ściany wyszłam z méj kajuty.

Ale tam nowego rodzaju spotkał mię obłęd. Ujrzałam coś jakby nie do tego należącego świata. Jeśli to magiczne widzenie choroby jeszcze skutkiem, zawołałam, o jakież miłe jój cierpienie wynagrodzenie!

Nad nami najprzejrzystego szafiru krągliło się sklepienie, pod nami jeszcze podobnyż szafirowy i przejrzysty widziałam płyn. Naprzeciw, wysoko, zamek czy klasztor, na tym lauzurowym eterze srogie i malownicze kreślił rysy, a u stóp jego, na spadku zielonego wzgórza, stały się jedne pod drugimi w amfiteatr zaokrąglone pałace, domy, ogrody, domki. W pośród nich przystań tysiącem powiewająca żagli, a na drugiej stronie wspaniała góra, czarną dymu chmurą owita, połyskująca ogniem.

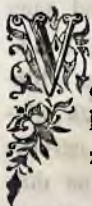
— „Co to jest?” zapytałam przecierając oczy.

— „To Neapol” — odpowiedziano.

— „A ta ognista góra? — Wezuwiusz!”

XI

OBRAZY NEAPOLU. — LAZZARONI. — TARANTELA. — TOLEDO.



eder Napoli e poi morire. Ujrzeć Neapol a potem umrzeć! tak Neapolitanie radzą, bo też nader jest wątpliwem czy sto lat jeszcze żyjąc, możnaby w świecie coś piękniejszego znaleźć.

Co do widoków, aż do zbytku ze wszech stron rozległych, zachwycających, czarownych, powiadają iż Bosfor mógłby im wyrównać; ale czyż on posiada to morze tak lazurowe, tak czyste iż bierze ochota wskoczyć w nie i zanurzyć się? tak swawolne i kapryśne, jak gdyby chciało by z niem poigrać, poswawolić, posprzeciwiać mu się?

Tylko co widziałeś je najpiękniejszym zafarbowane szaftrem, już się w zielone zamieniać poczyna, lub różowemi pobłyskuje promieniami; tu na twym brzegu jak najpiękniejsze zwierciadło spokojnie odbija twe rysy, tam niewiedzieć czemu pieni się, skacze, pryska, jak gdyby chciało przypomnieć że gdy jest łagodne to z łaski, bo mogłoby groźnem być i straszliwem. Przy zachodzie słońca, ujrzysz je purpurowem, fioletowem; na brzegach wyspy Capri jak atrament czarne; w innych miejscach gdzie siarczane do siebie przyjmuje źródła, grysztanowe, lub żółtawe. Czasem jak gdyby piaskiem złotym się sypało, lub jakby szarfą zmiennej tęczy obwinęte, wszystkie jój naśladuje cienie. Słowem, niema ka-

meleona coby tyle nosił na sobie kolorów, niema tak ładnej i zepsutej kobiety, coby tyle wdzięków i tyle kapryśków miała.

A cóż o niebie powiedzieć! Czyż Bosfor, czyż jaki bądź świat zna podobne sklepienia? tak lekkie, tak przejrzyste, iż się zdaje że dobrze się wpatrzywszy możnaby w nich chóry aniołów dojrzeć, bo tam ich musi być mieszkanie, bo takie niebo tylko dla aniołów, ludzie go niegodni.

Pomiędzy tak cudnym morzem, a cudniejszym niebem, ziemia, najwspanialszy i najżyźniejszy ogród, raj!

Czy chcesz skał, urwisk i dzikich przepaści, czy zielonych dolin lub żyznych zagonów, wszystko na niej znajdziesz. Czy twe zdrowie wymaga mineralnych źródeł zimnych albo wrzących, lub dla umysłu z dawnym chciałbyś pomówić światem, i źródła i świątynie, całe nawet od dwóch tysięcy lat w popiele dochowane miasta czekają na ciebie.

Włoska pinia, ta szpilkowych drzew królowa, dumne swe czoło wysoko tam podnosi, a szerokim swym parasolem, co jakby nadpowietrzna wyspa zdaleka się wydaje, cień dla ciebie na ziemi ściele. Długie kolczastych aloesów pasmo tworzą ogrodów parkany; a gdy przejdiesz za nie, miłszy jeszcze pełen świeżości i woni pomarańczowych gajów cień znajdziesz. Gdy ci pinia pod nogi swój owoc upuści (a zważaj żeby nie na nogę, bo jej szyszka tak duża i twarda iżby niezawodnie moneń ból sprawiła), gdy wyjmiesz i pożywisz się słodkimi jej migdałkami, pomarańcza lub cytryna pragnienie twe usmierzy. Cytryny tam prawie jak nasze pomarańcze cukrowe, miłsze są niż zbytuczna złotych ich siostr słodycz.

Jak pinie, pomarańcze, cytryny, tak czarne na wysokim drzewie figi lub figi indyjskie, co na kaktusowym jak łopata szerokim, jak materac grubym liściu kwitną, tak pełno innych jeszcze owoców bez starania ni nadzoru samowolnie w polu wyrosłych, obdarzą cię swym chłodzącym sokiem, bo co do upojenia dość samego powietrza.

Lekkie to powietrze, promieniami słońca przesiąkłe, zdaje się ambrozyi posiadać własności. Odetchnąwszy niem razy kilka, uczujesz jak w pierś, jak w duszę nieznaną wlewa rokosz, jak całą istotę wkrótce nią ogarnia. Neapol też nią tylko żyje, tą rokoszą swobodną, czy leniwą, co jutrem się nie troszczy, ubiegłej nie pamięta chwili, zabiegów jak kłopotów nie zdolna, niedba i mierzownie nawet trosk towarzyskiego świata. Tam dla Epikura powinnyby nieustannie kurzyć się ołtarze, a każdy lazzaroni godnym téj filozoficznej świątyni mógłby się mienić kapłanem.

Tam czytać i pisać niższa klasa nie uczy się wcale, bo po cóż na suchej nauce trawić dla rokoszy z nieba zesłane godziny?

Pod teatrem i na innych placach siedzą przy stolikach pod parasolami uczeni ludzie, nazwani *i secretari ambulanti*. Ci wyszumiwszy swą młodość, gdy na stare dni przypomnieli że samém słońcem i miłością nie zawsze żyć można, pisać się nauczyli, i z tego teraz talentu żyją. Gdy przypadkiem nadarzy się komu jakiego listu potrzeba, do nich się udaje; powie o co rzecz idzie, a on za kilka groszy w pięknym stylu ją wyklada, pięknemi ją przyodziewa farbami, i za te groszy kilka, nie tylko od pisania, ale nawet od myślenia Neapolitanów uwalnia.

Bo jakżeby można w Neapolu myśleć, a mianowicie tym co jak większa ludności jego połowa niema innego mieszkania jak ulicę, innego dachu jak niebo? A jeśli ma to jakąś ciemną dziurę, bardziej do szuflady niż do izby podobną, w której dorosła osoba stanąć by nie mogła, a gdzie na słomie liczna czasem mieścić się co noc musi rodzina.

Całe też życie, gospodarstwo, rzemiosła, kuchnia, toaleta i zabawy, wszystko na ulicy się odbywa. Warsztat stolarski stoi obok kociołka w którym się kukurydza lub kasztany gotują. Tuż przy nim dziewczęta się czeszą, tam by zapewne i umywały się, gdyby ten zwyczaj znany był w Neapolu. Tu łóżka żelazne na sprzedaż rychtują a pod niemi sklepik z owocami się ulokował; obok pod szopą w dużym kotle kurzy się makaron. Fartuchem zapasany kuchmistrz, wyciąga z niego łokciowej długości mączaste tasiemki, i w miseczkach lub do garści łaknącym je podaje; ci przewróciwszy głowę, w gardło je zręcznie palcami wpuszczają.

Szewcy, krawcy, kowale, kapeluszniki wszystko to na ulicę się przynoszą, a wpośród nich krzyczą, wrzeszczą, w gry grają, tańczą. Ten cię zaprasza na prześliczne granaty które już do połowy z zielonej odarte łupiny swe czerwone i soczyste odsłoniły jagody, tamten z bukietem zaskoczył ci drogę, a ręką że najpiękniej pachnie, do nosa ci go przyciska. Tu znów cię za nogę łapią prosząc żebyś na pieńku ją do oczyszczenia obuwia postawił. Ale niepodobna, trzeba uciekać z drogi, bo jakies słyhać dzwonki, bo widać konia co w czwał lecąc niesie całą ludzi piramidę.

Ta w dzwonki, piórka i wstążki ubrana szkapą, zaprzężona jest do pojazdu całkiem narodowego, *calessino* zwanego. Na wysokich kołach, któreby do największego pojazdu były za duże, uwieszony jest kabryolecik, mający najczęściej naśladować kształt tulipanu. Kiedy jest próżny, rzekłbyś iż na dwie tylko przeznaczony osoby, ale gdy się napelni, zdaje się niezmierzonej objętości. Jak wymiarów tak i kształtów jego już wówczas odgadnąć niepodobna; widać tylko dwanaście lub piętnaście twarzy, które jedna nad drugą się wznoszą, jedna przez drugą patrzy,

rozmawia, śpiewa i na konia woła. Tam żołnierze, kobiety, dzieci, mnichy i baby, wszystko jak stos kapuścianych głów, jedne na drugich się umieściły, a chłopcy z tyłu i pod spodem na drągu, na dyszlu, lub w przywiązanych między kołami koszu się wieszają. Wszystko to leci, ledwo się bruku tyka. Szczęściem dla pieszych iż konia dzwonki, śpiew i wrzask jadących z daleka słyszeć się dają.

Za szalonym calessino, postrzegasz jakieś zapalone świece i białe maski; są to miłosierdzia bracia w bieli z zasłoniętymi twarzami. Niosą gromnicę i otwartą trumnę młodej dziewczyny, którą w niej widać z krzyżem w rękę, i z pąsową różą w ustach.

Mija się z nią bogata całkiem wyzłacana lektyka. Mniemasz że jaką ujrzysz królowę, lecz przez cztery jej oszklone boki, postrzegasz kobietę w dużym czepku, z tysiącem u niego jaskrawych kokard, a na jej kolanach z różowej poduszki wygląda niemowlęca główka. Ona także do kościoła śpieszy po wodę świętą co ją z grzechu rodziców obmyje. Jest to dziecię do chrztu niesione, z tą co go pierwsza na świat wprowadziła.

Lecz dokądże bieży ta druga lektyka tak brudna i brzydka jak tamta bogata, tak zamknięta ściśle jak tamta otwarta? Mówią ci że to jest aktorka do teatru na próbę śpiesząca.

A ponieważ w tym kraju jak w Dreźnie lektyki są w modzie, niechże i dla mnie jakiej zawołają, by mię z tego wyniosła zgiełku! Wcale nie: W Neapolu prócz aktorki i akuszerki, nikt lektyki niezna; za to na pierwsze skinienie, dziesięć większych i mniejszych, jedno i parokonnnych koczyców na wyścigi lecą, i każdy pyta gdzie pojechać żadasz?

— Zawieź mię gdzie chcesz, wskakując w jeden z nich, odpowiedziałam, gdzieby tylko więcej świeżego powietrza, a mnię stuku i hałasu było.

Więc najlepiej nad brzegiem morza będzie.

Tam wprawdzie powietrza nie brak, stuk kowali mnię razi; za to długie szeregi budek pod płócienną firanką, przedstawiają ci zbiór wszelkiego rodzaju stworzeń morskich, żywych czy na pół żywych, które krają w twych oczach a smacznie zajadając, głośno cię na te *frutti di mare* (owoce morskie), na ten ulubiony przysmak zapraszają.

W pośród tych, inną wyższą postrzegasz budkę. W girlandy z nasnutych w sznurek cytryn i pomarańcz, w kwiaty i festony ustrojona, widzisz u wierzchu Matki Boskiej obraz, a przed nim dwie zapalone świeczki; mniemasz że to kaplica? a to jest tylko sklep ze świeżą, cytryną zapuszczoną wodą (acqua limonata), gdzie po wieczery z morskich owoców, po napój idą.

Nad samym brzegiem, rzędem wyciągają się jak kafry czarni lazzaroni. Obdarci i na pół nadzy, każdego ma szkaplerz na piersi i długą nakształt frygiańskię na głowie czapkę! Jedni głowę pod przewrócony schroniwszy koszyk, śpią jak najsmacznię, drudzy na murze lub kamieniu jakby na miękkiej sofie leniwie sparci, lubieżnym wzrokiem ukochane swe głaszczą morze, z którego tylko co wyszli lub zaraz weń skoczyć mają. Jeżeli w nię znaleźli jaki morski owoc, jakiego ślimaka, pająka, lub ostrygę, szczęśliwi i syci o nic niedbają, całemi tylko piersiami roskosznę pojąc się powietrzem. Wówczas niepytaj ich o nic, bo żadnej nieotrzymasz odpowiedzi. Lazzaroni *po obiedzie* nieznajdzie cię godnym pracy przemówienia słów parę, i tylko ręką okaże żebyś mu dał pokój. Ale za to gdy mu zabrakło, lub przewiduje że może zabraknąć obiadu, cóż to za żwawość? jaka energia! jaka siła! kufer na czterech ludzi u nas za ciężki, jak arkusz papieru na głowę zarzuci; a na czaszce go ustaliwszy, w ręce weźmie tłumok, worki, parasole i na drugi koniec miasta śpiewając zaniesie. Spotkasz tak fortepiana na dwóch lub trzech głowach, po krętych i spadzistych idące ulicach, a ci co je niosą, rękami jak telegrafy roznawiają, bo u nich głos jest dla wesołości, śpiewu, zabawy i wówczas bardzo są nim hojni, a dla rozmowy są ręce. Każdą rzecz, myśl, pytanie lub odpowiedź, palce bez pomocy języka wyrazić umieją. Nie zbyt dawno wyszła o tęg mimicznę Neapolitanów mowie, doś gruba książka.

Dawnięj lazzaroni łatwiejszy wynalazłszy zarobku sposób, niż noszenie ciężarów w braku obiadu, do niego się odwoływali. Jak teraz zręcznie na głowach kosze i kufry noszą, tak przedtęm równie zręcznie chustki i sakiewki z kieszeni wyciągali; Neapol był tą industriją sławny. Wiadomo każdemu było, iż największa pilność na nic się nieprzyda, że nikt nie wróci do domu inaczej, jak z wypróżnioną kieszenią.

Ale, niestety! terazniejszego króla rząd niemiłosiernie okazał się na ten przemysł srogim, niewyrozumiałym! tych co po przestrodze zaniechać go niechcieli, na dalekie powysyłał wyspy, a takich wysłał więcej trzech tysięcy! Pozostali, wzięwszy rzecz na szalc, między dwoma nieszczęściami wybrali pracę, wolać ją jeszcze nad okrutną ostateczność wyrzeczenia się Neapolu brzegów.

Nietrzeba jednak wnosić, żeby ta praca była codzienna, stała. — Broń Boże! do takię nikt i nie zmusiły ich niezdołało.

Lazzaroni gdy nic do przeniesienia nie znajdzie, albo innę a jak najkrótszję usługę, za którą prosbą lub krzykiem stara się największą jak można otrzymać zapłatę, w najgorszym razie bierze od przekupniów owoce, ryby lub ciasta, do roznoszenia po mieście. Wówczas krzyczy *jak najęty*, wszel-

kiemi sposobami zaprasza na swój towar, najszczytniejsze dając mu pochwały, by się tylko co prędzej go pozbyć. Uzbierawszy tym sposobem parę groszy, sprawia sobie ucztę, idzie na makaron, bo to każdej uczyty grunt, a jeżeli może skropi go szklanką wina. Bieży potem do morza, na słońcu śpi i odpoczywa póki tylko grana (1) ma w kieszeni; o inny zarobek nie dba, nie tylko nie szuka, ale ucieka od niego. Nadaremniebyś wtenczas prosił go o zanieśenie listu na pocztę; za największą nagrodą ani się poruszy, ani ci nawet drogi niewskaże.

Jeżeli po uczcie zostanie mu co jeszcze, idzie na teatr. Na placu del Castello, ze cztery takich teatrów jeden obok drugiego, przez cały dzień i wieczór widowisko powtarzają. Każdy przy bębnoch i trąbach zaprasza do siebie. Jedne afiszami głoszą swych zabaw odmiany, przy wejściu innych, krzykacze je obwołują, a wielkie wywieszone płótna czyli kurtyny, oczom je przedstawić usiłują. W jednych pierwsze miejsca sześć do dziesięciu granów kosztują, w drugich tylko pięć. Ale lazzaroni nie wiedzion próżnością, na pierwsze nie ciśnie się miejsce, chodzi mu tylko żeby dobrze i wygodnie widział.

Odpusta i każde religijne ceremonje lubi. Słowem każdego rodzaju rozrywki z radością się chwytą. W jesieni jest jakiś dzień gdzie królewski na *Capo di Monte* pałac, dla wszystkich bywa otwarty, z tym warunkiem iż mężczyźni we frakach tylko wejść do niego mogą. Lazzaroni naówczas w dwudziestu lub więcej robią składkę, na najęcie jednego lub dwóch fraków, niosą je do pałacowej bramy, a tam po kolei z bosemi nogami i resztą zwyczajnego stroju swego wkładają i wchodzą; gdy jedna para pałac obejrzy, wraca i oddaje następnej te najęte fraki, niebardzo doskonale jak wnosić można do figury przypadające, a cały neapolitański świat jedzie tam już nie dla widzenia pałacu, tylko ufrakowanych lazzaronich.

Gdy zaś niema za co kupić miejsca w teatrze, idą słuchać improwizatorów.

Pójdź tylko, Antonio, brzegiem morza, ku *Molo*, a pewno ujrzysz jakiego poetę w wytartym fraczku, w dziurawym kapeluszu na głowie, jak stojąc w pośród grona leżących i siedzących do koła słuchaczy, ze żwawemi ruchami coś im opowiada. Czasem z pamięci jakieś im historie

(1) Neapolitański gran wypada na dwa nasze grosze. Dziesięć granów idzie tam na karlina, dziesięć karlinów na dukata. Lecz dukat jest tylko nominalną monetą, przyjętą dla ułatwienia rachuby, na decymalną ją przerabiając. Co do grubej monety, Neapol jak Rzym i Florencyja ma skudy, z tą różnicą iż tamte po dziesięć liczą na skuda pawłów, a neapolitańskich karlinów idzie na skud 12. Mimo to skud czyli talar jego najmniejszy a florencecki w porównaniu największy.

prawi, czasem z książki tak wprawdzie podartej i słuszczonej, iż liter niewiadać, jakieś ustępy z Rinalda lub Tassa czyta im i wyklada; a szanowna publiczność z największą słuchając uwagą, w zachwycenie wpada. W tém uniesieniu, który z niej ma jaki gran to mu rzuci, który nie nieposiada, sutemi oklaskami wdzięczność swą i admiracyą tłómaczy.

Lazzaroni należą do tych ciekawości, o jakich nasze wnuki z książek już tylko dowiadywać się będą. Pilno mi też było przybywając do Neapolu poznać tę istotę nienależącą do żadnej hierarchji cywilizowanego świata, lubo w Europie, za jego jednak zrodzona obrębem i żadnemi z jego praw ni urojeń niezwiązana. Leniwy z rozkoszy, dzielny z kaprysu lub zapału, niepoprowadzisz go do boju ani honoru wyobrażeniem, którego on nierozumie, ani złotym krzyżem tegoż honoru dotykana oznaką, ni dostojnością, ni bogactwy, bo on niedba o nic. Jemu tylko trzeba słońca, powietrza i morza. Ale gdy w 1790 roku francuzkie przysunęły się wojska, a powiedziano iż to jest bezbożnych ludzi horda, chcąca wyrządzić krzywdę Ś. Januaremu, temu szczególnie i wyłącznie, bardziej od Chrystusa ukochanemu patronowi miasta, lazzaroni powstali; przez trzy dni bronili przeciw dzielnemu rzeczypospolitęj wojsku bram stolicy swojej, zdrojami krwi zdobycie ich okupić mu zmusili.

Jenerał *Championnet*, wzięwszy w końcu Neapol, udał się istotnie do kościoła S. Januarego, dla zabrania skarbu na potrzeby wojska. Przełożony mu oświadczył, że opór przeciw zwycięzcy, byłby z jego strony nedorzecznością i prosił tylko żeby mu wolno było zawołać lazzaronich na świadków, iż on nie z dobrej woli lecz z musu klucze skarbu oddaje, gdyż inaczej niezawodnie życiem by mu to okupić przyszło.

Championnet, już z niemi zapoznany, nieprzyjął tego warunku. Skarb został nietknięty, a naczelnik lazzaronich, Michał, przewany waryatem (il Pazzo), dowiedziawszy się o tém, zażądał od francuzkiego dowódcy, wojskowej dla neapolitańskiego patrona straży. S. January otrzymał zaraz żądany honor, a Michał *il Pazzo* został mianowany pułkownikiem wojsk rzeczypospolitęj, lecz mimo to nieprzestał być lazzaronim.

W dawniejszych czasach, corocznie oni sobie obierali naczelnika. Obór ten w rynku (il Mercato) się odbywał, nie większością głosów, gdyż nikt ich nie liczył, tylko silniejszymi piersiami. Ten którego imie najdonośniej obwołane, inne zagłuszyło imiona, został *il Capo Lazzaro*. Jakie były jego przywileje? — niewiem. Sławny Masaniello, gdy swą buntowniczą podniósł chorągiew, podobnież był wprzódy Capo Lazzaro w rynku ogłoszonym.

Teraz potęga ich z wielu osłabła przyczyn; siła na której się ona głównie opierała, przez podzielenie i na wyspy wysłanie o połowę zmniej-

szona, straci zapewne z czasem, pod płową cywilizacji ręką swój gorący koloryt. Miałam jednak zręczność przekonania się w późniejszym w Neapolu mym pobycie, iż w tej pozostałej garstce, pierwotny jeszcze żyje duch.

Następną zimy mieszkałam na S. Łucyi ulicy, czyli nadbrzeżu. Położenie jego z przesłicznym na morze i na Wezuwiusz widokiem, słońce i sklepy z frutti di mare, lazzaronich tam wabią.

Ku końcowi grudnia spostrzegłam jednego z nich zawsze przy drzwiach sąsiedniego domu siedzącego. Czasem stał oparty, ale chodzić niemógł. Jakiś dźwigając ciężar poderwał się, od tej chwili krzyżowa kość ugięła się, a nogi pod nim drżały. Nigdy nieskarżył się, niestękał, czasem tylko dwa rzędy białych zębów, gdy je z bólu ścisnął, zaświeciły w półśrodku bistrowego lica.

Na widok tego biedaka herkulesowej postaci, miedzianego koloru, i serca taką zdjętego niemocą, któżby się nieuczul litością przejęty? Pomijając go co ranek jakieś mu zanosila wsparcie. Nieprosił o nic, ale przyjmował z wdzięcznością. Radośnie mnie witał, całował mą rękę, Śmu Januaremu mię poruczał, i wkrótce jakiś rodzaj przyjaźni między lazzaronim a mną się zawiązał. Salvator, takie było imię jego, opowiedział mi iż niema familji, ani kogobądź coby mógł dać mu przytułek. Jak ptak na gałęzi, tak on żył w świecie. Sypiał w bramie jakiegoś domu, a ze dniem na słońce się wywlekał; zwał je swym jedynym przyjacielem, lekarzem, i w niem całą pokładał nadzieję.

Sily jego codziennie jednak ubywały. W kołdrę obwinęty, przez cały dzień głowę na pierś zwieszoną trzymał, i wcale już się podźwignąć niemógł. Zaproponowałam mu, żeby go do *Albergo Royale* przenieść: *Albergo Royale* jest pyszny i prawdziwie po królewsku utrzymany szpital. Ofiarowałam płacić za niego, żeby miał osobną stancyą, wygodę, usługę. Niechciał: mówił że woli powietrze, słońce i wolność niż jarzmo szpitalnego porządku, gdzie mu doktor wyjść podług jego woli zakazuje.

Ofiarowałam mu nając gdzie będzie chciał jakąś izbę, łóżko i kobietę do usług; i na to nieprzystał. Z łóżkiem ja się nieznam, mówił, usługi niepotrzebuję. Bylem miał trochę makaronu czasem i z głodu nieumarł, to mię słońce wyleczy i na kamieniu bardzo smacznie się wyśpię. Pamiętaj pani tylko, żebym miał co jeść.

Wyjeżdżając z Neapolu, poruczyłam go litościwym osobom. Salvator coraz był gorzej i niezdawał się długo już tej litości potrzebować. Tymczasem, w pół roku potem odebrałam wiadomość iż istotnie majowe słońce na nogach go postawiło, że Salvator chodzi i w morzu już się nurzać poczyna. Ale gdy go chciano do doktora zaprowadzić, żeby go

zupełnie wyleczył, skrył się gdzieś tak, że o nim dowiedzieć się niepodobna było. Bo doktor, to nauka, to cywilizacyi wyraz — to wyraz wszystkiego do czego on nienależy, co mu jest obcym, przeciwnym, nieprzyjaznym — jemu, człowiekowi natury, słońca tylko, powietrza potrzebującemu.

Tego zaś pierwszego w Neapolu wieczora, napatrzywszy się na lazararonich śpiących, powieści słuchających i śpieszących do teatru, powiedziałam memu stangretowi, żeby mię zawiózł w miejsca gdzie piękny świat zwykł uczęszczać.

Stanęliśmy przed publicznym ogrodem.

Ogród ten, *Villa Reale* nazwany, należy do najpiękniejszych i najmiłszych. Brzegiem morza się ciągnąc, z jednej strony prześliczne przedstawia widoki, z drugiej żelazną kratą od najmłodniejszej ulicy, od ulicy *Chiaja* oddzielony, pokazuje ci wszystkich konnych elegantów, kabrioletowe i koczyczkowe elegantki, co wieczór tamtędy na spacer jadące; a tak z jednej strony malownicze obrazy, z drugiej ruch i życie, w środku cień, kwiaty, fontanny i marmurowe posągi, tworzą powabną przechadzkę, gdzie jak we Florencyi w *Bobolich* ogrodzie, lub w Rzymie na *Pincio*, niepotrzeba ciągle z góry na górę się wspinać, gdzie przyjemność nieokupiona niemiłym zmęczeniem. Pierwszy to za Alpami prawdziwie piękny i miły ogród poznałam. *Villa Borghese* lubo nie bez wdzięku, bardziej do angielskich zbliżając się parków, raczjéj dla pojazdów niż dla pieszych jest urządzona.

Przeszedłszy całą długość *Villa Reale*, znalazłam się u stóp góry *Pausilippo*. W tém miejscu brzeg między górą a morzem się zaokrągla, jakby w swe ramiona chciał całą objąć zatokę. Wzrok się opiera na przeciwnjéj części miasta, na porcie z jego tysiącem żagli, na wieży z latarnią morską, jako też na Wezuwiuszu i wszystkich u stóp jego ścielących się wioskach i miasteczkach.

Zachwycona tym nowym widokiem, stałam w zadumieniu, gdym usłyszała jakąś muzykę, tak nową, wesołą i uroczą, jak otaczająca mnie natura. Obróciłam do koła oczy by zobaczyć z kąd dochodzi, a wzniosłszy je na stromy bok góry, całkiem pokryty to ładnymi villami, to skromnymi w girlandy wina owitemi domkami, postrzegłam w środku jéj spadku ubogi kościółek, z dużym na dziedzińcu krzyżem, a na sypiącym się tego dziedzińca murku siedzących *muzykantów*. Był to młody chłopak ze skrzypcami, siwy starzec z mandoliną w ręku, i wieśniaczka z białą na głowie po włosku na ramiona spadającą chustką, brzękiem tamburina im towarzysząca.

Niewidziałam na co więcej patrzeć? czy na zwierciadlaną przestrzeń zjędz cudnemi ramami, czyli na tę wdzięczną, miłą się winietkę. Żałowałam iż jednej na płótno, drugiej do albumu przenieść nie mogę. To w jedną, to w drugą wzrok wlepiałam, pragnąc by mi się przynajmniej dobrze w duszy, w pamięci wyryły, by je dochować na te dni życia, gdzie oko będzie na długich płachtach piasku brodzić, a myśl na tej martwej rozwlekłszy się płaszczyźnie, zasnąć także będzie chciała.

Lecz i na to nie znalazłam czasu. Dwie młode i hoże dziewczyny, tak śmiałe jak każdy w chwili szczęścia, co myśli iż mu wszyscy przyjaciółmi, iż wszyscy gotowi wesołość jego podzielać, zaskoczyły powolne me kroki, mówiąc iż idą *tarantelle* tańcować, i zapraszają mnie na nią.

Domyślasz się że nie długo prosić się dałam. Kręte w skalistej górze wykute schodki doprowadziły nas na dziedziniec kościółka, i tam usiadłszy pod krzyżem na przeciw *orkiestry* o której ci mówiłam, przypatrywałam się tym narodowym skokom.

O cóż to za taniec! cóż to za muzyka jego!! co tam harmonji, wdzięku, zalotnej wesołości!! ile wyobraźni, ile myśli!!... o pod takim tylko niebem mógł się taki zrodzić taniec!.... (1).

Gdym powstała i odwróciła się do powrotu, jeszcze szerszy, jeszcze wspanialszy rozwinął się przedemną obraz. Morze zachodzącem zapłonię słońcem, w rubin zdawało się zmienione, a jego wyspy, skały i brzegi, krwawém także lecz jeszcze silniejszém jaśniały światłem.

Południowe słońce nie tak prozaicznie jak u nas z ziemią się żegna, horyzont opuszcza. Zorze nasze nieustępują włoskim; ale zachód słońca, ten ich *crepusculo*, na które nam brakuje nawet wyrazu, tysiące tworzy w oświetleniu i odbłasku czarownych zmian nieznanych nam kolorów.

W Neapolu stary jest zamek, niegdyś książąt siedlisko, teraz więzienie stanu. Na skale wśród morza rzucony, wąską ścieżką czy mostkiem połączony z lądem. Nazwany od kształtu swęj skały jajkiem (Castel-Uovo), prześlicznie swe sterczące bastiony w wodzie odbija. W chwili o której mówię, skutkiem słońca od blasku wydał mi się cały w ogniu; byłam

(1) Karol *Didier* tak mówi o *Tarantelli*. C'est une danse volcanique comme les émotions qu'elle exprime; c'est l'histoire d'une passion méridionale à tous ses âges dans toutes ses phases. Tout geste est une idée, toute pose un sentiment. La danse est d'abord contrainte, pudique, irrésolue, ravissant emblème des combats intimes d'un amour silencieux; puis quand la passion déborde et triomphe, la danse s'anime, s'empporte et passe de la timidité à l'audace. Pour apprécier ce poème dont l'amour est le héros et où on le voit naître, grandir, lutter, et vaincre, il faut le voir danser sous le ciel qui l'a inspiré, par le peuple qui l'a composé.

pewna iż postrzegłam pożar—pożar wpośród morza! Był to także widok do zachowania w pamięci, do objaśnienia wyobraźni, do obudzenia myśli.

Wsiadłszy znowu w pojazd, pojechaliśmy do bliższej tam a sławnej Posilippo grotty. Wejście tej czarnej pieczary, tysiącem bluszczu war-koczy na wszystkie umajone strony, głęboki wąwóz do niego wiodący, dwie wysokie skały ściany, piękną tworzą sprzeczność z otwartemi i pełnemi słońca Neapolu widokami. Z jednej strony w głazie wydrążona Matki Boskiej kapliczka z palącą się nad ołtarzem lampką, z drugiej Wirgiliusza grobowy pomnik, stary, mehem i wijącemi porosły roślinami, nie są bez wdzięku, a całkiem odmienny niż innych tam obrazów noszą charakter. Lecz sama grotta już nas teraz nie zadziwia, jak to naszych zadziwiała ojców. Długa, wysoka i szeroka, jest wprawdzie wielkiej wygo-dy, gdyż całą przedziurawiwszy górę, ułatwiła dwóch jój boków kommu-nikacją, ale każdy tunel, których kolejami żelaznemi jeżdżąc tyle się na-potyka, dokładne daje o tém podziemném przejściu wyobrażenie. Może ono tylko przekonać, jak często nasze terażniejsze *nowe* wynalazki, znane i już nawet zapomniane w dawnych wiekach były.

Z drugiej Posilippo strony, pokazano mi nowo teraz wykrytą w skale jaskinię, a gdy już pomrok padać zaczynał, kazałam do domu zwrócić.

Wieziono mię znowu przez *Chiąję*, *Stę Lucyją* i ulicę *Toledo*.

Na *Chiąji*, spotkałam cały elegancki świat. Była to właśnie spacerowa godzina. Cztery rzędy pojazdów goniły i mijaly się. Na pół leżące w nich pa-nie z piórami u kapelusów, dużemi powiewając się wachlarzami, witały się między sobą; a panicze konno wpośród pojazdów galopując podawali im kwiaty.

Na nadbrzeżu *S. Lucyi*, pojazdy ku *Toledo* tamtędy idące, stanąć musiały przed wystrzałami i fajerwerkami. Różnofarbne ognie i race na wszystkie spadały strony. Spytałam co to za święto, na jaką pa-miątkę te fajerwerki i wystrzały? Powiedziano mi iż żadnego święta nie-ma, że to się lud własnym kosztem bawi.

Neapol tak w siarękę bogaty, iż proch nie prawie nie kosztuje. Jak *z frukti de mare* i z wodą, tak wszędzie zobaczysz sklepiki z gotowe-mi już fajerwerkami. Uwiązują je tylko do kijów, do drabin i zapalają. Rzadki wieczór bez nich się obejdzie, a wystrzały cały dzień słychać. Neapolitanin jak bez swego morza, tak bez fajerwerków i strzałów hu-ku żyćby nie potrafił. Zakochani są też w swym Wezuwiuszu, co im także fajerwerki daje. Ciągłe w niego jak w oblicze kochanki patrzą, i na wszystkie malują strony.

Fajerwerki ustały: pojazdy ruszyły; ale nowego rodzaju ogień uwa-gę mą zwrócił. Było to coś dużego na ziemi pływającego, a wokoło

ognia, pełno chłopców całkiem, albo prawie bez żadnego odzienia przyszłe lazzaronich pokolenie, jak dzicy ludzie skakali i tysiące wyrabiali figlów.

Dowiedziałam się że to jest ofiara jakiegoś marynarza, który doznawszy na morzu nieszczęścia, pod Najświętszej Panny kościołem swą barękę w ofierze dla niej palił. I ofiara i sposób w jaki ją czyniono, po-gańskiego zdawała mi się pochodzenia.

O parę kroków od tego, dziwniejsze jeszcze przedstawiło mi się widowisko. Był to człowiek całkiem pokryty jakimś zwiniętymi jakby papiloty papierkami. Te duże papiloty do włosów, ramion i rąk poprzywiązywane i trzęsące się, były także przyrządzone fajerwerki.

Wkrótce wyszedł z kościoła ksiądz w stule, przeżegnał go i święconą pokropił wodą. Wówczas zapalono fajerwerki, a on cały w ogniu do morza wskakiwał.

Jest to publiczna za grzechy pokuta, za bardzo świętobliwą i przykładną tam uważana.

Między ulicą Ś. Łucyi a Toledo, rozlega się pałacowy plac (Largo del Palazo), z placem Ś. Karola łączący się. Z jednej strony królewski gmach swe długie i ciężkie wyciągnął ramie którym dotyka sławnego Ś. Karola teatru, z drugiej S. Franciszka kościół. Na wzór Pantheonu rzymskiego niedawno postawiony, z dwóch boków opiera się na kolumnadzie, która chce także niby watykańską przypominać. Te dwa naśladownictwa w jedną niezbyt zgrabnie połączone budowę, nie bardzo mogą surowych zadowolnić znawców. Jednak świątynia ta pełna marmurów, brązów i obrazów, bogactwy swemi na uwagę zasługuje. Dwa przed nią spiżowe na koniach posągi, Karola III i Ferdynanda I, pięknie plac zdobią, a wieczorem gdy nie widać gór ciężko nad kościołem leżących i gnio-tących go, gdy między każdą kolumną duża pali się gazowa lampa, cały ten plac wydaje się jakby piękna z jakiego melodramu dekoracya.

Nakoniec dostaliśmy się na Toledo! Ale wjechawszy stanąć musieliśmy, i tak co kilkanaście kroków ciągle stawaliśmy, bo za pojazdami i ludzi potokiem niepodobna było jechać.

Toledo jest to neapolitańskie *Corso*; jest to szeroka, prosta i pyszna ulica, daleko od rzymskiego *Corso* dłuższa, co wieczór suto gazem oświetlona, pełna elegancyi, pojazdów, ludzi, pełna hałasu i wesołości. Z dwóch końców dwoma pięknymi zakończona placami, z obu stron na paryzki zupełnie sposób urządzone magazyny i jak tamte oświetlone gazem, wabią zręcznie rozwieszonymi towarami; kawiarnie czyli cukiernie przez jednoszybowe długie swe okna także zapraszają do siebie, słowem, zdawało mi się, że m raptownie do Paryża przeniesioną została.

Kto lubi Paryż, na *Toledo* mile znajdzie i doskonale złudzenie. Dla mnie było już to nadmiarem tysięcznych dnia tego wrażeń. Już umysł niemógł ich ogarnąć, im wystarczyć. Czułam potrzebę spoczynku, bo i ciałem i duszą zmęczona byłam, a jeszcze bardziej duszą niż ciałem.

Niedojchawszy więc do połowy *Toledo*, kazałam w pierwszą boczną zwrócić ulicę, by co prędzej do hotelu się dostać, gdzie zamówione miałam mieszkanie, i łóżko gdzie spodziewałam się znaleźć spokój i spoczynek.

XII.

NEAPOLITANSKA NOC. — ŚPIEW LUDU. — CAPO DI MONTE. — VILLA LUCIA.—POWRÓT Z ODPUSTU.—CASTELLAMARE.—VICO.—SORRENTO.—CAPOUA. — CASERTA.



pać w Neapolu? — marne, niedorzeczne życzenie!!

Długi czas bębny lazzaronskich teatrów wszystkie inne głużyły odgłosy. Po północy zaczęłam sobie pochlebiać że ich końca doczekam. Ale zaledwo ten ustał hałas, zaczęły się koncerty. Niektóre z nich na blaszanych przedziurawionych kociołkach kawałkiem drzewa wykonywane, i słyszenia i widzenia godne. Niezbyt dla ucha harmonijne, zdawały się zupełnie z tychże czasów, z tego pokolenia, co ofiara marynarza łódkę przed ołtarzem Matki Boskiej pałaca.

Lecz jeżeli te instrumenta przypomniały iż Neapol nosi jeszcze pogańszczyzny pierwotne zarody, śpiew jego narodowy, ta *Neapolitanka* po całych powtarzana Włoszech, nie pozwoliła ani na chwilę zapomnieć iż Neapol jest muzyki ojezyczną.

Neapolitanka w muzyce jest tém, co tarantella między tańcami, co śródziemne morze między innymi morzami, co jego brzegi i niebo, między innymi ogrodami i sklepieniami świata. Jest to coś co żadnego nie znosi porównania, co zachwyca, unosi, raj przeczuwać daje, czemu się oprzeć nikt niema siły ni ochoty, a opisać i wyrazić niepodobieństwo.

O któżby mógł i chciał spać słuchając tych miękkich, tych ulotnych tonów, na pół tęsknych, to znów gdzieś w obłoki lecących, samą tęnących miłością słowami śpiewki wyrażoną, a tak doskonale z niebem, powietrzem, całą tam harmunizujących naturą.

Jak tarantellę na neapolitańskiej tylko ziemi widzieć trzeba, tak dla pojęcia całego Neapolitanki uroku, pod rodzinném niebem słyszeć ją należy, rodzinnemi śpiewaną piersiami.

Tych *canzonetów* cały jest zbiór. Śpiewki wiejskimi nazwane, *la Campagniola*, daleko bardziej tęskne, oniemal smutne, bardzo przypominają miły śpiew rossyjskiego ludu; lecz prawdziwa Neapolitanka, całkiem właściwą sobie i do niczego nie dającą się porównać nosi cechę. Co rok nowe do dawnych przybywają piosnki, ale nikt niewie kto je tworzy, kto je w świat rzuca, kto je popularyzuje. Zawsze jest tylko jedna lub dwie najulubieńszych które po wszystkich słyhać ulicach, które nie tylko dorośli, ale ośmioletnie chłopcy i dziewczyny na płotach i dachach śpiewają. Ta com ja znalazła, już od lat kilku w modzie tam była. Poprzednio także inną jeszcze śpiewano. Obie, a mianowicie ostatnia, niewypowiedzianie piękna, po całych Włoszech, aż do Alp muru doszła. Ale ją słysząc gdzieindziej niż w Neapolu, zamiast przyjemnego wspomnienia, gniewałam się tylko; tak jak widząc mazura przez baletniczki na teatrach w Rzymie i Wenecyi tańcowanego, odwracałam oczy. W przejściu właśnie minorowych najpiękniejszych tonów, gdzie żaden Neapolitanin jak gdyby dziś z konserwatorium wychodził, nigdy nie chybi, inni zwykle fałszują, tak jak południowe kroki fałszują mazurowy nasz akcent, i z pięknego (dla mnie przynajmniej) tańca, niezuośną robią karykaturę.

Pierwszej w Neapolu nocy (tak odmienniej od poprzedniej na okręcie przebytej!), śpiew ten ulotny, zbliżający się czasem pod same okna, potem oddalający się i ginący w przestrzeni, w ciągłym mię trzymał zachwyceniu, całodniowe marzenia mile kołysał, i nowym je osłaniał urokiem. Niepotrafiłabym ręczyć czy spałam, czy mi na jawie snuły się bezustannie magiczne Neapolu obrazy; pierwsze jego okazanie się zdumionemu oku, ognisty zachód słońca, tarantella, wezuwiusz, człowiek w ogniu skaczący w morze, czarnych lazzaronich grona, kalessino wczwał lecaące, złota lektyka i pogrzeb, paryzkie Toledo i t. d. Wiem tylko że gdy podniosłam do śniadania głowę, mocniej ją uczułam jeszcze niż dnia poprzedniego palającą, jakiś gorączkowy odmęt, niewyraźne lecz jakby iskrami osypane wyobrażenia w niej się krzyżowały. Domyślałam się iż po zbyt wesołej szampanem szumiącej uczcie, nie jeden z młodych paniczów takie miał przebudzenie.

Zadzwoiłam na oberżystę i oświadczyłam że mi niepodobna dłużej u niego pozostać, że mi potrzeba spokojniejszego schronienia.

Doradził żebym go w górnych częściach miasta szukała, bo od strony morza większej jak u niego cichości nie znajdę. Tam, jak mówił, całe gromadzi się życie.

Neapol na piętra jest podzielony: na spadku góry, rozesłany nad każdym domem drugi dom widać, lub odłam skały na której domy i pałace się wznoszą. Patrząc na nie bierze obawa żeby jeden drugiego nie przygniotł, i pojąć trudno, jak na podkopanym od wulkanów gruncie i przy częstych ziemi trzęsieniach, cały ten amfiteatr nie obalił się dotąd.

Między dolnemi a górnemi ulicami, małe ze schodami przecznice, ułatwiają pieszym komunikacyą. Pojazdy zaś szerokie muszą robić koła, by z jednych na drugie dostać się piętra.

Sprowadzona dla mnie dla zwiedzania tych spokojniejszych miasta części dorożka, rodzona z powierzchowności naszych warszawskich siostra, na godziny najęta, nie szczędziła czasu ni drogi. Widząc iż mi o mieszkanie chodzi, a miasta nieznam, zawiozła mnie właśnie w miejsca gdzie ich dostać nie można; zaczęła od *Capo di Monte*; ale pięknoscią drogi ujęta, łatwo mu to później przebaczyłam.

Capo di Monte, duża góra, głębokim od miasta odcięta wąwozem, cała jest okryta królewskim ogrodem, pałacem i przyległościami jego. Ogród obszerny i cienisty, częścią w rodzaju angielskim, częścią szpalerami podzielony, w niektórych miejscach rozległe na miasto przedstawia widoki; pałac bardziej duży niż piękny, ale nic piękniejszego jak droga prowadząca do niego.

W Neapolu gdzie na równość gruntu bynajmniej nie baczą, miasto tak na górach jak w parowach jednostajnie się ścięło. Wąwóz dzielący górę zamkową od téj na której miasto się położyło, także jest pełen domów, kościołów, ulic. Śmiały most przezeń rzucony potęga najwyższych kościołów kopuły, a nad domami wysoko się wznosi. Spuściwszy wzrok z nad poręczy jego, pojazdy i ludzie w ulicach dolnego miasta krążące, jak małe wydają się mrówki. Dziwne to i piękne robi wrażenie.

Genua niektóre familijne rysy z Neapolem mająca, także podobny most posiada. O nim też każdy tam zaraz słyszy. Pierwsza rzecz o jaką oberżowy cicerone pyta jest, kiedy chcesz by cię na most *Carignan* zaprowadził. O neapolitańskim nikt nie mówi, nikt go nie sławi. W ilości wszelkiego rodzaju pięknych przedmiotów jego, ten jak wiele innych ginie zapomniany.

Daléj, droga wéżem się na górę wspinając, prześliczny odkrywa krajobraz. Lecz przebywszy ją, i przekonawszy się iż nie tego wcale szukać pojechałam, jeszcze raz starałam się wytlómaczyć dorożkarzowi memu o co mi chodzi, a królewski Szwajcar słysząc tę rozmowę, doradził żebyśmy się na *Vomero* udali, i do *Villi Lucjé*, która pewno życzeniu memu odpowie.

Vomero jest pasmo gór nad prawą stroną zatoki wznoszących się. Łączą się one z wierzchołkiem *Posilippo*. Zagnieżdżone ogrodami i vilami, na wszystkie strony rozległe i piękne mają widoki.

Ale mi tak było pilno do *Villa Lucia*, która i z opowiadania Szwajcara i moje nosząc imię, dla mnie zdawała się przeznaczoną, iż wszystkie pomijając, kazałam co prędzej do niej śpieszyć. A jednak nie to w niej znalazłam czegom szukała! Szukałam cichego schronienia. Tam wprawdzie żaden uliczny nie dochodzi hałas, i prócz śpiewu ptaszków, szmeru liścia i wody nic nie słychać wcale, ale dla umysłu byłżeby tam spokój? Jakaż dusza choć na chwilę snu by tam dozwoliła?.....

Z ogrodu *Villa Reale* dobrze podniosłszy oczy, ujrzysz wysoko, na szczycie okrzewionéj góry ozdobny pałacyk, i piękny łuk mostu wpośród ogrodu rzucony. Jest to właśnie *Villa Lucia*, nad całą tą czarowną panującą okolicą. Z tamtąd już ją widząc, można się cokolwiek wdzięków jéj domyślać; ale nie: któżby się ich domyślił? Poeta chyba w chwili natchnienia raz w życiu może coś podobnego uroił, dla swéj Armidy tworząc idealne ogrody, nieznané światu obrazy. Do opiewania ich musiałyby używać eolskich arf tonów, lecz słów do tego śpiewu jakizby mu dostarczył język?

Mój zastygł przed tym widokiem, wpośród tych roskoszy jakich czułam że mu kosztować nie wolno; i nie spodziewaj się też ani pragnij, Antosiu, żebym ci je opisać próbowała. — „To nie dla śmiertelnych! o niemal z goryczą mimowolnie zawołałam, chyba na jakieś dni ich świąteczne, dla tych wybranych co je w życiu jeszcze liczą, co się jeszcze z życiem nie znają, co żyją omamieniem, miłością, obłudem, i w nim pozostać pragną.”

— „A któżby nie pragnął?... jakiś za mną z cicha ozwał się głos.”

— „Czy tu kto kiedy mieszkał, zapytał tam odźwiernego i do kogo to należy?”

— Należało to niegdyś, odpowiedział, do kochanki królewskiej, późniéj tajemnéj żony jego; ona tu czasem przemieszkiwała. Teraz jest własnością jéj synów, którzy wynajęć całą tę willę dali mi polecenie, i tu zaczął wszelkiemi sposoby namawiać mię na nią, do jéj widocznych tajemne jeszcze wyliczając wdzięki. Gdzież pani znajdziesz, mówił, ogród

tak obszerny, tak kwiecisty, tak w swych szczegółach urozmaicony? Tu i chłodne grotty spadającą wodą szumiące, i altany wpośród krzewów myrtu, róż i datur; i zielone równiny pomarańczowóm ocienione drzewem, i spadziste ścieżki lub wzgórze z szerokimi widokami. A to panorama co się z każdego postrzega okna i ganku, czyż panią nie pociąga? Masz pani pod nogami całą stolicę, Chiaja i Villa Reale, za nią morze, drugim brzegiem Golfu zamknięte, pysznym uwienzione Wezuwiuszem, który ją co wieczór swemi wybuchami zabawi. Na prawo Posylippo i wyspa Nizida. Dalej Baja i przylądek Miseny, przed którym piękne Ischji i Procidy wyspy odbijają się w morzu. Na lewo neapolitańska przystań okrętów pełna, i zamek starożytny, lubo nazwany nowym (Castel nuovo) pięknie się także na niebie kreśli. U stóp Wezuwiusza, Portici, Torre del Greco, Castellamare, ze swym portem, rozpiętymi także powiewa żaglami. Dalej nieco te bielące się domki, na boku gór i między niemi powieszane, co się w pomarańczowym kryją gaju, to Sorrento, ojczyzna poety naszego Tassa. Za nią miasteczko Massa i sławna wyspa Capri, gdzie pani zapewne pojedziesz lazurową oglądać grotkę, i złomy zamku Tyberyusza.

A samo Casino méj villi, mówił dalej odźwierny, czyż się pani nie podoba? Jego rzeźby, i miękkie jedwabne sofy?... Codzień bym jeszcze do tego kwiatami kazał je zdobić, i pewno byłoby tu jój przyjemnie.

— „O aż za nadto! odpowiedziałam. Dla mnie tu i powietrze za nadto myrtem przesiekłe, słońce i morze za nadto blasku mają. Wybacz pan, ale nie spróbuję nawet sof miękkich i powabnych, bobym może z nich nie powstała, takiego a coraz silniejszego doznaję głowy zawrótu.”

To mówiąc i jakby przed jakimi uciekając czarami, do pojazdu śpieszyć poczęłam, ale te czary których się lękałam jeszcze mię napotykały wszędzie, jeszcze za każdym wstrzymywały krokiem. Przebiegając śliczny ogrodowy most, co się tak ładnie z Villi Reale postrzegać daje, jakże nie było jeszcze raz na cały ten uroczy widokrąg obrócić wzroku? jedném ostatniém ogarnąć go spójrzeniem, zanurzyć oko w tém szafrowém zwierciadle co go powtarzało i nowém objaśniało światłem. A gdy oémiona spuściła się powieka, nowy ją czekał, nowy owionął urok. Pod mostkiem zielona dolina, jakby aksamitnym pokryta z darni kobiercem, jakiś spokój przelewała w duszę, a w głębi jój otwor cienistój jaskini tysiącem błuszczu gierland zasuty, zapraszał do spoczynku po tych złocistych i pysznych stolicy, morza i wulkanu obrazach.

Niepodobna się było téj nowój oprzeć ponce. Tuż przy mostku, laurami okrzewiona ścieżka, do tego lubieżnego zawiodła mię przybytku. Tam znużona przechadzką i słońcem, kołysana szmerem przez dolinę

płynącej wody pieniącego się nad brzegiem morza, szczebiotaniem w liściu igrającego ptaszka, owiana lekkim wietrzykiem co tysiąca kwiatów przynosił wonie, upadłam pod nadmiarem wrażeń, uczuć, uniesień, którym dusza wydostać nie mogła; a myśl jakby w słoneczny zmieniona promień, w przestrzeń gdzieś tam leciała, niewiedząc w którym zatrzyma się z tych tysiąca rajów jakie się przed nią wyraźnie snuły..... Gdy głos odźwiernego, którego obecności niedomyślałam się obudził mnie nagle.

— „A cóż, rzekł tryumfalnym tonem, czy nie mówiłem że tu się pani spodoba, że raz wszedłszy trudno się ztąd będzie wyrwać? Mogę jeszcze tu obok drugą podobną pokazać jój villę, równie piękną, równie rokoszną. Villa *Floridiana* była także własnością księżnej Florydy, tej małżonki króla do której i ta villa Lucia należała, a teraz do jój synów należy; ta lubo nie jest do wynajęcia, mógłbym otrzymać pozwolenie przechadzania się w niej, gdybyś pani tu mieszkając tego żądała.”

— „Jak to, zapytał towarzysz mój wycieczki, to właścicielka tego Eldorado była kochanką, żoną króla swego, i zwała się księżną *Florydy*? A musiała być do tego młodą, piękną, i całe życie tém oddychała neapolitańskiem powietrzem! O to za nadto! I cóż ona zrobiła na tym świecie by dostąpić tego niebiańskiego losu?”

Uśmiechnął się na to odźwierny, a wracając do głównego interessu, zaczął mi jeszcze w dodatku najpiękniejsze obiecywać owoce. Ale ja za wszystko podziękowałam; przyrzekłam dla zbycia na później odpowiedź, i co prędzej do pojazdu wskoczyłam, w nadziei iż w domu ochłonę z obłędu mego.

Wysiadając w bramie, spostrzegłam śpiesznie ubierające się dziewczęta; jak zwykle, na dworze jedna drugą stroiły. Zapytałam o przyczynę wykwinłej ich tualety; powiedziano mi że idą na spotkanie pielgrzymów, wracających z odpustu S. Maryi del Arco.

Jest to uroczystość całkiem narodowa, rzekł mój oberżysta, warto ją dziś widzieć, bo się tylko raz do roku trafia.

Poleciłam mu natychmiast zamówienie pojazdu. Wielka była wznalezeniu go trudność, wszystkie już prawie najęte były. Jednak nieco więcej dawszy niż należy, dostaliśmy w końcu, a wypocząwszy z rannych wycieczek, po obiedzie który nam się po rzymskiej kuchni zdawał królewskim, udaliśmy się na drogę Portici, którądy cała wracała processya.

Lecz źle to nazwałam processyą. Była to raczej karnawałowa maskarada, lub pogańska jakaś saturnalja, policyjną ręką w klubach terazniejszej przyzwoitości wstrzymmana.

Wyobraź sobie, Antosiu, więcej stu tysięcy obojęd płci ludności, pieszko, konno i w wozach, niby ubranęj i w dziwnych strojach, a jednak

bosój i na pół nagiój. U mężczyzn kapelusze słomiany, cały w pióra i kwiaty owity, a nogi wyżej kolan, ręce wyżej łokcia odsłonięte, na spalonej i nagiej piersi, różowy lub niebieski, tylko co ręką kochanki zawieszony błyszczący szkaplerz, a na ramieniu na długim kiju, między obrazkami Chrystusa i Matki Jego, wiszą stare buty, nadtluczony garnek, koszyk z obiadu reszta, chustka z szyi zdjęta, i długie *nanizanych* orzechów gierlandy. U kobiet także czasem kapelusze i reszta rynsztunku, świecideł tylko więcej i najdziwaczniejszych dodatków.

Wozy i kalessina, zielonemi gałęziami i chorągiewami z uwiązanych do kija chustek powiewają. Przed niemi, liczne grono chłopaków na piszczalkach i skrzypcach, dziewczęta na tamburynach i mandolinie (rodzaj gitary), słowem każdy na czém kto może tarantellę wygrywa, a jedna lub dwie par, w zielonych gierlandach na głowie, bosemi nogami tańczują, rzekłbyś Bachusa orszak.

Tuż koło tego tańczącego grona, lekkie wózeczki na wyścigi zapamiętane gonia, lub konno lazzarońscy lwy podobnie lecą. Wszystko to razem śpiewa, krzyczy, brzęczy, każdy jak najwięcej hałasu robi, bo to jest koniecznym wesołości warunkiem.

Ku wieczorowi droga do miasta wiodąca wypróżniać się poczęła, wrzawa odpustowa ucichła, lecz za to miejska, codzienna, jeszcze żwawsza niż poprzedniej nocy mi się wydała. Wróciwszy do domu ani jednej chwili oka zmrzyć nie zdołałam; a jednak wyznać muszę iż w tém bezsensnem marzeniu nie wszystko było przykrością! Przykrzejszemi może były uwagi jakie się nastęrczać poczęły, gdy przy świcie, przed poranną modlitwą, przyszło mi się z sobą obrachować i wiernie zdać ze swych wrażeń sprawę, gdy mi przyszło pogasić fosforyczne zbyt rozbujalój wyobraźni płomyki, i powikłane z dwóch poprzednich dni myśli do należytego przyprowadzić porządku, zimną je oblać wodą, by wróciły na zwykły na jedyny i właściwy sobie tor, ubiegłych lat srogim losu wskazany palcem.

To wszystko nie dla mnie!... taka była ostatnia obrachunku mego konkluzya—a po śniadaniu sucho zaleciłam oberżycie żeby mi wskazał miejsce, gdziebym mogła cicho i samotnie, według potrzeb méj duszy i usposobienia umysłu, lato lub część jego spędzić. Niepotrzeba mi, rzekłam, żadnych armidowych rajów, podobnych tym do jakich mię wczoraj zawieziono, pragnę tylko cieniu z jakim takim widokiem.

Oberżysta wymienił mi *Castellamare, Vico* i *Sorrento*, jako miejsca gdzie się najwięcej cudzoziemców na lato gromadzić zwykło, a które dla tego w potrzeby życia są zaopatrzone. W innych Neapolu okolicach trudno by się bez wielkiego zachodu wygodnie ulokować. W *Castela* i *Puzoli* możnaby także znaleźć gościnne mieszkania.

Do *Castellamare* idzie żelazna kolój. Należy ona do najpierwszych ja-kiemi się starożytny zrysował półwysep. Prócz tój co w Toskanji z *Liwurny* do *Pizy* prowadzi, w całych Włoszech w 1846 r. innój jeszcze nie było. Przeciągała się ona na drugą Neapolu stronę, przez Casertę do Paponi, a zamysłano aż do granicy stanów papieżkich ją przedłużyć. Lecz stary Grzegorz XVI, który miał zasadę i często powtarzał: *nihil in-novetur*, wzbraniał się ze swój strony z Rzymem ją połączyć. Uważał że-łazne koleje za najwyższą tegoczesnej cywilizacji potęgę, a tój nie we wszystkich sprzyjał punktach, oglądał się czy ją ma do siebie wpuścić, czy nią będzie mógł kierować wedle potrzeby ludu i kraju swego.

Przez godzinę biegąc zawsze brzegiem zatoki, ujrzałam się w *Castellamare*. Niebo było chmurne, morze szare, domyślać się tylko pięknych widoków można było. Są one w tymże rodzaju, mniej jednak rozległe, mniej zachwycające, niż z *Vomero*, *Posyippo*, *Villi Lucia* i innych Neapolu wysokich punktów.

Wysiadłszy przed jednym z licznych tamecznych hotelów, zmiarko-wałam od razu że to jest miejsce dla najwykwintniejszych elegantek i bo-gaczy przeznaczone. Tak mieszkania, ich utrzymanie, jak ceny, wszystko mi było tego dowodem.

Gdy przyrządzono śniadanie, w rodzaju perystylu, czyli raczej oszkło-nój i ukwieconój sali hotelu paryzkiego, usługujący chłopiec, chcąc mię namówić na pozostanie, zaczął mi najprzód wyliczać zalety uzdrawiają-cych kąpeli, tak siarczystych jak żelaznych i morskich, jakie tam ze wszech stron obcych wabia. Prócz chorych, mówił, dla samój *villagiatury* (1) pełno się tu gromadzi wielkiego państwa, bawią się jak najprzyjemniej, codzień bywają wieczory i bale, codzień spacerowe układają się partye na osłach, bo u nas ekwipażami dla wielkich gór jeździć nie można, ale za to widoki many pyszne, a góry okrzewione zastępują najpiękniejsze ogrody.

Wszystko to była dosłowna prawda. *Castallamare* piękne ma góry, z rozległemi jak tam wszędzie i ślicznemi widokami, a nadto słynie zdro-wém powietrzem. Król ma tam pałac nazwany *Quisisana* (tu zdrowie). Miejsce to w lato gromadzi wszystkich dla których towarzystwo nieo-dzownym życia warunkiem, którym w lecie nawet i kiedy sama natura odmawia wieczorów, jeszcze balów trzeba; słowem *Castellamare* jest to południowy *Carlsbad*.

Ja właśnie czego innego szukałam. Wszystkie zalety jakie mi hote-łowy chłopiec dla przywabienia wyliczył, właśnie mię odstreczyły, a na to

(1) Tak we Włoszech nazywają wiejskiego życia rozkosze, które Włosi znają tyl-ko z imienia.

coby mogło *Castellamare* uczynić w mych oczach bardziej zajmującym, niemógł mi dać żadnego objaśnienia, żadnych na me pytania odpowiedzi.

Castellamare wzniosło się bowiem na popiołach *Stabji*, téj siostry *Herkulanum* i *Pompei*. Mniemałam że jakie reszty miasta tego, z ziemi wydobyte zostały, że dotąd nad tém, jak w *Pompei*, pracują. Dowiedziałam się później iż od Karola III który był jakieś roboty w tym celu przedsięwziął, żaden z królów neapolitańskich łożyć na Stabję niechciał. Rząd terażniejszy wyłącznie wykopaniem *Pompei* się trudni, i co rok znaczną część tego zmarłego miasta światu wraca.

Nieznalazszy w *Castellamare* dość cichego schronienia, udałam się do *Vico*, a ztamtąd do *Sorrento*.

Vico jest mała miejscina, niemal wioseczka, na pół drogi między *Castellamare* a *Sorrento*. Mieszkań tam gościnnych nie wiele, wszystkie już zamówione na lato znalazłam. Obiecywano mi ich większy wybór w *Sorrento*, gdzie dla dość już znacznej odległości od Neapolu, mało kto chce zamieszkiwać. Tam miałam nadzieję znalezienia zupełnej samotności. Lękała mię tylko sława pięknego położenia miejsca tego. Wiedziałam już z doświadczenia jakie sprawiają skutki na nerwach i zdrowiu te urocze krajobrazy, całkiem do rzeczywistego nienależące świata, co nas mimowolnie porywają i w inne unoszą światy. Widziałam i lękałam się, ale myślałam sobie iż każda rzecz ma swą prawą i lewą stronę, iż niema w świecie słońca bez cieniu, niema miejsca gdzieby nie było zakąta, i ja też wróżyłam sobie, w *Sorrento* nawet, jakiś cienisty zakątek wynaleść.

Droga z *Castellamare* do *Sorrento* także słynie wdziękami swemi. Wpółśród brzegów neapolitańskiego morza, by otrzymać piękności sławę, trzeba niepospolitych do tego rysów. I wyznać też należy iż nic w porównaniu z tą drogą iść niemoże. Znajdziesz tam i złomy starych zamczysk na skale sterczące, co ci Renu brzegi przypomną, i długie wina festony z jednego na drugie drzewo miękko zarzucone, i dumne klasztory na wierzchołku góry panujące samotnie, i urwiska z pomiędzy których mineralne wytryskają źródła, a między tem wszystkim, tu skromną zagrodę, tam białą kapliczkę, tu piękny mostek, tam wiosieczkę z całym wiejskim a tak malowniczym orszakiem krów, owiec i innego bydła. Wszystkie te zaś to srogie to miłe obrazy, skąpane są śródziemnem morzem, tém morzem kapryśnym, swawolnym, niepojęcie pięknym, w którym się przegląda zalotny Neapol, i równie zalotne wyspy brzegów jego: *Ischia*, *Procida*, *Capri* i t. d.

Droga o której ci mówię wspaniała, i wygodne szose dopiero przed sześcią laty w skałę wykute, w półkole razem ze swą zatoką w około niej

się zwiija. Przed tą tak zbliżoną epoką, pojazdem do Sorrento nie można było się dostać. Rybacy w małych członkach morzem się puszczali (co jeszcze dotąd robią), a inni włościanie na mułach przez góry i manowce do Neapolu się przedzierałi. *Sorrento* przed sześcią laty ani uczęszczane ani znane nawet wyższemu światu nie było. Wiedziano tylko że w nim się Tasso zrodził i jakiś czas mieszkał, a widząc je na przeciw Neapolu, z drugieji zatoki strony, na spadku góry, wpośród pomarańczowych gajów, domyślano się że tam pięknie być musi.

Sorrento tak długo światu nieznanie, czyli raczej zapomniane, gdyż w starożytnych czasach miało i ono swe dni świetne, uderza jeszcze oko przybyłego swą, że tak powiem, niemowlęcą cywilizacyą. Tak z wierzchu jak wewnątrz, tak w fizyonomji domów i mieszkańców, jak w obyczajach i oświacie, daje się to postrzegać.

Ulice jego niedawno jeszcze nieznały pojazdów, i jak się zdaje, bynajmniej ich nieprzeczuwały. W jedneji, główneji, mogą one wyłącznie krążyć, i to w niektórych tylko jej częściach wyminąć się zdołają. Gdy dwa pojazdy się spotykają, co wprawdzie nie często się zdarza, jeden z nich musi, upatrzwszy nieco szersze miejsce, na bok zjechać i czekać zanim drugi przeminie. A pieszemu broń Boże na drodze tam się znaleźć! tém bardziej iż mają zwyczaj, jak w Rossyi, po trzy i cztery konie zaprzęgać obok. Inne zaś uliczki pieszo tylko lub na osłach przebywać można.

Dzień téj przejażdżki, chmurny i ulewnemi przerywany deszczami, nie dozwolił mi widzenia wszystkich zalet miejsca tego, tworzącego z téj strony ostatni kraniec neapolitańskiego królestwa. Droga tam się bowiem kończy. Już w *Sorrento* nawet ni pojazdowej ni listowej poczty niema. Do *Saternowskiego* księstwa i *Kalabrii*, niżej jeszcze w półwyspie od *Sorrento* leżących, drugą stroną Apeninów dostać się trzeba. Tu zaś, to pasmo gór, co jakby grzbiet ich przez całe ciągnie się Włochy, zamyka ten mały osobny cypelek, na przeciw Neapolu wpadający w morze, i nadający jego zatoce półkoliste kształty.

Po wąwozach tego górzystego cypelku, który jak uczeni dowodzą osobną był niegdyś wyspą, i tylko wulkanu kaprysem podczas jednego z jego wybuchów z lądem się połączył, położyło się śliczne miasteczko, rzekłbys jaskułcze gniazdo. Patrząc nań z boku wydaje się jakby się lękało tego morza, co na brzegi jego wskakuje, domy jego podmywa, jakby przeleknione do góry się tuliło, jakby schować się w ich łonie chciało.

Lecz miasteczko całego swego nie pokrywa przylądku. Resztę tego kraiku zowią tam *Plano* (1) *di Sorrento*. Ta dolina cała jest także za-

(1) *Plaine*—dolina.

siana mniejszemi i większemi domkami, a z tych niektóre od czasu *odkrycia* miejsca tego, od czasu co zostało przez swą szosę z resztą zamieszkanego świata połączone, a swém położeniem wabi, urządziły się w sposób gościnnych domów, to jest że na letnie miesiące można w nich znaleźć kilka niby umeblowanych pokoi, i ułatwienie pierwszych życia potrzeb.

W samém miasteczku, hotele nawet do pewnego stopnia wykwinności doszły. Hojność Anglików, tój szarańczy co wszystkie Włoch zakąty bezustannie napada, ta starożytnój Italji ostatnia plaga, co ją całkiem wyplenia (1), jakby tupnięciem nogi z pod ziemi je zrodziła i utrzymuje. Ceny ich są dla nich jedynie dostępne, i dziwną sprawiają sprzeczność z resztą sielskich tam zwyczajów, z prostotą ludu, z dzikością miejsca.

Ci co w lecie wspomnienia nawet miasta znieść nie mogą, od skwaru i kurzu ciasnych uliczek, wołą cień zielonego liścia, w domkach mniej wprawdzie wykwinnych niwy *sorrentowskiej* starają się umieścić. Ja kilka ich zwiedziwszy, obrałam sobie jeden, najbardziej, jak mi się zdawało, życzeniu memu odpowiadający, lecz chcąc zostawić sobie rozmysłu wolność, i czas do zwiedzenia innych jeszcze okolic, nic stanowczego nie zatwierdziłam.

Następnego ranka, niebo mniej było szare, powietrze bardziej przejrzyste, dalszych udzielało widoków, a ja korzystając z tego puściłam się w drugą Neapolu stronę.

Kolój żelazna, jak ci mówiłam, ciągnie się przez *Casertę* do *Capoui*.

W tém ostatniém mieście, od wieków słynném swemi historycznemi roskoszami, nie miałam zamiaru przebywania długo. Będąc już jednak na kolei doń wiodącej, wzięła mię ochota poznania tych sławnych jego powabów; chciało mi się zobaczyć jakiego to rodzaju były te ponęty którym starożytni bohaterowie oprzeć się nie umieli.

Ale jakież było zdziwienie moje gdy znalazła brudną i dość brzydką mięscinę, niezdolną pod żadnym względem przyjemnych sprawić wrażeń!

Po licznych pytaniach dowiedziałam się wkońcu, iż ta nowa Capoua, tak niegodna imienia swego, niezupełną jest swój sławnej poprzedniczki successorką. Na miejscu tamtój, o milę włoską odległój, wznosi się teraz

(1) Un Anglais en Italie m'a toujours paru un contresens — mówi P. Roger de Bauvois — aux yeux de Byron chacun sait que c'était plus; c'était un outrage.

Italie pittoresque p. 40.

wioska, *Sta Marja Maggiore* nazwana. Widać tam jeszcze reszty dużego i, jak domyślać się można, wspaniałego niegdyś amfiteatru. Sąsiednie wioski zachowały jeszcze swe dawne imiona Bellony, Herkulesa i tym podobne; lecz to jest wszystko co ze starożytnych czasów téj okolicy pozostało.

Wracając ztamtąd, dłużej nieco wstrzymałam się w Caserta, bardziej dla zwiedzenia pałacu i ogrodów królewskich, niż dla szukania mieszkania lub widzenia miejsca, które mi się mało podobało.

W Caserta największy i najpyszniejszy jest z królewskich pałaców. Założony przez Karola III, tegoż co Wersal architektury porządku, starano się, jak się zdaje, nadać mu niejaki z nim podobieństwo; i chociaż w Caserta widzimy cztery facyaty których Wersal nieposiada, nieżeł go jednak przypomina.

Główną tego ogromnego gmachu pięknnością są jego bogate wschody. Dość w życiu monarchicznych widziałam zamków, lecz w nich nic podobnego tym wschodom nienapotkałam. Surowy i klassyczny artysta da zapewne watykańskim pierwszeństwo; ale każdy przyzna że jeśli tante dla artystów stworzone, te niezawodnie dla królewskich przeznaczone kroków.

Do widzenia wnętrza tego pałacu trzeba się zaopatrzyć w urzędowe pozwolenie. Ktoby jednak o tém przepomniał mało powinien żałować. Prócz wschodów i kończącej je sieni, nic tam bardzo zadziwiającego nie ma; chyba to tylko po co na tak małe królestwo i dość skromny dwór, tak ogromne gmachy i tak ich wielka ilość, iż nawet umebłowanemi należyćie być niemogą.

Wybór miejsca płaskiego i całkiem prozaicznego, wpośród takiego zbytku wdzięków natury jak je Neapol posiada, także mógłby sprawiedliwie zadziwiać. Zakładać wielkim kosztem ogrody, tam gdzie cały kraj najpiękniejszym ogrodem, tworzyć dzieła sztuki, tam gdzie dusza na piękności i dziwy dzieł przyrody wystarczyć nie może, zbyt drogim może się wydać kaprysem.

W ogrodach *Caserta*, prócz piękności niektórych drzew, podziwiają najwięcej wodociągi prowadzone przez mil tamecznych 27. Dostarczają one wody wielkiej kaskadzie, główną piękność ogrodu stanowiącej, a która i mnie wydałaby się bardzo piękną, gdyby nie była sztuczną.

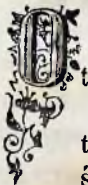
Za pałacowym ogrodem zaczyna się tegoż imienia miasteczko. Prócz fabryk materyj jedwabnych, dość podrzędnego gatunku, nic

o nim do powiedzenia niema. Przebiegając jego ulice podobne do ulic wszystkich terazniejszych miasteczek, najmniejszej nie uczułam ochoty przepędzenia w nich tam lata. Wróciłam do Neapolu z wychłodzonym nieco umysłem tą całodziennego życia prozą, i z podwójnym do *Sorrento* pociągiem.

III

XIII.

SORRENTO.—CAPRI.—LAZUROWA GROTTA.—NEAPOLITAŃSKI DYALEKT.



tóż już jestem w *Sorrento*!

Obok mego pokoju mam duży ganek czyli wystawę, zwykle tam łożą zwaną, częścią dachem, częścią rozpiętym winem, częścią niebem tylko pokrytą. Ale niebo znów się czarnymi powlekło chmury, gęste i szare tworzy mi sklepienie, a połączone z równie gęstą mgłą morską, grubą firanką wszystkie zasłania nieznane mi jeszcze widoki.

Mieszkańcy tutejsi dziwią się tak częstym roku tego deszczom, uważają je za rzecz nadzwyczajną; ale się o urodzaje nie troszczą, głodu nie lękają, bo to u nich nieznana kłeska! Oni się niedomyślają nawet że są kraje, gdzie każdy wstając zrana, wznosi pełne obawy ku niebu oczy, mniej dla zaniesienia swęj wdzięczności hołdu, jak dla zapytania najprzód co z jego jasnego lub chmurnego oblicza ma sobie wróżyć? Czy jaki słońca łaskawy promień zapewni całoroczny byt dla dzieci i zagrody, czyli niemiłosierna chmura zniszczy wszystkich nadzieje, lub zbyt skwarne lato spali je i głód za sobą przyniesie? Tam czy skwar, czy deszcze, grunt o tém niewie, i zawsze równe nosi plony, bez odpoczynku, bez wielkiego zachodu.

Tu na jednym zagonie marchew swe złote z ziemi pokazuje łono, obok niej na drugim groch się krzewi, zieleni, kwitnie. Tylko co wyrwali marchew, zrównali grunt cokolwiek, i inne rzucili weń ziarno, to natychmiast wschodzi i wzrasta; tymczasem groch już dojrzwały swe opuchłe zwiesza strączki, a wpośród niego wysoka kokoceła (1) silną lodygę na sąsiednie zarzuciła drzewo, szerokim okryła go liściem i swe ogórki długie jakby herkulesowe maczugi na słońce wystawia.

A gdyby i tego wszystkiego zabrakło, czyż kasztany, pinie, figi, pomarańcze, cytryny nie ciskają im ciągle pod nogi swych pożywnych owoców? Czyż morze nie dostarcza tych tysiąca muszli i skorupiek, tych tak ulubionych tam *frutti di mare*?

I cóż z tego?... Myśliszże iż w tym rajy gdzie i niebo i ziemia, gdzie wszystko człowiekowi sprzyja, pieści go i obdarza, nędza i łzy nieznane?... bynajmniej. Nigdzie nie ujrysz tyle błagalnych rąk, nie usłyszysz tyle skarg i na los wyrzekań; czemu? bo człowiek nie do roskoszy na tę posłany ziemię, bo rokosz go psuje, do lenistwa zachęca i do tysiąca podnieca błędów. Biada mu, biada, konieczną tu mistrzynią.

Ale już mi więcej tego niepowtarzaj *czemu? dla czego?* bo te słowa także zdają się na umęczenie człowieka stworzone. Pytania bez odpowiedzi, nierozwiązane nigdy problemata, pocóż powstają w naszym niedoleżnym umyśle? po co tłoczą, czy niepotrzebnie rozdymają naszą ciasną duszę?

Oto i w chwili kiedy siadłam pisać do ciebie, chmura co horyzont mój zaciemniała, pękła nademną, burza się zerwała, wiatr drzewami miotał, morze ryczało.... Cała natura trzęsła się, drżała.... Teraz już wszystko ucichło, wszystko do porządku, do spokoju wróciło. Niebo swemi krociami brylantów błyszczy, morze je odbija, słowik wrócił pod liścia zasłonę i tysiące trelów w powietrze sięje, kwiat pomarańczy przesyca je wonią. Każdy żywiol swą dopełnia zadaną tu pracę, każdy do tego koncertu świata, do tej ogólnej harmonji swe dodaje pień, niepytając *czemu? Dla czego?..* A człowiek?.. burzy się, targa, wstrząsa swemi więzy jakby je mógł zerwać; pod uczuciem własnej niemocy upadnie na chwilę, zwiesi upokorzone czoło, lecz natychmiast na nowo je podnosi, patrzy, pyta, żąda, pragnie.... Wszystko nadaremnie!.... A wszystko marną dla niego nauką. Czyż po nawałnicy po-

(1) Rodzaj tykwy który tam dla ludu do głównych należy pożywienia przedmiotów.

wstanie kiedy prawdziwa w jego duszy cisza? Czyż dzisiejsza troska na wczorajszą nie wkroczyła, czyż jutrzejsza dzisiejszej da ucichnąć?... ach! żeby wówczas sam siebie zapytał poco i naco!

Wszakże przed stu laty i nas i kłopotów naszych nie było, a wszystko szło jak teraz idzie; za sto lat ślad nasz zniknie, o troskach nikt wiedzieć nie będzie, a nic się w ogólnym porządku nie zmieni. Pocóż siebie tak wysoko cenić, i robić z tego *ja* centrum świata, słońce około którego wszystko się ma koniecznie obracać? Czemu raz głęboko nie pojąc żeśny jedną z bimilionowych strón téj ogromnej świata arfy, która gdy się i zerwie, nic w jéj odwiecznej harmonji nie odmieni? Czemu raz to pojawiaszy, nie śpiewać ciągle jak ten słowik co niewiedząc o tém koncerta daje, lub jak w kielichu lilji zwinięty robaczek, śpi sobie nie pytając co mu jutro przyniesie. O czemu? czemu!!

Czemu lubieżne śpiewy neapolitańskiego ludu spać mi nie dały, a teraz jego niebo, morze, księżyc i gwiazdy ten uroczysty spokój co całą ogarnia w téj chwili naturę, jeszcze mnie obudzoną trzyma, i jakby nowym przemawia do mnie językiem?

Zdawaćby się powinno że umysł grobowym przysypany prochem, jego skrzepłym dotknięty palcem, że serce w którém wszystko złamane, zniszczone, w którém wszystkie zagasiły uroki i nadzieje, powinnyby z taką ciszą harmonizować najlepiej, jéj spokojem własny spokoic bezład. Ale gdzież tam! Kiedyż ten świat nasycił niepohamowane czołwieka żądze, kiedyż uspokoił jego ciągle i zawsze zawichrzoną duszę? Czyż jest na to wiek lub sprzyjające okoliczności?

W piętnastym roku marzy szczęście bez skazy, miłość bez końca, przyjaciół bez zawiści, bez zdrady. Później chce majątku, żąda znaczenia, pragnie sławy. Jedno go zawiodło, drugie osiągnął.... a nie nie uśmierzyło palącego wewnątrz pragnienia.

Już kochanie w duszy zmarło, w przyjaciół się niewierzy, już się wszystko na prawdziwą przeważyło szalę, żadne błyskotki świata pochlebiać nie mogą, a jednak spokój nie wstąpił, spać jak ostrzyga śpi na dnie morza niepodobna! Jeszcze westchnienie jakby grobową deskę zimną pierś podnosi, a tém boleśniej że to westchnienie już nikogo, już nie w świecie nie szuka!

Otóż widzisz, że bieda, że boleść koniecznym tutaj warunkiem, nieodłączna towarzyska naszéj tu pielgrzymki. O! niema kraju, nieba, niema takiego stanowiska gdzieby ona nie trafiła, nie dosięgła. I nie zawsze ten najnieszczęśliwszy co się codzień troskać musi czy mu deszcz czy słońce na jego zagon padnie: o nie! komu głód dokucza, łtościwa ręka grosz mu rzuci i pocieszyc; ale któż taki pocieszający grosz rzuci

Biedakowi co na miękkiej sofie już wszystkie zużył rokosze, nowych pragnie, błaga, a znaleźć nie może! Jakaż ręka poda mu napój do ugaszania tego pragnienia co go pożera i niszczy? Zkąd je weźmie? jakim sposobem nowy smak mu nada? Lub ten który nie całkiem zapomniał swych niebiańskich marzeń, a co krok o rzeczywisty świat trącać się musi; trącać się, ranić, kaleczyć? Albo jeszcze taki którego żądza wiedzy ogarnęła, co ciągle bada, kołaczę, pyta? a tu im głębiej wzrok w około siebie zapuszcza, tém szersze przed nim ścielą się tajemnice.....

O nigdy nieponawiaj, Antosiu, tego *czemu? dla czego?* Pamiętaj że to są słowa złym duchem matce naszej Ewie podszeptane, że z ich przyczyny raj utraciła, i ona co je wymówiła, i ten co ich słuchał. Wykreślmy je na zawsze, a zamiast pytania i wiedzenia, starajmy się owszem zapomnieć. Zapomnieniem pokryjmy i wiarołomne serca i świat z całą jego przewrotnością, zapomnijmy o innych a jeśli można o sobie. Korzmy się i nienarzekajmy, a patrząc uwielbiamy tylko. Wówczas może jeśli nie osiągniem, zbliżym się przynajmniej do tego spokoju co już nieco tchnie rajem, do tego uczucia co jego przedsnakiem nazwać by można.

Już czwarta na kościelnym wybiła zegarze, zorza wszystkie zarumieniła brzegi, a słońce jakby z rannej kąpieli, z morza pokazywać się poczyna. O cóż to za obraz jego promienie oświetliły przedemną!

Na prawo Wezuwiusz ze swemi dymu zwojami, na lewo w morzu sterczy sina skała. To wyspa Caprea. A za morzem na przeciw méj łoży, cały Neapol na zieloném usłany wzgórze, z poważną cytadellą na szczycie.

Przejrzystość powietrza tak każdy przedmiot do oka zbliża, iż się zdaje że mocno cisnąwszy jabłko, w Neapol by trafiło; a jednak cała szerokość Golfu moją villę od niego dzieli, i marynarzom trzeba pięć godzin dobrego wiatru do przebycia téj przestrzeni.

W oddaleniu pinji bukiety na wierzchołku wysokich pniów połączwszy szerokie swe parasole, tworzą jakby na palach osadzone ogrody, a bliżej sad, pomarańczowóm i cytrynowóm drzewem, granatami i laurami wypełniony, moje zacisze od drogi i od Golfu dzieli. Lecz tę drogę dalej nieco widzę jak się z góry ku niwie méj spuszcza, widzę nawet jakiś wóz ciężki, śpieszący zapewne dla uprzedzenia upału. Oto już się schował za kościołkiem, o piętnaście kroków od méj bramy, od wysadzanej ulicy do domu prowadzącej, bo villa Auriema (tak się moje zowie schronienie) w głębi okrzewionego dziedzińca się schowała. O jakże tu pięknie! jak świeżo po téj burzy wczorajszej! jak powietrze pełne kwiatu, woni, jak łagodne! jak rokoszą przesiękłe! O czemuż

nie przybieżysz, Antosiu, choć jedną chwilę niém odetchnąć, poznać się, zakosztować go, zanim ci ostatni włos posiwieje na głowie, ostatnia struna przestanie grać w sercu!

Po śniadaniu jeżeli morze całkiem się uciszy, mamy płynąć do Kapri, dla zwiedzenia lazurówj grotty. Widziałam ją tylko malowaną. Ani z tych obrazów, ani z opisów żadnego sobie wyobrażenia o tym natury kaprysie zrobić nie mogę.

Capri jest prócz tego sławne rezydencją cesarza Tyberjusza, który chcąc utrudzić przystęp do siebie, nie tylko gwardyami, ale morzem żądał być jeszcze otoczony.

Wyspa Capri, jakby od brzegów Sorrento oderwana skała, podług mniemań wielu uczonych, Wezuwiusza siłą od stałego lądu odłączoną została, a może kiedyś tą samą a bezustannie działającą siłą, na nowo z nim połączoną będzie.

Dla nas takie rodzenie i znikanie całych pasm gór i lądu, zdaje się rzeczą cudowną, niepojętą, straszliwą. Tam na tyle patrzą ciągle cudów, iż nic nie zadziwia ani lęka. Najlepszym tego dowodem miasteczka i wioski, co mając codziennie przed oczami Pompei szkielet, i same kilkakrotnie zasypywane wulkanu popiołem, na nowo tuż pod jego stopami, na témże samém miejscu się wznoszą. Mieścina *Torre del Grecco*, już siedm razy tego doznała losu. Śmiesznie też wygląda teraz. Jedne z jój domów, na wierzchu dawnych wgłębi ziemi osiadłych, wymurowane o kilka sążni są wyżj od tych, których właściciele dali sobie prace z pod popiołu odkopać, a które teraz z głębokich jam, jak ruiny rzymskiego Forum, na świat patrzą.

Co zaś do tych lądów, niespodzianie na powierzchni kuli naszej wyskakujących, jak będziesz zwiedzał okolice Neapolu, pokażą ci jezioro *Lucrino*, sławne niegdj ostrygami swemi. Lecz gdy ranku jednego posłano tam na ich połów, zamiast jeziora znaleziono górę!

Zadziwiający ten wypadek miał miejsce w 1538 roku. Góra ta do tąd Monte Nuovo zwana, istotnie w przeciągu jednj nocy się zrodziła; a lubo jest niezawodnie z wulkanicznego pochodzenia, żadnych ognistych oznak nie daje. Trzy czwarte tylko przestrzeni jeziora całkiem pochłoneła, i dotychczas w jednostajnych zostaje wymiarach i kształcie.

Nie tak się dzieje z wyspami które dość często na powierzchni morza wyskoczą i znów znikają. Jedna z nich jednak przed kilku laty tak długo trwała, iż zaczęto w stałość jój wierzyć. Znaczna jój objętość jak i punkt na którym się okazała, zwróciły żeglarskich narodów uwagę. Anglja zaczęła się lękać, iżby wzniesiona tam twierdza nie rzuciła cza-sem cieniu na Malte i jój w tój stronie handlu, i chciała sobie ją przy-

właszczyć. Neapol zaś uważając ją za swą poddaną, rozpoczął o to process.

Opowiadają także iż dwoje kochanków, uciekwszy przed srogością rodziców, niechających na ich związek zezwolić, tam się schroniło. Przekupiony marynarz, lub może życzliwy i przywiązany sługa, tajemnie co dni kilka wszelkich im potrzeb życia dostarczał. Tam na tój dziewiczej ziemi cały im miodowy upłynął miesiąc. W końcu zachcieli już na stary świat wrócić, by błagać przebaczenia rodziców. Poruczyli swemu powiernikowi ułatwienie zamiaru tego, jakoż dnia następnego poczciwy marynarz wszelkie poczyniwszy przygotowania, najwygodniejsze wybrał czółno i zwykłą puścił się drogą. Lecz daremnie ich i wyspy szukał, wszystko było znikło!... Wyspa ta trwała więcéj lat dwóch.

Nieby zatem niebyło nadzwyczajnego, gdyby i pięknego Sorrento tak kiedy już niezaleziono! Wielka, ogromna byłaby szkoda! a jednak wpatrzywszy się w jego położenie i rodzaj gruntu, łatwo dać wiarę twierdzeniu starożytnych, jakoby to była wyspa, wulkanicznym tylko wyskokiem ze stałym połączona lądem.

Tegoczesny pisarz *Pellicia*, w swych filozoficzno-histerycznych poszukiwaniach nad tą Apeninów gałęzią co się tam wyciąga, toż podziela zdanie. Mówi że za czasów Homera morze jeszcze tę półwyspę całkiem pokrywało, a sam jój ostatni ząb, tworzył wyspę którą wieszcz grecki zowie w swym poemacie *Eeę*, gdzie mieszkanie wieszczki Cyrciei umieścił. *Pellicia* wszystkie miejsca w greckiej epepei wymienione, między *Sorrento* a *Castellamare* wynajduje, i dość dobrze ich tożsamość dowodzi. Inni zaś mieszczą tam pięknych syren odczynę; mówią że nazwisko *Sorrento* od nich początek wzięło. Dotąd jednak istnieje wysępka, syren wyspą nazwana, lecz ta bliżéj jeszcze *Amalfi* i *Salerno* niż *Sorrento* leży.

Jakkolwiekby, to wszystkie wyszukiwanie niezwykłego początku dla tego świata kątka, ta chęć otoczenia kolebki jego uroczą jakąś tęczą, może być dla tych co go nie znają dowodem, ile on wdzięków ile nadprzyrodzonych powabów posiada. W nowo wyszłej z druku broszurze pana Franciszka *Atvino*, pod tytułem *la penisola di Sorrento*, autor temi zaczyna słowy: „Sorrento e il paradiso dell'Europa; si direbbe essere stato prescelto per modelo di bellezza da Colui, il cui dito lascia incancellabili tracce del sua potere.” (Sorrento jest Europy rajem. Moznaby mniemać że było utworzone na wzór piękności przez Tego, który zarazem zostawił tam ślad swój zachwycającej potęgi.)

O zniknięcie *Capri* mniéj się lękać można. Jest to ogromna i jak się zdaje gruntownie osadzona bryła. Niewiem jakichby trzeba morza

wałów, lub jak silnego ziemi wstrząśnienia, żeby ją polknąć zdołało. Na tej skale, w pośród dość ubogiej wegetacji z aloesów, fig indyjskich i zwyczajnych głównie złożonej, dwie usiadły wioski, jedna na dole, druga na jej wierzchołku. Jedna się zowie *Capri*, druga *Anna Capri*. Obie wzajemną tchną do siebie zawiścią, niecierpią się, rywalizują i w ciągłej są wojnie — o co? dość by to trudno odgadnąć. Na skale za krańcami Europy, w pośród morza rzuconej, gdzie się już zatarły ślady dawnej wielkości, pychy i cywilizacji świata, a nowa nie zawitała jeszcze, i jak się zdaje nie prędko zawita, żeby znaleźć zawiści powody, trzeba mieć niezawodnie szczególnie do tego usposobienie.

Wyspa *Capri* żadnej niezna drogi. Gdy się wylądjuje na żwirowy brzeg wioski, gdzie wyżej kostek w okrągłych kamyczkach noga grzęźnie, trzeba nająć muły, lub pieszo przebyć nieskończonej długości w kamieniu wykute schodki, gzyzakiem do *Anna Capri* prowadzące. Tam dowiedziawszy się iż nic do widzenia niema, dalszą podobnie drogą przybywa się do zwalisk Tyberjusza pałacu.

Ruina ta dość ma jeszcze piękną postać. Boki jej w niektórych częściach dość wysoko sterczą, a dwa pokoje, czyli raczej miejsca gdzie niegdyś były pokoje, są jeszcze mozaikową zasłane podłogą. Dziwić się należy iż dotychczas ujęć zdołały łupieżczą Anglików ręki, tém bardziej, iż mi mówiono, że jeden z nich przyjechawszy na kilka godzin, tak sobie tam upodobał, iż przez pięć lat bawił. Słyszałam już i od innych ten do *Capri* pociąg, ale wyznaję że go, mianowicie obok Sorrento, nierozumiem, równie jak i imperatora rzymskiego wyboru.

Pokazują tam jeszcze reszty łaźni jego, i drogę którą zjeżdżał do swój floty, zawsze z rozpiętymi skrzydły jego czekającej rozkazów; kamieniem wysłane widać jeszcze na niej powozu koleje; musiała być niegdyś wspaniała i piękna.

O wieluż tę przebywało drogę z bijącym gwałtownie sercem, w nadziei łaskawego lub w obawie srogiego spójrzenia Pana świata! A teraz chwa- stem porosła, żaby i chrzabąszcze skaczą tylko sobie swobodnie po niej.

Co zaś do architektury i innych ozdób, tych już żadnego nie znajdziesz śladu. Musiały się częściowo podrywane do Anglii przenieść, jak się tam przenoszą powoli (źle mówię *powoli* ba aż nadto spiesznie!), wszystkie pokaleczone, pogruchotane pięknej Italji klejnoty. A ludzie co się podobnej dopuszczają zbrodni, co popsuwszy szacowny jakoby bytek, głośno swą opowiadający przeszłość, estetyczny w około siebie rzucający promień, przywożą kawał zimnego i w swym ułamku niemó-

wiącego gruzu, mniemają być starożytności lubownikami! głoszą się projektorami kunsztów!!

O! rzecz niezaprzeczone, iż żeglugę parową do plag włoskich policzyć można. Kto w starym tym świecie wzdycha za kolejami żelaznymi, ten go nierozumie, nie kocha, ten niech podróżuje z komissantem paryżkim (commis voyageur), żeby mu weseliej było, bo niezawodnie z nudy zachoruje, umrze (1).

Do starożytnych cesarskiego pałacu złomów, przytuliła się teraz świeża kapliczka. Na jego i z jego powstała gruzów, zdaje się tam wznieśiona dla odkupienia rozpusty i zbrodni, jakich te cegły świadkami były. Pilnujący ją samotnik, mnich czy pielgrzym, poda ci świeżych fig, pomarańczy, wina, słowem co tylko skała jego dostarcza, i księgę do wpisania imienia twego.

Niezbyt daleko od ruiny postawiono telegraf, dalej pokazują jeszcze jakieś gruzy które zowią zamkiem Fryderyka Barbarossy, lubo historia o jego tam bytności wcale nie wspomina; a jeszcze wyżej znajdziesz górę *Solaro*, z której nie tylko na całą Neapolu zatokę i wszystkie jej wyspy, ale na całe Włochy, szeroki i pyszny rozciąga się widok. Z dobrym wzrokiem lub za pomocą lunety, można z jednej strony brzegi Sycylii z Etny szczytem, z drugiej Sardynji i Korsyki dojrzeć. Obraz ten już nieraz nad wszystkie inne Włoch obrazy przysądzoną miał sobie palmę. Co do mnie, niepoważę się mieć w tej mierze głosu. W błogich tych krainach tyle jest co rok cudownych piękności, iż jedna émi drugą, że ostatnia zawsze się najpiękniejszą wydaje, a dla mnie ostatniemi były Villa Lucia i Sorrento. Jeszcze je w pamięci, w duszy nosiłam, i dla tego mniej się może capryjskim zachwycalam widokiem.

Co do jej lazurowej grotty, rzecz się ma inaczej. Żadne porównanie szkodzić jej nie może, bo świat nic do porównania z nią nie posiada; żadne wspomnienie, bo nie podobnego w naturze się nie widziało! Są to czary neapolitańskiemu wyłącznie znane niebu, i jako czary podziwiać każdy je musi, nierozumiejąc ich wcale i niepytając czemu? dla czego?

Gdyśmy się do brzegów skalistej wyspy zbliżali, szafir wody coraz ciemniejszym się nam wydawał; w końcu już prawie był czarny. Po-

(1) *Valery*, autor wielu podróży włoskich, który jeszcze nie przeczuwał wagonowej dla Włoch kłeski, tak się o parowej żegludze wyraża: „L'immense développement de la navigation à vapeur, nous paraît, appliqué à l'Italie, devoir entraîner de graves inconveniens, surtout pour les artistes, et contribuer à leur faire infiniment moins bien connaître ce pays, que l'ancienne manière de voyager. Depuis la navigation à vapeur, l'Italie, beaucoup plus visitée, est bien moins connue—on y arrive, on n'y voyage plus. Curiosités Italiennes. page 334.

wiedziano nam iż to nie chwilowe dziwactwo kapryśnego morza, lecz że prócz burzy zawsze tam jest tój barwy. Ciekawość nasza tém już obudzona, radziła prosto do grotty pośpieszyć, ale marynarze znaleźli godzinę jeszcze niewłaściwą, dowodzili że dla dobrego jój oświetlenia, trzeba południa doczekać, a z rannego chłodu korzystać do zwiedzenia górzystej wyspy części, co nieprzeszkodziło żeśmy o mało nie splonęli całkiem.

Wróciwszy z górnej wycieczki, którą ci tu pokrótce skreśliłam, pilno nam było do lazurowej zajrzeć pieczary, już choćby tylko dla ochłodzenia się jój cieniem. Znaleźliśmy dla nas przyrządzone łódki, tak małe, tak ciasne, jakby dla dzieci. Po dwoje kazano nam na samém dnie się umieścić, i dobrze uchylić głowę, by się przy wejściu nieroztrąciła o skałę.

Domyślasz się iż takie położenie, bynajmniej do żadnego miłego nie przysposabiało nas wrażenia. Ale za to gdyśmy się w pieczarę wśliznęli, gdy nam pozwolono podnieść głowę, jakże ono wszelkie nasze przeszło spodziewanie! Patrzyliśmy na dół, w górę i na wszystkie strony, a wszystko lazurowym zdawało się przesiękłe płynem, wszystko najpiękniejszym powlekle się szafirem. Ręce nasze lazurowe daremnie lazurową chustką usiłowały zetrzeć z czoła tę ogólną barwę, daremnie je w lazurowej maczaliśmy wodzie, nic nie pomagało: trzeba było przystać na tę metamorfozę, na tę raczej w szafir petryfikacją.

Trudno ci dać wyobrażenie, bo mi samój trudno było zdać sobie sprawę ze szczególnego wrażenia, jakie mi widok grotty tój sprawił. Zdało mi się w pierwszej omamienia chwili, że się czy ziemia pod nami, czyśmy na nią przewrócili; że pływamy w obłokach a ziemia nad głowami nam cięży. I jak tam będziesz, to moje mniemanie bynajmniej ci się dziwném nie wyda. Całe bowiem oświetlenie z dołu tam pada. Tak szafirowa i tak przejrzysta woda jak Neapolu niebo, prawie wyłącznie je udziela. Otwór grotty, niski i ciasny, mało się do tego przyczynia, a sklepienie tworzy skała, bryłowata, szara, zupełnie ziemi nosząca pozór.

W głębi pieczary są jakby rodzaje niszy do mniejszych prowadzące jaskiń, gdzie wylądować na chwilę można. Tym co się tam kąpią służą one za toaletowe gabinety. Lecz nam odradzono długo tam przebywać. Morze niemile swawolić zaczynało, lękano się burzy, a wtenczas lazurowy ten przybytek, w srogie i niebezpieczne zamienia się więzienie. Morze w zburzeniu wejście najprzód zalewa tak, że go przebyć niepodobna, a gdy się bardzo wzniesie, całą grottę aż do sklepienia napełnia.... już tam nie jeden tak skończył.

Chcąc niechcąc trzeba więc nam było chłodną i uroczą opuścić jaskinię, a wystawić się na potoki słońca, puścić się na pomarszczone i wcale już nie swobodne morze. Zmiana ta bynajmniej przyjemną mi nie była. Wkrótce wiatr zaczął łodzią naszą miotać. Połowa towarzysztwa naszego, a w téjże liczbie i ja, coraz bardziej cierpieć poczęliśmy, morskiej ulegać chorobie. Morze co chwila mocniej szumiało, pryskało, białemi pokrywało się bałwankami, które wskakiwały na nasz biedny statek, a on się całkiem na jeden bok pokładał. Marynarze nasi nie taili już swęj obawy, zwinięty żagiel rozpinali, w rozmaitych go nastawiali kierunkach, i znów go zwijali. Mnie zaś przychodził na myśl koniec przyjaciół Byrona, o którym ci w Pizie opowiadałam. Niezawodną to jest prawdą, iż niema nic niebezpieczniejszego jak taka mała przejażdżka w małej łódce. My niewiem jakim szczęśliwym trafem mieliśmy sześciu wioślarzy; ale czołna zwykle na tę capryjską używane wycieczkę, gotowe już w Sorrento na nią czekające, miewają zwykle po czterech. Gdybyśmy byli takie wybrali, byłoby po nas.

Po długiej godzinie takiej choroby i trwogi, zaczęliśmy nieco łagodniejsze postrzegać fale. Siłą i zręcznością marynarze nasi zdołali wyprowadzić nas z najgorszego przejścia, z największego wiru. Każde morze a śródziemne więcej niż inne, ma takie miejsca gdzie nigdy całkiem spokojne nie jest, a inne gdzie jakby spało. Powoli też i wiatr uciszać się począł, a majtkowie z radośnemi oznaki ręczyli, iż niczego już niemamy się do lękania. W końcu żagiel z tryumfem rozpięli, a sami wyciągnawszy się po pracy na dnie łodzi, to przyspiewywali sobie, to drzymając rozmawiali.

Niemogąc jeszcze dla zawrotu głowy niczém się rozerwać ani patrzeć na morze, po raz pierwszy wówczas zaczęłam z uwagą przysłuchiwać się dyalektowi neapolitańskiemu. Sorrentański różni się nieco od niego; ale ci dwaj majtkowie którzy najgłośniej i najzważniej mówili, właśnie byli z Neapolu.

Między tak licznemi włoskiej mowy zmianami, iżby się jój w każdym miejscu na nowo uczyć potrzeba, wenecki dyalekt ogólnie jest za najśłodszy uważany. Wenecyanie każdy spieszczają i zmiękczejają wyraz, jak u nas dzieci kiedy się na to niezważa. Naprzykład: zamiast *bello* (piękne) mówią *bejjo*. Zamiast Venezia, które w brzmieniu robi tak jak u nas *Wenecja*, bo z jak *c* się wymawia, oni mówią Venesia. Ten nadmiar zmiękczenia wielu się podoba. Co do mego ucha najpiękniejszą jest mowa rzymska. W literaturze puryści do florenckiej starają się stosować, to jest do takiej jak ją wykształciła akademia *della Crusca*, ciągle i głównie nad językiem pracująca. Mimo to, niespójrzawszy

nawet na pierwszą stronicę, można czytając książkę, odgadnąć gdzie pisaną była. Nie tylko w brzmieniu wyrazów i ich pisowni, ale w znaczeniu postrzegać się dają zmiany, prowincjalizmy, których przez nawyknienie, rzadko który autor uniknąć zdoła.

Całe północne Włochy aż do Florencyi francuzczyzną są zarażone; Piemont mianowicie, więcej ma prawie słów francuzkich, cokolwiek tylko zwłoszczonych, niż czysto włoskich. Tam zamiast *dimenticare* (zapomnieć), mówią i piszą *obliare*, i pełno tym podobnych słów które niewiadomo do jakiego przysądzić języka. Piemontczyk Alfieri mówił że we Florencyi dopiero nauczył się po włosku, a Silvio Pellico, mimo usiłowań, tak zfrancuziały ma styl i język, iż go Włochy się wyrzekają. Każdy też nauczyciel języka włoskiego gdy do cudzoziemca przychodzi, niezawodnie na pierwszą lekcją przynosi Pellica dzieła; a uczący się, jeśli po francuzku umie, uszczęśliwiony że od razu rozumie i tłumaczy, mniema że tak każdą włoską książkę będzie mu łatwo rozumieć. Ale niech weźmie Manzonięgo.

Neapolitański zaś dialekt zrodził się z połączenia dawnego greckiego z włoskim językiem, gdyż, jak ci wiadomo, przez długi czas Grecya tam swe niegdyś szerzyła panowanie, i miała swe osady. Mówią że dotąd ten starożytny pierwiastek w nim się czuć daje, co ja ci tylko powtarzam, niemogąc ani sprawdzić ani zatwierdzić. Po grecku nie umiem, a lubo ośm miesięcy w Neapolu bawiłam, i nieraz przez ciekawość zwiedzałam teatru, gdzie neapolitańska mowa wyłącznie używana, nigdy zrozumieć jej nie mogłam. Szczęściem że tam ręce więcej niż język gadają.

W ogólności język włoski dla obcego ucha, przeciwne zupełnie od innych języków sprawia wrażenie. Angielski, niemiecki i inne, wtenczas dopiero zaczynają się podobać, gdy je się rozumie; włoski przeciwnie: im mniej go się rozumie, tém on się słodszy, śpiewniejszy wydaje.

Neapolitański w tym względzie nie różni się od rzymskiego, ale ma pełno zdwojonych głosek, które więcej sprężystości, więcej mu nadają dobitności. Naprzykład, imię swęj stolicy tak wymawiają jakby podwójne miało *N*, mówiąc *Nnapoli*, *mmamorata* (zakochana), zamiast *inamorata*, *nmanze* (zewnątrz), zamiast *nianze*. Za to gdzie tylko jest brzmienie jakie się przez *dz* u nas oddaje, oni na *nie nia* przerabiają. *Angelo*, (Anioł) w Rzymie i Florencyi wymawiają jakby *Andżelo*, a w Neapolu *Anielo*. *Mangiamo* (jedzmy), w Rzymie wymawiają *mandżiamo*, a w Neapolu *maniamo*. *Mondo* (świat) jest u nich *Munno*. Literę *r* także dość często wyrzucają.

Neapol długi czas nieznał innego języka. Alfons Arragoński do oficjalnej korespondencji go używał, w mowach publicznych i do spraw krajowych innego mieć niechciał. Pod hiszpańską dopiero dynastją zaczął upadać. Neapolitanie zachowali imię ziomka co pierwszy przełożył toskańską nad ojczystą mową. Był to kardynał Serapino, który jakąś mając do Bruxelli missyą, skaleczonym Florencyi językiem ją wykladał.

Dante z wielką pochwałą mówi o neapolitańskim dyalekcie; uważa go za pełen poezyi w duchu a harmonji w brzmieniu, co jak twierdzą ci którzy go rozumieją, dotąd jeszcze się dochowuje. Metastazio lubo Rzymianin i najczyściejszą celujący pisownią, bardzo także go ceni, a Boccacio jakąś powieść w formie listów do przyjaciela swego, Alexandra Bardi, po neapolitańsku napisał.

Poezye w tym dyalekcie bardzo są liczne. Zbiór ich w 1789 roku wydany, wynosił tomów 28, a gdy ta edycja wyczerpaną została, nowa niezbyt dawno z pod prassy wyszła. Iljada, Odyssea, Eneida, i Jerozolima wyzwolona, na neapolitański język są przełożone. To ostatnie tłumaczenie najbardziej cenione, wyższej szlachcie krajowej ofiarowane, wyszło z druku w 1689 r. z całym ówczesnym zbytkiem.

Młody Mikołaj Lombardi bardzo niedawno wydał pełen gracyi, lubo na śmieszném dnie osnuty poemat, nazwany *Arragliato*; ale między temi wszystkimi poezyami pierwsze miejsce powinny trzymać te śliczne piosnki, te neapolitanki, co Bóg wie skąd się biorą, a zaraz powtarzane, na całe rozchodzą się Włochy. Mówią że więźnie, mianowicie ci co za długi pokutują, są ich autorami.

Neapolitański lud tak lubi śpiewać, że każdy rzemieślnik co rano pyta sąsiada, jaka dziś jest nowa piosnka, a usłyszawszy, już jój nie zapomni. Ta którą za mych czasów śpiewano, lubo niezłe ma strofy, jednak bardziej muzyką niż słowami w sercu mi utkwiła, bo też śpiew jój cudny. Lecz jój poprzedniczka tak się wyrażała.

Che bella cosa è de morire acciso
Nuanze a la porta de la unamorata,
L'anema se ne saglie mparadiso,
E lo cuorpo lo chiagne la scasata.
(O jakże pięknie umrzeć zabitym
Przed drzwiami kochanki,
Dusza ulatuje do raju,
A nad ciałem płacze opuszczona.)

XIV.

TORQUATO TASSO.

Przybiliśmy w końcu do brzegu, i wylądowaliśmy..... gdzie? w domu *Tassa*.

Torquato Tasso, ten pierwszy chrześcijaństwa śpiewak, urodził się w Sorrento. Jednak dom nazwiskiem jego uczczony, a teraz zmieniony w oberżę, nie jest ten w którym on dzień ujrzał; tamtego już tylko miejsce na wzgórzu ci pokażą. W tym zaś, wróciwszy z *Ferrary*, z dworskich najprzód odpoczywał roskoszy, później od srogięgo więzienia.

Dom ten całkiem teraz kąpie się w morzu, które go podmywa, część już jego porwało i codziennie głębsze pod nim robi sobie piwnice, dziurawi i rozprzestrzenia grotty. Za *Tassa* czasów nie tak być musiało. Morze odtąd widać dawne swe pokryło brzegi, czego dowodem tam w sąsiedztwie mozaikowa podłoga, w pogodne dni przez jego przejrzyste wyglądająca fale. Wydobyto z tamąd także kilka szacownych kolumn, do katedry sorrentowskiej przeniesionych. Wnoszą iż to muszą być reszty jakiej starożytniej świątyni, nad której pierwotnym przezuaczeniem daremnie czyniono poszukiwania.

Sorrento posiada nieco dalej także wspaniałej świątyni złomy, których początek podobnaż czasu zasłoną się pokrył, dowodząc tylko dawną miejsca tego powagę.

Chcąc wylądować do *Tassa* domu, trzeba pod jego fundamenta wpląnąć, a dopiero kamiennymi schodkami na powierzchnię ziemi się dostawszy, do jego wejść sieni. Większa część domu tego już istotnie na morzu stoi. Pamiątek poety już tam żadnych niema. W pokoju schludnym i dość na Sorrento pięknym, znaleźliśmy przyrządzony stół do obiadu, któryśmy sobie dnia poprzedniego obstalowali. Obiad sto razy był lepszy od tych jakimi w Rzymie nas karmiono, a rozmowa przebiegłszy świeżo widziane *capryjskie* ruiny i czary, zwróciła się naturalnie na *Tassa*.

Każdy znakomity człowiek ulega mniej więcej obmowie zawiścią zrodzoną; z niej rozmaite o nim się tworzą wieści, bajki, zdania, w końcu już tylko krzyżujące się wnioski, domysły i spory. Przebiegając nie jedną już z takich biografii, liczne mieliśmy tego przykłady, ale tak okrutnego jak w życiu nieszczęśliwego napotykałyśmy *Tassa*, rzadko znaleźć można.

Nie tak dawno od naszych czasów, bo w 1595 roku zmarły, ze sporów jakie się o nim toczyły, możnaby mniemać iż w pierwszym ery naszej żył roku. Jedni go chcą mieć waryatem, drudzy dowodzą że nim nigdy nie był, trzeci, że udawał obłąkanie, inni że nie udając bynajmniej, przyjął tylko (nie wiem czemu) tę rolę na siebie, to jest że się na nią zgadzał. Ci utrzymują że nigdy więziony nie był, tamci że jęczał w kajdanach; a przed kilką laty żwawe się wszczęły między włoskimi literatami rozprawy o przyczynę więzienia jego. Profesor Rosini, pizański poeta, wierny powołaniu swemu, utrzymywał ogólnie upowszechnione mniemanie, iż nierozsądną miłością je sobie otworzył; florencki zaś margrabia, Kajetan Capponi, dowodził że *Tasso* został zamknięty w skutek intryg Scypiona Gązagi, usiłując wyrwać go od usług Alfonsa, na Ferrarze księcia, by do medycejskiego przywiązać dworu. Opierał to zdanie na nowo, jak mówił, w wykrytych w Toskanji dokumentach, i ofiarował przeciwnikowi swemu zakład o sto sekinów na korzyść ubogich. Sprawa ta, dziwną koleją, została przed instytut francuzki wytoczona, następnie do Turynu, Modeny i Medyolanu odsyłana, nie-rozwiazana zmarła.

Obrońca miłosnego systematu, znalazł później żwawszego jeszcze i dość gburowatego przeciwnika w panu Cavedoni, bibliotekarzu modeńskiego księgozbioru. W końcu hrabia rzymski, Mariano Alberti, ogłosił w Luce, w 1837 r. peryodyczne in-folio z rycinami dzieło, pod tytułem,

Manoscritti inediti di Torquato Tasso, ed altri pregevoli documenti.

Lecz gdy po szóstym poszycie, zaczęto cień powątpiewania na autentyczność tych *pregevoli documenti* (szacownych dokumentów) rzucać, wydawca mimo licznych prenumeratorów zamilkł. Inny się za to znalazł, który jakby dalszy ciąg prowadząc lukańskiego wydania, w Neapolu swe wytłacza. W niem wrócono po części do zdania Rosiniego i wielu innych, iż Tasso w miłości życie pędził, ale dano jej bezwstydną rozciągłość. Nie jedną bowiem, ale aż trzy przypisują tam mu Leonory, i jakby jakiegoś Lovelasa go przedstawić usiłują; całe zaś dzieło rozwiązłemi okraszono rycinami, i mało też ma czytelników, mniej jeszcze sławy.

Odrzuciwszy z uwagą wszystko co stronnictwem trąci w dziełach życie i pisma Torquata rozbierających (1), a najprzód tę swawolną teraz mu przypisywaną rozwiązłość, tak mało do niego podobną, zdaje się iż charakter poety od najmłodszych lat do exaltacji skłonny, następnie przymusem dworskiego życia, złośliwością dworzan, później upokorzeniem, nędzą i rozlicznemi dręczony przeciwnościami, doprowadził go do rodzaju umysłowej choroby, jakiej w późniejszych czasach Rousseau we Francyi, a w Anglii Cowper dali nam przykłady.

Zrodziwszy się w połowie XVI wieku (w 1544 roku), w epoce największej dekadencji swęj ojczyzny, rzucony w świat sromotném nacechowany zepsuciem, wzniosła jego dusza nigdzie współczucia znaleźć nie mogła! Myśli jego, zdania i uczucia wszędzie odpychane, same w koło siebie krążąc, zrodziły w końcu tę nienawiść, te wyrzekania za obłąkanie uważane, a które być może bardzo się doń zbliżały. Na domiar boleści, ukochany swój poemat, nieśmiertelną Jerozolimę Wyzwoloną, gdzie swe niezrozumiane uczucia wieszczym wytłómaczył głosem, gdzie najpiękniejszy przedmiot, najpiękniejszymi opiewał tony, w niwecz obrócony ujrzał! Prócz intryg i zawistnych krytyk, akademja della Crusca uznała go niegodnym między poemata być policzonym! Dziecinne nawet lata jego, boleścią się naznaczyły. Słowem, ten człowiek co tyle rzucił na swój kraj, na wiek swój sławy, wzrosł, żył i umarł w smutku i niedoli.

Cóżby dziwnego było żeby nawet bez pośrednictwa miłości, wybujały ten umysł zgiał się pod tak ciężkiem brzemieniem? Jakoż, dziwić by się nie można, gdyby ulegając namiętności, zwodniczym jej promieniem rozjaśnił czasem czarne swe marzenia. Jednego tylko przypuszczenia niepodobna zrobić, to jest tych trzech Leonor, i innych w niektórych jego biografjach wyliczanych miłostek, tego lowlasostwa jakim chciano

(1) Quinquene—Manso—Serassi i Zuccalo najobszerniej lecz nie zawsze bezstronnie o Tassie pisali.

rzucić cień na jego sławę, zapominając iż taki jak *Tasso* człowiek, z innej zupełnie strony powinien być sądzony.

Ojciec jego, Bernard *Tasso*, z dobrego domu i niezłego mienia, był także znakomitym poetą. Gdyby sława syna go niezaćmiła, więcej by o nim słyszano.

Ożeniony i osiedlony w Sorrento, niewiem jaką koleją stracił majątek i przysłał na dwór księcia Salerny. Tam w niełasce popadłszy, wygnany został.

Torquato liczył wówczas lat dziewięć. Pozbawiony matki, bo ojciec na wygnanie zabrać jej niechciał, pod tém ochmurzoném wygnańca niebem, po raz pierwszy zaczął na ludzi spoglądać. Niedostatek i lzy w rodzicielskim domu, za domem zimny egoizm lub dumne politowanie, takie były pierwszjéj jego młodości towarzysze, nauki, zabawy.

W 1569 roku stracił swego ubóstwianego ojca, matki także już nie miał, pozostał sam, bez opieki ni pomocy, wpośród tego zmysłowością wyzębionego świata, który już w nim wtenczas więcej obawy, oniemiał wstrętu niż współczucia i ufności obudzał.

Biedny i smutny umyślił na wzór wielu swych naówczas współziomków szukać losu we Francyi, gdzie królowała jeszcze pod firmą syna, Katarzyna *Medicis*. Dowiedziawszy się iż kardynał Ludwik *d'Est*, krewny księcia *Ferrary*, ma być posłany przez papieża Grzegorza XIII do Karola IX, wszelkich przyłożył starań do otrzymania w téj ambasadzie jakiegobądź miejsca.

W Paryżu Katarzyna mile powitała poetę—rodaka, i portretem swym go obdarzyła. Król Karol znany z żywjéj do poezyi skłonności i sam wierszopis także, chciał jakieś mu jak mówią świadczyć łaski (1); ale *Torquato* niestworzony na dworzanina, niebiegły w pochlebiania sztuce, niezręczny w naprowadzaniu okoliczności i korzystaniu z nich, nic z tego nie zyskał. Pan jego, kardynał *d'Est*, obok niesłychanej w tém poselstwie i szeroko głoszonej wystawności, niemusiał być także bardzo szczodrym dla niego. Rzecz niezawodna iż *Tasso* w Paryżu wielkiéj do-

(1) Książd de Charnes, na dowód szacunku i poważania Karola IX dla *Torquata Tassa*, następujący opowiada wypadek:

Jakiś poeta dość dobrej sławy, został skazany na śmierć. *Tasso* przyrzekł wstać się za nim, lecz wchodząc już do królewskich komnat, dowiedział się że dekret podpisany. Nie tracąc jednak nadziei, gdy król go zapytał o przyczynę posłuchania o które prosił: „Przybyłem, odpowie poeta, błagać Waszjéj Królewskijéj Mości żebyś jak najrychleji kazał stracić jednego z mych kolegów, który oczywistym stał się dowodem jak się łatwo zapominają wszystkie filozoficzne nauki i zasady—co za największą zbrodnię poczytać mu należy.” Król uderzony tą uwagą, i sposobem w jaki *Tasso* prośbę swą przedstawiał, dekret odwołać kazał.

znał biedy, a *Brantôme* pisząc o jego tam niedostatku mówi, iż czasem musiał na życie talara u znajomych pożyczyć. W końcu kardynał niezbyt jak się zdaje ze swego dworzanina kontent, który gorliwością swych katolickich zdań i uczuć, wielu możnych panów sobie naraził, pod pozorem jakiejś missyi, odesłał go ze swym sekretarzem do Rzymu.

Tasso przywiózł z Francyi wcale niepoehlebne wrażenia. Niemiły szum religijnych sporów, które wkrótce potem rzeź Sgo Bartłomieja (la St. Barthelemy), sprowadziły, nieprzyjazne zostawiły w nim wspomnienia. We dwadzieścia lat potem, wieszczym a nawet można mówić proroczym je wznowił głosem. W swój Jeruzolimie opisując Francją jaka będzie gdy się rozstanie z wiarą, zdaje się zupełnie przepowiadać jój rewolucyą i śmierć Ludwika XVI. Oto są te wiersze:

La Francia adorna or da natura e d' arte
 Squallida allor vedrassi in manto negro;
 Nè d'empio oltraggio inviolata parte
 Nè loco dal furor rimaso integro;
 Vedova la corona, afflite e sparte
 Le sue fortune, e l' regno oppresso ed egro;
 E di stirpe real percosso e tronco
 Il più bel ramo, e fulminato il tronco (1).

Za powrotem do Rzymu *Tasso* został powołany na dwór Alfonsa II do Ferrary. W późniejszej korespondencyi ze Scypionem Gązagą (którą czytamy w zbiorze dzieł jego pod tytułem *il Nuovo Discorso*), opisuje jak go tam czule przyjęto, że został pomieszczony w książęcym zamku, zaszczyt jakiego *Ariosto* nigdy był nie otrzymał. Do stołu księcia także siadał, towarzyszył na polowanie, i często mu wiersze swe czytywał, które wiele otrzymywały pochwał. A najwięcej doznał względów od Lu-krecyi, siostry Alfonsa, zaślubionej urbińskiemu księciu *de la Rovère*. Była to jedna z najznakomitszych czasu swego kobiet. Ujęta melancholją i ubóstwem *Tassa*, w młodym jego talencie postrzegając geniuszu zarody, przyjaźnią i protekcyą go swą zaszczycała.

Torquato był jeszcze tylko swego *Rinalda* ogłosił. W tym bohaterskim poemacie daje się już przeczuwać owa pełna wdzięku harmonja, jaką Jeruzolima w najwyższym stopniu celuje. Naówczas zaś, na Ferraryjskim dworze, przedstawił swą dramatyczną elegją, *Aminta* nazwaną, gdzie dziwne połączenie sentymentalnego platonizmu z lubieżną czułością,

(1) Francya ozdobna dziś naturą i kunsztem, ujrzy się wówczas w czarnym płaszczu. Żadna jej strona od zniewag nie zostanie wolną, żadne miejsce od wściekłości. Wdową będzie korona, rozproszą się majątki, złamie się najpiękniejsza gałąź tej królewskiej lodygi, a sam pień piorunem zostanie spalony.

da ci już przeczuć duszę chorobliwą, nadludzkich upragnioną rokoszy, ziemskich i niebiańskich żądz pełną, sięgającą w nieznanne przestrzenie.

W tej epoce Tasso najgorliwiej zaczął pracować nad swą epopeą, i częściami udzielał ją znajomym, literackim ówczesnym powagom. Lecz ich zdania często dziwaczne, rady dowodzące ich niedołęztwo, brak pojęcia, do najwyższego stopnia drażniły, prawie go oburzały.

Więcej znajdował współczucia i uwielbienia na pokojach siostr księcia, gdzie wieczorami ustępy swęj Jerozolimy czytywał. Księżna Urbińska, Lukrecya, od pierwszego poznania, jak mówiliśmy, talent jego cenić umiała, ale bardziej się jeszcze nad nim unosiła Leonora.

Poważna, słabego zdrowia i ku melancholji skłonna, co w wśród tego szalonego i rozwiązłego dworu mogło się rzeczą fenomenalną wydawać, Leonora obudziła wkrótce tę nierozsądną w poecie miłość, tyle głoszoną, tak sławną. Czy to uczucie było podzielane? — zostaje to dla nas pytaniem. Żadne ze strony Tassa niedyskretne zeznanie, żadna jego pochwałka, ze strony zaś księżniczki żadne przeciw przyzwoitości wykroczenie, nie może iść tym domysłem w pomoc, chyba to iż Leonora, stale wszelkich odmawiała partyi, i zamąż pójść nie chciała.

Od księcia, Tasso ciągłych doznawał przychylności dowodów. Gdy zaważowała geometryi i astronomji katedra, Alfons jemu ją oddał, z pensją roczną 150 liwów *marchese*, co wynosiło około 200 złp. W nominacyi na to miejsce jest wyrażono, iż doktor-professor *Torquato Tasso*, będzie wykładał Sferę i Euklidesa. Lecz te nauki bywając tylko co niedziela, bynajmniej jego literackiemu zajęciu nie przeszkadzały.

Razu jednego zacheiało mu się rodzinnego zakosztować z *Posilippo* wina, i w ładnym sonecie swą prośbę Alfonsowi przedstawił. Książę posłał mu natychmiast assygnacyą na nie, także w dwóch ją wyrażając wierszach:

„Una botte di vin sia dato al Tasso,
Bera, scriva, riposi, e vada a spasso. (1)

Mimo to wszystko życie dworskie, pełne przymusu, zawiści, gwaru i intryg (2), wcale mu niesprzyjało, coraz mu uciążliwszém było. Codzienne bale i maskarady, jakiemi książęce Włoch dwory na wyścigi między sobą celować pragnęły, wstręt w nim obudzając, bardziej jeszcze ku melancholji skłaniały. Nie był to jednak ten człowiek, niemiecką czułością owioniony, jak go w swym dramacie przedstawia Goethe. Miał

(1) Niech miara wina daną będzie Tassie, niech pije, pisze, spoczywa i chodzi na spacer.

(2) Alfons II wszelkich przykładał usiłowań, intryg używał do osiągnięcia korony polskiej.

on wesołości chwile; chwalił się nią, jak się zwykle ludzie chwalić lubią przymiotami których nie posiadają; w jednym ze swych listów, mówi o swęj junakerji, i o niestałości w miłosnych uczuciach. Ale tak te wesołości wyskoki jak i chwalenie się niemi, były tylko chwilową przerwą coraz głębiej ogarniającego smutku.

W takim stanie rzeczy, przyboczny sekretarz księcia, kilka piastujący urzędów, umarł. Tasso jednego z nich, to jest historiografa zażądał. Lecz już to uczynił jedynie w nadziei odmownej odpowiedzi, z której chciał korzystać dla zerwania z ferrarejskim dworem.

Inaczej się jednak stało niż on wróżył sobie. Książę i tém go obdarzył jeszcze, a on przy dworze pozostać musiał.

Tymczasem codzienne przewrotności przykłady, coraz w nim większą budziły do świata odrazę; duma dworzan, ich zazdrość i podstępny coraz mu się nieznośniejszemi stawały; a codzien lepiej poznając ludzi, codzien mniej dla nich miał szacunku i ufności. Zdawało mu się iż każdy mu skrytym nieprzyjacielem, że każdy zazdrości mu talentu, sławy, a najbardziej łask pańskich, że na jego honor czyha. Przyszło w końcu do tego, iż znajdując się na pokojach księżnej Lukrecyi, 17 Czerwca 1755 roku, w jej przytomności uderzył jednego z jej dworzan, dowodząc iż on miał zamiar mu uchybienia.

Wypadek ten wiele u dworu wzniecił sarkau. Książę zamiast kary o jaką się dopominano, chcąc to uważać za zbytek chorobliwej drażliwości, wywiózł go do pięknej swęj villi, *Belriguardo*, w nadziei iż wiejska cisza wpośród pięknej natury, ulgę mu przyniesie. Polecil jednak OO. Franciszkanom pieczę i nadzór chorego.

Lecz Tasso coraz bardziej podejrzliwością ogarniany, i to ze zięj sobie wytlómaczył strony. Zaczal wyrzekać iż niu bez woli jego rozrządzają, jakby swą własnością, jakby jaką rzeczą; a dopilnowawszy pomyslną swemu zamiarowi chwilę, rzucil na plecy owczarski płaszcz, na oczy takiz nasunął kapelusz, wziął kij do ręki, i tak przebrany, bez grosza w kieszeni, potajemnie *Belriguardo* opuścił.

Po długiej podróży, obdarty jak żebrak, wycieńczony fatygą i głodem, przyszedł do Sorrento, gdzie mu się radośnie drzwi siostry jego Kornelji otwarly. Tam dziecinne powitaly go wspomnienia, i ta poetyczna przyroda co w nim zrodzila a przynajmniej podniosła wszystkie duszy jego poezye, co mu była siostrą jeżeli nie matką.

Mile te wrażenia, obok swobody familijnego życia, najpożądańsze dla takiego jak Tassa usposobienia, wielkie i słuszne obudzały do uzdrowienia nadzieje. I znaczne też sprawiły polepszenie.

Wówczas to on po raz pierwszy zamieszkał ten dom gdzieśny we trzysta lat później o nim rozmawiając obiad jedli. Wówczas przesiedując pod szerokim dębem, niedawno jeszcze pokazywanym w Sorrento, marzył sobie poeta.....

Ale te marzenia nie zawsze były błogie. Sposób w jaki się ze dworem ferraryjskim rozstał, oczywiście go dręczył. Wspomnienia miłości jaką tam zostawił, pokoju mu niedawały.

Czytamy z téj epoki list jednego z ziomków i najszczerzych jego przyjaciół, kardynała Albano, w następujących tłómaczący się wyrazach:

„Nie mogłeś użyć, kochany Torquato, lepszego sposobu do otrzymania przebaczenia, odzyskania honoru i pocieszenia mnie i innych twych przyjaciół, jak wyznając błąd jakiś popełnił przez swe ogólne niedowiarstwo; godnym to tylko było śmiechu i politowania. Daj Boże, żebyś postrzegłszy teraz ten błąd nadal go uniknąć zdołał, i powinieś to uczynić, bo zaręczam cię, iż niema nikogo coby myślał lub chciał w jakibądź sposób cię obrażać. Mogłeś się już i codziennie możesz się przekonać, iż twe w téj mierze obawy są tylko fałszywie podnieconą imaginacją zrodzone, i że ci koniecznie potrzeba, aż do szczytu wykorzystania zaród twego złego humoru. Pozwól doktorom się leczyć, przyjaciółom doradzać, a protektorom (*padroni* co dosłownie biorąc znaczy panom), rozrządzać sobą.”

Jednak się nie stało według kardynała *życzeń*. Wyznanie błędu i pojednawcze kroki Tassa, które, jak wnosić można, dużo go musiały kosztować, nie otrzymawszy pożądanego skutku, odnowiły nie całkiem zagojone rany. Odmówienie nie tylko dawnych łask książęcych, ale odsłania rzeczy i papierów, jakich potajemnie uchodząc z *Belriguardo* zabrać z sobą niemógł, do najwyższego oburzyło go stopnia. Już wtenczas bez żadnego umiarkowania wyrzekając na Alfonsa i cały dwór jego, słowami i piórem pociski na nich rzucał, zagrażając swą zemstą. Oni wzajemnie waryatem go głosili.

Stan jego istotnie coraz się pogorszał. Ubóstwo od jakiego w dworskich roskoszach żyjąc, był już odwykł, obawa przyszłej nędzy, a nadewszystko ciągle trwoga sprzysiężonych nieprzyjaciół, których wszędzie około siebie widzieć mniemał, wzmagaly gorączkę poetycznej wyobraźni. Ta gorączka samotnemi zasycana marzeniami, coraz gwałtowniejsze doradzała mu środki; tak, że po długiej, cierpkiej a bezskutecznej z Ferrarą korespondencji o odzyskanie swéj ruchomości, sam ośobiście po nią się tam udał.

Alfons, naganną żądzą zemsty wiedziony, kazał go pojmać i w szpitalu S. Anny jako obłąkanego osadzić.

Ten szpital jedni za dom waryatów, drudzy za srogie więzienie uważają. Jedni przyznają w Tassie obłąkania oznaki, drudzy utrzymują że był tylko złości ludzkiej ofiarą. Bezstronnie jednak się zastanowiwszy zdaje się iż w tém wszystkiém było coś środkującego, co się nie da do żadnej kategorii właściwie umieścić, i ztąd tém zaciętsze obudziło spory.

Jak niepodobna zaprzeczyć w postępowaniu poety oznaków chorego umysłu, tak też w jego pismach ciągle mamy dowody, że nie był zupełnym waryatem. Owszem, pojęcie miał daleko górniejsze od tych co się nieraz za bardzo rozumnych uważają, a jak te swoje szczytne myśli tłómaczył? dość otworzyć Jeruzolimę Wyzwoloną.

Co do więzienia — byłam w niém w Ferrarze i własnymi oglądałam oczami. Jeżeli jest to co mi pokazywano, to było ponure i ciasne. Wejście z wewnętrznego klasztoru dziedzińca, izba jakby piwnicy rodzaj, nisko sklepiona, nieotynkowana, z jedném okraconém na ten dziedziniec okienkiem. Odźwierny mówił, że za czasów *Tassa* było drugie na klasztorny wychodzące ogródek, i podłoga, która o parę stóp niżej położona, od terażniejszego gruzem zasypanego gruntu, wyższości dodawała izbie.

Opowiadał mi także jak *Byron* kazał się tam zamknąć, a przez kilka godzin sam jeden wzdłuż i poprzek się przechodząc, starał się przejąć położeniem sorrentskiego poety, i szukał natchnienia. Pokazywał mi cztery wiersze na murze, jego kreślone ręką, z jego podpisem, między *Lamartina* i *Delavigná* imionami.

Pani *Stael* także to więzienie zwiedzała, ale jak Goethe, który głębokie w tym przedmiocie robił poszukiwania, i większa część uczonych włoskich, niedawała mu wiary, nieprzypuszczała żeby tam biedny Tasso spędził lat blisko siedm.

Istotnie, serce by rade niewierzyć temu!... Człowiekowi któremu wymagałność dworskiego życia, już była nieznośnym jarzmem, twarde mi więzy, zamknięcie go z duszą chorą, z dręczącą myślą, pozbawienie wszelkiej rozrywki kiedy ta rozrywka mogła nieść ulgę, dość już się zdaje wielkiem nieszczęściem, bez przypuszczania tego ciemnego więzienia, przeciw któremu własne listy jego i pełno innych świadczy dowodów (1). Być może jednak iż w pierwszych swój zawziętości chwilach Alfons go tam wtrącić kazał, a później upamiętawszy się, zezwolił na przeniesienie chorego do lepszego mieszkania.

Jakkolwiekbądź, rzeczą jest niezawodną iż *Tasso* został zamknięty w Marcu 1579 roku, właśnie wtenczas kiedy szczytny także i jego piórem

(1) Niektóre z pism jego są datowane *dalle Stanze in Sta Anna* (ze stancyów Ś. Anny), co zdaje się jakby kilka oznaczać pokoi. Może też to przez ironią tak swe więzienie nazywał.

sławiony poeta *Camoëns* umierał (1). A czy to za dom obłąkanych, czy za więzienie to jego zamknięcie uważać, niepodobna wszakże zaprzeczyć, iż w niém w początkach niejakiéj używał wolności.

Następnéj wiosny przyjinował w niém *Scypionu Gonzagi*, mantuańskiego księcia. Drugiego lata zawieziono go do zamku pięknej Marfizy d'Est, księżnej na Massie, która na to otrzymała od Alfonsa pozwolenie. Tam cały dzień z księżną i jéj dworskimi damami rozprawił o miłości, co mu dało przedmiot do mało znanego dyalogu, pod tytułem: *la Molza ovvero dell' amore*, (*Molza* czyli o miłości). Napisany w 1583 a ogłoszony w 1587 roku, maluje on ambaras poety, gdy go przed to grono wysokich i uczonych pań przedstawiono, a jeszcze większy, gdy jedna z nich, *Tarquinia Molza* (której nazwiskiem dyalog swój ochrzcił), poprosiła go o definicyą miłości.

Tasso wzbraniał się najprzód, mówiąc iż jemu starem i nieszczęściem zgrzybiałemu kochankowi, takie rozprawy nie przystają. W końcu na uporczywe wszystkich dam naleganie, zacytowałszy im co tylko w téj mierze *Orfeusz*, *Homer*, *Eurypides*, a najbardziej *Platon*, *Aristoteles*, *Marek-Aureli*, *Ś. Augustyn*, *Ś. Tomasz* i inni powiedzieli, zakonkludował iż miłość jest to „*roskosz w spokoju*.” Na co wszystkie panie zawołały: jakto, chcesz spokoju w miłości? a cóż mniéj spokojnego jak zakochane serce?

Wróciwszy do Ferrary poeta zajął się wydaniem swéj epopei. Już poprzednio jedna była edycya w Wenecyi wyszła pod tytułem: *il Goffredo*, lecz pełna błędów. Ta druga w Ferrarze pod okiem autora in 4 daleko jest dokładniejsza.

Prawie jednocześnie z 1581—1583 bardzo dużo dzieł jego, jako to: rozprawy estetyczne (le différenze poetiche), ojciec rodziny (il padre di famiglia), dyalog i kilka także scenicznych sztuk, dzień ujrzały; *Sofroniu i Olindo*, *Torrismondo* i w końcu *l'Aminta*, którą ofiarował *Gonzadze*, księciu na Guastalli.

Rozgłos pism jego a najbardziej Jerozolima Wyzwolona, taką mu wkrótce zjednały sławę, iż najznakomitsi pisarze swoim go hołdem darzyć pragnęli. Może się też łączyła do tego ciekawość stanu jego umysłowego, o którym tyle sprzecznych ciągle krążyło wieści. *Montaigne* go w następnym po zamknięciu roku odwiedzając, dość go źle znalazł; w rok zaś potém, wierszopis *Murio Manfredi*, całkiem zadowolony, twierdził iż zdrowie Tassa w najpomyślniejszym znajduje się stanie. Juliusz

(1) Ob. piękny sonet Tassa na cześć poematu Camoensa napisany, poczynający się temi słowy: „*Vasco, le cui felici, ardite antenne i t. d.*”

Segui, poeta boloński, nie tylko w jego towarzystwie zasmakował, lecz wiernym stał się sorrentowskiego poety przyjacielem. Słynny filozof Juliusz *Guastavini*, przybył dla poznania go z Genui z malarzem *Castello*. Oba przejęci wciąż dla autora i dzieła, pierwszy stał się odąd najważniejszym obrońcą Jeruzolimy, drugi piękne ustępy jej odrysował, z których dziewięć na miedzi przez Annibala *Carracha* później wyrte zostały.

Lecz najmilszymi dla niego musiały być odwiedziny księdza Aniola Grillo. Ten benedyktyn a razem liryczny poeta, tak go kochał, iż przyjechawszy z Brescia na parę miesięcy do Ferrary, co dzień u niego od rana do wieczora przesiadywał, mówiąc że mu to więzienie przyjemniejsze nad wszystkie pałace.

W 1583 r. *Tasso* ciężką przebywa chorobę. Doktorzy zwykle tego pragną dla cierpiących na umyśle, w nadziei iż ta wewnętrzna rewolucja, to fizyczne wstrząśnienie, sprowadzą jakieś przyjazne dla umysłu przesilenie. I zdaje się też iż musiało się znaczne okazać polepszenie, kiedy w następnym roku Alfons, na wstawienie się kardynała Albano i księżnej mantuańskiej, uroczyście w obec zgromadzonego dworu, wolność mu przyrzeka.

W roku tym, 1584, *Tasso* zwiedza kościoły, po wszystkich znakomitszych Ferrary bywa domach, często bardzo odwiedza znaną już nam panią Tarquinię Molza, a filozoficzne i literackie z nią spory, nowym dyalogom treść podają.

Po karnawale, na który z wielką patrzył przyjemnością, napisał czuły i wdzięczny dyalog, nazwany *Delle Maschere* (o maskach). W nim opisując cały przepych dworskich zabaw, i tę ogólną do maskowania się namiętność tak między pany, duchowieństwem jak rycerstwem i ludem (namiętność jeszcze we Włoszech nie zagasła), sam się tłumaczy czemu maskować się nie chciał. „Uciechy, mówi, i zabawy tak są właściwe latom, jak owoce roku porze. Co się podoba młodości, niema powabu dla dójrzałego wieku,” a kończy uwagą, że jeżeli godzi się maskować, taka zabawa na pochwały przynajmniej nie zasługuje.

Gdy tak horyzont dla niego rozjaśniał, i zdrowie zdawało mu się sprzyjać, nowy spadł na biednego poetę grom, i na nowo wszystko i w nim i przed nim zachmurzył. W 1585 r. Leonard *Salviati*, ogłosił imieniem akademii *della Crusca*, że Jeruzolima nie zasługuje na tytuł poematu, że żadną pięknością nie pokrywa swych niezliczonych błędów!!...

Kto zna wiek w jakim ta hańbiąca dla niego zapadła wyrocznia, mniej się jej dziwić będzie. We wszystkich Torquata pismach a mianowicie w Jeruzolimie, tchnie dążność do ideału, do szczytnych ducha krain.

Jakże to nie miało razić ludzi samą rozwiązłością żyjących, zmysłowym oddanych namiętnościom?

Tasso jedyny jest XVI stulecia we Włoszech poeta tego dumającego i rzewnego kolorytu. Trzeba też słyszeć jak rozwiązyły *Aretino* wysmiewa i nazywa wiersze jego równie nudne jak smutne.

Ariosto na jedenaste lat przed urodzeniem *Tassa* zmarły, lekce waząc wiarę, śmiejąc się z rycerskich czasów, już był przysposobił tę swawolę, którą później tak dobrze *Benvenuto Cellini* w swych pamiętnikach maluje. *Tasso* sam jeden czysty wpośród tego brudnego odmetu, sam jeden najżwawszym katolicyzmem pałający, w pośród wieku zimnego, pieznącegogo innéj czci jak cześć zmysłów, ileż cierpieć musiał tą ciągłą walką swéj wzniosléj duszy z temi poniżonemi, skalanemi duszami, swego wieszczego umysłu, z temi co go sądzić poważali się!

Ile kosztuje sława, gdy jéj hołdować chcemy, gdy w niéj nasze pokładamy szczęście? to nam najlepiej nieszczęśliwy poeta powiedzieć może. Akademia *della Crusca* ogłaszająca co rok swe dekreta, które zowie wokabularzem, w trzecim dopiero takim wokabularzu odwołała poprzednie swe zdanie. Potomność na czele trzech wielkich chrześcijanizmu wieszczy, imie *Tassa* zapisała. Ale to wszystko dla niego za późno przyszło.

Tasso na nowo chory, zamknięty tak ściśle iż mu nie wolno nawet było na mszę wychodzić, z końcem 1585 r. najsmutniejszą zaczyna życia epokę. W swém jednak obłąkaniu, gdy na liczne próby pozwolono mu się spowiadać, przed tym upragnionym aktem tak piękny kreślił wiersz do Boga (1), iż niepodobna przypuścić żeby nie był zdolnym całą położenia swego czuć okropność.

Nareszcie 5 Lipca 1586 r. nieszczęśliwy poeta, na wstawienie się wielu możnych panów, światu oddany został, co nieprzerwało nieszczęść jego pasma, bo w tym świecie spotkała go nędra.

- (1) Signor! a te mi volgo, e gia mi pento
 Di quel desio ch' al tuo voler contese:
 E cos dolor che di mie colpe jo sento
 To la vendetta in me di tante offese;
 Tu l'obblia, tu perdona! or ch' io pavento
 D'ell ire tue che l'mio peccato accese.
 Onde quel duolo, e quel timor che m'ange,
 Nel tuo divino amor s'infianmi e cange.

(Panie! do ciebie się zwracam i już żałuję tych pragnień moich, woli twéj przeciwnych; a boleść jaką wewnątrz siebie czuję, już jest mściwą za me winy karą. Zapomnij, przebac! teraz gdy upadam przed twym gniewem, moim podnieconym grzechem. A boleść i trwoga jakie mną miotają, niech Twoją Boską zapłoną miłością).

Tak mu było pilno rozstać się z Ferrarą, iż znów jak poprzedni raz całą swą chudobę w niej zostawił, i jak pierwój mimo prośb i listów odzyskać jój niemógł. Pobiegl najprzód do Sorrento, do Neapolu, o którym zawsze jak o raj u wspominał. Udał się w nadziei znalezienia protekcyi lub losu do Florencyi, do Rzymu, i znów bez niczego do Sorrento wrócił; a ciśniony niedostatkiem, niewiedząc co począć, z ciągłą trwogą w sercu a pogardą w oku, niemógł ani sobie dać rady, ani znaleźć swobodnego dla siebie kąta na świecie.

Z dumną zrodzony duszą, musiał tłumić, złamać swą naturę, by onie-mał żebraka przybrać na się postać. Wszystkie jego z tój epoki listy są prawdziwemi prośbami. Rozpoczął jakiś o sukcesyją stryja process; drugi z rządem; lecz ta nowa u niego do processowania skłonność w takim stanie nędzy, niemogąc wróżyć pomyslnego skutku, jest tylko dowodem tój wewnętrznej niespokojności, co w nim potrzebę jakiejś walki, jakichś kłopotów rodziła.

W końcu do takiój doszedłszy ostateczności, iż wróciwszy do Rzymu, dla braku odzienia, część zimy w łóżku przepędzić musi, udał się dobrowolnie do szpitala i tam pół roku pozostał. Ztamąd przeszedł do klasztoru Ś. Onufrego, gdzie mu w parę lat potóm grobowy położono kamień.

Gdy ten klasztor, ten kamień odwiedzać będziesz, powiedzą ci jak w dni pogodne, poeta na siłach już zwałony, prosił by go z krzesłem przenoszono w miejsce, gdzie na cały Rzym szeroki rozciąga się widok. Tam najlepiej marzyć lubił, ten widok najlepiej z jego harmonizował marzeniami, o wieczności przemawiał, umierać go uczył.


Wpóśród tych marzeń, tego już dokończonego życia, zesłano mu dar za który niegdys — kiedy jeszcze mógł nióm szafować, całe oddałby życie. Włożono na zsiwiałe pod nieszczęściem czoło, skrzydłem śmierci dotknięte, laurowy poety wieniec. Lecz to już była tylko ostatnia losu ironja!

Torquato Tasso umarł dnia 25 Kwietnia 1595.

Wybacz, Antosiu, jeśli to opowiadanie zepsuło jakie dla ciebie uroki. Jest to, niestety! najczęściej losem *prawdy*. Jeżeliś w swój wyobraźni oblekł poetę miłośną tęczą, której nigdy nie zrzucił z siebie, jeżeli ona jest konieczną do twych urojeń lub dramatu twego, zostaw mu ją; dla lepszego jój odbicia huczne nawet ciskaj na Alfonsa gromy, przedstawiaj go ze srogimi szpony, a mnie pozwól bym moim zwyczajem nie tak wysoko od ziemi się podnosząc, wierniej prawdy trzymała się zimnego toru.

XV.

MOST W SORRENTO I DZIEWCZĘTA.—ZACHÓD SŁOŃCA.—HISTORYCZNE SZKICE.

łonce już się ku schyłkowi miało gdyśmy wolnym krokiem do domu zmierzać poczęli. Upał był jeszcze ogromny, ale niepowiem nieznośny; gdyż to nie ten skwar co u nas oddech w piersi tamuje, co wrzący ołów zdaje się lać na głowy. Tam lekkość powietrza w upale także się czuć daje; pozbawia wprawdzie wszelkiej sprężystości ciała i sił żywotnych, ale w swém lubieżném tchnieniu nie daje nawet zrazu przeczuć tej zabójczej władzy. Wietrzyk morski oświeża tam ciągle to afrykańskiem słońcem przesycone powietrze, tak że dopiero w pokoju i gdy to powietrze już mniej ma przystępu, czuć się poczyną całą jego na organizmie naszym działalność. Włosi też najmniej ile mogą tego się pozbawiają powietrza. Najlepiej lubią siedzieć na dworze, lub trzymają drzwi i okna pootwierane, i największych szukają przeciągów.

Między miasteczkiem Sorrento i domem Tassa, a moją villą, blisko pół godziny pieszej jest drogi; ale nasza daleko dłużej trwała. Środek miasteczka przecięty głębokim wąwozem, skalistą rozpadliną, której boki pokryte bluszczem, krzewami i polnemi kwiaty, kamiennym połączone są

mostem, a ten most wstrzymał kroki nasze. Widok z niego na morze przy zachodzącym słońcu i ostatniem promieni jego odbiciu na Neapolu mury, nie mógł w zachwycenie nas nie wprawić, a spuściwszy wzrok na dno téj ukwieconej przepaści nad którą się wznosi, wskoczyć w nią bierzemy ochotą; tem bardziej iż wpośród wijących się gierland klematysów i innych dzikich tam roślin (a które oko moje w szklarniach tylko piastowane widzieć nawykło), wpośród tych bujnych irysów, żółtych lilji, pięknych mesebrjantemum, astrów, widać było ciemne roztwory, do chłodnych jaskiń powabne wejścia.

Jakaż była nasza radość gdyśmy się dowiedzieli, że tam bez narażenia życia, i nie skacząc z mostu, węzłem spuszczać ją się ścieżką dojsć można! Prawda iż na téj wązkiej ścieżce, z boku rozpadłej skały wydobytéj, z uwagą nogę trzeba stawiać, bo by koziołkiem po tych kamieniach i krzewach nie bardzo miło się spuścić, a ta uwaga tem trudniejsza, iż malowniczość miejsca ją odrywa, oko nęci, myśl uchwycą.

Cała ta część gruntu nosi ślady konwulsyjnych wstrząśnień, wulkanicznych wybuchów. Wszędzie poszarpane ziemi łono, grubą warstwą lawy pokryte, lub silniejsza skały pierś roztrącona, popękana. Wszędzie ślady także swawolnego morza, co tam gościć czasem przybywa, porobi sobie jaskinie, podniesie grot sklepienia, i znów w inną ucieka stronę, zostawując po sobie tylko kaprysów swych uroczę wdzięki.

O jak tam pięknie, Antosiu! tego ci żadne nie opiszą ludzkie słowa. Boga tylko ręka podobne mogła utworzyć obrazy, od niéj by trzeba pożytyć mowy do opowiedzenia ich piękności.

Na przeciwnym boku rozpękniętej skały, w środku dużego bukietu róży, która tam nigdy kwitnąć nie przestaje, sterczała jakaś skromna kapliczka. Uwieszona w środku lampka, paliła się przed cudownym Matki Boskiej obrazem. Tam co krok kapliczek takich pełno, a każda ufnosć ludu posiada, hołd jego odbiera. Ta nie tylko dla bogobojnej czci, ale i dla malarza zdawała się postawioną.

Gdyśmy wzrok mieli w nią jeszcze wlepiony, postrzegliśmy grono młodych dziewcząt, z bocznej góry ku niéj biejące. Nogi miały obnażone, puszczone na wiatr długie czarne włosy igrały po ich łabędziej szyi. Tak rodzinne miały rysy, iżbyś je wziął za siostry. Wszystkie białe jakby pod śnieżnym zrodziły się niebem, świeże jak z ich łąk róże, z nieco zgrubiałemi wargi, dużemi a jak węgiel czarnemi oczy, i najpiękniejszymi najzdrowszemi zębami.

Później się przekonałam, iż ten rodzaj piękności wspólny jest wszystkim miejsca tego dziewczętom. Świeżość z pierwszą swą tracą wiosną. Płeć ta różana zmarszczkami zbyt się prędko pokrywa, a czarne włosy

starości szronem, bo samą żyjąc miłością, żyje się bardzo prędko! Zostają im wówczas tylko oczy w późne lata swój pierwotny zachowujące ogień, i zęby dobre cechujące zdrowie. Ale do lat dwudziestu są ładne, hoże i prawie wszystkie do siebie podobne, co dowodzi jak mało ten kąt świata z resztą kuli naszej miał dotąd stosunków, jak niedawno szose doń zrobiono.

Wszystkie te postrzeżenia, wymagające czasu, później mi się nasuwały. Tego zaś wieczora stałam zadumiona patrząc na ładne grono co w swym biegu to się między drzewy kryło, to znów z za nich okazywało ślicznie, gdy dla dodania fantastyczności temu obrazowi, jakaś wróżka czy wiedźma, rodzaj stariej *Wiardy* (1), z kąta czarnej wylazła pieczary, a spierając się na koszlawym kiju, ku nam zmierzać poczęła.

Była to kaplicy stróżka: przyszła prosząc na olej dla Matki Boskiej, czyli na lampę do jój obrazu. Powiedziała nam iż te dziewczęta co naszą zwracały uwagę, musiały jakieś zrobić do cudownego obrazu *votum*, i dla tego szły boso z rozpuszczonymi włosy, by bardziej wzruszyć, prędzej żadaną łaskę od Nieba otrzymać. Jakoż wkrótce ujrzeliśmy je u stóp kapliczki kornie ze łzami błagające... zapewne o kochanka lub męża... bo tam kobiece uczucia z tego niewychodzą koła.

U progów méj villi, przypomniała mi się dopiero cała dnia tego fatyga, zapomniana pierwój w lazuruwój grocie, we wspomnieniach Tassa, w Sorrentowskich urwiskach i grotach. Słońce już było w morze zapadło, tylko odbłask ostatnich zostawiło nam promieni. To *crepusculum* o którym ci już mówiłam, purpurową barwą przeciwległe krasilo nadbrzeża. Cały Neapol, góry jego i zamki zdawały się ogniem płonąć, a swem odbiciem, morzu tegoż udzielały blasku. Potem niebo stopniowo bladnąc, góry i pałace gasnąć poczęły, okna tylko domów jakby jakie klejnoty zdaleka błyszczwały, i rodzaj pięknej tworzyły illuminacyi. Nakoniec i to pogasło, wszystko się zaćmiło, ziemia, morze, i niebo, wszystko modrą oblekło się oponą, kilka tych najśpieszniejszych gwiazd, zanim cały rój ich się wysypie, nieśmiało drzeć na czarnej zaczęły kopule, a Neapolu brzeg tysiącem zajaśniał drobnych światełek. Były to domów jego świece, gazowe ulic rewerbery, a wyżej i jaśniej nad nie, jakby jaki meteor, morska płonęła lampa.

Przypatrując się temu nigdy nieśpiącemu Neapolowi, temu ludowi tak odmiennych od reszty świata rysów, przyszła mi chętć zajrzeć w jego przeszłość, bardzo mi powierzchownie tylko znaną. W Katalogu P. *Tempestiniego* (którego w Neapolu czytelnią ci polecam, jako najlepij w na-

(1) Cyganka w *Preciozie*.

ukowe zaopatrzoną dzieła, co rzadko w abonamentowych księgarniach się zdarza), napotkałam książkę tak nazwaną: „Relation de la vingt septième révolte, de la très fidèle ville de Naples.” Przyznasz że taki tytuł mógł niepomale podniecić mój historyczny popęd, obudzić ciekawość, jako też zaraz następnego ranka, za starymi zasiadłam księgami, dając tym sposobem odpoczynek ciału, a wyobraźni estetycznością przyrody podbudzonej, sposobność uspienia swych uniesień pod rzeczywistości pomrokiem.

Otóż się dowiedziałem, że ten raj co teraz neapolitańskiem czyli dwóch Sycylii zowią Królestwem, był niegdyś częstką rzymskiego kolosu, jak to nam dowodzą tysiączne z tych czasów pomniki. Po runięciu jego, nie dziejów się przerywa, a przynajmniej tak jest w ogólnym odnieciu zawiąkaną, iż ją rozplątać prawie niepodobna.

Co zaś do samej stolicy, dawniej *Parthenope* zwaną, odrzuciwszy bajeczne podania, które jej kolebkę na grobie jakiejś Syreny od *Ulissesa* opuszczonej mieszczą, zdaje się iż Neapol przez Greków był założony. Nazwa jego nawet jest grecka; *Neapolis* po grecku ma znaczyć nowe miasto. *Liviusz* wspomina że w roku 427 po założeniu Rzymu, dwa istniały miasta, jednym zaludnione narodem. Jedne się zwało *Paleopolis*, drugie *Neapolis*, oba przez mieszkańców Cumy wzniesione.

Tenże pisarz także nas uczy, iż Neapolitanie żadnego niebrali udziału w zatargach Kartageny z Rzymem; lecz gdy Rzymianie, wychnawszy po przegranej pod Cannami bitwie, zmusili Annibala do odwrotu, Neapol przeczuwając przy kim zostanie zwycięstwo, posłał Rzymowi znaczne summy dla wygnania z Włoch wspólnego im nieprzyjaciela. Taki miał być początek tych dwóch potęg związku.

Po upadku Rzymu, w piątym stuleciu, Neapol uległ przemocy Gothów. W r. 537 *Belizaryusz* go odebrał. W sześć lat później Totilla pokrył gruzem. Następnie Lombardów z północy płynące potoki aż tam się rozlały, i nieopuściły téj błogiéj ziemi, aż je Karol Wielki (Charlemagne) pokonał i zniszczył.

Wówczas ta cała część półwyspu na tysiące rozsypała się kraików, każdy innemi rządzących się prawami. Każdy pan w swoim pałacu chciał być niepodległym monarchą; tyle prawie liczono księstw i baronii ile zagród i dachów. Z Lombardów panowania było jeszcze księstwo *Beneventu* pozostało, a w części południowej, Kalabryą dziś nazywaną, kolonje greckie swobodnie gościły, Wielką Grecyą się nazywając.

Muzeum neapolitańskie z tych wszystkich epok bogate posiadaabytki. Zobaczysz tam szczątki pogańskich świątyń i posągów, groby tak Gothów i Lombardów, jak Greków, Saracenów i Normandów, każdy swój odmienny noszący charakter; wszystkie z jednéj wydobyte ziemi

a wszystkie téj ziemi obce! Gdyż po Grekach, Gothach i Lombardach, przyszedli tam Saraceni i Normandowie, jak to jeszcze Liwiusz opowiada.

Gorzéj niż przyszedli bo przywołani w pomoc księżętom targającym się jedni na drugich, z sprzymierzeńców stali się panami, co nic łatwiejszego w tak podzielonym, w tak osłabionym kraju.

Najniespokojniejsi byli Benewentczycy. Kilka razy do roku napadali to na Amalfią, to na Sabino lub Neapol, a wzbogaceni łupieztwem, w domowe wracali mury. Ku końcowi IX wieku, Neapol niewiedząc już jak się temu natrętnemu nieprzyjacielowi oprzeć, wyciągnął ręce do Saracenów, którzy krótko przedtém opanowawszy Sycylją, wielką sobie zjednali waleczności sławę. Benewent przestraszony podobnież sobie postąpił. Saraceny obu stronom swą przyrzekli pomoc; ale raz wkroczywszy do kraju róż i pomarańcz, nie chciało im się wynosić z niego, i pozostali, już nie jak sprzymierzeńcy, lecz jak pany.

W tém jakaś garstka normandzkich awanturników, wracająca z ziemi świętej, na salernowski brzeg wylądowała. Było ich czterdziestu. W tejże właśnie chwili nowa Saracenów horda dla rabunku tam przybywała. Normandowie widząc najokropniejszy mieszkańców postrach, poprosili *Giemara*, księcia na Salernie, o broń, i nieprzyjaciela odparli.

Giemar uszczęśliwiony, czém mógł swych dobroczyńców obdarzył, pragnąc tylko by oni więcej podobnych sobie bohaterów do niego sprowadzili. Normandowie znęceni bardziej jeszcze pięknoscią klimatu i ziemi, niż *Giemara* zaproszeniem, nie długo się drożyli o to. Zwoławszy swych rodaków, kraj od Saracenów oswobodzili niebawnie, i sami w nim osiedli.

Normandowie mieli już naówczas dwunastu dowódców. Każdy jedno dla siebie zabrawszy miasto, zwał się na niem hrabią; z czego powstał rodzaj oligarchiczno-wojskowej rzeczypospolitej, dość zamożnej i groźnej. Stolicą jéj była *Amalfi*, w niej zjazdy, rodzaj sejmów, się odbywały.

Przelegniony tą barbarzyńską potęgą pod bokiem Rzymu coraz silniej się krzewiącą, papież Leon IX, z pomocą Greków i Niemców, sam na ich czele pokonać ją poszedł. Lecz przeciwnie się stało: papież pobity, pojmany, uwięziony! Gdy jednak, jako wojownik nie widzi już dla siebie ratunku, innéj wyższej szuka pomocy. Szczytniejszym natchniony duchem, jako Ojciec Święty przemawia do rozpasanego żołdactwa, co mu kajdany ma wkładać. Słowa niebiańską tchnące słodyczą, ogarniają słuchających serca. Wszyscy się przed nim korzą, czoła pod jego zniżają stopy, prosząc o przebaczenie, o błogosławieństwo, przyrzekając

wieczne Rzymowi hołdownictwo, gdyby on swém przyzwoleniem usankcjonował ich dawne i następne we Włoszech zabory.

Leon, przez wdzięczność, daje im żadaną na Calabryą i Sycylią inwestyturę—i to jest pierwsza inwestytura papieżka, ten przywilej tyle nadużywany, nie jednego później zamieszania przyczyna.

Odtąd także ta część półwyspu do której później i sam Neapol (nawczas jeszcze nie uległy Normandom) się wcielił, została tyary lenności. Papież co rok w dzień Ś. Piotra, otrzymują od Neapolu 7,000 dukatów. Dawniej ten worek był mu posyłany na białej suto ubraniej klaczy, która także do podarunku należała.

Wodzowie normandzcy otrzymawszy inwestyturę, zaraz ruszyli na Sycylią ciągle przez Saracenów dzierzoną. Nietak im tam łatwo poszło jak sobie wróżyli. Po wielu jednak utarczkach, Sycylja w normandzkie przeszła ręce. *Neapol* i *Capoua*, które najdłużej przeciw nim trzymały, także upadły, a papież *Anaclet* namaścił Rogiera II, z tytułem króla dwóch-Sycylii.

Taki był koniec ostatnich republik greckich na Italji brzegach, taki początek połączenia pod jedno berło Sycylii z Neapolem. Węzeł ten jednak później nie raz się zrywał.

Dynastyja normandzka, której stolicą było Palermo, ani jej błogo panowała, ani trwała długo.

Po burzliwém i krwawem panowaniu Wilhelma syna Rogiera, wnuk jego, Wilhelm II, nad wszelkie spodziewanie okazał się dla swych poddanych łagodnym. Lud go przeważał *dobrym*. Lecz widząc się bez potomstwa, popełnił błąd wydania swój ciotki Konstancyi, za Henryka, najprzód królem rzymskim, potem cesarzem niemieckim koronowanego.

Ze śmiercią więc Wilhelma *dobrego* w 1189 r. skończyła się normandzka linja. Tankred brat jego cioteczny ozwał się wprawdzie z pretensją o koronę, ale nie mogąc dowieść prawości rodu swego, zaprzeczonego mu przez Henryka męża Konstancyi, odepchnięty od tronu, pod zdradzieckim mieczem skończył.

Cesarz Henryk poczyna dynastyą w historii szwabską nazwaną. Wprawach swój żony objąwszy rządy sycylijskiego państwa, wszelkimi zwał się zbrodniami. Szczegóły jego okrucieństw, jak je historycy podają, prawie niepodobne do wiary. Przewano go Sycylii Neronem, śmierć przypisano truciznie. Żona jego Konstancya wkrótce za nim poszła, zostawując małoletniego syna Fryderyka, nad którym papieżowi poruczyła opiekę.

Papież Innocenty III sumiennie się nim opiekował. Lecz gdy go ujrzał z dwoma koronami Niemiec i Sycylii na czole, powziął obawę ta-

kiej potęgi. I miał słuszość; gdyż Fryderyk dorosłszy otrząsł się z haracz na swoje państwo przez Rzym nałożonego, i żadnej klaczy ni summy posłać mu niechciał. Innocenty kłatwą odpowiedział na to.

Następca jego Grzegorz IX tę kłatwę ponowił, a Innocenty IV złożył go z tronu, to jest ogłosił na zjeździe lugduńskim, iż mu koronę odbiera, co jednak uporu Fryderyka nie przełamało. Panowanie jego tworzy epokę najzaciętszych sporów Rzymu z cesarzami niemieckimi.

Książe ten zostawił koronę dwóm synom, z warunkiem żeby na przyodek bezpotomnego ich zejścia, nieprawy ich brat Manfred, wziął po nich spadek. Z tych dwóch synów jeden niebawnie zszedł po ojcu, drugi Konrad na tron wstąpił i panował lat cztery.

Konrad razem z koroną i niełaskę papieżką odziedziczył. Innocenty IV jak na ojca tak i na niego kłatwę cisnął. Umierając w kwiecie młodości, bo w 26 roku życia, małego zostawił tylko syna, znanego w historii pod imieniem Konradina. Matka jego Elżbieta, księżniczka bawarska, do ojczyzny go swój zawiozła, a Manfred który jako stryj małoletniego całym zarządzał krajem, rozgłosiwszy, czyli tylko uwierzywszy w puszczoną bajkę o Konradina śmierci, królem się ogłosił.

Wpółród tych zaburzeń, Innocenty IV umiera. Lecz następca jego, Urban IV, zaraz się całą do dynastji sabaudzkiej nienawiścią przejmuje; tron dwóch Sycylii wakującym ogłasza, i uważając go jakby Rzymu własnością, rozmaitym ofiaruje książętom.

Karol Andegaweński, brat Ludwika Ś. francuzkiego króla, przyjmuje tę na dziwnych opartą prawach inwestyturę. Zawiera z Urbanem traktat którym się obowiązuje posyłać coroczną mu daninę, trzystu zbrojnych rycerzy na jego utrzymywać rozkazy, inne jeszcze uciążliwe warunki na się przyjmuje i do Rzymu bieży. Papież błogosławi chorągwie jego; Karol z niemi na Neapol idzie.

Manfred groźną mu zrazu opiera siłą, ale wkrótce pobity pod stosem trupów ciało jego znajdują. Żona i dzieci w srogiem osadzone więzieniu, a Karol Andegaweński, którego posąg w Kapitolu widzieć możesz, na tronie biednego Konradina zasiada.

Z tego początku można już sądzić o Karola sercu, można przeczuć rodzaj rządów jego. Jakoż, istotnie same wkrótce skargi zewsząd słyszeć się dają.

Tymczasem Konradin w Niemczech pod okiem matki wzrastał. Najpiękniejsze przymioty duszy i ciała tego młodego zdobyły księcia. Na nim cała nadzieja szwabskiego spoczywała domu, do niego wszyscy domu tego stronnicy, jako i wszystkie okrucieństwa Karola ofiary, ręce wyciągali. Ale matka czuła i przezorna niechciała go ze swego spuścić łona.

Gdy jednak Konradin szesnastu lat dokonał, żądza sławy młodą jego ogarnęła duszę. Uczucie niesprawiedliwości ją oburzało, skargi ludu budziły w niej litość i chęć pomsty, wszystko mu nakazywało walkę, wróżyło zwycięstwo. Nieszczęśliwa matka niemogąc dłużej tego zwałowego popędu wstrzymać, z gorącemi łzami swe zezwolenie daje, błogosławi syna i z sercem pełnem trwogi i okropnych przeczuc, wyprawia go na rodzinną i pełną niebezpieczeństw ziemię. Jeden tylko przyjaciel równego z młodym księciem wieku, tak wierny, tak czuły, jak to się jest przyjacielem w siedmnastym roku, mu towarzyszy. Frydryk, austriacki książę, klęka przed rozpaczającą matką, i przysięga że jej syna nie odstąpi, że wszystkie będzie z nim dzielił koleje, życie i śmierć będzie im wspólną.

Rozgłos jednak wyprawy Konradina zwolenników mu wabi. W owych czasach organizacji wojskowej nie znano; zuchwali rycerze, najemnicy lub awanturniki w szabli szukający losu, siłę zbrojną składali. Pod Konradina chorągwie sześć tysięcy takiego zbiera się wojska. Młody książę najszczęśliwiej z nim do Alp przybywa, lecz tam pierwszą niespodzianą napotyka zaporę, gorszą niż zbrojnego nieprzyjaciela..... Klątwę Ojca Świętego..... Zakaz wkroczenia na kościelną ziemię.

Konradin mimo to postępuje na przód, ale część rycerzy przelekniwna porzuca szeregi. Książę jednak się nie cofa, bramy Rzymu przed nim się otwierają, ale papież jakby przed zapowietrzonym, ustępuje mu z drogi, przed człowiekiem przekleństwem napiętnowanym aż do Witerby ucieka, a tym krokiem nową trwogą pozostałe Konradina legje przeraża, szeregi ich przeradza!

Było to w roku 1268, witał S. Bartłomieja, Karol z Konradinem na polu bitwy się spotykają. Karol na swoich Francuzach liczyć tylko może, a tych liczba nader mała; reszta narodu najnieżyczliwsze niesie mu uczucia, nikt się do służby jego zaciągnąć niechce. Rycerzy ma także nie wielu, ale zdradę skrycie w duszy knuje, nią wszystko zastąpić zamierza i bitwę przyjmuje.

Siły Konradina, lubo defekcją osłabione, wzbogacają się nowo zaciągniętymi, dawnymi dynastji szwabskiej sługami i nieprzyjaciółmi francuzkiej. Młody dowódzca i wojsko jego, cudów waleczności dokazują, a po krwawym lecz krótkim boju, nieprzyjaciel pierzcha.

W parę godzin potem, zwycięzkie rycerstwo cieszy się otrzymaną zdobyczą, każdy zajęty szukaniem co się da jeszcze na pobojowisku znaleźć, a młodzi przyjaciele, Konradin i Frydryk, pod cieniem szerokiego drzewa, o świetnej przemyślają sobie przyszłości; gdy nowy szezęk broni z tych miłych budzi ich marzeń. W jednej chwili ukryte za lasem Ka-

rola legje ze wszech stron ich otaczają, niespodzianie napadnięte wojsko bezbronną zdrajcom przedstawia pierś; w tłumie i okropnej rzezi, Konradin i Ferdynand ucieczką życie ratują; tułają się i kryją przez czas niejaki, w końcu w zdradzieckie wpadają ręce.

Karol litości nieznał. Młodość i wdzięki dwóch przyjaciół serca jego nie wzruszają, wyrok śmierci zapadł.

Nieszczęśliwa matka wnet uwiadomiona, po całym świecie pomocy woła. Wszyscy książęta jój stronę biorą, do Karola za biednym wstawiają się jeńcem, Elżbiecie swe ofiarują bogactwa. Elżbieta summy te zabiera, na okręt je ładuje, i śpieszy u stóp złożyć tyrana, dla okupienia nad wszystkie skarby droższego dla niej życia.

Tymczasem rusztowanie na rynku Neapolu się wznosi, w kaplicy ki-rem powleczonej gromnice się palą. Dwaj młodzi książęta i kilku razem z nimi związanych, na śmierć się gotują.

Konradin wstąpiwszy na rusztowanie do ludu przemawia, zrzeka się praw do sycylijskiego tronu, lecz rzuca wpośród niego swą rękawicę, przekazując je temu co ją podniesie. Nieznany jakiś rycerz ze spuszczoną przyłbicą porywa ją, do serca przyciska i w tłumie znika. Nikt za nim nie goni, gdyż cała uwaga zwrócona na młodego księcia, który z objęcia Fryderyka wyrwać się nie może, i przeprasza go iż zezwolił na poświęcenie, iż go do losu swego przypuścił. Fryderyk odważnie głowę pod miecz kładzie. Ta się pod nogi Konradina toczy. Konradin ją porywa, całuje, i swoją katowi podaje....

Ostatnie jego słowa były: Och matko! cóż się z tobą stanie!!

Elżbieta do brzegów Neapolu przybijała, gdy jój powiedziano że już za późno! Okręt jój z czarną chorągwią w porcie stanął. Nieszczęśliwa matka już tylko o ciało syna błagała, o pozwolenie złożenia go w grobie; ale i tę ostatnią odmówiono jój pociechę.

Karol dowodził że pod kłatwą Rzymu zmarły, niepowiniem w święconej ziemi spoczywać, ciała obu książąt na rynku leżały, nikt się dotknąć ich nieśmiał.

Po wielu prośbach otrzymano w końcu pozwolenie zagrzebania ich na brzegu morza, tam gdzie Elżbieta na ląd wysiadłszy, spostrzegła opodal leżące ciała. W miejscu tém skromny pomniczek dotychczas uwiecznia to okrutne wspomnienie.

Jak będziesz w Neapolu do Portici jechał, stań przed nim, Antosiu, przeczytaj napis, westchnij nad tej matki sercem, której ręka tę datę kreśliła, datę zapewne krwistemi litery w sercu jój na zawsze wyrzniętą!

Ale tam naprzeciw, zobacz Matki Boskiej kościół (Santa Maria del Carmine). Wzniesiony on został w miejscu samój zbrodni, staraniem, jak

jedni mówią, syna Karola, dla zmazania winy ojca, jak drudzy twierdzą Elżbiety rozkazem za summy przywiezione na okupienie drogiego życia. W kościele pokażą ci grobowy kamień, położony na ziemi niewinną krwią zlanęj.

Tak się skończyła dynastia szwabska. Zaczęta zbrodnią Henryka na Tankredzie, podobnąż zesłała na ostatnim swym wnuku zbrodnią, którą znów dom andegaweński, czyli francuzka dynastia, w Neapolu się utwierdziła.

Ale z tego szwabskiego plemienia dwie jeszcze istniały istoty, dwie córki zabitego Manfreda, stryjeczne Konradina siostry. Jedna po śmierci ojca z rodziną do więzienia wtrącona, przetrwała głód i inne męczarnie, w których matka i reszta rodzeństwa skończyły, druga jeszcze przed tą smutną losu koleją, była za Piotra księcia arragońskiego wydana.

Wiedział o nich Karol, ale się nietroszczył. Protegowany przez papieża, który go obrońcą kościoła nazwał, stolicę przeniósł do Neapolu, a Sycylią pod rządy Francuza, Guy de Montfort, godnego siebie namiestnika oddał, i biedne też Palermo ledwie już dyszało pod tym ciężarem.

Tu nam dzieje neapolitańskie, nowy a straszliwy przedstawiają obraz; te sławne sycylijskie nieszpory, ustęp krwawej poezyi, tyle już razy pięknemi opiewany rymy, na scenę przenoszony.

Jan z Procidy, właściciel swęj wyspy, dawny sprzymierzeniec szwabskiego domu, najzwałwszą pałał dla francuzkiej dynastyi nienawiścią. Jan był ów rycerz co podniósł Konradina rękawicę, i znikł tajemnie. Zręczny i odważny, pod mnicha kapturem ukrywszy swe rysy, w postaci kwestarza świat przebiega, w Sycylii wszystko do powstania gotuje, z tamtąd do Arragonu bieży, do Piotra i małżonki jego, stryjecznej Konradina siostry. Oddaje arragońskiemu księciu rękawicę brata, mówiąc że on razem z nią jego imie rzucił.

Piotr daje się przekonać. Gdy chodzi o pozyskanie nowego tronu, trudno się zastanawiać czy imie z wierzchołka eszafotu rzucone, byłoby razem z rękawicą, a nadto od nikogo niepodśluchane do Jana dobiegło. Piotr Janowi na słowo wierzy i wojowników zbiera. Jan wraca do Sycylii, a w dzień wielkanocnego święta, na pierwszy odgłos nieszpornego dzwoonu, daje powstania czyli rzezi hasło.

Rzeź ta okropna jakjéj przed nią świat nieznał, nieda się opisać, lecz się łatwiej pojmie tym, którym się zdarzyło na podobne patrzeć zbrodnie, lub świeżo słyszeć o nich.

Wszyscy Francuzi, nie tylko w Palermo ale i na całej wyspie padli jéj ofiarą, prócz jednego którego znana cnota zasłoniła od mściwego miecza. Lecz żaden potomek z tego niepozostał rodu.

We dwie doby potem, Piotr z wojskiem z Arragonu przybył. Radosnie powitany kazał się w katedrze palermskiej koronować.

Karol o tém wszystkiém wówczas dopiero uwiadomiony, zbrojną pod dowództwem syna posłał do Messyny flotę. Flota pobita, syn pojmany, musiał pod karą śmierci obowiązać się iż wydobędzie z więzienia i wolności zwróci młodą Beatryxę, ostatnią córkę Manfreda. Beatryxa do Palerno wróciła, a syn Andegaweńczyka w niej pozostał.

Taką koleją Sycylja z Neapolem się rozstała. W nią zaczęła się arragońska dynastia, a tu andegaweńska ciągnęła się linja.

Karol, jój naczelnik żył jeszcze lat trzy; wszelkich ciągle używał sposobów do odzyskania postradanej wyspy, a nie mogąc tego dokonać sam sobie śmierć zadał.

Syn jego, Karol II. przezwany *chromym*, dopiero we cztery lata po śmierci ojca wypuszczony z więzienia, na tronie zasiadł, i dobrym był księciem. Ożeniony najprzód z córką księcia arragońskiego, nieprzyjaciela swego, po jój rychłym zgonie, złączył się powtórnemi związkami z córką węgierskiego króla. Z niej jedenaścioro miał dzieci. Lecz gdy właśnie w tój porze tron jój ojca zawakował, Węgry powołali nań starszego *chromego* syna, który w prawach matki go odziedziczył. Karol II. widząc starszego syna tak już uposażonego, neapolitańską koronę przekazał drugiemu z kolei Robertowi, jako i Awignon i całą część Prowancyi do andegaweńskiego należąca domu.

Robert przezwany *dobrym i mądrym*, jest jeden z najcelniejszych Neapolu królów. On pierwszy prawdziwie nabrał monarchicznój w świecie powagi. Ściśle się z Rzymem połączywszy, wielki wpływ w sprawach północnych Włochów między Gwelfy i Gwibelingi wywierał. Genuę podbił, ale Sycylją nadaremnie zdobyć usiłował. Literaturę i sztukę wspierał, a gdy Petrarka został powołany po laurową do kapitolu korony, Robert swój królewski płaszcz na plecy poety zarzucił.

Robert jedynego miał ale wielkich nadziei syna, i tego z największą boleścią serca stracił. Zostały mu po nim dwie tylko wnuczki: Johanna i Marya.

Lękając się żeby synowcowie jego, węgierscy książęta, nie rościli praw do Neapolu, dość zresztą dobrze opartych, lękając się zaburzeń jakieby ztąd pod kobiecém berłem w kraju wyniknąć mogły, przemyslił te dwie linje nowym połączyć węzłem, te dwa w jeden zlać interes.

Napisał do węgierskiego króla, żeby mu przysłał młodszego syna swego, Andrzeja, a ten wychowawszy się na neapolitańskim dworze, połączony z Johanną, starszą wnuczką jego, miał tron z nią podzielać.

Węgrzyn przystał na to; przysłał syna z nauczycielem i licznym dworzaczami.

Andrzej i Johanna mieli po lat siedm, gdy ich zaręczono. Historya twierdzi, że Robert poznawszy wkrótce słabe Andrzeja zdolności, chciał żeby Johanna rządziła, a on tylko był mężem królowej, jakich teraz wielu widzimy. Mówią że kazał swój wnuczce odpowiednie do tak wielkiego powołania dać wychowanie, co daje się spostrzegać w ciągu ję awanturniczego życia.

Robert umarł w r. 1343, a Johanny panowanie tak odznaczający tworzy ustęp w Neapolu, a nawet w świata dziejach, ję pamięć tak często się spotyka w dawnę ję stolicy, iż warto osobny poświęcić ję rozdział.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

SPIS PRZEDMIOTÓW

W TOMIE DRUGIM.

	stron.
ROZDZIAŁ I.	
Rzym stary i nowy. — Forum. — Złoty dom Nerona. — Ś. Piotr i pierwsze jego wrażenie	1
ROZDZIAŁ II.	
Świątynie w kościoły zamienione. — Pantheon. — Amfiteatr Marcella. — Colosseum	12
ROZDZIAŁ III.	
Rzym podziemny. — Kolumbaria. — Groby Scypionów. — Grób Ś. Piotra. — Bazylika i podziemna kaplica	19
ROZDZIAŁ IV.	
Illuminacya Ś. Piotra. — Sanpietrini. — Thermi. — Tryumfalne Łuki — Grobowce. — Kolumny. — Obeliski. — Wodotryski. — Malaria. — Ville.	28
ROZDZIAŁ V.	
Rzym artystyczny. — Rzeźby. — Galerye obrazów. — Kościoły i ich skarby. — Pałace	39
ROZDZIAŁ VI.	
Capitol. — Watykan. — Rafael Sanzio z Urbino i Michał-Anioł Buonarotti . . .	53
ROZDZIAŁ VII.	
Galerye watykańskie. — Prezentacya u Ojca Świętego. — Qwirynalski pałac. — Ceremonje przy śmierci i obiorze papieży i kardynałów. — Lud. — Zbactwo. — Trasteweranie. — Zbójcy. — Strój narodowy. — Zabawy publiczne	81
ROZDZIAŁ VIII.	
Karnawał. — Post. — Wielki tydzień. — Pielgrzymki	99
ROZDZIAŁ IX.	
Urbi et orbi. — Cytadella Świętego Anioła. — Ave Maria. — Rzym społeczny. — Teatra. — Polowania. — Ville i ich kunsztowne zbiory	114
ROZDZIAŁ X.	
Okolice Rzymu. — Tivoli. — Villa d'Est. — Frascati. — Tusculum. — Villa Aldobrandini. — Castel Gondolfo. — Rocca di papa. — Albano. — Laticia. — Las Neptuna. — Ekwipaż papieżki. — Ghetto. — Rzymscy żydzi. — Porty. — Tyber. — Wyspa. — Mosty. — Rienzi ostatni trybun Indu. — Pożegnanie ze stolicą świętą. — Civita Vecchia. — Neapol	128

ROZDZIAŁ XI.

Obrazy Neapolu. — Lazzaroni. — Tarantella. — Toledo 146

ROZDZIAŁ XII.

Neapolitańska noc. — Śpiew ludu. — Capo di Monte. — Villa Lucia. — Powrót z odpustu. — Castellamare. — Vico. — Sorrento. — Capona. — Caserta 159

ROZDZIAŁ XIII.

Sorrento. — Capri. — Lazurowa grotta. — Neapolitański dyalekt 172

ROZDZIAŁ XIV.

Torquato Tasso 184

ROZDZIAŁ XV.

Most w Sorrento i dziewczęta. — Zachód słońca. — Historyczne szkice 197

RZYM. — NEAPOL.

JOHN - JES

ZNACZNIEJSZE POMYŁKI DRUKU.

Stron.	3	wiersz	14,	zamiast:	Awantyna	czytaj:	Awentyna.
—	8	—	12,	—	Wenusa	—	Wenery.
—	45	—	4,	—	metanpsychozy	—	metenpsychozy.
—	48	—	39,	—	Rnspoli	—	Rospoli.
—	49	—	33,	—	Dorio	—	Doria.
—	51	—	4,	—	Ruspigliosi	—	Rospigliosi.
—	128	—	1,	—	Est	—	Este.





116 *but negro*

121 *no negro*

BOOKKEEPER 2006



0010005894

**Książka
po dezynfekcji**